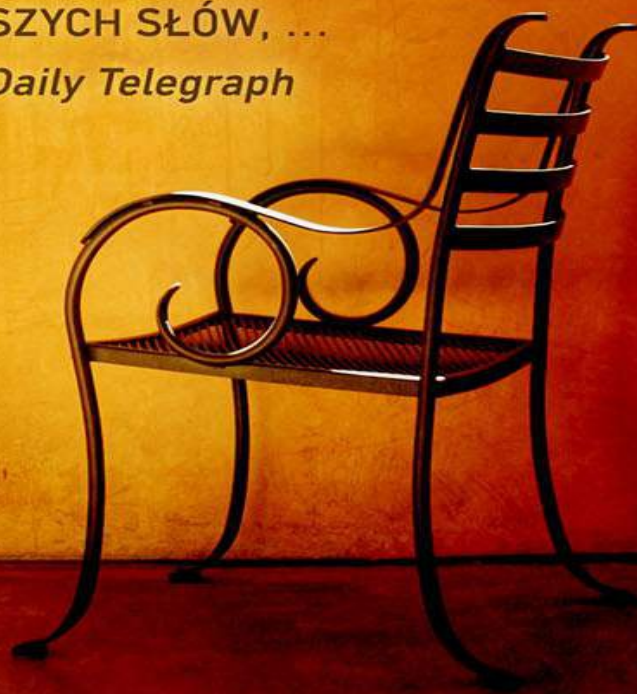


MAGGIE  
O'FARRELL

# Zalecenia na wypadek upałów

„WCIĄGA OD PIERWSZYCH SŁÓW, ...  
ISTNE CZARY”. — *Daily Telegraph*



**MAGGIE  
O'FARRELL**

Zalecenia  
na wypadek  
upałów

Z angielskiego przełożyła  
Ewa Borówka



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Dla S. i I.

i J. i – rzecz jasna – B.

---

# **CZWARTEK**

---

**15 LIPCA 1976**

- 4) (I) ... zabrania się używania wody w celach innych niż:
- a) spożycie,
  - b) utrzymywanie higieny osobistej, w tym pranie,
  - c) spłukiwanie nieczystości w toaletach prywatnych i publicznych.

Ustawa o suszy z 1976 roku

Ustawa przyjęta w celu przeciwdziałania skutkom suszy i niedoboru wody w Zjednoczonym Królestwie.

# Highbury, Londyn

Skwar, skwar. Wyrywa Grettę ze snu tuż po świcie, wyciąga z łóżka i prowadzi w dół po schodach. Zasiadła dom jak gość, który nadużył uprzejmości: zalega w korytarzach, kłębi się wokół zasłon, rozpiera ospale na kanapach i krzesłach. Powietrze w kuchni wypełnia przestrzeń jak czyjaś namacalna obecność, która spycha Grettę na podłogę i każe jej oprzeć się o stół.

Ona jedna mogłaby piec chleb w taką pogodę.

Patrzcie tylko, jak otwiera zamasyżycie drzwiczki piekarnika, krzywi się w zetknięciu z gorącym podmuchem i wyjmuje foremkę z chlebem. Ma na sobie koszulę nocną, włosy nawinięte jeszcze na wałki. Cofa się o dwa kroki i przerzuca parujący bochen do zlewu, a jego ciężar jak zwykle przywodzi jej na myśl niemowlę, noworodka, jego otulone, wilgotne ciepło.

Chleb sodowy piecze trzy razy w tygodniu, odkąd tylko wyszła za męża. Nie dopuści, żeby przeszkodziła jej w tym taka błażostka jak upał. Oczywiście w Londynie nie sposób kupić maślanki, więc musi sobie radzić, mieszając mleko z jogurtem, pół na pół. Pewna kobieta z kościoła powiedziała jej, że ten sposób się sprawdza i do pewnego stopnia rzeczywiście tak jest, ale to jednak nie to samo.

Słyszy za plecami stukot na linoleum i mówi:

– To ty? Chleb gotowy.

– Znosi się na... – zaczyna on i urywa.

Gretta odczeka chwilę, a potem się odwraca. Robert stoi między zlewem a stołem z otwartymi dłońmi, jakby trzymał tacę. Wpatruje się w coś. Może w zaśnieżony chrom kurka, szczeliny suszarki do naczyń, rdzewiejący emaliowany rondel. Ich całe otoczenie jest tak znajome, że czasem nie sposób stwierdzić, na czym zawiesza się oko; to jak ze znanym utworem muzycznym, w którym nie słyszy się już poszczególnych nut.

– Znosi się na co? – pyta ona nagłym tonem.

Robert nie odpowiada. Gretta zbliża się do niego i kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Wszystko dobrze?

Ostatnio przyłapuje się na tym, że zwraca uwagę na jego wiek, niespodziewanie zgarbione plecy, nieznaczne zagubienie widoczne na twarzy.

– Że co? – Robert obraca szybko głowę i patrzy na nią, jakby spłoszony jej dotykiem. – Tak, oczywiście – kiwa głową. – Chciałem tylko powiedzieć, że znów zanosi się na spiekotę.

Tak jak się spodziewała, przesuwa się bokiem w stronę termometru przyczepionego poślinioną przyssawką do zewnętrznej strony okna.

To już trzeci miesiąc suszy. Od dziesięciu dni temperatura przekracza trzydzieści dwa stopnie. Nie pada – od wielu dni, tygodni, miesięcy. Nawet najmniejsza chmura nie przepłynie nad dachami domów wolno i dostojnie jak statek.

Z metalicznym stukotem przypominającym uderzenie młotkiem w gwóźdź, jakby przyciągany nieodpartą siłą, na szybie ląduje czarny punkcik. Robert, który wciąż jeszcze wpatruje się w termometr, wzdryga się gwałtownie. Owad ma żłobione podbrzusze i sześć rozstawionych odnóży. Na przeciwległej krawędzi szyby pojawia się następny i następny, i jeszcze jeden.

– Znów te robale – szepcze Robert.

Podchodzi Gretta, wciskając na nos okulary. Oboje jak zaczarowani wpatrują się w okno.

W ostatnim tygodniu nad miastem przetaczają się chmury czerwonogrzbitych mszyc. Zlatują się na drzewa, na przednie szyby samochodów. Wczepiają się we włosy wracających ze szkoły dzieci, trafiają do ust szaleńców, którzy w takim upale decydują się na jazdę rowerem, przylepiają się odnóżami do warstw kremu do opalania na kończynach ludzi leżących na tyłach domów.

Mszyce odklejają się od okna, odrywając stopy dokładnie w tej samej chwili, jak na sekretną komendę, i znikają pośród lazurowego nieba.

Gretta i Robert prostują się jak na zawołanie i oddychają z ulgą.

– Poleciały sobie – mówi on.

Gretta zauważa, że mąż zerka na zegar ścienny – jest za piętnaście siódma. Od ponad trzydziestu lat dokładnie o tej porze wychodzi z domu. Zdejmuje płaszcz z kołka przy drzwiach, bierze torbę, woła w stronę kuchni słowa pożegnania pod adresem rozkrzyczanej i roztrajkotanej rodziny

i zatrzaskuje za sobą drzwi. Wychodzi zawsze o szóstej czterdzieści pięć, punktualnie, bez względu na wszystko, czy to Michael Francis nie chce wstać z łóżka, czy Aoife wszczyna awanturę o Bóg wie co, czy też Monica usiłuje przejąć władzę nad patelnią z bekonem. To wszystko to nie jego działka, ani teraz, ani nigdy wcześniej. Za kwadrans siódma i już go nie ma, już jest za drzwiami.

Jakby go swędziały kończyny, zauważyła Gretta, jakby coś mu jeszcze nakazywało wyruszyć w drogę, zebrać się, pójść w świat. Wie, że lada chwila zechce wyjść do kiosku.

Z dłonią wspartą na obolałym biodrze odsuwa stopą krzesło, a Robert mówi:

– Skoczę tylko za róg po gazetę.

– A skocz sobie, skocz – odpowiada ona, nawet nie podnosząc wzroku. – To do zobaczenia za chwilę.

Gretta sadowi się przy stole. Robert przygotował wszystko, czego jej trzeba: talerz, nóż, miseczkę z łyżką, kawałeczek masła, słoik dżemu. To dzięki takim drobnym gestom człowiek wie, że jest kochany. Co w ich wieku – myśli, przysuwając cukierniczkę – jest zresztą zaskakująco rzadkie. Tak wiele jej koleżanek ma poczucie, że są niezauważane, umniejszane albo ignorowane przez mężów, jak meble, które zbyt długo się przechowuje. Ale nie ona. Robert zawsze lubi wiedzieć, gdzie jest jego żona, niepokoi się, gdy wychodzi z domu bez uprzedzenia, irytuje, gdy wymyka się, korzystając z jego nieuwagi, i zaczyna wydzwaniać do dzieci, żeby się dowiedzieć, co się z nią dzieje. Po ślubie początkowo doprowadzało ją to do szału – pragnęła stać się choć trochę niewidzialna i tęskniła za wolnością – ale zdążyła już do tego przywyknąć.

Odkrawa piątkę chleba i smaruje ją szczerze masłem. Gdy nie jada regularnie, straszliwie słabną jej kończyny. Przed laty oznajmiła lekarzowi, że podejrzewa u siebie niedocukrzenie, po tym jak poczytała o tej dolegliwości w niedzielnej gazecie. To by przecież wyjaśniało jej potrzebę ciągłego podjadania, prawda? Ale lekarz nawet nie podniósł wzroku znad bloczka recept. „Niestety, tak dobrze nie ma, pani Riordan”, powiedział, tupeciarz jeden, i wręczył jej kartkę z zaleceniami dietetycznymi.

Dzieci, co do jednego, przepadają za tym chlebem. Gdy jedzie do któregoś z wizytą, piecze dodatkowy bochenek i bierze go ze sobą, owinięty

w ściereczkę. Zawsze robiła, co tylko mogła, żeby jej urodzone w Londynie dzieci nie zapomniały o swoich irlandzkich korzeniach. Dziewczynki uczęszczały na lekcje tańca irlandzkiego. Musiały jeździć autobusem aż do Camden Town. Gretta zwykle brała ze sobą puszkę z keksem albo piernikiem, żeby poczęstować inne podobne sobie matki, emigrantki z Cork, z Dublina, z Donegal, i razem obserwowały, jak ich córki unoszą się i opadają, i przytupują w rytm skrzypek. Monica, jak orzekła nauczycielka już po trzech lekcjach, ma talent i zapowiada się na pierwszorzędną tancerkę. Znam się na tym, mówiła nauczycielka, od razu to widzę. Ale Monica nie chciała zostać najlepszą tancerką ani uczestniczyć w zawodach. Nie cierpię, szeptała, nie cierpię, jak wszyscy na mnie patrzą, a sędziowie coś tam notują. Taka była zawsze załężniona, taka ostrożna, taka wycofana, gdy przychodziło do występowania z szeregu. Czy to wina Gretty, czy dzieci już się takie urodziły? Trudno powiedzieć. W każdym razie musiała pozwolić Monice zrezygnować z tańca, choć to wołało o pomstę do nieba.

Gretta pilnowała, żeby każde dziecko regularnie chodziło na mszę i przyjmowało komunię (choć widać, co z tego wyszło). Każdego lata jeździli do Irlandii, najpierw do jej matki, a potem do domku na wyspie Omey, nawet gdy dzieci podrosły i marudziły na wieść o podróży. Gdy Aoife była mała, uwielbiała ten dreszczyk emocji, gdy trzeba było poczekać z przejściem przez groblę, aż fala się cofnie i odsłoni wygładzony, lśniący piasek. „To raz wyspa, raz niewyspa, mam rację, mamusiu?“, spytała kiedyś, gdy miała jakieś sześć lat. A Gretta ją objęła i powiedziała, że jest bardzo mądra. Nietypowe dziecko; zawsze musiało wyskoczyć z czymś podobnym.

Te letnie miesiące były doskonałe, myśli sobie teraz, nadgryzając drugą kromkę chleba. Monica i Michael Francis wałęsal się do wieczora, a gdy pojawiła się najmłodsza Aoife, towarzyszyła jej w kuchni w swoim dziecięcym łóżeczku, aż trzeba było wyjść i zawołać pozostałych na kolację.

Nie, zrobiła, co w jej mocy. A jednak Michael Francis dał swoim dzieciom najbardziej angielskie z angielskich imion. Nawet na drugie nie dostały po irlandzku, choć prosiła. W ogóle sobie nie wyobrażała, co za poganie z nich wyrosną. Gdy wspomniała synowej, że zna cudną szkołę tańca irlandzkiego w Camden, ta się zaśmiała. W twarz jej się zaśmiała. I spytała – co to ona powiedziała? – czy to ten taniec, w którym nie wolno poruszać rękami?

Oczywiście, jeśli chodzi o Aoife, to w ogóle szkoda sobie język strzępić.



Wyjechała do Ameryki. Ani razu nie zadzwoniła. Ani razu nie napisała. Gretta podejrzewa, że z kimś mieszka. Nikt jej o tym nie powiedział, ale serce matczyne swoje wie. Dajże jej spokój, mówi zawsze Michael Francis, gdy Gretta zaczyna go dopytywać o Aoife. Bo wie, że jeśli ktoś ma jakieś wieści, to Michael Francis. Zawsze mogła z nim konie kraść, mimo różnicy wieku.

Ostatnie wieści od Aoife ograniczyły się do pocztówki na Boże Narodzenie. Pocztówki! Ze zdjęciem Empire State Building. Na miłość boską, krzyknęła, gdy Robert jej ją wręczył, to już nawet kartki świątecznej nie łaska? Jakby nie dostała porządnego wychowania, krzyczała dalej. Przez całe trzy tygodnie szła temu dziecku sukienkę na komunię i Aoife wyglądała jak anioleczek. Wszyscy to mówili. Kto by wtedy pomyślał, gdy tak stała na schodach kościoła w swojej białej sukience, białych skarpetkach z koronkową falbanką i z trzepoczącym na wietrze welonikiem, że wyrośnie z niej taka niewdzięcznica, że nie pomyśli, że to nieładnie wysyłać matce zdjęcie budynku dla upamiętnienia narodzin Dzieciątka Jezus?

Gretta pociąga nosem i zanurza nóż w czerwonej paszczy słoika z dżemem. Strach pomyśleć, co z tą Aoife. Czarna owca, powiedziała o niej wtedy siostra Gretty, a Gretta wyszła z siebie i kazała jej zamknąć jadaczkę, ale musi przyznać, że Bridie ma trochę racji.

Robi znak krzyża i pod czujnym okiem Matki Boskiej, która spogląda ze ściany kuchennej, odmawia pod nosem szybką nowennę za swoje najmłodsze dziecko. Kroi sobie jeszcze jedną kromkę i obserwuje, jak para rozplywa się w powietrzu. Nie, nie będzie teraz rozmyślać o Aoife. Może się skupić na wielu innych przyjemniejszych rzeczach. Może Monica dzisiaj zadzwoni – Gretta powiedziała jej, że od szóstej będzie pod telefonem. Michael był uprzejmy obiecać, że przywiezie na weekend dzieci. Nie będzie rozmyślać o Aoife, nie będzie patrzeć na jej zdjęcie w stroju komunijnym ustawione na kominku, nie, ani trochę.

Odkłada chleb na kratkę, żeby się wystudził dla Roberta, i zjada łyżkę dżemu, tak tylko, żeby nie stracić sił, potem następną. Zerka na zegarek. Już piętnaście po. Robert powinien wrócić. Może się na kogoś natknął i zagadał. Chce go zapytać, czy zawiezie ją po południu na targ, gdy rozproszą się już ciągnące na stadion tłumy kibiców piłkarskich. Potrzebuje kilku rzeczy, trochę mąki, nie zaszkodziłoby też kupić kilka jajek. Gdzie mogą się wybrać,

żeby uciec przed upałem? Może pójda na herbatę tam, gdzie dają te smaczne bułeczki. Mogliby pomaszerować ulicą, ramię w ramię, použíwać powietrza. Porozmawiać z tym i owym. To ważne, żeby miał co robić: odkąd przeszedł na emeryturę, staje się nieobecny i znudzony, gdy zbyt długo nie wychodzi z domu. Gretta lubi im organizować takie wyjścia.

Przechodzi przez salon do przedpokoju, otwiera drzwi frontowe i idzie dalej, aż na chodnik, wymijając rdzewiejący szkielet roweru, którego używa Robert. Spogląda w lewo, spogląda w prawo. Widzi, jak kot z sąsiedztwa wygina w łuk grzbiet, drobi miękko wzdłuż ściany, ku krzakowi bzu, i zaczyna sobie o niego ostrzyć pazury. Droga jest pusta. Ani żywego ducha. W głębi ulicy manewruje czerwony samochód. Nad jej głową zawodzi i biadoli sroka kołująca ukosem ze skrzydłem skierowanym ku ziemi. W oddali charczy silnik pnącego się pod górę autobusu, chodnikiem toczy się dziecko na hulajnodze, ktoś gdzieś włącza radio. Gretta podpira się pod boki. Woła męża po imieniu, raz i drugi. Jej głos odbija się od ogrodowych murków.

## Stoke Newington, Londyn

Od stacji Finsbury Park Michael ruszył pieszo. W taki upał to szaleństwo, nawet o tej porze dnia. Ale gdy wynurzył się na powierzchnię, okazało się, że ulice są zapchane i autobusy utknęły w korku z kołami znieruchomiałymi w topniejącym asfalcie, więc ruszył chodnikiem, między domami, które zdawały się oddawać żar ze swoich ścian, zmieniając ulice w parne potoki, przez które musi teraz mozolnie brnąć.

Zdyszany i zlany potem zatrzymuje się w cieniu drzew okalających Clissold Park. Zdejmując krawat i wypuszczając koszulę ze spodni, przygląda się badawczo spustoszeniom, które poczynił ten niekończący się upał: park nie przypomina już falującego zielonego płuca, które zawsze uwielbiał. Przychodzi tu od dziecka; matka pakowała prowiant – jajka na twardo, sinawe pod kruszącymi się skorupkami, wodę, którą czuć było plastikiem Tupperware, oraz po trójkątnym kawałku keksa dla każdego, i wszyscy, nawet Aoife, dostawali po torbie do wyniesienia z autobusu. „Nie ma próżniaczenia”, mówiła głośno matka, gdy czekali, aż otworzą się drzwi, a wszyscy pozostali pasażerowie odwracali głowy. Pamięta, jak pchał pasiasty wózek z Aoife alejką ciągnącą się wzdłuż ogrodzenia, żeby ją uspić, pamięta, jak matka usiłowała namówić Monicę do wejścia do brodzika. W jego wspomnieniach park to przestrzeń w różnych odcieniach zieleni: soczyste, szmaragdowe połacie trawy, spękana patyna brodzika, podbarwiona limonką żółć światła przenikającego przez korony drzew. Teraz zaś trawa ma kolor wypalanej ochry, gdzieś przebiega goła ziemia, a drzewa, jakby w geście wyrzutu, składają upałowi w ofierze zwiotczałe liście.

Wciąga suche powietrze, uświadamia sobie, że piecze go ono w nozdrza, i spogląda na zegarek. Tuż po piątej. Czas do domu.

Dziś ostatni dzień semestru, początek długich letnich wakacji. Dotrwał do kolejnego zakończenia roku szkolnego. Na całe sześć tygodni koniec z ocenami, koniec z lekcjami, koniec ze zrywaniem się z łóżka i wychodzeniem rano z domu. Ulga jest przemożna, wręcz objawia się fizycznie pod postacią przyprawiającego niemal o zawroty głowy uczucia

nieważkości w tyle czaszki; Michael czuje się taki odciążony, taki oswobodzony, że czuje, że mógłby się potknąć, gdyby poszedł za szybko.

Rusza najkrótszą drogą, prosto przez wyżartą przez słońce trawę, na otwartą przestrzeń bez śladu cienia, gdzie światło roznosi się jednolicie i bezlitośnie; mija zamkniętą kawiarnię, w której w dzieciństwie tak bardzo pragnął coś zjeść, ale nigdy się nie doczekał. Rozbój w biały dzień, mawiała matka, rozwijając pergaminowe całuny kanapek.

Pot oblewa mu nasadę włosów, spływa po grzbiecie, wybite z rytmu stopy posuwają się nad ziemią i Michael się zastanawia, nie po raz pierwszy zresztą, jak postrzegają go inni. Oto ojciec, powracający z pracy do domu, gdzie czeka na niego rodzina z kolacją. Czy też przegrzany, spocony człowiek, który dźwiga w teczce za dużo książek i papierysk. Osoba nie pierwszej młodości, z lekko przerzedzonymi na czubku głowy włosami, w butach, które trzeba by podzelać, i skarpetkach, którym przydałoby się cerowanie. Człowiek udręczony upałem, bo jak tu się ubrać do pracy przy takiej temperaturze – w koszulę, krawat i, na miłość boską, długie spodnie, i jak tu się skupić, skoro cała damska reprezentacja miasta paraduje chodnikami i przesiaduje w biurach w jak najkrótszych szortach, krzyżując przed nim gołe, opalone nogi, w odsłaniających ramiona bluzeczkach skrywających piersi, które od nieznośnie gorącego powietrza oddziela tylko cieniuteńka materia? Człowiek spieszący do domu, do żony, która nie patrzy mu już w oczy, nie zabiega o jego dotyk, żony, której chłodna obojętność budzi w nim tak stłumioną, ledwie tłącą się panikę, że nie potrafi już zasnąć we własnym łóżku, nie może usiedzieć we własnym domu.

Widać już kraniec parku. Jeszcze chwila. Ostatnia połać trawnika w pełnym słońcu, potem droga, zakręt i już jego ulica. Widzi dachy domów sąsiadów, a jeśli wespnie się na palce, dojrzałby także łupki na dachu jego własnego domu, komin i świetlik, pod którym, mógłby się założyć, siedzi teraz jego żona.

Pacnięciem odgania kroplę potu z górnej wargi i przekłada teczkę do drugiej ręki. U wylotu jego ulicy ustawiała się kolejka do hydrantu. Paru jego sąsiadów, pani mieszkająca parę domów dalej i kilka innych osób, których Michael nie rozpoznaje, zmierza pojedynczo chodnikami i ulicą z pustymi baniakami u stóp. Niektórzy rozmawiają, jedna czy dwie osoby machają na jego widok lub kiwają na powitanie głową. Przez głowę przebiega mu myśl,

że powinien zaproponować tej pani pomoc, powinien się zatrzymać, napełnić jej pojemnik i zanieść go jej do domu. Tak by należało zrobić. Jest w wieku jego matki, może nawet starsza. Powinien się zatrzymać i zaproponować pomoc. Jakże ona sobie inaczej poradzi? Ale jego stopy nie ustają w marszu. Musi dotrzeć do domu, nie ścierpi dalszej zwłoki.

Odsuwa zasuwkę w furtce i otwiera ją na oścież z poczuciem, że nie widział swego domu od wieków, z uczuciem wzbierającej radości na myśl, że nie musi go opuszczać przez sześć tygodni. Ubóstwia to miejsce, ten dom. Ubóstwia frontową drózkę wyłożoną czarno-białymi płytkami, pomarańczowe drzwi wejściowe z kołatką w kształcie lwiego łba i okienkiem z niebieskiego szkła. Gdyby tylko mógł, wyciągnąłby się ku niebu, aż byłby dość wielki, żeby objąć jego czerwono-szare cegły. To, że kupił go za własne pieniądze – czy raczej za własne pieniądze oraz środki z potężnego kredytu hipotecznego – wciąż jeszcze wprawia go w zdumienie. To oraz fakt, że właśnie w tej chwili znajduje się w nim troje najdroższych na świecie ludzi.

Otwiera drzwi kluczem, staje na dywaniku, ciska teczkę na podłogę i woła:

– Halo! Wróciłem!

Na chwilę staje się dokładnie tą osobą, którą powinien być: mężczyzną powracającym z pracy, stojącym w progu domu, tuż przed przywitaniem z rodziną. Nie ma żadnej różnicy, żadnego rozdźwięku między tym, jak mógłby go postrzegać świat, a osobą, za którą w głębi duszy się uważa.

– Halo! – woła znów.

Dom odpowiada ciszą. Michael zatrząskuje za sobą drzwi i kluczy pośród rozrzuconych w przedpokoju klocków, lalczynych strojów i plastikowych filiżanek.

W salonie natyka się na syna, który pólleży na kanapie z jedną stopą balansującą na stojaku na gazety. Ma na sobie tylko slipy i nie odrywa wzroku od ekranu telewizora, na którym pośród żółtego krajobrazu przechadza się uśmiechnięta, niebieska, kwadratowa istota.

– Cześć, Hughie – mówi. – Jak tam ostatni dzień w szkole?

– Dobrze – mówi Hughie, nie wyjmując kciuka z ust i nawijając kosmyk włosów na palec drugiej ręki.

Michael Francis czuje się jak zwykle na równi zraniony i poruszony podobieństwem syna do Claire. To samo wysokie czoło, mleczna cera,

śnieżyca piegów na nosie. Hughie od zawsze jest matczynym stworzeniem. Weźmy te wszystkie teorie o synowskiej lojalności wobec ojca, owych niewidocznych męskich więziach; coś takiego nigdy nie zaistniało między nim a tym chłopcem. Hughie wyszedł z łona jako obrońca Claire, jej sprzymierzeniec, jej poplecznik. Gdy wyrósł z wieku niemowlęcego, zwykł przesiadywać u jej stóp niczym pies. Podążał za nią po domu z wiecznie przekrzywioną główką, stale świadom jej miejsca pobytu, jej rozmów, jej chwilowych nastrojów. Wystarczyło, że usłyszał, jak jego ojciec mówi, że nie może znaleźć czystej koszuli albo dopytuje, gdzie się podział szampon, i rzucał się na niego, młóćąc zaciśniętymi piąstkami, tak bardzo rozsierdzał go choćby najsubtelniejszy przejaw ukrytej krytyki pod adresem matki. Michael Francis zawsze miał nadzieję, że to się zmieni, gdy chłopiec podrośnie. Ale nic nie wskazywało na to, by faworyzowanie miało się skończyć, choć Hughie miał już prawie dziewięć lat.

– Gdzie Vita? – dopytuje.

Hughie wypluwa z ust kciuk na chwilę dość długą, by zdążyć odpowiedzieć:

– W baseniku.

Michael musi zwilżyć wargi przed zadaniem kolejnego pytania:

– A mamusia?

Tym razem Hughie odrywa wzrok od ekranu i patrzy na niego.

– Na strychu – mówi bardzo wyraźnie, bardzo precyzyjnie.

Ojciec i syn patrzą na siebie przez chwilę. Czy Hughie, zastanawia się Michael, ma w ogóle pojęcie, że właśnie tego się obawiał, odkąd wyszedł z pracy, odkąd zmusił się do wejścia do zatłoczonego, dusznego wagonu metra, odkąd zaczął przemierzać to piekielne miasto? Czy Hughie wie, że on mimo wszystko miał nadzieję, że po powrocie zastanie żonę w kuchni, podającą coś pachnącego i odżywczego jego dzieciom, ubranym, czystym i siedzącym przy stole? Ile Hughie rozumie z tego, co się ostatnio dzieje?

– Na strychu? – powtarza.

– Na strychu – potwierdza Hughie. – Powiedziała, że ma masę pracy i że mamy jej nie przeszkadzać, chyba że będzie od tego zależało nasze życie.

– Rozumiem.

Przechodzi dalej do kuchni. Kuchenka jest pusta, a stół zasłany paletą przedmiotów: kubkiem pełnym czegoś, co wygląda na skrawki gazet

pokrytych zaschniętym klejem, kilkoma pędzlami, które, jak się zdaje, przywarły do blatu, na wpeł pożąrtą paczką herbatników w rozdartym opakowaniu, nogą lalki oraz szmatką, przypuszczalnie nasączoną kawą. W zlewie piętrzą się talerze, filiżanki, kubki oraz druga lalczyzna noga. Przez otwarte tylne drzwi widzi, jak jego córka siedzi w pustym baseniku, trzymając w jednej ręce konewkę, a w drugiej beznogą lalę.

Ma teraz dwa wyjścia. Wyjść do ogrodu, wyjąć Vitę, zapytać ją o szkołę, zwabić ją do domu i może nakarmić oboje czymś z zamrażarki. Pod warunkiem, że coś się w niej znajdzie. Albo pójść na górę i odnaleźć żonę.

Waha się przez chwilę, spoglądając na córkę. Sięga po herbatnika i wpycha go sobie do ust, potem drugiego i następnego, aż dociera do niego, że ich piaszczysta słodycz nie sprawia mu przyjemności. Przetyka szybko, aż piecze go gardło. Potem odwraca się i wchodzi na schody.

Na piętrze drogę zagradza mu aluminiowa drabina prowadząca na strych. Sam ją zamontował, gdy się tu wprowadzili po narodzinach syna. Żaden z niego majsterkowicz, ale kupił tę drabinę, bo jako mały chłopiec zawsze chciał mieć pokój zabaw na strychu. Przestrzeń pod dachem, do której można uciekać, mroczne miejsce pachnące myszami i surowym drewnem; wyobraża sobie, że stamtąd rodzinna kakofonia wydawałaby się odległa, niegroźna; mógłby wciągać za sobą drabinę i szczelnie zamykać właz. Tego pragnął dla swego syna – schronienia. Nigdy by się nie spodziewał, że zostanie zarekwirowane – bo tak to postrzega, jako działanie wojskowe, rekwizycję – ni mniej, ni więcej, tylko przez jego żonę. Nie, zupełnie nie tak wyobrażał sobie strych. Zamiast miniaturowej kolejki – zasłane papierami biurko, zamiast legowiska, na przykład z poduszek i starej pościeli – regały z książkami. Z krokwi nie zwisają modele samolotów, nie ma kolekcji motyli, muszelek, liści ani żadnych innych upragnionych przez dzieci rzeczy – tylko książki w miękkiej oprawie, notesy i do połowy wypełnione teczki.

Chwyta szczeble drabiny. Jego żona jest tam, tuż nad jego głową; gdyby się należycie skupił, niemal usłyszałby jej oddech. Ma do niej tak niedaleko, ale coś go powstrzymuje, gdy stoi tam na piętrze z palcami zaciśniętymi na szczeblach i twarzą przyciśniętą do pięści.

Jeśli chodzi o życie rodzinne, to najtrudniejsze jest dla niego to, że gdy już mu się zdaje, że rozumie, co się dzieje, nagle wszystko się zmienia. Ma

wrażenie, że odkąd pamięta, po wejściu do domu zastawał żonę z co najmniej jednym dzieckiem przytwierdzonym do ciała. Gdy wracał z pracy, siedziała na sofie, przygnieciona skumulowanym ciężarem syna i córki, stała w ogrodzie z Vitą na biodrze, siedziała przy stole z Hughiem na kolanach. Gdy budził się rano, zastawał jedno albo drugie oplecione wokół niej jak bluszcz i szepczące jej na ucho sekrety pośród gorących, wonnych od snu oddechów. Gdy wchodził do pokoju, zawsze kogoś niosła albo jakaś osóbką wczepiała się w jej dłoń, rąbek ubioru albo rękaw. Nie widywał już zarysu jej sylwetki. Stała się jak matrioszka, długorzęsa laleczka o domalowanych lokach, z nieodłącznymi mniejszymi replikami samej siebie.

Tak się sprawy miały, tak wyglądało życie w ich domu. Claire występowała w dwóch, czasem trzech osobach. Prawdopodobnie ona też o tym myślała, bo w ostatnim czasie, odkąd Vita skończyła cztery lata, witał go niespotykany widok Claire stojącej samotnie w kuchni z jedną dłonią spoczywającą na stole albo siedzącej przy oknie wykuszowym i wyglądającej na ulicę. Naraz okazało się, że może zobaczyć ją całą, w jej zdumiewającej odrębności, bez dzieci, które znikły, żeby wieść swoje dziecięce życie: na górze, we własnym pokoju, rozrabiając i chichocząc pod kocem, albo w ogrodzie, wdrapując się na murki czy grzebiąc w rabatkach. Mogłoby się wydawać, że po dekadzie intensywnego wychowywania dzieci ta zmiana przyniesie jej ulgę, nagłe przejaśnienie. Ale wyraz jej twarzy, gdy zdarzyło mu się przyłapywać ją w takich chwilach, przywodził mu na myśl osobę, która zgubiła drogę, która posłana w jakieś miejsce obrała zły zakręt, osobę, która właśnie miała zrobić coś ważnego, ale zapomniała co.

Zastanawiał się, jakimi słowami powiedzieć jej, że on też oplakuje odejście tego poczucia, że dzieci ich tak intensywnie, żarliwie potrzebują, że mają nieodparte pragnienie przebywania blisko nich, badania ich, obserwowania, jak obierają pomarańczę, robią listę zakupów, wiążą sznurowadła; odejście poczucia, że dla dzieci każde z nich jest jak studium człowieczeństwa. Zastanawiał się właśnie, jak jej powiedzieć: owszem, to przeminęło, ale życie przyniesie coś nowego – gdy wszystko znów się odmieniło. Wracając do domu, nie zastawał jej już w kuchni ani w oknie; przebywała w innej części domu, na górze, zupełnie niewidoczna. Kolacja ani nie dusiła się na kuchence, ani nie piekła za drzwiczkami piekarnika. Zaczął dostrzegać tu i ówdzie dziwne przedmioty. Stary zeszyt z panięskim



nazwiskiem żony starannie wykaligrafowanym na okładce. Sfatygowane francuskie wydanie *Pani Bovary* z kartkami o nadwątłonych rogach opatrzonymi młodzieńczymi, poważnymi dopiskami Claire. Stary, podniszczony piórnik z czerwonej skóry wypełniony świeżo naostrzonymi ołówkami. Podnosił je, ważył w dłoniach i odkładał z powrotem. Claire zaczęła go potrzebować do pomocy przy dzieciach, bo nagle okazywało się, że wieczorem albo podczas weekendu musi wyjść. „Nigdzie się nie wybierasz, prawda?” – pytała z jedną nogą za drzwiami. W jej oczach dostrzegł coś nowego – błysk pomieszany z trwogą. Pewnej nocy, odkrywszy, że jej połowa łóżka jest pusta, zaczął wędrować po domu i jej szukać, wołać jej imię w mrok; odpowiedziała, ale wytłumionym, bezcielesnym głosem. Dopiero po kilku minutach zorientował się, że siedzi na strychu, że opuściła ich łóżko, weszła tam w środku nocy i wciągnęła za sobą drabinę. Stał na piętrze i posykiwał, żeby go wpuściła – co ona tam, na Boga, wyrabia? Nie, spłynął na niego jej głos, nic takiego, nie, nie możesz wejść.

Podczas jednego z jej tajemniczych wieczornych wyjść rozdarł zaadresowaną do niej, urzędowo wyglądającą kopertę i dowiedział się, że zaczęła studiować korespondencyjnie historię na akademii otwartej. Gdy wróciła, rzucił kopertę na dzielący ich blat stołu. Co to, do licha, jest? – zapytał. Dlaczego uczestniczy w tym kursie?

– Bo tak chcę – odparła wyzywająco, skręcając w dłoniach pasek torebki.

– Ale dlaczego na akademii otwartej? – spytał.

– A dlaczego nie? – warknęła pobladła i spięta, i zaczęła jeszcze mocniej skręcać pasek.

– Bo jesteś na nią o wiele za dobra i wiesz o tym. Maturę zdałaś śpiewając, Claire. Akademia otwarta przyjmuje kogo popadnie, a na ich dyplomy szkoda papieru. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Mogliśmy o tym porozmawiać, a ty...

– Dlaczego ci nie powiedziałam? – wtrąciła. – Może dlatego, że właśnie takiej reakcji się po tobie spodziewałam.

W ślad za zatemperowanymi ołówkami i Flaubertem w domu pojawili się nowi znajomi. Oni także studiowali na akademii i, jak stwierdziła Claire, czyż nie wspaniale się składa, że wszyscy mieszkają w sąsiedztwie? Dzięki temu mogą jej pomagać w pisaniu wypracowań, a Michaelowi udało się nie zapytać: a dlaczego mnie nie poprosisz o pomoc, w końcu jestem

nauczycielem historii. Mam tytuł magistra i rozpoczęty doktorat z historii. Jakoś nagle się okazało, że ci ludzie stale kręcą się po ich domu ze swymi notatkami z wykładów, segregatorami, esejami i gadkami o rozwoju osobistym. W niczym nie przypominali innych znajomych Claire – kobiet z małymi dziećmi i domami pełnymi plastikowych kubków i zabawek oraz farb do malowania palcami, zapoznanych w szkole lub przy okazji poranków przy kawie organizowanych przez koło niepracujących kobiet. Za sprawą towarzystwa z akademii otwartej w powietrzu ich domu zawisło coś elektryzującego, nerwowego. A on, Michael Francis Riordan, wcale nie czuł się z tym dobrze, o nie.

Przez chwilę zbiera się w sobie, a potem wspina się po drabinie. Przygląda włosy i z powrotem wpycha koszulę do spodni.

Gdy wdrapuje się na stryszek, który sam urządził – poprzybijał do krokwi płyty wiórowe, oczyścił świetlik z zeschniętych liści – żona ukazuje mu się od stóp wzwyż. Odkryte palce, wąskie kolana, skrzyżowane łydki, siedzenie umoszczone na taborecie, plecy nachylone nad stojącym na kozłach stołem, odkryte ramiona, białe i wątle, dłoń ściskająca długopis, odwrócona głowa.

Staje przed nią, otwarty jak książka.

– Cześć – mówi.

– O, Mike – odpowiada ona, nie podnosząc głowy. – Tak mi się zdawało, że cię słyszałam.

I pisze dalej. Michael skupia się na chwilę na tym „Mike’u”. Przez lata żona najczęściej zwracała się do niego jego pierwszym i drugim imieniem, tak jak jest znany w domu rodzinnym, tak jak mówiono do niego w dzieciństwie. Podchwyciła to od jego rodziców i sióstr – i ich rozległej sieci kuzynów, ciotek i wujków. „Mikiem” jest dla współpracowników, przyjaciół, znajomych, dentystów, a nie dla rodziny, nie dla najbliższych. Ale jak jej to przekazać? Jak powiedzieć: proszę, zwracaj się do mnie dwoma imionami, tak jak dawniej?

– Co robisz? – pyta w zamian.

– Mmm... – gryzmoli gorączkowo – ...właśnie kończę pracę o... – zastyga, wykreśla coś i pisze dalej. – Która jest?

– Dochodzi piąta.

Na te słowa unosi głowę, ale się nie odwraca.

– Długo dzisiaj w pracy, co? – mamrocze.

Postać Giny Mayhew zdaje się przepływać obok nich przez strych jak poltergeist. Rzuca mu spojrzenie spod tej swojej kanciastej brwi i rozplywa się w otworze w podłodze. Michael Francis przetyka ślinę – czy raczej próbuje. Gardło ma ściśnięte i wysuszone. Kiedy ostatnio miał w ustach coś do picia? Nie może sobie przypomnieć. Zdaje sobie sprawę, że męczy go pragnienie, potworne, straszliwe, nieznośne pragnienie. Ma przed oczami szklanki z wodą, rzędy hydrantów, wypalone połacie pożółkłej trawy.

– Nie – wydusza. – Zakończenie roku szkolnego i tak dalej... metro... no, wiesz... znowu opóźnienia.

– Metro?

– Tak – kiwa energicznie głową, choć Claire na niego nie patrzy, po czym pyta pospiesznie: – To o czym ta praca?

– O rewolucji przemysłowej.

– O. Ciekawe. A z której strony? – podchodzi bliżej i zagląda jej przez ramię.

– Rewolucja przemysłowa i jej wpływ na formowanie się klasy średniej – mówi i odwracając się do niego, zasłania ręką stronę, a on czuje, jak coś mu się rozplywa w brzuchu. Na poły pożądanie, na poły zgroza na widok jej krótkich włosów. Nadal nie może do nich przywyknąć, nadal nie może jej tego wybaczyć. Kilka tygodni temu wrócił do domu i otworzył drzwi frontowe, jeszcze nieświadom tego, co się dziś za nimi wydarzyło, jeszcze przekonany, że jego żona jest wciąż tą samą osobą co zawsze. Że wachlarz włosów znajduje się na swoim miejscu; nie miał powodu sądzić inaczej. Włosy, które spoczywały jej na ramionach, włosy o barwie oglądanego pod słońce miodu, włosy rozsypane na obu poduszkach, włosy, które ujmował w dłoń jak sznur jedwabny, włosy, którymi lubił w mroku otaczać ich ciała jak namiotem, gdy Claire wznosiła się nad nim i opadała. Włosy, które przykuły jego uwagę na początku studiów doktoranckich, podczas wykładu o powojennej Europie: ich czysta, gładka, wabiąca słońce rozrzutność. Nigdy dotąd nie widział takich włosów, a już z pewnością nigdy takich nie dotykał. Kobiety w jego rodzinie były ciemnowłose i rudowłose; miały włosy niesforne, włosy poskręcane, włosy rzadkie, włosy, które wymagały układania i lakierowania, i upinania, i przytrzymywania siatką. Włosy, które były powodem lamentów, skarg i płaczów. Nie włosy, które się opiewa jak te, rozpuszczone i rozkołysane w całej swej nieskomplikowanej, pełnoprawnej,

anglosaskiej krasie. Ale gdy stanął w drzwiach łazienki na piętrze, jeszcze z kluczami w dłoniach, zobaczył, że włosy, które uwielbia i zawsze uwielbiał, znikły. Odpadły, odcięte, już po nich. Zasiały linoleum jak cudaczne ssakopodobne tumany. A w miejscu jego żony stał ostrzyżony chłopiec w sukience. „I jak?”, zapytał odmieniec głosem jego żony. „Ładna fryzurka na gorące lato, prawda?”. I zaśmiał się, śmiechem jego żony, ale potem gwałtownie obrócił głowę i nerwowo przejrzał się w lustrze.

Wpatruje się w nią teraz, gdy tak przed nim siedzi, i znów pogrąża się w tej głębokiej, nieodwracalnej żałobie, i chce ją zapytać, czy nie zechciałaby ich z powrotem zapuścić, jak długo to potrwa i czy będą wyglądały tak samo.

– To jaki ten wpływ? – pyta.

– No wiesz... – odpowiada Claire, jeszcze staranniejsz zasłaniając ręką kartkę. – Różnoraki.

Michael Francis rozumie, że ostrzygła się na krótko, żeby wyglądać po chłopięcemu szelmowsko, jak ta dziewczyna w filmie o Paryżu. Ale przy okrągłej twarzy jego żony i jej płaskim nosie to się zwyczajnie nie sprawdza. Wygląda teraz jak rekonwalescentka z epoki wiktoriańskiej.

– Tylko pamiętaj, żeby wspomnieć o masowej migracji ze wsi do miasta...  
– słyszy swój głos – ...o powstawaniu wielkich miast i o...

– Tak, tak, wiem – mówi ona, odwracając się z powrotem w stronę biurka i... czy tylko mu się zdaje, czy Claire mówi przez zaciśnięte zęby? Pozwól sobie pomóc, chce powiedzieć, pozwól mi spróbować. Ale sam nie wie, jak to ująć, żeby nie wyjść na, jak by to ujęła Aoife, „żałosnego ćwoka”. Chciałby po prostu, żeby choć w jednej sprawie zapanowała między nimi zgoda, żeby choć w jednej dziedzinie życia stanęli ramię w ramię, jak niegdyś, zanim...

– I o liniach kolejowych – znów słyszy samego siebie, i czy tylko mu się zdaje, czy rzeczywiście odzywa się niskim, apodyktycznym głosem zarezerwowanym dla sali lekcyjnej; dlaczego robi to tu, na strychu własnego domu, zwracając się do własnej żony? – O tym, jak usprawniły i przyspieszyły transport, a wybudowali je oczywiście Irlandczycy i...

Claire, widocznie poirytowana, drapie się szybkim ruchem po głowie, zawiesza długopis nad kartką, żeby coś zaznaczyć, ale zaraz go cofa.

– Polecałbym też lekturę...

– Może byś mu lepiej odpowiedział? – wtrąca Claire.

– Komu?

– Hughiemu.

Michael Francis przestraja słuch na dźwięki dobiegające spoza strychu, spoza osoby jego żony, i dociera do niego wołanie syna.

– Tatusiu, tatusiuuu, wracaaaasz?

Gdy zaproszono go do domu Claire, żeby poznał jej rodziców, najbardziej uderzyło go to, jak miło się do siebie odnoszą. Jak uprzejmie, jak niezmiernie grzecznie. Rodzice zwracali się do siebie per „kochanie”. Podczas kolacji matka zapytała go, czy byłby tak miły i podał jej, uprzejmie prosi, masło. Nie od razu rozszyfrował gramatykę tego zdania, nie od razu się odnalazł w jego semantycznych zawilościach. Gdy matka wspomniała, że jej chłodno, ojciec przyniósł jej chustę (jedwabną, w miedziane łańcuchy). Brat, przez nikogo nieprzymuszany, opowiedział o rozegranym tego dnia szkolnym meczu rugby. Rodzice dopytywali Claire-Bear, Misia-Pysia, jak ją nazywali, o jej wypracowania, wykłady, daty egzaminów. Jedzenie podano na porcelanowych półmiskach z pokrywami; członkowie rodziny nakładali sobie nawzajem porcje, a następnie dokładki.

Zdumiewało go to. I bawiło. Gdzie te pokrzykiwania, przekleństwa, podrywanie się zza stołu, milcząca zaduma, przepychanki o równe porcje kartofli? Gdzie latające łyżki, dlaczego nikt nie sięga po nóż do krojenia mięsa i nie przystawia go sobie do gardła z okrzykiem, że chyba zaraz się zabije? Nie sądził, żeby ktokolwiek z jego rodziny potrafił choć w przybliżeniu określić tematykę jego doktoratu, a co dopiero sięgnąć po kalendarz i zanotować daty oraz szczegóły jego egzaminów, nie wspominając o wyrecytowaniu listy tytułów, które mogą mu się przydać, a jeszcze przynieść je z własnej biblioteczki.

Przekonał się, że ich pytania, co studiuje, jak często uczy w szkole i czy wystarcza mu czasu na pracę naukową, wywołują u niego lekką panikę. Wołałby, żeby nie zwracali na niego uwagi, żeby mógł się do woli opychać, studiować rozwieszzone na ścianach obrazy olejne, wyglądać przez okno wykuszowe wychodzące na rozległy trawnik, przyjmować do wiadomości, że oto sypia z dziewczyną, która nadal zwraca się do swoich rodziców per „mamusiu” i „tatusiu”.

Ale oni ani myśleli się poddać. Ile ma rodzeństwa? Czym się zajmują? Gdzie się wychowywał? Odpowiedź, że ojciec pracuje w banku, zdawała się ich zadowalać, ale informacja, że on sam wyjeżdżał na letnie wakacje do

Irlandii, wywołała pewną konsternację.

– Rodzice Michaela są Irlandczykami – odezwała się Claire i czy tylko sobie to uroił, czy w jej głosie rozbrzmiał cień ostrzegawczego tonu, a w powietrzu zawisł nieokreślony grymas?

– Doprawdy? – jej ojciec utkwiał w nim spojrzenie, jakby w poszukiwaniu fizycznych oznak tego faktu. Michael Francis miał ochotę odklepać zdrowaśkę, żeby sprawdzić ich reakcję. „Tak jest!”, chciał oznajmić znad talerza karczochów, tych niejadalnych, najeżonych paskudztw. „Jestem Irys, katol, pastuch, piwożłop i rozdziewiczylem waszą córę”.

– Owszem – odpowiedział.

– Z Irlandii Północnej? Czy z Południowej?

Przez chwilę gryzł się w język, żeby nie poprawić ojca Claire: mówi się Republika Irlandii, a nie Irlandia Południowa.

– Yyy... z południa.

– Aha. Ale nie zadaje się pan z IRA?

Jego dłoń, podająca właśnie jedzenie do ust, zastygła. Liść karczocha zawisł w powietrzu. Na talerz kapnęła kropla stopionego masła. Michael spojrzał na siedzącego naprzeciw mężczyznę.

– Pyta mnie pan, czy należę do IRA?

– Tatku... – szepnęła Claire.

Mężczyzna rozchylił usta w uśmiechu, szybkim i mizernym.

– Nie. Chodzi mi tylko o to, czy pan lub pańska rodzina...

– Czy moja rodzina należy do IRA?

– Tak tylko pytam. Nie chciałem pana urazić.

Wziął Claire tej nocy, o pierwszej nad ranem, na jej kwiecistej narzucie, na dywanie, na wyłożonym poduchami siedzisku przy oknie. Zebrał dłonią kukurydziany jedwab jej włosów i przysunął go sobie do twarzy. Pulsował w niej z zamkniętymi oczami, a gdy dotarło do niego, że nie użyli prezerwatywy, ucieszył się, mściwie się ucieszył, a nazajutrz przy śniadaniu cieszył się nadal, gdy Claire zasiadła wyprostowana przy stole, taka nieskazitelna w swej letniej kwiecistej sukience, i pytając ojca, czy może mu coś podać, nałożyła sobie jajecznicę.

Kiedy trzy tygodnie później oznajmiła mu, że nie dostała okresu, nie był już taki uradowany. A jeszcze mniej, gdy miesiąc później wybrał się do domu i powiadomił rodziców, że się żeni. Matka rzuciła mu szybkie, taksujące

spojrzenie i zasiadła za stołem.

– Och, Michaelu Francisie – szepnęła, przykładając dłoń do czoła.

– Co? – spytał ojciec, patrząc to na jedno, to na drugie. – Co tu się dzieje?

– Jak mogłeś mi to zrobić?

– Ale co? – zapytał znów ojciec.

– Puknął jakąś – mruknęła Aoife.

– Hę?

– Puknął jakąś, tato – powtórzyła głośno i rozwalila się na kanapie, rozrzucając po poręczach swoje nieskazitelne, czternastoletnie kończyny. – Zapłodnił ją, strzelił jej gola, zaliczył wpadkę, zalał formę...

– Dość – powiedział do niej ojciec.

Aoife wzruszyła ramieniem, a potem przyjrzała się Michaelowi, jakby go zobaczyła na nowo.

– To prawda? – spytał ojciec, odwracając się do niego.

– Ja... – Michael rozłożył ręce. To nie tak miało być, chciał powiedzieć. To nie z nią miałem się ożenić. Chciałem dokończyć studia doktoranckie, po drodze przespać się z każdą, która pozwoliłaby się obmacać, a potem popłynąć do Ameryki. Tego małżeństwa i dziecka nie uwzględniłem w swoim planie.

– Za dwa tygodnie ślub.

– Dwa tygodnie! – matka zaczęła płakać.

– W Hampshire. Nie musicie przyjeżdżać, jeśli nie chcecie.

– Och, Michaelu Francisie... – odezwała się znów matka.

– A gdzie w Hampshire?

– Katoliczka? – spytała Aoife, kołysząc bosą stopą i wygryzając z ciastka kształt półksiężyca.

Matce zaparło dech.

– Właśnie! Katoliczka? – rzuciła okiem na zawieszony na ścianie obraz Najświętszego Serca Jezusa. – Tylko nie mów, że nie.

Michael odchrząknął i rzucił Aoife wściekłe spojrzenie.

– Nie.

– To co z niej za jedna?

– Nie... nie wiem. Chyba anglikanka, ale nie wydaje mi się, żeby to było szczególnie istotne, skoro...

Matka z jękiem poderwała się od stołu. Ojciec pacnął gazetą o dłoń.

– Normalnie wziął i puknął protestantucha – rzuciła Aoife, pozornie w przestrzeń.

– Morda w kubeł, Aoife – syknął Michael.

– Jeszcze jedno słowo! – huknął ojciec.

– Do grobu mnie wpędzicie! – zawołała z łazienki matka, grzechocząc fiolkami z lekami uspokajającymi. – Teraz to już mnie możecie równie dobrze zabić.

– Nie ma sprawy – szepnęła Aoife. – Kto pierwszy?

Urodził się Hughie, a życie Claire i Michaela Francisa potoczyło się odmiennym torem. Claire ukończyłaby swoją historię i podjęła pracę, jaką podejmują zwykle po studiach dziewczęta jej pokroju: może zatrudniłaby się w redakcji czasopisma, a może jako sekretarka w kancelarii prawniczej. Wynajęłaby z koleżanką mieszkanie w Londynie, zasypane ciuchami i kosmetykami do makijażu. Przekazywałyby sobie nawzajem wiadomości i podejmowały swoich chłopaków posiłkami upichconymi w wąskiej kuchni. Prałyby majty w umywalce i suszyły nad piecykiem gazowym. Po kilku latach poślubiłaby prawnika albo biznesmena i wprowadziłiby się do domu podobnego do tego należącego do jej rodziców, w Hampshire czy Surrey, Claire wychowywałaby kilkoro schludnych dzieci, którym opowiadałaby o swoim panińskim życiu w Londynie.

Michael Francis obroniłby doktorat. Zaliczyłby najatrakcyjniejsze kobiety w mieście; a zdawało się, że w Londynie w połowie lat sześćdziesiątych aż się od nich roi – kobiet w golfach, z czarnymi kreskami na powiekach, kobiet w rozkloszowanych sukienkach, tych w nieprawdopodobnie krótkich spódniczkach i wysokich kozakach, tych w kapeluszach i okularach przeciwsłonecznych, tych z kokami i w tweedowych płaszczkach. Zakosztowałby ich wszystkich, sztuka po sztuce. A potem dostałby posadę wykładowcy w Ameryce. W Berkeley, tak sobie myślał, albo na Nowojorskim, albo w Chicago, albo u Williama. Wszystko już sobie obmyślił. Odpłynąłby z tego kraju i nigdy nie wrócił.

Ale, jak się okazało, musiał porzucić studia doktoranckie. Nie utrzymałby żony i dziecka ze stypendium. Dostał posadę nauczyciela historii w gimnazjum na przedmieściach. Wynajął mieszkanie nieopodal Holloway Road i na zmianę z Claire podgrzewali niemowlęce butelki na gazowym palniku. Na weekendy wyjeżdżali do Hampshire i bez końca dyskutowali



o tym, czy Michael Francis powinien zgodzić się na wysuniętą przez teścia propozycję pożyczki na zakup „lokum w jakimś przyzwoitym miejscu”.

Krąży drewnianą łyżką po dnie rondla, a potem wyklada na dwa talerze obrączki makaronu w sosie pomidorowym.

Gdy przyłapuje czasem Claire na nieobecny spojrzeń, zastanawia się, czy rozmyśla o domu, który mogła mieć. W Sussex czy Surrey, u boku męża prawnika.

Uważa, żeby na jednym z talerzy nie układać grzanki zbyt blisko makaronu – Hughie niczego nie przełknie, jeśli jeden składnik znajdzie się za blisko drugiego. „Nie mogą się stykać!”, wrzeszczy. Dla Vity układa makaron na posmarowanej masłem grzance. Tej to nic nie przeszkadza, zje wszystko.

Właśnie ustawia talerze na odpowiednich miejscach, gdy czuje, że coś go bodzie w nogę, coś krzepkiego i ciepłego. Vita. Weszła z ogródka do domu i stuka go kędzierzawą głową w udo jak kózka.

– Tatuś – nuci. – Tatuś, tatuś, tatuś.

Michael wyciąga rękę i bierze ją w ramiona.

– Vita – mówi.

I znów staje się na chwilę dokładnie tą osobą, którą ma być: mężczyzną stojącym w kuchni i podnoszącym córeczkę. Odkłada drewnianą łyżkę. Odstawia patelnię. Otacza dziecko ramionami. Przepelnia go... właściwie co? Coś więcej niż miłość, więcej niż uczucie. Coś tak głębokiego i żywiołowego, że wręcz podobnego do zwierzęcego instynktu. Przez chwilę nie może się oprzeć wrażeniu, że to uczucie mógłby wyrazić tylko przez ludożerstwo. Tak, chce pożreć swoją córkę, zaczynając od fałdek na karku i przechodząc do gładkiej, połyskującej perłowo skóry rąk.

Vita wygina się w tył i przebiera nogami. Zawsze była dzieckiem przyrośniętym do ziemi; nie lubi być noszona. Jej ulubioną formą wyrażania uczuć jest tulenie się do nóg. Nie znosi być podrywana w górę. Zawsze miała niewzruszone, krzepkie ciało, w odróżnieniu od brata. Hughie to chochlik, nieważka, piskliwa istota, z przydługim rozwianym włosiem, przeźrocysty, istny Ariel, dziecko powietrza, tymczasem Vita to raczej gnieźdzący się w ziemi zwierzak. Przypomina mu trochę borsuka. Albo lisa.

Wzdycha, odstawia ją, na co Vita zaczyna galopować wokół stołu i z niewyjaśnionych przyczyn wykrzykiwać „Długo i szczęśliwie!”, na

okrągło, akcentując różne sylaby.

– Vita – zaczyna, starając się mimo zgiełku mówić normalnym tonem. – Vita, usiądź. Vita?

Wchodzi Hughie i opada ciężko na swoje krzesło. Podnosi widelec i zaczyna grzebać w makaronie, na którym stygnie i tężeje pomarańczowy sos. Marszczy brwi, chwytając na ząb widelca jedną, dwie, trzy obrączki, i Michael Francis sam nie wie, co mu powiedzieć: przeprosić, że znów makaron z puszki, czy nakazać mu jeść.

Gdy ostatnio odwiedziła ich jego matka – przyjeżdża co dwa tygodnie, ale tylko na herbatę; nie chce zostać dłużej, „żeby nie denerwować Claire” – na widok podobnego obiadu wyraziła zaskoczenie, że Michael Francis, bądź co bądź pracujący na cały etat, tak często gotuje. Claire była w salonie, ale słyszała. Wiedział, że słyszała, bo odłożyła z hukiem czytana właśnie książkę.

– Vita – próbuje znów.

Vita bryka wokół stołu, naga i umazana ziemią, i śpiewa, przekładając akcent:

– Długo i **szczęś**-liwie. Długo i szczęśli-**wie**.

Hughie wali się dłonią w czoło i odkłada z brzękiem widelec.

– Przymknij się, Vita – syczy.

– **Sam** się przymknij – odkrzykuje Vita. – Sam **się** przymknij. Sam się **przymk**-nij, sam się...

Michael chwytając córkę w locie, gdy ta mija go tanecznym krokiem, i unosi ją nad głowę, wyjąca i wierzgająca. Wie, że ma teraz do wyboru dwa rozwiązania. Może iść w zaparte, nakazać jej się uspokoić i natychmiast usiąść. Ta opcja wydaje się pociągająca, bo pozwoli mu choć częściowo wylać z siebie złość, która w nim wzbiera od rana, i zarazem niebezpieczna, bo może przynieść odwrotny skutek i sprawić, że Vita posunie się jeszcze dalej. Albo może posłużyć się żartem, żeby wyrwać ich oboje z impasu. Stawia na to drugie. Szybszy efekt i mniejsze ryzyko.

– Am mniem, mniem – mówi i udaje, że w gryza się Vicie w brzuch. – Jestem potworem i zaraz cię pożrę.

Sadza ją na krzesło.

– Jestem taki wygłodniały, że jeśli nie zjesz posiłku, będę musiał pożreć ciebie. Jeśli chcesz się uratować, musisz jeść.

Vita się śmieje, ale – czary-mary! – nie wstaje z krzesła. Michael

wstrzymuje oddech do chwili, gdy córka sięga po widelec.

– Tatusiu, a jakim potworem?

– Wielkim.

– Włochatym? – piszczy.

– Tak. Bardzo włochatym. Całym porośniętym zieloną sierścią.

A ponieważ nie wzięła jeszcze ani jednego kęsa, Michael delikatnie wyjmując jej widelec z zaciśniętej dłoni i wkłada jej trochę jedzenia do ust.

– A masz wielkie zębiska?

– Ogromne. Nigdy nie widziałaś większych.

– A rekin... – ogłasza nagle Hughie – ...ma kilka rzędów...

– I pazury? – dopytuje Vita, rozpryskując po stole przeżute grudki makaronu.

– Ja mówiłem! – wrzeszczy Hughie. – Ja mówiłem! Tatusiu, ona mi przerwała.

– Vita, nie przerywaj. Poczekaj, aż ktoś skończy. Owszem, mam pazury.

Tak, Hughie, co ma rekin?

– Ma kilka rzędów zębów, którymi...

– A mieszkasz w jaskini?

– Znowu! – Hughie aż się trzęsie ze złości. – Tatusiu!

Właśnie w tej chwili do kuchni wchodzi Claire. Przebrała się, jak zauważa Michael, w spódnicę i dość cienką bluzkę, związaną w talii.

– Cześć, kochani – mówi. – Smaczny podwieczorek?

– Wychodzisz? – pyta on.

Claire wodzi wzrokiem po płaszczyznach, półkach, podłodze.

– Czy widział ktoś może moją...?

– Mamusiu, a Vita mi dwa razy przerwała – mówi Hughie i obraca się na krześle w stronę matki.

Claire przesuwa dłonią po powierzchni szafki, nieruchomieje, robi krok w stronę drzwi do ogrodu i znów się zatrzymuje.

– Przykro mi to słyszeć, ale ty właśnie przerwałeś mnie.

– Gdzie idziesz?

– Nie przerwałem ci.

– Przerwałeś. Przed chwilą. Poczekaj, aż ktoś skończy.

– Nic nie wspominałaś, że wychodzisz.

Claire na moment zwraca na niego uwagę.

– Owszem, wspominałam. Będziemy oglądać razem program o akademii, a potem wracamy tu na kolację. Mówiłam ci o tym wczoraj, pamiętasz? Nie widziałeś przypadkiem mojej... a, nieważne – najwidoczniej porzucą pomysł proszenia go o pomoc.

– Twojej czego?

– Niczego.

– Nie no, powiedz.

– Tatusiu – Vita kładzie mu na rękawie lepką od sosu pomidorowego łąpkę. – Masz dwa oczy czy więcej?

– Niczego – mówi Claire. – Nieważne.

Podnosi z podłogi szmacianą torbę, której nigdy wcześniej nie widział, i przez ułamek sekundy miga mu dekolt jej bluzki, krawędź koronkowego stanika, bliźniacze wzgórki jej piersi. Przychodzi mu na myśl, że inni – z tej studenckiej grupy, czy z kim tam twierdzi, że się spotyka – mogliby zrobić to samo.

– Lecę – Claire cmoka każde z dzieci w głowę. – Mówię wam dobranoc już teraz, kochani, bo możecie już spać, kiedy wrócę...

– O której wrócisz? – dopytuje on.

– Dwa oczy, tatusiu, czy więcej oczu? Dużo oczu w śmiesznych miejscach, na przykład na rękach albo na uszach?

– A kto mnie położy spać? – odzywa się Hughie swoim tonem porzuconej sierotki.

– Na razie – Claire macha na pożegnanie. – Nie wiem.

– Albo na stopach? Przydałyby się oczy na stopach, prawda, bo...

– A kąpiel? Kto mnie wykąpie?

– Tatuś, oczywiście – Claire ściska przelotnie Hughiego. – Ale i tak nie możesz się wykąpać, bo jest zakaz. Pamiętasz?

– Ale o której mniej więcej? Na pewno wiesz.

– Właśnie nie. Mogę się zasiedzieć albo...

– Albo na dłoniach. Wtedy by się widziało to, co się chce podnieść, widziałyby się to podczas podnoszenia, na przykład małego człowieka do pożarcia albo...

Claire wychodzi z kuchni, a Hughie wręcza mu trójkątną grzanekę.

– Pa, kochani! – woła z przedpokoju Claire.

– Nie zjem tego – mówi Hughie. – Skórka jest upačkana sosem.

– Tatusiu, ty mnie nie słuchasz! Gdzie masz oczy?

Rozdzwania się telefon. Vita mówi coraz głośniejsze i głośniejsze. Hughie zdejmuję z talerza kawałki jedzenia, twierdząc, że tego nie zje, i tego też nie, a Claire wykrzykuje coś z przedpokoju.

– Co?! – Michael wypada z kuchni i pędzi przez salon do przedpokoju, gdzie w progu zastygła jego żona. – Nic nie słyszę.

Claire stoi w obramowaniu framugi, słońce rozświetla materię jej bluzki, włosy płoną wokół jej piegowanej twarzy o drobnych rysach. Na jej widok Michael czuje ukłucie w sercu. Zostań, chciałby powiedzieć, nie idź. Zostań ze mną.

– Mówiłam, że to pewnie twoja matka – odzywa się Claire. – Wydzwania na okrągło przez całe popołudnie.

– O!

– Zgubiła klucz, czy coś w tym rodzaju.

– Aha.

Dzwonek telefonu za jego plecami urywa się raptownie.

– Halo! – mówi Hughie.

– Claire?

– Tak? – dłoń na drzwiach, stopa na progu.

– Nie idź.

– Co takiego?

– Proszę.

Ujmuje ją za nadgarstek, gdzie kości dłoni zbiegają się w długą kość ręki.

– Michael...

– Tylko dzisiaj. Zostań tylko dzisiaj. Nie idź tam. Powiem ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć o rewolucji przemysłowej. Zostań z nami. Proszę.

– Nie mogę.

– Możesz.

– Nie mogę. Obiecałam im...

– Jebać ich!

Błąd. Twarz wykrzywia jej złość i Claire nie spuszcza z niego wzroku. Za nim Hughie opowiada swojej babci, że tatuś nie może podejść do telefonu, bo krzyczy na stojącą w progu mamusię. Claire patrzy na niego, jakby chciała coś powiedzieć, ale potem spuszcza głowę, przesuwa drugą stopę na ścieżkę i zamyka za sobą drzwi.

Dopiero po chwili dociera do niego, że już jej nie ma. Wpatruje się w drzwi, w zaśnieżony mosiężny zamek, w szybkę tak równo wkomponowaną w drewno. A potem orientuje się, że stoi koło niego Hughie.

– Tatusiu! Tatusiu! – krzyczy.

– Co? – mówi i patrzy na niego z góry, na tę miniaturkę jego żony, która właśnie wyszła, przekroczyła próg, oddaliła się od nich wszystkich.

– Dzwoni babcia. Mówi, że...

Michael Francis przechodzi do salonu i sięga po słuchawkę.

– Mama? Przepraszam, byłem...

Ku jego zażenowaniu matka jest właśnie w środku zdania, wywodu czy czegoś jeszcze dłuższego.

– ...i mówię facetowi: nie, nie potrzebuję dzisiaj oranżady, niech pan przyjedzie w czwartek, a wiesz, co on na to? Mówi do mnie...

– Mamo – odzywa się znów Michael. – To ja.

– ...że i tak ma prawie pustą furgonetkę i...

W słuchawce zapada cisza.

– Michael Francis, to ty?

– Tak.

– O! Myślałam, że rozmawiam z Vitą.

– Nie. To był Hughie.

– Ojej. No cóż. Całe popołudnie próbuję przekazać Claire, a wydawała się tak zajęta, że byś nie uwierzył, że chodzi o to, że on ma klucz do szopy i...

– Ale kto?

– I mówiłam mu, że śniadanie gotowe, ale wiesz, jak to z nim jest, on i ta jego prasa...

– Jaka prasa?

– No, chodzi o to, że zamrażarka stoi w szopie, jak pewnie pamiętasz.

Michael przysuwa dłoń do czoła. Czasem rozmowa z matką to zagmatwany potok słów płynący przez dżunglę znaczeń zaludnioną bezimiennymi bohaterami, którzy pojawiają się i znikają bez ostrzeżenia. Trzeba się na czymś zaczepić, uchwycić się czegokolwiek dla rozeznania, ustalić tożsamość jednej z *dramatis personae*, a potem, przy odrobinie szczęścia, reszta jakoś się ułoży.

– ...mówiła, że nie ma dzisiaj czasu, ale...

– Ale kto? Kto nie ma czasu?

– Wiem, że zawsze jest taka zajęta. Ma tyle na głowie.

To już bez wątpienia jakaś wskazówka. Matka używa tego sformułowania tylko w odniesieniu do jednej osoby.

– Monica? Chodzi ci o Monicę?

– Tak – matka sprawia wrażenie urażonej. – Oczywiście. Nie ma dzisiaj czasu, bo coś tam z kotem, i zastanawiałam się, czy nie mógłbyś...

– Ja? – Michael czuje, jak zalewa go niepoohamowana fala gniewu i to przynosi mu cudowną ulgę. – Czy ja dobrze zrozumiałem? Prosisz mnie, chociaż mam rodzinę i pełny etat, żebym przyjechał i pomógł ci szukać zaginionego klucza do szopy. Nie prosisz mojej siostry, chociaż nie musi się zajmować dziećmi i nie ma pracy, ale ma „tyle na głowie”?

Jak on nie znosi tego określenia. Razem z Aoife używają go czasem dla żartu. Ale doprawdy słabość matki do środkowego dziecka, jej niekończące się współczucie dla Moniki, jej zdolność wybaczenia jej wszystkiego to już nie powód do żartu. To denerwujące. Absurdalne. Naprawdę czas położyć temu kres.

Słyszy, jak matka nabiera gwałtownie powietrza. Milczą oboje przez dobrą chwilę. W którą stronę pójdzie? Też na niego krzyknie? Umie odpłacić pięknym za nadobne, wiedzą o tym oboje.

– Pomyślałam sobie tylko... – zaczyna drżącym głosem i Michael wie już, że wybrała wersję: mama pokrzywdzona, ale jakoś sobie da radę – ...że mi pomożesz. Pomyślałam, że mogę zadzwonić do ciebie w potrzeze...

– Mamo...

– No bo nie ma go już jedenaście godzin i po prostu nie wiem, co robić, a...

Michael marszczy brwi i przysuwa słuchawkę bliżej ucha. Oto następne, co może się przytrafić podczas rozmów z matką. Ma ona osobliwą nieumiejętność oddzielania ważnych informacji od tych całkiem nieistotnych. Dla niej wszystko jest znaczące: w hierarchii ważności zaginione klucze do szopy stoją na równi z nieobecnym mężem.

– Taty nie ma od jedenastu godzin?

– ...nigdy wcześniej na tak długo nie zniknął i nie wiedziałam, do kogo się zwrócić, a Monica jest taka zajęta, więc pomyślałam...

– Czekał, czekaj, czy mówiłaś Monice, że tata zniknął?

Chwila wahania.

- Tak – odpowiada niepewnie matka. – Na pewno mówiłam.
- Czy powiedziałaś jej tylko, że nie wiesz, gdzie jest klucz do szopy?
- Michael Francis, ty mnie chyba w ogóle nie słuchasz. Przecież ja wiem, gdzie jest klucz do szopy. Jest w komplecie kluczy twojego ojca, ale skoro go nie ma, to klucz ma przy sobie i...
- No dobra – Michael postanawia zapanować nad sytuacją. – Posłuchaj mnie teraz. Poczekaj przy telefonie. Zadzwoń do Moniki, pomówię z nią i oddzwonię za jakieś dziesięć minut. Dobrze?
- Dobrze, skarbie. To ja poczekam.
- Tak. Poczekaj.



# Gloucestershire

Jeśli chodzi o Monicę, to wszystko zaczęło się od kota. Mijały kolejne lata, a zniknięcie ojca już zawsze kojarzyło się ze śmiercią kota.

Nie żeby za nim przepadała – wprost przeciwnie. Ale córki Petera go uwielbiały i wychowywały się razem z nim. Gdy w piątkowe wieczory Peter odbierał je od ich matki i przywoził do domu, przemykały ścieżką, wpadały przez frontowe drzwi i nie zdejmując kurtek, biegały wszędzie z głośnym piskiem i szukały zwierzaka. A gdy go odnajdywały, zwiniętego w kłębek na kanapie albo wyciągniętego przy piecu, rzucały się na niego, nurzały twarze w jego boku, nuciły jego imię, bawiły się miękkimi trójkątami jego uszu.

Prowadziły z nim długie rozmowy; budowały dla niego wymyślne domki z gazet; chciały, żeby spał z nimi w pościeli, i Peter na to przystawał. Nosiły go jak futrzaną torebkę; przebierały go w lalczyne ubranka i woziły po ogrodzie w starym, skrzypiącym wózku dziecięcym, który wydobyły ze stodoły. Monica nie wiedziała nawet o istnieniu tego wózka (unikając stodoły, ciemnego miejsca pełnego pajaków i poskręcanych, zardzewiałych sprzętów), ale dziewczynki wiedziały. Patrzyła przez okno kuchenne, jak wywlekają go przez wrota stodoły, jakby robiły to już wiele razy. Rodziło to w niej szczególnego rodzaju napięcie, poczucie, że te dwie dziewczynki, właściwie jej zupełnie obce, znają jej dom lepiej niż ona sama.

Wspomniała o tym – jak jej się zdawało beztrudnie, żartobliwie – gdy siedziały razem przy kuchennym stole i przygotowywały ciasteczka (czy to raczej ona wycinała gorączkowo ciasteczka zakupioną kilka dni wcześniej foremką w kształcie kota i starała się nie zwracać uwagi na to, że dziewczynki siedzą z założonymi rękami i nie spuszczają z niej oka?). Monica nie mogła znaleźć czystej rękawicy kuchennej (bo w jednej wypaliła dziurę na tym cholernym piecu) i starsza z dziewczynek, Jessica, zsunęła się z krzesła, podeszła do szuflady kredensu, wyjęła czystą rękawicę i jej podała.

– Odnajdujecie się tu lepiej niż ja, prawda? – spytała Monica z wymuszonym uśmiechem.

Jessica wbiła w nią powłóczyście, nieruchome spojrzenie.

– Mieszkałyśmy tu od urodzenia – powiedziała. – Florence urodziła się o,

tu, na podłodze – wskazała ręką swoją lewą stronę. – Mama okropnie przeklinała. Tacie pozwolili przeciąć pępowinę.

Monica zamarła z wiotkim kotem z ciasta na palcach, nie mogąc oderwać wzroku od desek podłogowych pod oknem. Odtąd nie mogła już po nich chodzić.

Jeśli chodzi o córki Petera, to uważa, że się starała. Naprawdę bardzo się starała. Dni robocze – które spędzały z matką – odznaczały się dla niej ściśle określonym rytmem. Poniedziałek, dzień ich wyjazdu, był porażający; jej głowę spowijała czarna chmura paniki i bezużyteczności, we wtorek jako tako dochodziła do siebie, a środa była dniem przygnębienia i rozpacz: Florence i Jessica jej nie cierpią. Nie cierpią jej, cokolwiek by mówił Peter. Widziała to w ich oczach, widziała, jak gwałtownie się odsuwają, gdy znajduje się w pobliżu – jak spłoszone konie. Ta cała sytuacja była nie do naprawienia, istna katastrofa, nigdy nie będzie z niej wystarczająca, a co dopiero dobra macocha. W czwartek budziła się wcześniej i dawała sobie reprimendę: przecież ma podejście do dzieci, praktycznie wychowała Aoife, której nie da się raczej nazwać łatwym dzieckiem – czego potrzeba, żeby zaskarbić sobie sympatię dziewczynek Petera? Piątek przeznaczala na drobiazgowe przygotowania: kupowała kolorowanki, pudełka farb, laleczki do wyplatania, miękkie kłębki przędzy. Na ich szafkach nocnych stawiała wazon z kwiatami. Wykładała na ich stolik prasy do zasuszania kwiatków, atlasy przyrodnicze, komiksy, klej, modelinę, kolorowy kordonek: może nauczyć je haftować, szyć! Mogłyby przygotowywać razem prezenty świąteczne: futerały na okulary, ściereczki do polerowania butów, woreczki na bieliznę, chusteczki z monogramami. Wyobrażała sobie, jak Peter zastaje je przytulone na sofie, jak w tajemnicy szyją dla niego osłonkę na puszkę z tytoniem. Ileż radości sprawiłaby mu świadomość, że odniosła sukces, że zaskarbiła sobie ich względy.

Jenny, ich matka, dopilnowała, żeby po separacji kot pozostał pod opieką Petera, i nalegała, żeby koniecznie zamieszkał z nim na stałe. I Monica dość szybko dowiedziała się dlaczego. Stworzenie było całkowicie pozbawione zmysłu podpowiadającego, co jadalne, a co niejadalne: pochłaniało skrawki papieru, gumki recepturki, kawałki sznurka, metki z odzieży. Nie widziała dotąd niczego podobnego. Jeśli lisy rozdarły ustawione na ścieżce worki ze śmieciami, kot podjadał stare kości, nadgniłe rybie łby i spleśniałe pieczywo,

przeżuwał odłamki pojemników po jogurcie i zniszczone sznurowadła. A potem wchodził do domu – miauczał rozdzierająco pod tylnymi drzwiami, aż Monica się poddawała i go wpuszczała – i zwracał nietrafioną zawartość żołądka na dywan, świeżo wypolerowane deski, kilim w przedpokoju albo stół kuchenny.

Jeśli jeszcze raz będzie musiała zeskrobywać z mebli kocie wymiociny, chyba zacznie krzyczeć, obwieściła pewnego dnia Peterowi.

Dziś czwartek, dzień kociej pielęgnacji, dzień, w którym lubiła sprzątać, usuwać wszystkie ślady dziewczynek, doprowadzać dom do porządku, usuwać z kociej sierści wszystkie strzępki liści i ziarna piasku. Ale o dziwo, nie mogła go znaleźć. Wołała go, stojąc przy schodach, w progu tylnych drzwi, u wrót starej, butwiejącej stodoły. Grzechotała pojemnikiem z jego cuchnącą karmą. Ostentacyjnie głośno otwierała i zamykała drzwi lodówki. Na próżno.

Cmoknęła zniecierpliwiona. Założyła już fartuch zarezerwowany specjalnie do tej pracy. I gumowe rękawiczki. Druciana kocia szczotka była gotowa, nasączona środkiem dezynfekującym. Gdzie to stworzenie?

Zawołała go jeszcze kilkakrotnie, a potem się poddała, zdjęła specjalny fartuch i rękawiczki i natarła na kominek ze ścierką do kurzu.

Ale gdy wynosiła później śmieci, przestraszył ją jakiś ciemny kształt na grządce. Początkowo sądziła, że któreś dziecko coś upuściło albo jakiś przechodzień przerzucił coś przez ich ogrodzenie – czapkę, może but. Ośloniła oczy przed słońcem i zobaczyła, że to kot: siedzi zgarbiony nienaturalnie i niezgrabnie pod żółknącym krzewem jaśminu.

– A, tu jesteś – powiedziała Monica, ale jej głos brzmiał niepewnie.

Ślepią szkliście zamglone, pierś rozszerzająca się i kurcząca w gwałtownych, spazmatycznych wdechach i wydechach, nisko zwieszony łeb. Monica przysiadła w kucki i zobaczyła, że skóra na jego tylnej łapie jest rozdarta jak tkanina i wyziera spod niej skrzepła czerwona masa z kawałkiem czegoś białego. Wydała z siebie urywany wrzask i chwiejnym krokiem wróciła na ścieżkę. Spojrzała w lewo i prawo, jakby w poszukiwaniu pomocy, a potem pobiegła do domu, ugniatając dłońmi fartuch.

Gdy wpadła do przedpokoju, właśnie dzwonił telefon i chwyciła za słuchawkę.

– Halo, Camberden trzy osiem trzy...

Głos matki rozbrzmiał w pół zdania:

– ...no więc zastanawiałam się, czy masz może pojęcie, gdzie się podziewa, bo...

– Mamuś, nie mogę teraz rozmawiać. Och, to okropne, a...

– Co się stało? – matka w mgnieniu oka wczuła się w sytuację, wietrząc zagrożenie w pobliżu swego dziecka. – O co chodzi? O Petera?

– Nie. O kota.

– A co z nim?

– Łapa. Zmiażdżona i zakrwawiona. Siedzi na dworze, skulony i jakiś dziwny, a ja nie wiem, co robić.

– O, biedaczysko. Może go auto potrąciło. Ale żyje, tak?

– Tak. A przynajmniej oddycha. Nie wiem, co robić – powtórzyła Monica.

– No to musisz go wziąć do weterynarza.

– Do weterynarza?

– Tak. Tam mu pomogą. Biedaczysko – powiedziała znów Gretta.

Monicę zawsze zaskakiwało to, jak miękkie serce ma matka w stosunku do drobnych ssaków, szczególnie tych bezbronnych.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Nie podniosę go. Nie w takim stanie.

– Będziesz musiała, skarbie. Okryj go ręcznikiem, jeśli naprawdę nie możesz go tknąć. Włóż go do kartonu i jedź.

– Do kartonu?

– Tak, dzióbeczku. Masz karton?

– Chyba tak. Nie wiem.

– Dasz sobie radę. A pamiętasz, jak Aoife znalazła tego kociaka? I...

– Mamuś, nie mogę teraz rozmawiać. Muszę...

– Czekaaj chwilę, muszę cię jeszcze o coś zapytać. Chodzi o klucz do szopy. Widzisz, twój ojciec...

– Muszę lecieć! Zadzwoń – Monica odłożyła słuchawkę i z rozmachem otworzyła drzwi do piwnicy. Tak, ocali kota, ona i nikt inny: tak oto zatriumfuje. Poczwała, jak w jej żyłach pulsuje szlachetny zapach. Gdy nadejdzie weekend, opowie o wszystkim dziewczynkom, a one będą słuchały z wdzięcznością, a może nawet z łezką w oku. Zobaczą kota z zabandażowaną łapą, siedzącego potulnie przy piecu, i będą wiedziały, że

ocaliła go ona, Monica.

Zeszła niezdarnie po schodach, wprost w wilgotny mrok. Była pewna, że gdzieś tu się poniewiera karton z ostatniej Gwiazdki.

Nie rozumiała, co mówi do niej weterynarz. Wyglądało na to, że nie chce jej pomóc, wcale a wcale. Dotarła z kotem na miejsce bez szwanku, w tej dokuczliwej, oślepiającej spiekocie. Wsadziła go do pudełka, dobrnęła z nim na przystanek, zajęła miejsce w autobusie i siedziała, patrząc wprost przed siebie, mimo że kot przez całą drogę wydawał z siebie odgłosy, które zupełnie rozstrajały jej nerwy. A teraz jeszcze jakaś historia z rdzeniem kręgowym – tego już za wiele.

– Co?

– Musimy mu ulżyć w cierpieniu – weterynarz przemawiał szczególnie łagodnym głosem, który wcale jej się nie spodobał.

– Ulżyć mu...?

Weterynarz się zawahał i chyba przyjrzał jej się uważnie.

– Trzeba go uśpić.

– Uśpić? – Monica nie umiała poskładać słów w zrozumiałą całość. Weterynarz opowiadał coś o śnie i bólu, i konieczności pogodzenia się z sytuacją. W gabinecie było chyba jeszcze duszniej niż na zewnątrz. Pot zbierał jej się u nasady włosów, nad górną wargą, pod paskiem sukienki. Przeraziła się, że jeśli uniesie rękę, weterynarz, mężczyzna mniej więcej w jej wieku, wcale niebrzydki, zobaczy rozlewające się pod pachą ciemne plamy. Kot leżał na stole między nimi; kupa zbitego futra.

– Kot, pani Proctor – mówił weterynarz – jest poważnie ranny i...

Monica, przerażona, oderwała od czoła chusteczkę, którą się ocierała.

– Mamy go zabić? Ale pan go musi uzdrowić, pan musi... moje przybrane córki... pan musi wyleczyć tego kota. Proszę.

– Yyy... – weterynarz, wytrącony ze swej rutynowej inscenizacji, zaczął się plątać, ale zaraz odzyskał głos. – To bardzo szybki, bardzo spokojny zabieg – powiedział niepewnie. – Niektórzy ludzie wolą w takiej chwili pozostać przy zwierzęciu.

Monica spojrzała na kota, który drapał przeraźliwie podłogę przednimi łapami, starając się wczolgać z powrotem do kartonu. Włożenie go tam zajęło jej z dziesięć minut – wcale nie chciał tam wejść, za żadne skarby, rozplaszczony jak żaba opierał się i walczył rozpaczliwie. A tu, teraz, za

wszelką cenę chce tam wrócić. Czyżby wiedział? Czyżby rozumiał, że rozmawiają o jego rychłej śmierci? Nie, zdawał się mówić, nie teraz, jeszcze nie, mam tyle do zrobienia. Nieoczekiwanie Monice przypomniała się Aoife. Jak płacze i płacze po śmierci kocięcia. Stoi w ogrodzie w szkolnych podkolanówkach, z odrapanymi kolanami. W ramionach tuli coś małego, zawiniętego w stary ręcznik. Ojciec wykopuje dziurę w ziemi. Tylko głęboko, Robercie, bądź tak dobry, szepcze matka i tuli Aoife do fartucha. Na kotka przyszedł czas, mówi do niej, naprawdę. Ale Aoife płakała, nie mogła się uspokoić. Słabowite było to kocię, od samego początku, ale ona płakała i płakała.

Położyła dłonie na kocie, na jego puszystym grzbiecie. Czuła uwypuklone paciorki jego kręgosłupa, trójkąty łopatek. Jak zwykle zaskoczyła ją wyczuwalna kruchość jego kości. Wydawało jej się, że z tego kota jest takie wielkie i masywne stworzenie, ale gdy trzymało się go w rękach, przypominał ptaszka, taki był mizerny, prawie bezcielesny. I zaskakująco ciepły. Mruczał teraz, ocierając się pyszczkiem o jej palce w sposób dotąd niespotykany, i patrzył na nią, uspokojony i ufny. Dopóki tu jesteś, zdawał się mówić, wszystko będzie dobrze. Monica nie mogła odwrócić wzroku, nie mogła przerwać tego kontaktu z kotem, choć zdawała sobie sprawę, że weterynarz napęla strzykawkę, wsuwa w kocią sierść zdradliwe srebro igły, i chociaż o tym wiedziała, nie przestawała patrzeć na kota, nie przestawała do niego przemawiać. Kot mruczał, ona sunęła dłońmi po jodełkowatych pręgach na jego sierści i stało się tak, jakby naszła go z nagłą jakąś zajmująca myśl, jakby przypomniał sobie o czymś ważnym, i Monica zadawała sobie pytanie, co to takiego, o czym rozmyślają koty, kiedy poczuła, że jego łeb wiotczeje jej w dłoniach, ślepie nie patrzą już na nią, lecz przez nią, jakby kot ujrzał coś za jej plecami, coś nadciągającego, złowrogiego, coś, o czym ona nie wie.

– Och – odezwała się dokładnie w tej samej chwili, gdy weterynarz powiedział:

– Już po wszystkim.

Przeraziła się, że tak błyskawicznie poszło. Że tak łatwo odejść. W jednej chwili tu, w następnej nie tu. Musiała oprzeć się pokusie rozejrzenia się wokół. Gdzie się podział kot? Musi gdzieś tu być. Przecież nie mógł się rozpuścić w powietrzu.

W głowie, o dziwo, znów pojawiła jej się Aoife. Już dorosła, już nie w szkolnych podkolanówkach. Tym razem w szpitalu, jak pochyła się nad naczyniem, zanim pielęgniarka zdążyła je wynieść.

Monica spuściła głowę i chciała potrząsnąć kotem, przywołać go na powrót do życia; pragnęła rozpaczliwie, żeby wyciągnął łapy i wbił pazury w jej rękaw. Zdawałoby się, że takie odejście wiąże się z szamotaniną, bitwą, walką na granicy dwóch światów. Ale może nie. Może to zawsze taki dryf, taki zjazd.

Przeraża ją myśl, że to się mogło odbyć tak spokojnie.

To Aoife się nachyliła i zajrzała do naczynia. Ona, Monica, powiedziała: „Och, nie, Aoife, to przynosi pecha”. Ale Aoife oczywiście nie słuchała. Wpatrywała się w nie bardzo długo.

Monica podtrzymywała palcami kocią szczękę, równie delikatną jak mostek; druga dłoń dotykała futerka za uchem, najmniejszego z miękkich futerek – jak jej się zawsze zdawało – nieprawdopodobnie miękkiego, niczym puch dmuchawca.

Jak szybko do tego doszło. Jak szybko Aoife dorosła. Monice się zdawało, że jednego dnia była dzieckiem, z rozwiązanymi sznurowadłami i warkoczami, które stale się rozplątywały, a następnego – kobietą w udrapowanym stroju, z licznymi naszyjnikami, która stoi przy jej szpitalnym łóżku i ani myśli jej posłuchać, gdy mówi do niej: „Aoife, nie patrz”. Włosy zsunęły jej się na twarz, więc Monica nie mogła nic wyczytać z jej miny. Długo, długo się wpatrywała. A potem powiedziała, jakimś takim niskim głosem: „Umarło, zanim miało szansę przeżyć”. A ona, Monica, uniosła się na łóżku, walnęła pięścią w kolano i powiedziała: „Nie, nic podobnego. Ono żyło”. Czuła przecież, jak żyje, przez wszystkie te tygodnie. Czuła jego obecność w pulsowaniu żył, bezbłędnie wyczuwała jego istnienie, gdy przyszły poranki z dziwnymi zawrotami głowy, gdy mdliło ją od zapachu dymu papierosowego, spalin i pasty do mebli. „Ono żyło”, powiedziała siostrze. Aoife uniosła głowę i powiedziała: „Ależ oczywiście. Przykro mi, Mon, tak bardzo mi przykro”.

Miałoby już prawie trzy lata.

Nie ma co się nad tym zastanawiać. Monica odsunęła dłonie od kociego ciała. Odwróciła się. Wytarła nos. Podciągnęła torbę na ramieniu. Podziękowała weterynarzowi. Poszła do recepcji zapłacić. Wzięła pudełko,

które wydawało się szczególnie lekkie (czyżby to dusza tyle ważyła?). Wyszła na chodnik przy głównej ulicy. Spojrzała w lewo i w prawo. Ruszyła na przystanek autobusowy.

W domu rzuciła się otwierać wszystkie okna. Na litość boską, trzeba wpuścić trochę powietrza. Ale zdawało jej się, że powietrza nie ma ani w środku, ani na zewnątrz. Zdawało się, że żar wlewa się przez wąskie szczeliny, jak dym pod drzwiami. Monica z powrotem zatrzasnęła okna, wtarła odrobinę wody kolońskiej w nadgarstki i skronie i poprawiła uczesanie. Gretta i Aoife miały gęste włosy, które rosły na wszystkie strony, ale jej włosy były cienkie jak babie lato, proste jak drut, niegdyś jasne, teraz spłowiałe i mysie. Nic się nie dało z nimi zrobić. Tylko układać co tydzień u fryzjera i zakładać na noc siatkę.

Przeszła przez podest do łazienki. Powiodła wokół dzikim spojrzeniem, oderwała listek papieru toaletowego i przycisnęła go do nosa. Gardło miała obolałe i podrażnione – może to katar sienny? – i piekły ją oczy. Wrzuciła papier do toalety i zaczęła ciągnąć zamek sukienki. Musi się odświeżyć przed rychłym powrotem Petera; trzeba podsycać zainteresowanie męża, wszyscy tak mówią.

Weźmie kąpiel. Właśnie tak.

Ma w nosie ten cholerny zakaz – potrzebuje kąpeli, musi wziąć kąpiel. Szlag by trafił rząd i jego skąpe przydziały, szlag by trafił wszystkich. Wetknęła korek i odkręciła obydwie kurki. Trysnęła woda. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana, jak się pieni i rozpada na dnie wanny. Zamek sukienki zaciął się w połowie; Monica zakląła, szarpnęła go i nie przejęła się nawet wtedy, gdy usłyszała przeszywający trzask rozdieranej tkaniny; musi się wydostać z tej sukienki, musi się wykąpać, musi wyglądać ładnie i sprawiać wrażenie spokojnej, gdy powie Peterowi o kocie, gdy poprosi go, żeby mówił, że to on go zawiózł do uśpienia. Musi mu uświadomić, że jedynym rozwiązaniem jest przekazanie dziewczynkom, że to on znalazł kota, że to on z nim był przy końcu. Ale czy byłby gotowy je dla niej okłamać? Nie miała pojęcia.

W końcu sukienka spadła i rozlała się rozgrzaną bawełną wokół jej kostek. Monica przechyliła pojemnik z solą do kąpeli, prezent świąteczny od matki Petera – co to w ogóle za pomysł na prezent dla synowej? Monica nie odezwała się słowem, gdy Jessica się wymknęło, że babcia podarowała Jenny



kaszmirowy szalik, ale zaboląo ją to. Zaboląo jak diabli.

Wkroczyła na zakazane wody. I wcale nie pożałowała. Cudowny, ożywczy chłód. Wsunęła ciało pod jedwabistą taflę i poczuła pod sobą gruboziarnisty zgrzyt nierozpuszczonych kryształków, całkiem przyjemny.

Minęło Boże Narodzenie, a Aoife znów się nie odezwała. A ona, Monica, wysłała kartkę na adres jej firmy. Niektóre święta trzeba obchodzić, choćby nie wiadomo co. Jej matka dostawała jakąś tam kartkę od Aoife, zauważyła. I Michael Francis też. Ale nie odzywała się słowem.

Wanna była żeliwna, wystarczająco duża, by można się w niej położyć. Chciałaby urządzić łazienkę na nowo, ale Peter oczywiście nie chce o tym słyszeć. Tak to jest, gdy się wychodzi za antykwariusza. Peter gadał w kółko o – jak on to nazywał? – integralności domów. To wczesnowiktoriańskie gospodarstwo, mówił, po co je dezorientować okropną, współczesną tandetą? Chętnie by zapytała, jak właściwie można zdeorientować dom. I dlaczego nie wolno jej rozłożyć dywanika łazienkowego. Ale nie zabierała głosu. Podejrzewała, że jego opór przed wprowadzaniem jakichkolwiek zmian w domu wiązał się raczej z tym, że chciał, by wyglądał on tak samo, jak w czasach, gdy stale mieszkali tu dzieci, w epoce Jenny, żeby podtrzymać złudzenie, że nic się nie zmieniło. Jak powtarzała zawsze Gretta: są rzeczy, których lepiej nie tykać.

Miała więc łazienkę z łuszczącą się żeliwną wanną stojącą na lwich łapach. Toaletę z odrapaną drewnianą deską i spłuczkę z łańcuszkiem, która stale się psuła. Półki, na których zamiast płynu do kąpieli i szamponu wyeksponowano część należącej do Petera kolekcji dziewiętnastowiecznych flakonów aptecznych. Spali na niekształtnym piernacie, który przyprawiał ją o kichanie, leżącym na rdzewiejącej żelaznej ramie. Nie wolno jej było, jak wszystkim innym, wstawić ładnej elektrycznej kuchenki, tylko musiała się męczyć z piecem, który Peter wynalazł na jakimś gruzowisku, przytargał do domu i samodzielnie odnowił oraz poczernił – piec i przy okazji większość podłogi. Rupieć pożerał drewno jak wielki, ziejący ogniem potwór, a wysiłek potrzebny do upichcenia obiadu, kiedy dziewczynki chwytali głód, był niewyobrażalny. Korytarz, podjazd, stodoła i podwórze były stale zastawione stosami krzesel, zapuszczonymi kanapami i blatami, które Peter „właśnie odnawia” do sklepu. Monice nie mieściło się w głowie, po co ktoś miałby coś takiego kupować. A oni jednak kupowali.

Rozległ się dzwonek telefonu i Monica uniosła się w wannie. Czyżby to Jenny? Nie. Płaczliwe telefony ostatnio jakby ustały. Peter? Znow jej matka? Zadumała się nad matą łazienkową, nad odległością do ręcznika. Jeszcze nie była gotowa rozmawiać o kocie. Znow ścisnęło ją w gardle na jego wspomnienie; to jego odpływające spojrzenie, karton czekający w stodole. Co się z nią, u licha, dzieje?

Jesienią skończyłoby trzy lata.

Zanurzyła się z chłupotem, zamknęła oczy i otworzyła je dopiero wtedy, gdy w domu zapanowała cisza.

Jeśli chodzi o nią i Petera, to wszystko zaczęło się od zabytkowego naszyjnika. Przez kilka tygodni pracowała na zastępstwie w szkole w Bermondsey: pisała na maszynie zawiadomienia dla rodziców o dniu sportu czy o wymaganiach związanych ze szkolnymi mundurkami, wypisywała też paski dla nauczycieli. Te kilka pierwszych miesięcy po odejściu Joego, po tym, co się wydarzyło w szpitalu, gdy została z rosnącą stertą rachunków, w tym okropnym, pustym mieszkaniu, a do tego jeszcze ta sprawa z Aoife... Monica najchętniej zapomniałaby o tym okresie. Tamtego poranka założyła szmaragdowy naszyjnik, który dostała od babci Joego, gdy się pobrali. Nieczęsto nosiła takie rzeczy, ale Joe zabrał jej pierścionki i naszyjnik z wisiorkiem, który dostała od niego na dwudzieste pierwsze urodziny. Pewnie na sprzedaż. Stale brakowało im pieniędzy.

Założyła więc szmaragdowy naszyjnik, choć nie był szczególnie w jej stylu. Zbyt ozdobny, zbyt staroświecki jak na jej gust. Ale uznała, że będzie pasował do zielonego paska spódnicy. Jechała właśnie autobusem na południe od rzeki – stojąc na stopniach, bo o tej wczesnej porze panował zawsze nieludzki ścisk – kiedy jakiś mężczyzna ustąpił jej miejsca. Ilekroć jej się to zdarzało, zawsze przypominała jej się Aoife. Jechały kiedyś razem metrem i jakiś mężczyzna, nie stary, może w średnim wieku, podniósł się na ich widok, i właśnie gdy podziękowała i zaczęła przesuwać się w tamtą stronę, Aoife złapała ją za rękę i powiedziała: „Nie, dziękujemy, nie trzeba”.

W każdym razie mężczyzna ustąpił jej miejsca, a ona – wypierając myśl o Aoife i jej zasadach – zaraz usiadła, a wtedy on zakrzyknął: „Jaki piękny naszyjnik!”.

Odwróciła się zaskoczona, z biletem w dłoni. Mężczyzna, trzymając się jedną ręką poręczy, wpatrywał się bacznie w okolice jej szyi, wyraźnie

zaabsorbowany. Nie nawykła do tego, że ktoś jej się przygląda z taką uwagą, takim skupieniem. Gdy więc mężczyzna zapytał, czy ceni filigran wczesnoedwardiański, westchnęła: „O, tak”. A gdy zwolniło się miejsce, usiadł obok niej i zaczął opowiadać o metaloplastyce i rzemiośle, i wpływach weneckich, a ona patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, i gdy zapytał, czy może dotknąć – jak to ujął – „cacka”, odpowiedziała: „Naturalnie”.

Trzeba by wygrzebać ten naszyjnik, pomyślała, mydląc ramiona. Znów rozdzwonił się telefon, tym razem krócej; Monica odkręciła kurek, żeby dolać wody, i spojrzała przy tym na swoje ciało. Nieźle jak na prawie trzydziestopięciolatkę. Ma jeszcze talię, czego nie można powiedzieć o większości kobiet w jej wieku. Jest nadal szczupła; od pewnego czasu bardzo uważa, co je. W kuchni trzyma zawsze pod ręką łodygi selera na wypadek napadu głodu. Ma wrażenie, że wszystko nieznacznie ciągnie w dół, jakby jej ciało dopiero teraz odkryło działanie grawitacji. Kiedy ostatnio widziała Aoife – jak dawno? trzy, prawie cztery lata temu? – uderzyła ją jej młodość. Nieskazitelna, napięta skóra na twarzy, ciało przylegające ściśle do kości, gładkość szyi i piersi, naprężona giętkość rąk. Wstrząsnęło nią to; wszyscy powtarzali, że są podobne, ale Monica nigdy tego nie dostrzegła, ani trochę. Jako dzieci były jak niebo i ziemia: Monica taka jasna, a Aoife taka ciemna. W pewnej chwili zrozumiała jednak, że im są starsze, tym bardziej się do siebie upodabniają, jakby ich losy zbiegały się ku wspólnemu przeznaczeniu, ku połączonej tożsamości. Monica czuła się tak wyraźnie oddzielona od Aoife, tak różna pod każdym możliwym względem, ale gdy na nią wtedy patrzyła, tamtego dnia w kuchni, widziała siebie sprzed dziesięciu lat.

Gdy Peter przy okazji drugiego spotkania – a zabrał ją do pubu w Holborn, do wnętrza o ciemnych ścianach obwieszonych ściętymi jelenimi łbami – powiedział jej, że ma dzieci, Monica poczuła szarpnięcie, ale nie do końca przykre. Oczywiście, odstawiła drinka i sięgnęła po torebkę, mówiąc, że nie należy do dziewczyn, które umawiają się z zonatymi. Bo nie należała, w żadnym razie. Wiedziała, że jest dziewczyną, która ma randkować z fajnym chłopakiem, wyjść za niego, zamieszkać z nim nad sklepem i żyć długo i szczęśliwie. Taka z niej dziewczyna. Pytanie tylko, co ma począć taka dziewczyna, gdy się okazuje, że ten plan, przypisany jej od bardzo wczesnej młodości, zupełnie się nie powiódł, że sprawy przybrały taki straszny,

straszny obrót?

Ale nie powiedziała tego Peterowi w pubie w Holborn. Wzięła torebkę i zbierała się do odejścia, ale on położył jej dłoń na ramieniu i rzekł po prostu: „Rozumiem”. Tylko tyle: rozumiem. Co za cudowne stwierdzenie, i to wygłoszone z taką powagą, z głębokim spojrzeniem w oczy. Od razu zapomniała, dlaczego wypowiedział to słowo, i w jej mniemaniu przerodziło się ono w piękne stwierdzenie ogólne. Rozumie. Wszystko. Przejrzał ją na wylot. Poczowała się jak opatulona ciepłym kocem. Spojrzał jej w oczy i oświadczył, że rozumie.

Usiadła, rzecz jasna, z powrotem i słuchała, jak opowiada, że on i Jenny nie są małżeństwem, że uważają, że ludzie nie mogą mieć siebie nawzajem na własność i że ostatnio ma poczucie, że ich historia chyba dobiega końca, a Monica spytała go o dzieci. Rysy mu złagodniały jak nigdy wcześniej i zaczął opisywać jej swoje córeczki, Florence i Jessicę, i opowiadać, jak zbudował im na łące domek na dębie, a w głowie Moniki pojawiło się wyobrazenie jej samej pośród zieleni, z trawą pod stopami i liśćmi nad głową, z mężczyzną u boku. Na tym obrazku dźwigała koszyk z ciastem i sokiem owocowym, i kanapkami, żeby dwie małe dziewczynki siedzące na drzewie mogły go tam wciągnąć. Dziewczynki miały na sobie sandaalki i sukieneczki we wzorki, i miały zachwycone, otwarte twarze, więc gdy Peter zapytał, czy ma ochotę przejść się nad rzekę, żeby obejrzeć zachód słońca z mostu Waterloo, odpowiedziała: „Tak”.

Sięgnęła po pumeks i zaczęła energicznie szorować stopy. To irytujące, jak z wiekiem twardnieją podeszwy. Przez upał skóra na piętach zaczęła jej pękać i pokrywać się pęcherzami, a wszystkie buty wydają się za ciasne. Nie, jeśli chodzi o starzenie, to nie jest z nią tak źle. Nieliczne siwe włosy wyrzywa. W swoim czasie i tak je ufarbuje. Wciąż nosi mniej więcej ten sam rozmiar sukienki, co w czasach ślubu. Pierwszego ślubu, ma się rozumieć, czyli gdy miała osiemnaście lat. Mało która kobieta mogłaby to o sobie powiedzieć. Oczywiście nigdy o tym nikomu nie wspominała, ale mając za męża człowieka znacznie starszego, czuje się młodziej i – w porównaniu z nim – wypada młodziej w oczach innych. Bezdzielnosc, a jakże, też działa na jej korzyść. Jeśli chodzi o figurę i tak dalej. W sytuacjach, w których kobiety zbijają się w nagie grupki – w przebieralniach, przy tych nielicznych w jej życiu wizytach na ogólnodostępnej pływalni – Monicę ogarnia pełna grozy

fascynacja na widok spustoszeń poczynionych przez macierzyństwo. Obwisłe fałdy brzucha, srebrzyste blizny biegnące po sflaczałych nogach, zwiotczałe worki piersi.

Zadrzała, podnosząc się z wody, i odrzuciła na plecy mokre na końcach włosy. Nie, ten cały poród to nie dla niej. Wie o tym. Zawsze o tym wiedziała.

Tego lata, gdy Monica skończyła dziewięć lat, coś stało się jej matce. Matka zawsze dobitnie zaznaczała swoją obecność. Hałasowała, ruszając się, jedząc, oddychając. Nie mogła włożyć butów, żeby nie pogadać sama ze sobą, z próżnią wokół, z samymi butami: „A wleziecie wy”, przemawiała do brązowych, sznurowanych trzewików. „I żeby mi tu żaden nie dokazywał”.

Jej matka, rzec by można, dawała o sobie znać. Po powrocie ze szkoły Monica od razu rozpoznawała, czy matka jest w domu – po tym, co się wyczuwało w powietrzu, po stopniu zagęszczenia atmosfery. Jeśli jej nie było, dom tkwił w dziwnym zawieszeniu. Wydawał się – niczym scenografia, zanim rozbłyszną reflektory, a zza kulis wyjdą aktorzy – czymś nierzeczywistym, jakby meble, wazony, talerze i półmiski były tylko rekwizytami, jakby ściany i drzwi były tylko namalowanymi dekoracjami, które runą, gdy się o nie oprzeć.

Ale gdy Gretta była w domu, wyczuwało się w nim krzątaninę, wrzenie. Grało radio albo gramofon tłukł na okrągło ballady tego tenora o drżącym głósie. Monica mogła zastać matkę zajętą opróżnianiem kredensu, na podłodze zastawionej słoikami z dżemem, filiżankami, wazami na zupełną, ogarkami świec. Mogła trzymać z czułością poczerniałą srebrną łyżkę i na widok córki uśmiechać się szeroko. „Chodź no tu do mnie”, mówiła. „Opowiem ci o tej staruszce, od której ją dostałam”. Mogła też na przykład z zapalem rozcinać którąś ze swoich sukienek, żeby przerobić ją dla Moniki. Monica mogła ją też zastać zajętą jednym ze swych chwilowych hobby: wyrabianiem szydełkowych pokrowców na dzbanek z mlekiem, lakierowaniem doniczek, nawlekaniem koralików na szpagat, żeby stworzyć „uroczy” naszyjnik, haftowaniem na brzegach chusteczek rządów stokrotek, fiołków i niezapominajek. Kilka tygodni później te prace odnajdywały się wciśnięte do szuflady, porzucone, niedokończone. Pasje Gretty płonęły jasno, ale krótko. Po latach Joe, pierwszy mąż Moniki, zaobserwował, jak Gretta w ciągu pięciu minut oblicza saldo książeczki czekowej, zauważył, że może by nie zwariowała, gdyby znalazła jakieś ujście

dla swojej inteligencji. „Przecież ona nawet nie chodziła do szkoły, prawda?”, spytał.

Ale tamtego lata zdawało się początkowo, że Monica straciła szósty zmysł w kontaktach z matką. Pamięta bardzo wyraźnie dzień, w którym weszła do domu, poczuła nijakie, wilgotne powietrze i uznała, że matka wyszła. Może do kościoła, udekorować kwiatami ołtarz, a może zapalić komuś znicz albo odwiedzić którąś z sąsiadek. Pogryzając końcówkę warkocza, Monica zsunęła z ramienia torbę wprost na podłogę i weszła do salonu, gdzie jej oczom ukazał się widok matki wyciągniętej na odświeżonej kanapie i śpiącej, w środku dnia, ze skrzyżowanymi rękami i nogami na obiciu. Monica zdumiała się co najmniej tak, jakby weszła i zobaczyła, jak matka podaje herbatę i słodkie bułeczki samemu papieżowi.

Jeszcze przez chwilę stała w drzwiach. Wpatrywała się w śpiącą postać, jakby chciała się upewnić, że to rzeczywiście jej matka, że naprawdę śpi, że to nie jeden z jej wyszukanych psikusów, że nie poderwie się za chwilę z okrzykiem: „Ale cię nabrałam, co?”.

Matka spała. O czwartej po południu. Obok niej leżała złożona gazeta. Jej piersi unosiły się i opadały, a lekko rozchylone wargi nabierały po trochu powietrza. Kiedy parę minut później przez tylne drzwi wpadł do domu Michael Francis, Monica nadal stała w miejscu. Uciszyła nerwowo brata i stali tak oboje, chłonąc niewyobrazalny widok matki drzemiącej w środku dnia.

– Umarła? – wyszeptał Michael Francis.

– Jasne, że nie – warknęła przestraszona Monica. – Przecież oddycha. Zobacz.

– Mam iść po panią Davis?

Wiedzieli, że w nagłych wypadkach mogą zawsze zajrzeć do najbliższej sąsiadki. Monica przekrzywiła głowę i zastanawiała się, czy to zrobić. Chociaż Michael Francis był od niej dziesięć miesięcy starszy, wszystkie decyzje pozostawiał na ogół jej. W szkole uczyli się w tej samej klasie; brano ich za bliźnięta. On był starszy, ale ona bardziej odpowiedzialna. Ona i jej brat zawarli takie porozumienie i nigdy go nie kwestionowali.

– Nie – pokręciła głową. – Mamusia by tego nie pochwaliła.

– To kto nam zrobi kolację?

Monica podrapała się po głowie.

– Ja.

Michael Francis stał przy zlewie i szorował ziemniaki, a Monica robiła wszystko, żeby je obrać i pokroić w plastry. Michael Francis, czyszcząc napiętą, ubłoconą skórę, wiercił się i denerwował.

– A co zrobimy, jak się nie obudzi? – spytał cichym, przerażonym głosem.

– Obudzi się, obudzi – odparła Monica, odsuwając z oczu włosy.

– Dla niej też ugotujemy czy tylko dla siebie?

– Dla niej też.

– A z czym zjemy ziemniaki?

Monica musiała się zastanowić.

– Z jajkami sadzonymi – odpowiedziała stanowczo, bo wiedziała, że mają jajka: widziała je rano w przykrytym naczyniu, i wiedziała też, jak je przyrządzić. Na pewno. Nieraz widziała, jak robi to mama.

– Z jajkami sadzonymi – powtórzył pod nosem Michael Francis, nie bez zadowolenia. Gdy wiedział, co dostanie na kolację, w jego świecie panował ład. Ze świeżym zapalem przystąpił do szorowania ziemniaków, ale trącił łokciem podstawiony rondel i ten spadł ze szczękiem na linoleum.

– Michael Francis! – syknęła Monica.

– Przepraszam.

Wiedziała, że do oczu napływają mu łzy. Miał, jak powtarzała zawsze matka, ciekłą skórę. Nie można było na niego krzyknąć, bo za bardzo go to przygnębiało. Potrafił się rozpląkać na widok martwego ptaszka albo utykającego kuca. Maminsynek, przezywał go czasem ojciec i mówił, że musi się zahartować. Monica nieraz czuła się w obowiązku obtańcowywać, jak mówiła matka, chłopaków z ich klasy; nie mieli litości dla Michaela Francis, który był typem mola książkowego i choć postawny jak na swój wiek, nie umiał się bić. Westchnęła i szturchnęła go w bok.

– Już dobrze. Mamusia pewnie się nie...

Z salonu dobiegł ich głos. Słaby, łagodny głos. Zupełnie niepodobny do tubalnego głosu ich matki.

– Czyżby moje kochane dzieci szykowały kolację?

Spojrzeli po sobie. Michael Francis otarł twarz rękawem swetra. A potem popędzili przez salon. Matka nadal leżała jak wcześniej, ale miała otwarte oczy i wyciągała do nich ręce.

– Jedno słoneczko i drugie słoneczko – powiedziała im. – Ale mi się

podoba, jak razem gotujecie dla mnie kolację. Coś mi się zdaje, żeście zasłużyli na lody. Które polecą do sklepu po blok?

Zdawało się, że wszystko wróciło do normy. Przyrządzili do końca kolację i zjedli ją; dzieci dostały swoje lody, w plastrach odkrawanych z bloku w żółto-brązowo-różowe pasy; wrócił ojciec i zjadł kolację. Ale nazajutrz po szkole znów zasnęła. W weekend ojciec – sam – wziął ich do parku, żeby mama mogła „odpocząć”. Monica siedziała na huśtawce i dłubała czubkiem buta w ziemi. Spojrzała na ojca siedzącego na ławce, ukrytego za parawanem z gazety. Spojrzała na Michaela Francisa, który wyrzucał piłkę w powietrze i próbował ją przyjąć na klatkę piersiową. Pragnęła wstać z huśtawki, przeciąć trawnik i zapytać tatę: co się stało mamusi, co się dzieje? Ale nogi nie chciały jej nieść, nie umiała złożyć słów, a nawet gdyby było inaczej, nie umiałaby ich przekazać ojcu, nie umiałaby wysłuchać jego odpowiedzi.

To ojciec zakomunikował im kilka tygodni później, że ich matka oczekuje następnego. Monica i Michael Francis spojrzeli na niego z nizin chodnika rozłożonego przy palenisku kominka. Gdy tak tkwił w zawieszeniu w drzwiach pokoju, z włosami sterczącymi do góry jak płomień zapalki, wydawał się wyższy niż dotąd. Monica zobaczyła oczami wyobraźni przystanek autobusowy i chodnik pełen ludzi, którzy, omiótłszy obojętnym wzrokiem numer jednego autobusu, wyglądają kolejnego. Zwierzę, które z szeroko otwartymi ślepiami przysiadło czujnie na tylnych łapach. Osobę, która czekając na dalszą korespondencję, nachyla się nad skrzynką na listy.

– Przez kilka najbliższych miesięcy musicie jej pomagać co sił. Zrozumiano?

Potaknęli z przyzwyczajenia. Wiedzieli, że tak brzmi prawidłowa odpowiedź na pytanie, czy rozumieli.

– Nie może niczego dźwigać. Toreb z zakupami. Wiader z wodą. Niczego. Musicie to robić za nią. Zrozumiano?

Znów zgodnie skinęli głowami.

– Ma codziennie odpoczywać i nie wolno jej przeszkadzać.

– Tak, tatusiu – powiedziała Monica.

Gdy była z matką, nie spuszczała jej z oczu. Teraz bała się chodzić do szkoły, bo nie chciała zostawić matki ani na chwilę. Gdy matka podnosiła talerz, filiżankę herbaty albo robótkę, Monica przymykała oczy. Nie zobaczy,



jak to się stanie. W każdej chwili jej matce może się przydarzyć coś okropnego. Wywnioskowała to z podsłuchanej, dyskretnej rozmowy, którą prowadziła matka z inną kobietą pod kościołem, za tylną ścianą. To niebezpieczne, dowiedziała się. Po tych wszystkich razach. Lekarz powiedział jej: nigdy więcej, nie warto ryzykować.

Monica przestała spać. Leżała bezsennie, wplątując palce w rąbek koca i wyplątując je z powrotem. Wplątywała i wyplątywała, wplątywała i wyplątywała, aż rąbek koca zmiął jej się wokół knykci. Nasłuchiwała, jak rodzice szykują się do snu. Słuchała, jak myją zęby w łazience, jak matka wspina się na łóżko, a ojciec zamyka frontowe drzwi. Leżała bezsennie, gdy ojciec już chrapał w najlepsze niczym mozołaca się pod górę lokomotywa. Wychwytywała też wszystkie inne dźwięki: odgłos roweru jadącego nocą, furgonetki z mlekiem o szarym świetle, kota sąsiadów miauczącego u ich tylnych drzwi. Kimkolwiek był następny, Monica nie chciała dać się zaskoczyć.

A co to było, dowiedziała się z rozmowy między matką i ich ciotką Bridie. W pewne sobotnie popołudnie wybrały się do niej z wizytą; Monica miała się zajmować kuzynostwem w ogródku za domem, a matka i Bridie miały nadrabiać zaległości przy herbatce. Lecz kuzynostwo okazało się marudne i nieciekawe i Monice o wiele bardziej zajmujące wydało się siedzenie przy drzwiach kuchennych, w niewielkiej szparze za wyżymaczką, z dala od spojrzeń. Jej matka i Bridie długo rozprawiły o kimś innym z rodzeństwa, kto najwyraźniej „szlaja się z nieodpowiednimi osobami”; omawiały szokujące ceny dziecięcych bucików; dobiegły ją liczne narzekania na coś, co matka Moniki określała jako „jeden z dni, gdy Robert wstał lewą nogą”; Bridie przekazała długą historię, w której przewinął się wątek autobusu do Brighton – Monica nie skupiła się na wprowadzeniu, więc nie umiała ustalić znaczenia opowieści. A potem Bridie spytała, takim dość przymilnym głosem: „To czekaj, mówiłaś, że kiedy masz termin porodu?”.

Monica zaczęła skubać zieloną farbę na listwie podłogowej. Wpychała palce między wałki wyżymaczki tak głęboko, jak się dało, aż zaczęły ją boleć. Nasłuchiwała tak usilnie, że aż stopiła się nieruchomo z tym nasłuchiowaniem. Dowiedziała się, że jej matka potraciła dzieci, dużo dzieci. Monica wyobrażała sobie, jak jej matka przez nieuwagę wyrzuca dzidziusia z koszyka na zakupy albo z kieszeni płaszczka, niczym pojedyncze pensy albo

poluzowane szpilki do włosów. Doszły ją szepty o niemowlaku pochowanym gdzieś tam bez chrztu, ale Monica nie dosłyszała, czy mowa o dziecku jej matki, czy jakiejś innej kobiety.

W drodze do domu ścisnęła rękę matki jak najmocniej. Lustrowała badawczo jej znajomą postać, od porządnych, wizytowo-kościelnych bucików, po kapelusik na głowie. Przy nadziei.

Monica, owinięta w ręcznik, stąpała ostrożnie po surowych drewnianych deskach w drodze do sypialni. Ileż to już razy wbiła sobie drzazgę głęboko w podeszwę, ale Peter zatykał uszy na sam dźwięk słów „wykładzina dywanowa”. Musiała więc znosić ten stan rzeczy.

Przerzuciła kilka wieszaków w szafie (trzydrzwiowej, fornirowanej, późnowiktoriańskiej, zdobytej na licytacji w Gloucester). Dobieranie stroju na taką pogodę było szczególnie trudne. Co by tu włożyć, żeby wyglądać przyzwoicie i się nie przegrzać? Monica zastanawiała się nad szmizjerką z karbowanej tkaniny, pomarańczową, wiązaną na szyi bluzką z marszczoną bawełny, prążkowanym kombinezonem z zamkiem na środku, aż w końcu zdecydowała się na batystową sukienkę z falbanami. Jeden z ulubionych strojów Petera. Twierdził, że wygląda w niej jak dójka. Widocznie należało to uznać za komplement. Żeby kupić te rzeczy, wybrali się razem do butiku w Oxfordzie; Monica nie nawykła do zakupów odzieżowych z mężczyzną. Dotąd szła zawsze z matką albo siostrą, nie nadawała się do zakupów w pojedynkę, trudno jej było podjąć decyzję, nigdy nie wiedziała, czy coś jej pasuje czy nie. Brała więc z sobą Grettę albo, już później, Aoife, która choć sama ubierała się jak łajza, wiedziała, o dziwo, kto w czym dobrze wygląda. Monice była zatem całkiem obca sytuacja, w której wychodzi zza kotary, żeby pokazać się siedzącemu na krześle mężczyźnie i uzyskać jego aprobatę, zanim jeszcze sama ustali, czy coś jej się podoba. Joe nie znosił zakupów i nawet poproszony nigdy by z nią nie poszedł.

Monica precyzyjnie przesuwała małe perłowe guziczki przez falbany i w końcu przez dziurki. Ależ ich dużo i wszystkie takie małe. Zapomniała o tym. Spojrzała sobie w oczy w lustrze toaletki (art déco, dąb, zdobienia z palisandru) i założyła kolczyki (markazyty i rubiny, wzór kwiatowy, lata trzydzieste). Nie chciała dzieci. Wiedziała o tym. Tak powiedziała Joemu. Od samego początku. Ale chyba jej nie uwierzył, chyba sądził, że jej przejdzie, że jeszcze zmieni zdanie. Peterowi też to powiedziała, a on odparł, że nie ma sprawy,

że i tak nie ma ochoty przerabiać tego na nowo. Peter wszedł do związku z gotową rodziną, z dziećmi w inwentarzu; liczyła, że może wpasuje się w ich życie, niemal jakby było jej własnym. Chyba lepiej być nie mogło, myślała sobie: nie rodzić dzieci, a mieć dzieci.

Niby nigdy nie chciała dzieci, a chciała. Chciała i miała.

Przesunęła szczotką (zdobioną emalią, ze srebrnym uchwytem i literą „H”, z innej licytacji) po włosach, raz, drugi, trzeci. Sto pociągnięć dziennie, zarządzała zawsze matka. Wtedy będą zdrowe.

„Uważaj”, mówiła. Monica uważała na siebie. Nauczyła się zamazywać to, czego nie chciała widzieć; doskonale opanowała pewną sztuczkę: gdy nieznacznie mrużyła powieki, puszysta futryna rzęs tonowała obraz; jej źrenice wykształciły zdolność umykania w obliczu nieprzewidzianych widoków. Kłopot miała, zauważyła ostatnio, z dziećmi w wieku około trzech–czterech lat.

Monica nie chciała niemowlaka. Chciała dziecka. Nie pragnęła tych opatulonych kocykami istot przerażających w swej kruchości, nieugiętych w swych żądaniach, tak nieopierzonych, że zalatujących jeszcze wydzielinami, mlekiem i krwią, znojem, gnojem i bojem porodu. Nie. Tego nie mogła zrobić, nie mogła przejść przez to, przez co przeszła jej matka z Aoife.

Monica lubiła młodsze dziecko Michaela Francisa, Vitę. Nie chłopca, który nadto przypominał swoją matkę – to jego czoło jak księżyc w pełni. Vita była rasową Riordanówną; Gretta powtarzała zawsze, że to wykapaną Aoife. „Ale, całe szczęście, nie jest takim cudakiem”, dodała raz Monica, a jej matka się zaśmiała i odparła: „A żebyś wiedziała”. Gdy Monica ostatnio widziała Vitę, ta wzięła ją za rękę i pokazała jej domek dla lalek. Małeńkie, starannie urządzone pokoiki, na regalikach książeczki z prawdziwymi kartkami, w kuchni kucharka przyrządzająca lakierowaną szynkę, pies zwinięty w kłębek na miniaturowym dywaniku przy kominku z trzaskającym plastikowym ogniem. Wetknąwszy oko w zaopatrzone w kwieciste zasłonki okienko, Monica pomyślała wtedy, że właściwie chciałaby małą dziewczynkę z domkiem dla lalek, dziewczynkę z wsuwkami, w czerwonych bucikach zapinanych w kostce, jak u Vity. W witrynie sklepu z zabawkami zobaczyła kiedyś uroczy miniaturowy kredens, weszła, kupiła go, wysłała Vicie i otrzymała w zamian pokolorowaną kartkę. Claire znała się

na takich rzeczach; Monica doceniła to pocztowe podziękowanie. A kto by nie docenił?

Nie ma co tego roztrząsać. Żadnych dzieci. Taką podjęła decyzję, koniec końców słuszną. Tego Monica była pewna. Z kolczykami w uszach, ułożonymi włosami, ustami pociągniętymi szminką, byle nie za mocno, bo Peter nie lubi jej smaku, Monica podniosła się ze stołka, gotowa na nadejście wieczoru.

Zanim wrócił Peter – w ubrudzonym kombinezonie roboczym, niemiłosiernie cuchnącym benzyną lakową – zdążyła już nakryć stół białym lnianym obrusem, zapalić świece i przygotować na srebrnej tacy łuskane migdały, tak jak lubił.

– Kochanie – zamruczała, gdy wszedł przez kuchenne drzwi, i już miała go pocałować, ale w porę przypomniała sobie o sukience. – Co dziś porabiałeś?

– Wpadłem na genialny pomysł – Peter wrzucił do ust garść migdałów. – Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu mówiłem ci, że muszę się zabrać do tego sosnowego stołu? No to w nocy przyszło mi nagle do głowy... – Peter gadał dalej. Monica obserwowała, jak porusza ustami, patrzyła na tłuste plamy na kombinezonie, zastanawiając się, czy przeszły na wylot na odzież i ile minie czasu, zanim będzie mogła go poprosić o zdjęcie roboczego stroju, żeby móc to sprawdzić; skupiała uwagę na obwiedzionych na czarno paznokciach przesiewających przygotowane przez nią migdały. Peter dalej opowiadał o tym, jak to razem z pomocnikiem porwali się z metalowymi łańcuchami na ten stół, żeby uzyskać „taki efekt zużycia i przetarcia”, za którym ostatnio szaleli klienci. Monica pomyślała, że musi szybko powiedzieć mu o kocie, bo inaczej wyda się to dziwne. Musi mu powiedzieć. Musi to z siebie wydusić.

– Peter... – wtrąciła.

– ...sam nie wiem, czemu dopiero teraz mi to przyszło do głowy. Kupować nowe, w każdym razie współczesne rzeczy, i tylko trochę je podrasować. Nikt się nie połapie. Genialne.

Złapał ją wpół i małe guziczki z masy perłowej przylgnęły do jego kombinezonu jak rząddek zastygłych łez.

– Masz genialnego męża.

– Kochanie...

W przedpokoju znów rozdzwonił się telefon. Peter puścił ją i zrobił taki

ruch, jakby chciał pójść i odebrać.

– Zostaw – powiedziała i nagle, nie wiedzieć czemu i skąd, popłynęły jej łzy; rozlały się po policzkach i zaczęły skapywać na wysoki kołnierzyk sukienki. – Peter... – wyszlochała. – Peter, słuchaj...

Doskoczył do niej zaraz i ujął jej twarz w dłonie.

– Co jest? Co się stało?

Telefon dalej dzwonił. Kto, u licha, tak ją nęka? Dlaczego nie dadzą jej spokoju i dlaczego nie może dziś przestać płakać?

– Co jest? – spytał znów Peter.

Monica przyłapała się na tym, że ma na końcu języka: Aoife przysła, Aoife widziała. Słowa czekały już ułożone w ustach: miałyby już prawie trzy lata.

Ale zdołała się pohamować. Zdołała je powstrzymać, przelknąć, zdołała przeformułować je w: „Kot nie żyje”. To te słowa wydobyła w zamian; udało jej się przekazać je mężowi, ojcu dzieci, które kochały kota.

Telefon zadzwonił znów, gdy jedli kolację: dość udaną potrawkę Moniki. Wzięła nowy przepis z gazety i pisali tam, żeby dodać suszone morele. Zwykle nie lubiła słodkich dodatków w daniach obiadowych, ale to wyszło całkiem nieźle.

Peter poszedł odebrać telefon. Dołała sobie jeszcze kapkę wina; czerwony płyn zabulgotał w szyjce. Oderwała skórkę z chleba i napakowała sobie do ust delikatnego miękiszu. Czuła się wyplukana i rozedrgana, jak to bywa po ataku płaczu. Jak londyńska ulica po przejeździe polewaczki; ciemna, przemoczona, wymieciona.

Dotarło do niej, że Peter wszedł do kuchni i stoi przy jej krześle. Obróciła się i spojrzała na niego.

– Monica... – zaczął i położył jej dłoń na ramieniu.

Nie podobał jej się ten głos, nie podobała jej się jego grobowa mina.

– Co? – powiedziała i wzdrygnęła się pod jego dotykiem. – Co się dzieje?

– Dzwoni twój brat.

Nie spuszczała męża z oczu.

– Co się stało?

– Lepiej z nim porozmawiaj.

Monica siedziała chwilę, a potem poderwała się z miejsca. W połowie drogi przez kuchnię zauważyła, że deski podłogowe marszczą się i falują,

i poczuła, że jeszcze chwila i upadnie. Pojęła nagle, dlaczego ten dzień był taki dziwny, dlaczego wciąż chciało jej się płakać, dlaczego powietrze wokół niej zdawało się naładowane, przeciążone. Wiedziała. Wiedziała, co powie Michael Francis. Wiedziała, co to takiego, ale nie chciała tego usłyszeć. Coś się przydarzyło Aoife. Wypadek samochodowy, utonięcie, przedawkowanie, morderstwo, straszliwa choroba. Brat dzwonił ją powiadomić, że ich siostra nie żyje.

Nie mogła zmusić nóg do ruchu, nie mogła przebrnąć przez próg. Chciała tu zostać, przy winie i potrawce. Nie chciała tego słyszeć.

To twoja nowo narodzona siostrzyczka, oznajmiła Monice pielęgniarka, gdy stały we dwie przed salą noworodków i patrzyły na dzieci wyłożone za szybą jak bułeczki w piekarni. Malutka dziewczynka. Trudno było to stwierdzić, bo leżała opatulona masą kocyków, powijaków i szmatek. Miała czerwoną twarz i malutkie, mocno zaciśnięte piąstki. Dostała na imię Aoife. Aoife Magdalena Riordan. Taka drobna osóbką, a tyle liter.

A potem, jak się Monice zdaje, dziewczynka otworzyła usta i zaczęła krzyczeć, i tak już miało pozostać. Wrzeszczała o jedzenie, wrzeszczała przy jedzeniu, wrzeszczała po jedzeniu, tak okropnie, że zwracała całe wypite mleko, raptownymi żółtobiałymi strumieniami, które trafiały w ściany, w tapicerkę kanapy. Wrzeszczała, gdy się ją odłożyło, choćby na moment, na łóżko lub do głębokiego wózka. Młóciła powietrze tymi swoimi piąstkami, szczelnie wypełniała głośnie pomieszczenie; wczepiała się palcami we włosy i kark Gretty, cierpiąc swoje tajemnicze katusze, zalewała się łzami, które spływały jej po twarzy i za kołnierzyk kaftanika. Podkurczała i prostowała nóżki jak nakręcana zabawka, twarz marszczyła się samoistnie i pomieszczenie wypełniało się poszarpanymi dźwiękami, które, gdyby stanąć za blisko, mogły człowieka skaleczyć. Gretta chowała twarz w dłoniach, a Monica podnosiła się znad zadania domowego, brała niemowlę i razem, ona i Aoife, udawały się na lamentacyjne spacerunki po kuchni.

Matka zabrała dziecko do lekarza, który zajrzał do rozkrzyczanego wózka i orzekł: dać jej butlę. No to powlekli się, Monica i Michael Francis i ich matka i wózek, do apteki, i kupili lśniące butelki z pomarańczowymi nakrętkami oraz puszkę mleka w proszku. Ale Aoife wzięła łyk, obróciła głowę i zawyla.

Monica stała w przedpokoju, który Jenny kazała pomalować na ciemny, czekoladowy brąz. Chciała się w końcu zebrać i go przemalować – mdliło ją, ilekroć tam przechodziła. Ale nie mogła się zdecydować, jaki wybrać kolor. Bładoróżowy czy może wesoły pomarańcz? Przydymiony żółty? A może wiosenną zielenią?

Sięgnęła po słuchawkę i przytrzymała ją w dłoni. Jej brat powie jej o śmierci ich siostry. Na pewno. Poda jej szczegóły, porę, datę. A co ona na to? Trzeba będzie coś przedsięwziąć. Wiedziała, że Aoife mieszka w Nowym Jorku. Rodzice w Londynie. Jak zebrać wszystkich w jednym miejscu? I w którym? Czy wszyscy polecą do Nowego Jorku? Albo do Londynu? Albo do Irlandii? Gdzie znaleźć miejsce na coś takiego?

Podniosła słuchawkę do ucha i przez chwilę słuchała zgiełku w domu brata; była podglądaczką, uchem w dziurce od klucza. W tle zawodziło któreś dziecko – ryk systematycznie narastał. Bliżej wyraźniej rozbrzmiewał drugi dziecięcy głos, mówiący coś o mamusi i bajce na dobranoc. Doszedł ją głos brata:

– ...liczę do pięciu i zanim doliczę do czterech, masz zejść z tego parapetu, zrozumiano?

– Michael Francis? – odezwała się Monica, śląc do niego swój głos aż do samego Londynu. Nie chciała usłyszeć tego, co powie, nie chciała przyjąć tych słów, odbierać mu ich i wkładać w siebie, gdzie pozostaną do końca jej życia.

– Chryste Panie, Monica – prychnął po drugiej stronie Michael Francis i Monica od razu wiedziała, że nikt nie umarł, że chodzi o coś innego, i nowość tej sytuacji ją przestraszyła. – Gdzieś ty była, na miłość boską?

– Tutaj – powiedziała Monica, zbierając się w sobie. Jak śmie tak do niej mówić? – Tutaj byłam.

– Dzwonię i dzwonię. Dlaczego nie odebrałaś?

– Byłam zajęta. I dalej jestem. Czego chcesz?

– Taty nie ma.

– Co?

– Zaginął.

– Zaginął? Nie mógł zagać. Pewnie tylko... – zamilkła. Myśl, że ich ojciec mógł zrobić coś choćby trochę niespodziewanego albo nieplanowanego, była absurdalna. To człowiek, który starannie rozważy wszystkie za i przeciw,

zanim wyjdzie do supermarketu. – Nie mógł zagiąć – zaczęła znów. – Może po prostu... – musiała urwać i wziąć kilka oddechów. Zorientowała się, że jej myśli biegną wciąż torem wytyczonym przez zgon Aoife i dylemat, gdzie też wyprawić jej pogrzeb. To coś – czymkolwiek było – wydawało się tak nieprawdopodobne, tak niewytłumaczalne, że nie mogła przekierować na to uwagi. – A mama szukała... no, nie wiem... wszędzie w domu?

– Szukali wszędzie i...

– Kto?

– Policja – powiedział niecierpliwym tonem Michael Francis, dając jej jasno do zrozumienia, że nie docenia powagi sytuacji, że ominęło ją kilka scen dramatu. – Mama widziała go ostatnio rano i...

– Dziś rano? – spytała Monica. – Przecież to szmat czasu!

– Wiem.

– A sprawdzili... sama nie wiem. A wyszedł gdzieś? Czy...?

– Mon – powiedział już łagodniej. – Pobrał pieniądze ze wspólnego konta.

– O!

– O ile nam wiadomo, nie miał wypadku. Po prostu... się zwinął.

– Ale dokąd?

– Nie wiadomo.

– A co na to policja? Co zamierzają?

– Mówią, że nie mogą nic zrobić.

– Dlaczego?

– Twierdzą, że to nie zaginięcie. Zdaje się, że wziął też paszport. Najpierw poszedł do banku, ale potem nie wiadomo. Przepadł.

Monica zapatrzyła się w miejsce na poręczy, w którym czekoladowobrązowa farba odpadła i odsłoniła poprzednie warstwy, niczym słoje w drzewie. Zmatowiały turkus, agresywny fiolet, kremowa biel. Pomyślała przez chwilę o innych ludziach, którzy tak jak ona stali w przedpokoju i zastanawiali się, na jaki kolor go pomalować.

Michael Francis znów coś mówił; że Monica musi przyjechać do Londynu, pomóc matce, że trzeba się skontaktować z Aoife, ale on nie ma do niej numeru; dzwonił pod ten podany przez nią ostatnio, ale osoba, która odebrała, powiedziała, że Aoife już tam nie pracuje.

Cała Aoife, pomyślała natychmiast Monica: zmienić pracę i ich nie powiadomić. A potem poczuła ukłucie złości, że jej myśli powędrowały



z powrotem ku młodszej siostrze. Co się dziś dzieje, że Aoife jest taka obecna, taka widoczna w jej głowie, jako dorosła, jako dziecko i jako niemowlak? Ze względu na sporą różnicę wieku Monica dobrze pamięta Aoife z każdego etapu jej życia. I Aoife wyła całymi latami, przypomniawszy sobie Monica, wpatrując się w odpadającą farbę. Właściwie bez przerwy. W końcu się do tego przyzwyczaili, do życia z wściekłą wokalizą Aoife na pierwszym planie. Wrzeszczała na wysokim krzeselku, w wózku, w samochodzie, w autobusie, w łódeczku, w nosidelku. Jeśli Monica zapięła ją w szelki i wzięła na spacer po ulicy, co czyniła bardzo często, bo Gretta musiała w końcu odpocząć, choć przez piętnaście minut, Aoife rzucała się twarzą do ziemi i kopała chodnik w szale wściekłości. Jeśli Monica nie pozwalała jej penetrować stromych schodów, gryzła, drapała i wrzeszczała; jeśli Monica pozwoliła jej się na nie wspiąć, bo miała dość drapania i gryzienia, a Aoife spadła i walnęła się w głowę, znów rozlegał się krzyk.

Zdawało się, że sen to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje. Nawet jako starsze dziecko budziła się po pięć razy w ciągu nocy i rozdzierała mrok niespodziewanym krzykiem. Poszarzała na twarzy matka wchodziła chwiejnie do pokoju, żeby nakłonić ją do ponownego zaśnięcia. Monica, której łóżko stało tuż obok łóżka Aoife, starała się dotrzeć do niej pierwsza, starała się uciszyć Aoife, żeby matka jej nie usłyszała, żeby mogła na powrót stać się tą osobą, którą była wcześniej, przed tym wszystkim: zażywną i rozkochaną w życiu, wpadającą jak po ogień do domów znajomych albo wciskającą na głowę kapelusz i wychodzącą na spotkanie z księdzem, żeby już nie była tym upiornym cieniem kobiety nawiedzającym pomieszczenia ich domu. Ale Aoife nie sposób było uspokoić. Zawsze coś, zawsze coś przy niej było. Śniła koszmary o stworzeniach pod łóżkiem, o czymś stukającym w okno, o czarnym zarysie za drzwiami łazienki. Gdy Monica prowadziła ją przez korytarz i pokazywała, że ten czarny kształt to tylko zawieszony na haczyku szlafrok ojca, Aoife przestawała na chwilę skręcać włosy, wpatrywała się w szlafrok i mówiła: „Ale wcześniej tam było coś innego. Coś innego”.

Ojciec orzekł, że Aoife jest trudna; matka orzekła, że to jej krzyż, który musi dźwigać, skaranie za to, że chciała trzeciego dziecka; Bridie orzekła, że dziecku trzeba dać porządnie w dupę; lekarz orzekł: „A, trafiło się pani takie właśnie”, i wręczył Gretcie receptę na środki uspokajające – jej pierwsze.

Odtąd matka bardzo dużo spała, a czasem, nawet gdy była na jawie, zdawało się, że śpi jakaś część jej świadomości. Monica często wracała wcześniej ze szkoły, tłumacząc się bólem głowy lub niestrawnością, ale tak naprawdę wiedziała, że jeśli dotrze do domu, zanim Aoife przebudzi się z popołudniowej drzemki, to będzie mogła ją wyjąć z łóżeczka i zabrać na parter albo do ogrodu, a wtedy jej skrzeki i wrzaski nie obudzą matki. Czasem Gretta spała aż do późnego popołudnia. Monica wkładała Aoife do kojca, dawała jej rondel i drewnianą łyżkę, a sama przygotowywała kolację. Gdy pojawiała się matka, o twarzy pomiętej i bez wyrazu, kładła Monice dłoń na głowie i mówiła jej, że jest aniołem, aniołem z niebios. I Monica stała, czując ciężar matczynej dłoni, i przenikała ją nie tyle przyjemność z powodu słów matki, co ulga, że przy jej udziale wszyscy jakoś przetrwali kolejny dzień.

Aoife zaczęła chodzić, nim skończyła rok; wyjmowała wszystko z szafek kuchennych, wybierała popiół z paleniska, ściągała ze stołów filiżanki z herbatą. Gdy miała półtora roku, mówiła pełnymi zdaniami: „Nie wiem czemu, ale nie chcę tej czerwonej miseczki, chcę zieloną”. Nie skończyła dwóch lat, a już liczyła do pięćdziesięciu, znała alfabet i recytowała wierszyk o myszce. Monice zdawało się wtedy, że rodzicom ulżyło. Znalazł się powód odmienności Aoife: Aoife ma dar, Aoife jest szczególna, Aoife jest genialna. „Oczywiście”, mogła teraz mówić matka ludziom w sklepach, jeśli Aoife leżała w poprzek wejścia, kopala drzwi i krzyczała. „Ona jest strasznie mądra”.

Ale sprawy w szkole, ku ich zaskoczeniu, nie potoczyły się tak pomyślnie. Aoife każdego popołudnia wracała z zagniewaną, smutną miną, z twarzą umazaną atramentem. Gdy Gretta pytała, z kim się bawiła na przerwie, Aoife się krzywiła i nie odpowiadała. Zsuwała się z krzesła i chowała pod stołem. Tak się złożyło, że Monica przechodziła obok szkolnej zerówki w drodze na ćwiczenia z własną klasą i przeglądając grupki i gromadki małych dzieci, zauważyła znajomą postać z podkolanówkami zsuniętymi z łydek i włosami wyplątanymi z warkoczyków, stojącą samotnie w cieniu platana i zajęętą ożywioną rozmową z samą sobą.

Aoife potrafiła niemal z dnia na dzień przeobrazić się z „trudnej” w „genialną”, a z „genialnej” w „utrapienie”. Jej pismo rozlewało się spod grafitu ołówka w niezrozumiałą, pełną zawijasów bazgraninę. Używała rąk

na chybił trafił, jakby zupełnie nie mogła pojąć, że powinna przedkładać jedną nad drugą. „S” pisała w lustrzanym odbiciu, a „t” do góry nogami. Opuszczała odstępy między słowami lub wstawiała je losowo, w pół sylaby.

– Patrz, Aoife – mówiła matka. – Tu masz A, śliczne, duże A. Widzisz? A jak „auto i „amen” i „Aoife”.

Aoife kopnęła obcasami w nogi krzesła, spojrzała spod zmrużonych powiek na literę, a potem oparła głowę na rękach i zamknęła oczy.

– Widzisz? – nie poddawała się Gretta.

– Mmm – wymamrotała w rękaw Aoife.

– A możesz mi ją napisać?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo wygląda jak dom z boku, który ktoś rozciął na pół i cały dach jest rozcięty, i jest dziura, i wszyscy ludzie powypadali, i...

– Przejdźmy do B – Gretta była twarda. Nauczycielka powiedziała, że Aoife trzeba wziąć w ryzy. Nie wolno jej pozwalać bujać w obłokach. – B jak...

– „Batalia” – powiedziała Aoife. – I „bufor”, i „bohater”, i „biust”, i „brzuszyśko”. Pani Saunders ma takie wielkie brzuszyśko...

– Aoife, tak się nie mówi o...

– ...że w życiu takiego nie widziałas. Takie wielkie, że nie mieści jej się za biurkiem i musi siedzieć tak jakby...

– Aoife...

– ...bokiem, żeby się zmieścić.

Michael Francis, odrabiający zadanie z geometrii po przeciwnej stronie stołu, zarżał z uciechy.

– Ma rację, wiesz? – powiedział. – Naprawdę.

Gretta poderwała się i zmiotła elementarz na podłogę.

– Sama nie wiem, po co się staram! – krzyknęła. – Robię, co się da, żebyś się poprawiła, ale ty masz to w nosie! Nawet nie spróbujesz! Musisz spróbować, Aoife. Każdy może się tego nauczyć, każdy! Musisz się tylko trochę postarać. Ja bym się dała pokroić za taką możliwość nauki, a ty to wszystko marnujesz.

Pani Saunders powiedziała, że Aoife ma spore opóźnienie w czytaniu i nie umie nawet poprawnie napisać liczb, a co dopiero je zsumować, i że, krótko mówiąc, zalecałaby repetowanie klasy. W trakcie tej przemowy pani

Saunders nazywała Aoife „Eve”, a gdy Gretta ją poprawiła, pani Saunders spytała, czy nie sądzi, że byłoby lepiej „dla wszystkich”, gdyby wymawiać imię, jak to ujęła, „poprawnie”? Choćby po to, by Eve było łatwiej nauczyć się je pisać? Monica, która stała w klasie u boku matki, poczuła, jak ta gwałtownie nabiera powietrza, wyciąga się na całą wysokość i opiera knykcie na biurku nauczycielki; później zamknęła oczy.

W każdym razie Aoife/Eve powtarzała rok, raz i drugi. W wieku siedmiu lat była nadal w pierwszej klasie i siedziała z kolanami wciśniętymi pod ławeczkę w ostatnim rzędzie, pisząc litery odwrotnie lub do góry nogami, słowa, które biegły na ukos albo do tyłu, nieczytelne liczby płynące z prawa do lewa niczym odbite w zwierciadle.

W tym momencie Monica zaczęła chodzić z Joem albo spędzać wieczory na nauce pielęgniarstwa, przez co trochę straciła rozeznanie, jeśli chodzi o „problem Aoife”, jak to nazywała rodzina. Wydawać się mogło, że obecność Joego w jej życiu w jakiś szczególny sposób ją rozgrzesza – pierwszy raz – z zajmowania się Aoife, z brania za nią odpowiedzialności.

Ale pewnego wieczora, gdy Aoife, nadal chodząca do pierwszej klasy, zmagala się z najprostszą czytanką o kocie i płocie, a Michael Francis podpowiadał jej litery, Joe nachylił się ku nim ze swojego krzesła.

– Dlaczego tak robisz? – zapytał.

Cisza.

– Aoife? Dlaczego robisz coś takiego?

Podniosła niechętnie głowę; twarz miała skrzywioną, oko przesłonięte dłonią i z jej rysów dało się wyczytać zmagania kota z płotem.

– Co robisz?

– No, to z ręką na oku – wyjaśnił Joe, strzepując popiół do kominka.

– Bo wtedy litery nie skaczą po stronie – odparła, zmieniła dłonie i znów spojrzała w książkę.

Joego niezmiernie rozbawiła ta odpowiedź i tego wieczora w pubie powtórzył ją kilku osobom. Monice aż się zrobiło gorąco, gdy to usłyszała. Nie chciała, żeby inni śmiali się z Aoife; nie chciała, żeby wiedzieli, że ma dziwną siostrę.

Ale potem Joe poprosił Monicę o rękę i to, że Aoife z jakiegoś tajemniczego powodu postanowiła nie nauczyć się czytać, przestało się liczyć. Nieważne, że Aoife nadal nie umiała pisać. Nieważne, że ona, Monica,

musiała dzielić pokój z dzieckiem, które budziło ją nocą, bo mówiło do siebie albo krzyczało z powodu koszmaru sennego. Nie miało już znaczenia, że niezbyt dobrze poszły jej egzaminy na pierwszym roku pielęgniarstwa ani że ojciec prawie się nie odzywał, ani że matka uparcie parady w prochowcu zreperowanym zszywaczem. Nic już się nie liczyło, bo wyprowadzała się od tej rodziny i zakładała własną. Nieważne, że porzuciła studia pielęgniarские, bo po co by tam miała zostawać, skoro wkrótce będzie miała męża i mieszkanie nad sklepem, całkiem własny dom?

– Mnie nie pytaj – powiedziała Monica przez telefon bratu. – Nie mam pojęcia, jak się z nią skontaktować.

# Nowy Jork

Michael Francis sprzecza się z Monicą, ta odkłada słuchawkę, idzie korytarzem z powrotem do jadalni, pada bezwładnie w wyciągnięte ramiona Petera, poddaje się tej szczególnej woni – mieszance oparów preparatu do usuwania farby, pyłu z dębiny i lakieru – a tymczasem pięć i pół tysiąca kilometrów na zachód i pięć godzin wstecz Aoife pnie się z mozołem po schodach kamienicy na Upper West Side. Na ramieniu kołysze jej się torba, a rozsznurowane buciory zaczynają jej przeszkadzać, ale za daleko już zaszła, żeby się teraz zatrzymać.

Torba jest ciężka, dzień gorący i pylisty, i stopy ślizgają jej się w butach, które są o rozmiar za duże, ale nie mogła im się oprzeć. Buty Armii Radzieckiej, powiedział jej sprzedawca na pchlim targu, gdy je mierzyła, siedząc na krawężniku ze stopami w rynsztoku. Powinny przetrwać dobrych kilka zim, dodał. Szarpała się i mocowała z poplątanymi sznurowadłami, a jej palce mościły się i prostowały w zaskorupiałym skórzanym wnętrzu. To zabawne, myślała zawsze, że stopy spędzają tyle czasu w przestrzeni, której nie widać. Zdarzało jej się zaglądać do ciemnych, częściowo widocznych miejsc na palce, ale nigdy nie umiała utożsamić tych półokrągłych tuneli z miękkimi, wilgotnymi zakamarkami, tak dobrze znanymi jej stopom. Pewnie maszerowały przez stopy, powiedział Gabe, unosząc jej stopę, żeby obejrzeć podeszwę. Dość małe jak na żołnierza, zauważył.

Michael Francis usiłuje nakłonić dzieci do włożenia piżam; wyciska pastę do zębów na dwie podobne szczoteczki. Gretta otwiera szafkę i znajduje porzucony zestaw do wyplatania makram, z niedokończoną osłonką na doniczkę. Monica bierze brandy podane przez Petera; siada na kanapie z podwiniętymi nogami. A Aoife zatrzymuje się, żeby złapać oddech przed ostatnim rzędem schodów.

Na stopach ma buty umarłych; w torbie mnóstwo pudełek z filmem fotograficznym, szczególnym rodzajem, jakiego potrzebuje Evelyn, tym dobrze znoszącym wywoływanie na papierze bromosrebrowym, który lubi chłonać biel poblądłego tła na zdjęciach Evelyn, lubi odwzorowywać każdą krągłość, każde zagłębienie, każdy zarys, każdy napięty mięsień na twarzy

bohatera. Sprzedają go tylko w jednym sklepie na Brooklynie, więc raz na kilka miesięcy Aoife jest wysyłana po zapasy. Lubi tam jeździć, wyruszając z trzewi Manhattanu i wyjeżdżając stopniowo ku światłu, które kreskuje twarze pasażerów.

Napis w miejscu, w którym stoi i opiera się o poręcz, dla każdej innej osoby głosiłby „Piętro 6”, ale Aoife odwraca głowę, unika jego spojrzenia, jakby to była osoba, która popełniła przeciwko niej wykroczenie. Dla Aoife tekst jest śliski, niebezpieczny. Niegodny zaufania. Raz może być napisane „Piętro 6”, a już za chwilę litery przestawiają się z odrażającą łatwością i tworzą napis „Piętno G” albo „Pięt rób” albo „Pięc nos”.

Gdy po raz pierwszy przyjechała do Nowego Jorku, nikogo tu nie знаła. Przybyła w pośpiechu, jak ktoś, kto się potyka, przechodząc przez próg. Swoje londyńskie życie zlikwidowała w ciągu kilku dni; rozdała, czego nie mogła wziąć, a rower zostawiła na chodniku z tabliczką: „Dla człowieka w potrzebie”. Znała kogoś, kto znał gościa z Ameryki, który twierdził, że jego chrzestny prowadzi klub muzyczny w okolicy zwanej Bowery. Da Aoife pracę, z całą pewnością. To była wątna deska ratunku, ale Aoife się jej chwyciła.

Gdy przyjechała do Nowego Jorku, stale szukała wzrokiem rodzin. Na ulicy, w kawiarniach, w kolejkach do kina, pod liściastymi baldachimami drzew w Central Parku. Gdy jakąś wypatrzyła, przyglądała jej się bacznie. Śledziła ją w sklepie, sadowiła się koło niej na ławce i nachylała, żeby uchwycić rozmowę. Nie miała szczególnych wymagań, jeśli chodzi o wiek: każda rodzina była równie dobra. Zaglądała do wózków, głębokich i spacerowych, i czuła rodzaj satysfakcji, gdy w twarzy dziecka odnajdywała odbicie nader szeroko rozstawionych oczu jego matki lub jej czoła w kształcie serca. Obserwowała ojca z nastoletnią córką jedzących bajgle przed knajpką na rogu, oblizujących dolną wargę w identyczny sposób i najwidoczniej nieświadomych tego podobieństwa. Co dzień rano w drodze do metra napotykała starszą kobietę z córką, obie umalowane szminką w tym samym kolorze i obie z podobnymi delikatnymi włosami. Matka upinała swoje w kok, a córka – na przekór, jak się zawsze zdawało Aoife – strzygła się jak od linijki, co jej zupełnie nie pasowało. Aoife często kusilo, żeby szepnąć: daj spokój, zapuść je i upnij w kok, wtedy będziesz wyglądać lepiej.

Gdy przyleciała do Nowego Jorku, nikogo nie знаła, wypatrywała rodzin i czuła się tak rozbita jak miasto. Wynajęła kawalerkę w budynku bez windy, klitkę, w której każda rzecz miała liczne funkcje: małe wanna udawała blat kuchenny, łóżko kryło się pionowo w szafie, niczym zamachowiec. Kiedy wchodziła, po ścianach pierzchały do szczelin karaluchy i inne bliżej nieokreślone owady. Mężczyzna z klubu muzycznego rzeczywiście dał jej pracę: trzymała gumową pieczętkę, wbijała ją w gąbkę nasączoną fioletowym tuszem i przytykała do grzbietów dłoni klientów. Każde delikatne naciśnięcie zostawiało im na skórze obrazek pszczoły ze skrzydełkami rozpostartymi do lotu i uniesionymi czułkami, jakby czegoś poszukiwała. Młodzi nowojorscy wielbiciel muzyki przechodzili koło niej rządkiem, z wyciągniętymi rękami, w oczekiwaniu na insygnium, chwilowy tatuaż, który pozwoli im wyjść ze świata rzeczywistego i wkroczyć w świat za grubą kurtyną, świat ciężkiego, gęstego od dymu mroku, rozbrzmiewającego dźwiękiem i rozjaśnianego cienkimi wiązkami światła. Kiedy brakowało klientów, Aoife stemplowała siebie, raz za razem, aż na skórze jej dłoni i rąk, aż po rękawy, roiło się od pszczoł. Późną porą, gdy klub się zapełniał i zamykano drzwi, stawiała za barem, żeby pomóc w podawaniu drinków, i tam mieszała koktajle, wsuwała słomki, ładowała do szklanek lód i próbując przekrzyczeć muzykę, wrzeszczała ludziom do ucha: „Co podać?”; jej nogi podrygiwały do dźwięku basów, tułów kołysał się do riffów gitarowych, poznaczone pszczołami ręce zginały się i prostowały pod prąd melodii. Muzyka wypełniała jej czaszkę; gdy była w klubie, nie myślała o niczym. Lubiła tańczyć do muzyki wielkookiej tlenionej blondynki, która śpiewała gniewnie z beznamiętą miną, i tego człowieka, który się poruszał, jakby miał w sobie mechanizm, jakby ktoś naoliwił mu zawiasy stawów; mniej zachwycali ją ci, którzy pluli w tłum albo tłukli gitarami o ściany, choćby ze względu na to, że przyciągali rozchwianą, nieprzewidywalną widownię.

Wiedziała, że żadna z tych rzeczy – ani muzyka, ani mieszkanie, ani wyprowadzka – nigdy nie pozwoli jej zapomnieć o tym, co zaszło między nią a Monicą. Na okrągło obracała to w głowie. Przypuszczała, że nigdy tego nie przeboleje, że to, co się między nimi zdarzyło w kuchni w domu Michaela Francisca, pozostanie w niej na zawsze, jak drzazga, której nie da się wyjąć. Próbowwała to naprawić, naprawdę próbowała. Gdy kilka miesięcy po



kuchennym zajściu dowiedziała się, że Monica się przeprowadziła, to choć nadal bolało ją to, co od niej usłyszała, choć jej słowa poruszyły ją do głębi, wsiadła w pociąg do Gloucester. Tam autobus zawiózł ją do miejsca, w którym zamieszkała Monica, dziwnego, jakby wiejskiego domu, niczym z dziecięcego rysunku albo pocztówki z Anglii, położonego przy końcu długiej uliczki biegnącej pod sklepieniem drzew. Chciała zapytać, co się stało, dlaczego Joe odszedł, dlaczego się nie kontaktujemy, co ty tu robisz? Ale ten facet, Peter, podszedł do drzwi i powiedział, że Aoife nie jest mile widziana i byłby wdzięczny, gdyby ich już nie odwiedzała. Aoife stała na wytartym progu domu siostry i musiała się przytrzymać klamki, żeby się upewnić, żeby potwierdzić, że owszem, zamknięto jej drzwi przed nosem, jej siostra jest w środku i wysłała swojego męża, narzeczonego czy kim on tam jest – Aoife spotkała go tylko raz i wątpiła, żeby Monica długo go znała – do drzwi, żeby kazał jej odejść, odjechać i więcej nie wracać. Czy Monica obserwowała ją z domu? Zastanawiała się nad tym później. Czy stała za firanką i patrzyła, jak Aoife tkwi w progu, a jej twarz żłobią łyzy? Aoife starła je i ruszyła alejką, prawie potykając się o kota, a skręciwszy za róg, na ulicę, musiała się zatrzymać i wesprzeć dłonią o mur, bo tak drżała, że nie mogła dalej iść.

W Nowym Jorku za dnia układała tubki farby w sklepie z artykułami dla artystów, sortowała pędzle według rozmiaru i polerowała szklane gabloty, aż mogła się w nich przejrzeć, a wtedy zawsze zaskakiwało ją to, jak poważnie wygląda.

Ale przede wszystkim żyła. Dalej zdobywała się na drobne akty życia. Dalej pilnowała, żeby – jak powtarzała sobie w głowie – życie uchodziło jej płazem. Nikt jej nie zdemaskował. Co wieczór kładła się do łóżka i zamykała oczy z ulgą, że minął kolejny dzień, w którym nikt jej nie przejrział.

Z biegiem lat do perfekcji opanowała kilka wypróbowanych metod tuszowania swoich problemów ze słowem pisanym. Twierdzi, że ma słaby wzrok albo zapomniała okularów, albo oczy jej się przemęczyły. W restauracji lub barze zamyka menu – nie za szybko, nigdy nie za szybko – obraca się do osoby, która jej towarzyszy, i mówi z poufałym półuśmiechem: może zamówisz za mnie? Ma oko do wychwytywania osób, które z największą ochotą zademonstrują swoją prędkość czytania, staranność pisma lub talent stylistyczny; wyszukuje je i pyta bezceremonialnie: czy

mógłby pan, mogłaby pani wypełnić za mnie ten druk, bo widzi pan, widzi pani, moje pismo jest nieczytelne, wszyscy to mówią. Umie swobodnie podać kartkę albo książkę osobie w pobliżu i powiedzieć: proszę mi to przeczytać, a potem słucha tak uważnie, w takim skupieniu i – niczym stenografistka – uruchamia część umysłu odpowiedzialną za rejestrowanie informacji, tak że gdyby ktoś miał ją zapytać o treść usłyszanego tekstu, odtworzyłaby ją bezbłędnie. Pierwszego wieczora za barem w klubie poprosiła barmana, żeby jej wskazał, która butelka jest która, i wyrecytowała sobie nazwy pod nosem jak nowennę, od początku do końca i od końca do początku, egzaminując się na okrągło, aż umiała je odnaleźć w ciemno: whisky pierwsza z lewej, potem burbon, gin, rum i wódka. Nikt się nie zorientuje. Oto jej cel, oto, do czego dąży w każdej chwili każdego dnia: żeby nikt się nie zorientował. Światu jawi się jako osoba nieco dziwna – wie o tym – ale ogólnie nieszkodliwa, może trochę czujna, trochę zdystansowana, ale jej tajemnicy nikt nie zna. Nikt nie ma pojęcia, że gdy przekrzywia głowę i mówi: zamów za mnie, dobra?, albo gdy odwraca się do rzędu przestawionych butelek z alkoholem, każdej z wypukłym okiem cyklopa, szczęka zaciska jej się z napięcia i przerażenia, że ktoś ją zdemaskuje.

Nie umie czytać. Oto jej ukryta prawda. Ze względu na to musi wieść podwójne życie: ten fakt przesycą każdą cząsteczkę jej istnienia, określa ją w jej własnych oczach, zawsze i na zawsze, ale poza nią nikt nie wie. Ani znajomi, ani współpracownicy, ani rodzina – zwłaszcza rodzina. Ukrywała to przed nimi wszystkimi, przez całe życie czuła, że ta tajemnica aż z niej kipi.

Mieszkała w Nowym Jorku od sześciu miesięcy, może dłużej, może od roku, nie ma głowy do takich spraw, i pewnego dnia, układając w sklepie szkicowniki – a w głowie kręciło jej się ze zmęczenia, bo pracowała w klubie do czwartej rano – zobaczyła przez okno Evelyn Nemetov. Patrzyła na szyld sklepu, który z miejsca, w którym stała Aoife, wyglądał jak AKUTZS AŁZEIN albo czasem IEŁAKSNAZTUZ albo ANIEZŁSZKATU albo ZŁZTAAZŁZTUK. Aoife natychmiast ją rozpoznała: w Londynie kilkakrotnie odwiedzała jej wystawy. Proszę, Evelyn Nemetov, na chodniku w Nowym Jorku, w płaszczu przeciwdeszczowym za dużym o kilka numerów i zsuniętym na oczy płóciennym kapeluszu; stoi sobie z rękami w kieszeniach, jakby była przeciętną zjadaczką chleba. Aoife zaś odniosła wrażenie, że to grecka

bogini zmaterializowała się właśnie tu, na Pięćdziesiątej Drugiej ulicy; postanowiła złożyć wizytę śmiertelnikom w Nowym Jorku, żeby się przekonać, jak się żyje, a potem powrócić do swej niematerialnej, boskiej formy. Aoife stała jak wryta z plikiem szkicowników w ręce i modliła się, żeby Evelyn Nemetov weszła, żeby otworzyła drzwi i weszła. I po chwili tak właśnie się stało. Co więcej, podeszła wprost do Aoife i wyjaśniła, że szuka taśmy, nie byle jakiej taśmy, tylko takiej, która ma klej po obu stronach. Czy Aoife wie, o co jej chodzi? Nigdzie nie może jej dostać. Dwustronna taśma klejąca, odgadła Aoife, wypowiadając pospolite słowa do Evelyn Nemetov, jakby ta co najmniej mogła ją zrozumieć. Tak, odparła Evelyn Nemetov, dostanę ją u pani? Tak, powiedziała Aoife. I poszła po nią, a kiedy nabijała towar na kasę, obróciła się do Evelyn Nemetov i zapytała: może pani potrzebuje asystentki, mogę być pani asystentką, proszę się zgodzić, proszę mi tylko dać szansę.

Gdy po raz pierwszy przyjechała do Nowego Jorku, nikogo nie знаła, obsesyjnie przyglądała się rodzinom, czuła się rozbita jak miasto, ale potem znalazła klub i poznała Evelyn i wszystko się odmieniło.

Aoife dociera na ostatnie piętro budynku i grzebie w kieszeni w poszukiwaniu kluczy. Popycha ramieniem ciężkie drzwi i ostrożnie wciąga za sobą torbę.

W tym momencie zawsze chce jej się krzyczeć. Tak się przecież robi, gdy się wchodzi do mieszkania, w którym ktoś na nas czeka, prawda? Ale zawsze musi się hamować. Evelyn nie lubi krzyków; podrywają ją z miejsca i rozpraszają. W końcu to nie jest całkiem zwyczajne mieszkanie.

Aoife kroczy po podłodze w swoich za dużych butach. Gdyby musiała, mogłaby przechodzić przez te pokoje nocą, nawet przy awarii prądu. Wie, co gdzie leży, gdzie co trzeba odkładać. Poproszona, jest gotowa odnaleźć cokolwiek w ciągu dwóch minut. Na tym w końcu polega jej praca. Ale przynosi jej to osobliwą, nieznaną satysfakcję, bo nie słynęła dotąd ze zdolności organizacyjnych, z wiedzy o tym, co i gdzie. Gdyby członkowie jej rodziny się dowiedzieli, że jest w tym dobra, że sobie radzi, roześmialiby się i rozdziawili usta ze zdumienia. Ale nie wiedzą i nikt im nigdy nie powie.

– To ty? – słyszy cichy głos Evelyn, dobiegający chyba z ciemni.

– Tak – mówi Aoife.

– Mój Boże, myślałam, że ktoś cię porwał. Zjadły wilki. Przyłączyłaś się do

sekty czy coś takiego.

– Aż tylu wrażeń nie miałam.

– Nie było cię kilka godzin.

– Przepraszam – mówi Aoife, kładąc na chwilę dłoń na drzwiach ciemni.

– Metro, kolejki, sama wiesz. Idę odłożyć filmy.

Evelyn przez większość życia zajmuje mieszkanie piętro wyżej; tę przestrzeń wykorzystuje jako miejsce do pracy, studio, azyl. Aoife idzie do pokoju, który służy jako magazyn: niegdysiejsza sypialnia zastawiona jest teraz regałami, gablotami i szafkami. Od podłogi do sufitu, pod oknami, do górnych framug i wyżej ciągną się przegródki. I każda jest opisana: „film cz.b.”, „film kol.”, „filtry”, „osłony”, „zapasowe paski”. Aoife nawet nie patrzy na te etykiety, przygotowane przez kogoś z jej poprzedników, ponieważ zapamiętała zawartość, gdy przyszła tu po raz pierwszy. Po powrocie do domu stanęła przy osłoniętej wannie i rozrysowała sobie schemat przegródek: kreśliła strzałki i pokrywała arkusz własną bazgraniną, czasem biegnącą wstecz. Efekt tych starań, czytelny wyłącznie dla niej samej, przypięła do drgającej powłoki lodówki, aż nauczyła się go na pamięć.

Pod drugą ścianą stoją szafki z archiwami Evelyn – masą pudeł z negatywami i stykówkami, szuflady wypełnione wykazami fotografowanych osób, honorariów i zleceniodawców. Segregator za segregatorem, a każdy pełen umów, zeznań podatkowych, listów od fanów i niefanów.

Aoife zawsze trzyma się z dala od tej części pokoju. A to z biegiem dni staje się coraz bardziej kłopotliwe. Zaczęła już śnić o tej ścianie, ściana zakłóca jej życie nocne. Przychodzi jej nieoczekiwanie na myśl, gdy Aoife przybija pieczętki do skóry melomanów i gdy z hukiem stawia na barze drinki z whisky.

Jak dotąd udawało jej się wywinąć. Ale wie, i wie o tym też ściana pokoju, że długo tak nie pociągnie.

Inni asystenci z tej samej branży, z którymi rozmawiała, twierdzili, że nigdy nie robią niczego poza archiwizowaniem, odbieraniem korespondencji, wystawianiem faktur; gderali, że właściwie są tylko sekretarzami. To niebywałe, że Evelyn bierze cię na zdjęcia, mówili; nawet nie wiesz, jaka z ciebie szczęściara.

Ale Aoife nie uważa się za szczęściarę. Ma poczucie, że jest przeklęta, jak

ci bohaterowie podań ludowych, których jakaś okrutna istotna wyższa wybrała na chybił trafił i skazała na życie ze skrzydłem zamiast ręki albo zamieszkanie pod ziemią, albo przeobrażenie się w gada. Nie umie czytać. Nie umie robić tego, co innym przychodzi naturalnie i bez najmniejszego trudu: patrzą na układ atramentowych kształtów na stronie i niczym alchemicy nadają im znaczenie.

Umie tworzyć litery, umie je formować stalówką pióra lub grafitem ołówka, ale nie umie ich ustawić we właściwej kolejności, w ciągu, który byłby zrozumiały dla kogoś innego. Umie ułożyć słowa w głowie – gromadzi je tam, snuje zdania, paragrafy, całe książki; w myślach umie piętrzyć słowa, ale nie umie ich poprowadzić po ręce, przez palce i na kartkę. Nie wie, dlaczego tak się dzieje. Podejrzewa, że jako niemowlę natknęła się na czarnoksiężnika, który wstał tego dnia lewą nogą i gdy ją ujrzał, mijając głęboki wózek, postanowił za pomocą nieodwracalnej klątwy wyssać z niej tę magiczną umiejętność i skazać na wygnanie, wyrzucenie na łąd analfabetyzmu i niewiedzy.

Pierwszego dnia w studiu Evelyn wręczyła jej umowę i poprosiła o przejrzenie jej i uzupełnienie. Aoife wzięła dokument, położyła na stole, a po wyjściu Evelyn nachyliła się nad nim i zakryła dłonią lewe oko. Naraz poczuła na piersiach miazdzący ciężar i trudno jej było nabrać powietrza. „Proszę”, mówił głos w jej głowie, nie wiedzieć do kogo. „Proszę, proszę”. Obym przez to przebrnęła, ten jeden raz. Zrobię wszystko, absolutnie wszystko. „Umowa” – to odczytała, na samej górze strony. Dobrze. Evelyn powiedziała, że to umowa. A może jest napisane „Mowa”? Czy jest tam o? Aoife przycisnęła mocno lewe oko nasadą dłoni i prześledziła teraz już falujący ciąg liter składających się na słowa. Czy jest tam o, a jeśli tak, to w którym miejscu? Przed w czy po w, czy obok m? Poczuła, jak panika zapycha jej gardło, więc powiedziała sobie, że trzeba zostawić umowę, mowę czy co to tam, u diabła, jest, i spojrzeć na całą stronę, a gdy to zrobiła, wiedziała, że już po niej. Na leżącej na stole kartce roilo się od tekstu, nieprawdopodobnie drobnego tekstu o ścisłym druku; słowa pełzały po bieli jak rzędy czarnych mrówek. Zbijały się w roje i rozpraszały na jej oczach, wytapiały się ze swej linearnej prawobieżnej struktury i układały w długie, migoczące kolumny, od góry do dołu; kołysały się i zginały jak długie trawy na wietrze. Przez moment zdawało jej się, że c już ma objąć puste ramiona h;

dostrzegła a w pobliżu o, co przywiodło jej na myśl układ liter w jej własnym imieniu. Uchwyciła na krótko zbitkę liter ułożonych w wyraz „realizacja”, a może „reanimacja”, ale po chwili nie było po nich śladu. Z trudem powstrzymywała się od płaczu, wiedząc, że już po wszystkim, że ta praca, ta szansa, którą jej dano, została zaprzepaszczona, jak i wcześniej wiele innych, i zastanawiała się właśnie, czy nie wyjść, gdy usłyszała w korytarzu kroki Evelyn.

Aoife nie przypomina sobie dokładnie momentu, w którym podjęła decyzję. Pamięta tylko, że chwyciła kartkę za róg, uniosła i odłożyła, zaledwie opuszkami palców, jakby papier wydzielał toksyczną substancję. A potem wsunęła ją do niebieskiej teczki i odłożyła do pudła stojącego na szafce na dokumenty.

– Umowa załatwiona? – spytała Evelyn, wchodząc do pokoju.

A ponieważ Aoife zależało na tej pracy, tak strasznie jej na niej zależało – bo dlaczego niby nie miałyby mieć dobrej pracy, ciekawej pracy, jak inni ludzie, szlag by trafił tego czarnoksiężnika – obróciła się, wyprodukowała swój poufały półśmiech, złożyła dłonie i powiedziała:

– Tak. Załatwiona.

A teraz, w magazynie Evelyn, wypakowuje filmy z pudełek i zaczyna je odkładać na właściwe miejsca.

Od tamtego dnia, przez te wszystkie miesiące przepracowane u Evelyn, niebieska teczka w pudle na szafie napęczniała i urosła. Każdy świstek, każdy otwierany list, każdy wniosek lub podanie lub umowa, która przechodzi przez drzwi – wszystko łąduje tam. Kartki z liczbami i symbolami dolara – czeki i rachunki, i faktury – odsyła prosto do biura rachunkowego, więc przynajmniej ma pewność, że nie zakłóca przepływu gotówki. Ale poza tym wszystko idzie do teczki. Aoife wróci do tego później. Gdy będzie mogła. Gdy tylko wykombinuje, jak to zrobić. A robi to. To tylko kwestia czasu. Lada dzień sięgnie po niebieską teczkę, wybrzuszoną i pękającą w szwach, i jakoś się z nią rozprawi. Tak czy inaczej.

Wsuwa do przegródek pojemniki z filmem, jeden za drugim.

– I jak wyszły? – woła.

W progu pojawia się Evelyn. Wysoka z niej kobieta; przewyższa drobną Aoife co najmniej o głowę. Mysie włosy ma zaczesane do tyłu i upięte czymś, co przypomina spinacz biurowy; z jej koszuli, najwyraźniej pożyczonej

kiedyś od męża, zwisa kilka klamerek do bielizny. Długie, żyłaste ręce trzyma skrzyżowane na piersiach.

– Sama nie wiem – mruczy swoim chropawym głosem nałogowej palaczki. – Jakież takie ziarniste.

Aoife przenosi na nią spojrzenie.

– Ale ziarno to... czasem nic złego, prawda? – mówi ostrożnie. Nigdy nie wiadomo do końca, kiedy Evelyn potrzebuje słów otuchy, a kiedy tylko milczącego zrozumienia.

– Nie, nie ziarniste – Evelyn przesuwając dłonią po półce. Nieruchomieje na widok kartonu z żarówkami i marszczy brwi. – Mroczne.

– Mroczne?

– Mroczno-ziarniste.

Aoife sięga po ostatnie pudełko z filmem.

– Odesłałaś tę umowę do redakcji? – pyta nagle Evelyn.

Ścianki pudełka są śliskie, pozbawione faktury; pudełko wysuwa się Aoife z palców i spada na ziemię, jak przyciągnięte magnesem.

– No... – gra na zwłokę, szukając dłonią filmu na płytkach podłogowych. – Dałabym głowę, że...

– Dziwne – mruczy Evelyn, która teraz stoi już przy oknie. – Dzwonili i mówili, że jej nie mają, ale...

– Musisz się już zbierać – wtrąca Aoife.

– Tak? – odwraca się Evelyn.

– Tak. Za dwadzieścia minut musisz być w centrum.

– O. Umówiłam się na lunch z... tym, jak mu tam, tak?

– Jak mu tam? – Aoife unosi brew. Niezdolność Evelyn do zapamiętywania imion i nazwisk od dawna jest dla nich powodem do żartów.

– Dan? Bob? Nie... Paul – mówi Evelyn, wyławiając z kieszeni do połowy wypalonego papierosa. – Paul... jakiś tam. A! – woła, wymachując triumfalnie kruszącym się niedopałkiem. – Allanson. Paul Allanson.

– Blisko – odpowiada Aoife, wskazując klamerki na koszuli Evelyn. – Allan Paulson. Kustosz MoMA.

Evelyn podchodzi i wyrzuca ręce w górę, a Aoife z trzaskiem usuwa klamerki.

– Nie pozwól się zaprosić byle gdzie.

– Wezmę ci coś na wynos. Jakoś nie mogę jeść w tych wszystkich restauracjach.

– Dziękuję – Aoife wyjmuje jej z włosów spinacz. – Odprowadzić cię do taksówki?

– Nie – kręci głową Evelyn. – Aż taka beznadziejna nie jestem. Lepiej dalej... – wskazuje głową ciemnię. – I nie zapomnij... – zakreśla dłonią bliżej nieokreślony łuk. – ...zresztą sama wiesz, co robić. Może powinnaś się przejść do sklepu i wrzucić coś do lodówki. Świeci pustkami, aż strach. Weź pieniądze.

– Nic się nie martw – Aoife odprowadza Evelyn do drzwi i tam podaje jej kurtkę oraz torbę.

Przed wejściem na schody Evelyn zatrzymuje się i przytyka dłoń do czoła.

– Ach, rety, byłabym zapomniała. Masz wiadomości na sekretarce. Dzwonił ten facet. Jak mu tam. Ten kuchenny. Mówił coś, że wrócił do miasta. Wiesz co? Idź. Idź do domu. Idź się z nim spotkać. Nie ma tu niczego, co nie może poczekać do jutra.

Rusza w dół po schodach, mamrocząc pod nosem:

– Nie do wiary, że niemal zapomniałam jej powiedzieć, co ze mnie za człowiek, że zapomniałam, że prawie zapomniałam. Jezu, tak się starzeję, że zapominam o najważniejszych...

Aoife wraca do mieszkania i stanąwszy pośrodku studia, splata i rozplata dłonie, aż kostki jej bieleją przez skórę. Przemyka oczy na chwilę czy dwie, w każdym razie na tyle długo, że komory jej serca kurczą się i znów rozszerzają, wypełniając napływającą krwią. Egzekucja wstrzymana. Chwilowo. Znów jej się upiekło, ale – tu przychodzi jej na myśl wyrażenie siostry – zaledwie o włos.

A potem ta chwila pryska. Aoife otwiera oczy. Rozluźnia dłonie i rusza z miejsca; otwiera drzwi do ciemni i puszcza je, żeby same się za nią zamknęły. Znika jak aktorka za kulisami, wessana w mrok.

Automatyczna sekretarka mruga czterema wiadomościami. Pierwsza od wydawcy czasopisma, druga od aktorki, którą Evelyn ma fotografować w przyszłym tygodniu, trzecia, długa, od męża Evelyn opowiadającego o nowym ekspresie do kawy. Następnie na linii rozbrzmiewa kolejny głos: „Cześć Aoife, mówi Gabe. Jestem znów w mieście, nie wiem, na jak długo, i zastanawiam się, czy masz wolne popołudnie. Wiem, że odzywam się



w ostatniej chwili, ale... nieważne... mam nadzieję, że możesz się wyrwać. Możesz oddzwonić... albo nie, tak się nie da. Zadzwoń znowu za jakąś godzinę. Na razie”.

Aoife podnosi słuchawkę, słucha perkotania sygnału i odkłada ją, starając się nie zwracać uwagi na krew, która pulsuje nagle, pulsuje jej na szyi. Pstryk, włącza czerwoną żarówkę i podchodzi do negatywów przyczepionych za końce do rozwieszanej linki. Paski rozpychają się i przemieszczają, jak zwierzęta, które wyczuwają obecność drapieżnika. Aoife podnosi jeden za krawędzie i widząc, że jest suchy, przystawia go do światła: na klatkach rozbłyskują miniaturowe duszki z szeroko rozdziawionymi ustami, rozjaśnionymi końcówkami włosów, ustawione na tle apokaliptycznie ciemnego nieba.

Zdjąwszy nożyczki z haczyka na ścianie – również zamontowanego przez nią samą; o dziwo, bo obsługa młotka i gwoździ to nie jej działka – zaczyna, odliczając na głos, ciąć wywołane negatywy na odcinki po dziesięć klatek.

Odliczanie zawsze przypomina jej, jak pomagała matce w przygotowywaniu kaplicy przed jednym z tych ważnych dni: Wielkanocą albo Bożym Narodzeniem, albo dożynkami. Matka krzątała się przy ołtarzu, wtykając do wazonów lilie i róże, strzepując obrusy, które sama wyprała i wyprasowała, poświęcając na to poprzednią noc, pocąc się i klnąc nad krochmalem, z gorąca i emocji towarzyszących całemu temu przedsięwzięciu. Zadaniem Aoife było rozkładanie na ławkach śpiewników i poprawianie przy okazji przekrzywionych poduszeczek do klęczenia. I przy tej pracy lubiła sobie odliczać. Trzydzieści trzy, trzydzieści cztery, szeptała bez tchu. Trzydzieści pięć, trzydzieści sześć. Mamuś, doszłam do trzydzieści sześć! A matka, nie odwracając się, odpowiadała: idziesz jak burza, co, Aoife? Licz dalej, licz.

I Aoife dalej liczy klatki, tak jak liczyła śpiewniki z pieśniami wielkanocnymi; systematycznie odcina co dziesiątą i odkłada lśniąca paski na śliską stertę.

To wszystko – ta praca, to mieszkanie, to miasto, to, co ma na sobie, to, co robi, kim jest – jest tak odrębne od tego, do czego ją wychowywano, czego ją uczono, czego sama się uczyła, że czasem aż jej się chce z tego śmiać. Myśl o wizycie Evelyn w domu jej rodziców, w jej szkole prowadzonej przez siostry zakonne, jest tak absurdalna jak widok flaminga pośród pasących się

jałówek.

Aoife nie otrzymała żadnego dyplomu na zakończenie szkoły. Zakonnice orzekły, że jest „dosłownie niewyuczalna”. Oblewała wszystkie egzaminy, do których przystąpiła (poza wiedzą o sztuce, z której jakoś się wykaraskała). Na żadnym z arkuszy nie napisała ani słowa. Czasem nie chciało jej się nawet przewracać stron i ograniczała się do pokrywania gryzmołami marginesów.

Miejscowy proboszcz, któremu Gretta już od pewnego czasu suszyła głowę i który regularnie wysłuchiwał jej lamentów o biednej Aoife i o tym, co ona pocnie z taką dziewczyną i co z niej wyrośnie, zaproponował, żeby Aoife pomagała w prowadzeniu szkółki niedzielnej. Zawsze przydawały się osoby, które poczytałyby dzieciom Biblię i pomogły im później w rysowaniu. Może z czasem, zasugerował ksiądz, Aoife mogłaby wykorzystać to doświadczenie i zostać nauczycielką.

Kiedy Gretta wróciła do domu z tą nowiną, Aoife usiadła po ciemku w swoim pokoju i zaczęła wyglądać przez okno. Uznała, że lista rzeczy, których nie umie robić, jest nieskończona. Nie umie rzucić piłki ani jej złapać, nie umie poprawnie pisać, nie umie grać na żadnym instrumencie, nie umie odtworzyć melodii, nie umie się wtopić w otoczenie, zawsze odstaje, zawsze jest zdumiewająco zauważalna, dziwna, inna. Nie umie nawet – i nigdy nie będzie umiała – przeczytać dzieciom przypowieści biblijnej.

Gretta była w siódmym niebie, gdy usłyszała o zajęciach w szkółce niedzielnej. Aoife podsłuchiwała, jak mówiła komuś przez telefon, że obawiają się, rzecz jasna, że Aoife nigdy do niczego nie dojdzie, ale po czymś takim może uda jej się utrzymać na jakiejś przyzwoitej posadzie.

Nietrudno sobie więc wyobrazić, jakie oburzenie wywołała Aoife, gdy pewnego wieczora przy kolacji – Monica i Joe byli w domu, ale Michael Francis nie – oznajmiła, że nie zamierza pomagać w szkółce niedzielnej, że jeszcze tego samego dnia poszła do proboszcza i powiedziała mu, że nie będzie tego robić. Nie chce być nauczycielką, nie ma dobrego kontaktu z dziećmi; to najgorsze, co by ją mogło spotkać.

To była jedna z głośniejszych awantur u Riordanów. Gretta cisnęła na podłogę talerz ze szpinakiem. Później temu zaprzeczyła i twierdziła, że wysliznął jej się z dłoni. W każdym razie szpinak wylądował na dywanie

i przez lata widniała na nim zielona plama, nazywana w gronie rodziny „plamą po szkółce niedzielnej”. Gretta powiedziała, że umrze ze wstydu, że Aoife wpędzi ją do grobu, że sama już nie wie, co ma z nią począć.

Niedługo po tym Aoife znikła. Po prostu wyszła. To było takie proste, że zastanawiała się później, dlaczego tak długo zwlekała. „Trzymajta się”, rzuciła i pomachała z progu, a potem wyszła na słońce. I to by było na tyle, jeśli chodzi o Aoife i Gillerton Road. Dowiedzieli się później, że zamieszkała w squacie w Kentish Town. Michael Francis został oddelegowany do złożenia jej wizyty i zastał ją w pokoju na tyłach domu, siedzącą po turecku na materacu, z na wpół nawleczonymi koralikami w dłoniach, w towarzystwie dziewczyny z gitarą. W squacie były zapleśniałe ściany i jaskrawopomarańczowa tapeta, na kuchennym okapie siedziała papuga, a w ogródku brodaty mężczyzna przekopywał grządki. Michael Francis, indagowany przez Grettę, wyznał, że Aoife ma się dobrze. Dobrze, wrzasnęła Gretta, dobrze? A co je? Z kim mieszka? Czy wygląda na chorą, nieszczęśliwą? Ma pracę? Czy rozmawiał z nią o zajęciach w szkółce niedzielnej? Czy przyzwyciężyła się ubiera? Czy mieszka pod jednym dachem z mężczyznami? Z mężczyznami, wzruszył ramionami Michael Francis, i z kobietami. Całym tłumem. Gretta nie mogła wydusić tego, o co naprawdę chciała zapytać, czyli czy Aoife z którymś z nich sypia? Co jeszcze?, dopytywała, powiedz coś jeszcze. Po chwili namysłu Michael Francis uzupełnił, że ma chyba inną fryzurę. Jak to inną, nie ustępowała Gretta, pod jakim względem? Ma dłuższe włosy, pokazał gestem na własnej głowie, z wplecionymi koralikami.

Koraliki we włosach? Tego już było za wiele. W gronie Riordanów uznano zgodnie, że Aoife Zeszła Na Złą Drogę. Między Grettą i Monicą krążyły pogłoski o Aoife i narkotykach; Aoife i mężczyznach; Aoife i kolejce po zasiłek. W pewnym momencie Monica twierdziła, że koleżanka koleżanki widziała Aoife nad kanałem w Camden, jak sprzedawała rozłożone na kocu torebki z łatek. Sama Aoife nigdy tego nie potwierdziła, ale też nie zaprzeczyła. Ktoś powiedział Michaelowi Francisowi, że widział ją na piętrze autobusu w okolicy King’s Road, w towarzystwie mężczyzny w fioletowych dzwonach. Tę informację zachował dla siebie. Od czasu do czasu Aoife wpadała na Gillerton Road na niedzielny lunch, ale na pytania Gretty o sposoby zarobkowania, styl życia, czy ubiór, uśmiechała się enigmatycznie

i dokładała sobie ziemniaków.

Prawda była taka, że dała sobie pięć lat. Nie wiedziała, czego chce, więc popróbowowała wszystkich rzeczy, które jak sądziła, mogłyby się jej spodobać. Rozpoczęła wieczorowy kurs ceramiki, ale zrezygnowała po pierwszym semestrze. Pomagała znajomemu, który prowadził firmę ogrodniczą (brodaczowi, którego wysledził Michael Francis przez okno squatu). Pracowała w herbaciarni Muzeum Brytyjskiego. Przespała się z paroma mężczyznami, potem z następnymi, a następnie z kilkoma kobietami. Próbowała trawy, potem LSD, ale uznała – podobnie jak w przypadku sypiania z kobietami – że to wprawdzie przyjemne, ale nie dla niej. Wiedziała, czego szuka: czegoś, co rozpali pożar w jej życiu, zagrzeje ją do działania, do zmiany, do samoistnego rozpędu. Ale jak dotąd niczego takiego nie znalazła. Podobała jej się ceramika; podobały jej się poranki w muzealnej herbaciarni na długo przed godzinami szczytu, gdy przesiadywali w niej tylko naukowcy, snujący swoje zawile przemyślenia nad czerstwymi bułeczkami; nie podobało jej się ogrodnictwo, które uznała za podwórkową odmianę prac domowych, ani kwas, ani zapleśniałe ściany squatu. Znalazła pracę jako scenografka w BBC i przez chwilę zdawało jej się, że może właśnie tego szukała. Umiała to robić, była w tym niezła; miała pożądaną pamięć fotograficzną, pożądane zamiłowanie do szczegółu. Umiała skomponować scenografię w głowie, a potem odtworzyć ją w studiu. Ale gdy po raz piąty polecono jej urządzić salon w stylu regencji, poczuła, że jej uwaga zaczyna się rozpraszać i błąkać.

Przy szóstym salonie z epoki regencji nastąpił rozłam z Monicą, bo tak Aoife o tym myśli: że rozszczepiły się na dwoje niczym drzewo uderzone przez piorun; najpierw sprawa ze szpitalem, potem Joe odszedł w taki, a nie inny sposób, potem Peter zamknął jej drzwi przed nosem, tak szybko, że musiała się wycofać. Co za szok, co za ponizenie. W końcu to prawie obcy facet. A jej siostra w domu, gdzieś za nim; i ta świadomość, że Monica tam jest. Idąc ścieżką, zapragnęła nagle odrzucić w tył głowę jak wilk i zawołać ją po imieniu – Monica! Monica! – tak jak wtedy, gdy była mała i Monica się nią opiekowała, bo matka gdzieś wyszła, i Aoife nie mogła jej znaleźć, straciła ją z oczu gdzieś w domu. Stała w przedpokoju i wykrzykiwała jej imię, a w piersiach narastało jej przerażenie. Kształty przesuwały się i przesuwały za witrażowym słońcem na szybie z drzwi wejściowych; a co, jeśli jeden

z nich skręci, podejdzie ścieżką i pokaże się za żłobioną szybą, ogromny i bezimienny? Zaczynała ją niepokoić przestrzeń pod kanapą, to, że miejscami fragmenty wyściółki zwisają bezwładnie jak ciała gryzoni. I ten otwór w listwie przypodłogowej, nad którym wisiał kiedyś bojler – straszliwe ujście mrocznych i zaśmieconych kiszek domostwa. Doszła do przedpokoju, ale ani kroku dalej, bo nie mogła wspiąć się po schodach i ryzykować, że na górze nikogo nie będzie i zostanie tam sama; włączniki światła za wysoko na ścianie, żeby mogła ich dosięgnąć, zasłony niezasunięte jeszcze przed ciemnością, wołała zatem siostrę po imieniu, raz za razem. Monica zawsze przybywała. Zawsze. I zawsze pędem. Pędziła do niej po schodach. Pędziła, żeby pochwycić ją w ramiona, przytulić jej twarz do miękkiej wełny swetra, który nazywała bliźniakiem. Byłam niedaleko, mówiła, zupełnie niedaleko. I przyrządzała Aoife grzankę z cynamonem, żeby poprawić jej humor.

Na ścieżce przed wiejskim domkiem Aoife prawie potknęła się o kota o kłaczkowatej czarnej sierści i zapragnęła znów tak zawołać siostrę, zapragnęła, by podbiegła do niej i powiedziała: zupełnie niedaleko. Ale wyminęła tylko kota, choć ten zbliżał się do niej z ogonem jak znak zapytania, i odeszła zasypaną liśćmi drogą.

W ciemni Evelyn Aoife pstryka włącznikiem powiększalnika i w rzucanym przezeń stożku białego światła układa paski negatywu, ustawiając klatki tak, jak lubi Evelyn: każda uchwytuje jakiś moment w życiu; pszczoła pod odwróconą szklanką.

Właśnie dokłada ostatni, gdy ciemnię ożywia dzwonek telefonu. Aoife jednym susem pokonuje pokój i podnosi słuchawkę.

– Studio Nemetov, mówi Aoife.

– Cześć.

Aoife osuwa się na podłogę, niemal z ulgą, i wciąga telefon na kolana.

– Wróciłeś – mówi.

– Tak. Przyjechałem rano. Pociągiem. A właściwie kilkoma pociągami. Nie uwierzysz, jak długo byłem w drodze.

– Wszystko mi opowiesz.

– Serio? – słyszy uśmiech w jego głosie. – Możesz się wyrwać?

– Pewnie. Evelyn poszła na lunch i dała mi oficjalnie wolne na resztę dnia.

– U ciebie? Za pół godziny? Czterdzieści minut?

– Do zobaczenia.

Przerzuca stykówki na jedną kupkę, opróżnia kuwety i płucze je pod kranem. Gdy wylania się z ciemni, zaskakuje ją rozbłysk popołudniowego słońca, dziwi to, że mieszkanie nie odpowiada takim samym mrokiem, jakby straciła rachubę czasu, pory dnia i roku. Aoife rzuca się po mieszkaniu w poszukiwaniu porzuconej kurtki, okularów przeciwsłonecznych, kluczy, torby. Schodzi po schodach, na ulicę i dalej do metra.

Peron jest zatłoczony, a upał paraliżuje, ale przejeżdżające jeden za drugim pociągi przynoszą nieoczekiwane i ożywcze powiewy. Aoife zajmuje miejsce pośród innych oczekujących. Na lewo dwóch mężczyzn spiera się po włosku, przy czym jeden dla podkreślenia swoich słów klepie się dłonią w czoło; na prawo stoi starsza dama w lisiej etoli i koronkowych rękawiczkach. Z jakiegoś powodu Aoife przychodzi na myśl matka. Gretta powiedziała jej kiedyś, że jej ciotka miała etolę z lisa i że bardzo jej się podobało, jak dzięki wszytej sprężynie można było zacisnąć pyszczek na ogonie.

Aoife stoi na peronie z rąbkiem sukienki poruszany przez podziemne podmuchy i rozmyśla o swojej matce jako dziewczynce, z pyszczkiem lisa w dłoniach. A potem nadjeżdża pociąg i Aoife rusza z miejsca. W ścisłości wsiadających podróżnych pozwala, by lisie wąsy otarły jej się o rękę.

Gdy wynurza się przy Delance Street, dociera do niej, że powinna się wybrać do sklepu. Potrzebuje mleka, potrzebuje płatków, bochenka chleba – podstawowych produktów, które są zazwyczaj w domach. Staje z wahaniem przed sklepem, przygląda się wystawionym pomarańczom, sięga po brzoskwinię i waży ją w dłoni, czując jej twardość, jej mysią skórkę. Kobieta z dzieckiem usadzonym niepewnie na biodrze sięga ponad nią po kiść bananów i mówi, jakby do samej Aoife: dostajesz to, na co zasługujesz. W progu jakiś dziadek pracowicie przelicza monety, przekładając je z ręki do ręki. Aoife czuje, jak niecierpliwość spowija ją niczym peleryna; uznaje, że nie zniesie wejścia do sklepu, nie zniesie czekania w kolejce do kasy. Odkłada ostrożnie brzoskwinię i owoc mości się pośród podobnych sobie. Gdy odchodzi, dziecko z przenikliwym wyciem odmawia podanego mu banana.

Aoife wsuwa się do mieszkania z uczuciem takiej ulgi, jakby go nie widziała od tygodni. Opiera się o drzwi, żeby je zamknąć, i opuszcza torbę

na podłogę; rzuca klucze na deskę przykrywającą wannę, wygładza pościel i zaczyna wkopywać pod łóżko przeróżne przedmioty: pojedyncze ubrania, brudne kubki, buty nie do pary. Upycha właśnie na dno szafy kłęb pozbieranych ubrań, gdy rozlega się stukanie do drzwi i nagle Gabe już tu jest, podnosi ją z ziemi i ma krótsze włosy, i mokrą kurtkę, i mówi coś o dziadowskiej dzielnicy i że trzeba być chyba niespełna rozumu, żeby tu mieszkać.

Aoife poznała Gabe'a na zdjęciach, trzy miesiące wcześniej. Evelyn przygotowywała portrety ludzi w ich miejscach pracy. Sfotografowała już tatuażystę wywijającego igłą w swoim salonie, psią fryzjerkę przy rządzie szczotek, garderobianą za kulisami w Metropolitan Opera, z ustami jeżącymi się od szpilek. Ostatni w serii miał być szef kuchni znany z wybuchowego charakteru, żelaznej konsekwencji w nieujawnianiu przepisów kulinarnych oraz z tego, że przed jego restauracją ustawiają się ochoczo ogonki czekających na stolik manhattańczyków.

Evelyn chciała, żeby Arnault, szef, pozował oparty o blat w swojej kuchni. Kuchnia jej się spodobała, Aoife od razu to zauważyła; para i lśniaca stal, listwy z nożami, stosy talerzy, huczące jak smoki palniki. Ale Arnault miał inny pomysł. Chciał mieć zdjęcie w swoim szycym na miarę garniturze, pośród luster, świec i pozłacanych krzeseł we wnętrzu restauracji.

Aoife nie wtrącała się do dyskusji. Rozpakowywała torby. Rozkładała statywy. Ustawiała światło i przyklejała taśmą kable do podłogi, żeby nikt się nie potknął. Wkładała filmy do aparatów, układała w rządzie obiektywy, które, jak sądziła, mogą się przydać. Rozłożyła blendę i oparła ją o ścianę. To wszystko robiła w kuchni; wiedziała, że Evelyn postawi na swoim. I rzeczywiście, właśnie gdy robiła polaroidem zdjęcia z różnych stron, Arnault wrócił do kuchni w swojej kucharskiej bieli. Aoife nie patrzyła mu w oczy, zajęta rozkładaniem schnących odbitek dla Evelyn.

Ale Evelyn na nie nie spojrzała. Rzadko jej się to zdarzało. Weszła do kuchni, przesunęła się pod okno, a potem z powrotem. Przez chwilę stała i patrzyła, jak młodszy kucharze kroją warzywa w plastry i kostkę.

A potem zaczęła się przemieszczać szybko, ale niepostrzeżenie, prawie bez słów. Poprosiła Arnaulta, żeby usiadł na błyszczącym chromowanym blacie. W każdej ręce miał trzymać nóż. Jego biały kitel był do połowy rozpięty, a włosy gładko zaczesane pod zsuniętą na tył głowy czapką. Evelyn

ustawiała modela, a Aoife spoglądała w tym czasie przez obiektyw. W zniekształconym, rozwodnionym, wypukłym oku aparatu niedźwiedzia sylwetka restauratora wydawała się pomniejszona, ale Aoife wiedziała już, że na gotowym zdjęciu będzie sprawiał wrażenie ogromnego, wyniosłego, dominującego.

Wtedy przy jej łokciu pojawiła się Evelyn. Umiała się poruszać w szczególny sposób, tak że prawie się jej nie zauważało. Spojrzała na Arnaulta czy raczej przez niego lub za niego, bo właśnie się odwrócił i zrugął jednego z pomocników za jakiś dawny występ.

Aoife wręczyła Evelyn polaroid.

– Nie byłam pewna, czy zechcesz...

– Lampy – uzupełniła Evelyn.

– Więc ich nie włączałam. Ale jeśli chcesz...

– Nie. Nie trzeba. Podoba mi się... – zamilkła, wskazując coś, co w jej przekonaniu Aoife widziała. – Ale nie mam pewności co do...

Z przekrzywionymi głowami przyglądały się Arnaultowi, który ustawiony profilem nadal kogoś łajał.

– Można by go przesunąć – zaproponowała Aoife.

– Hmm... – Evelyn się odwróciła i obie przyjrzały się pustemu miejscu przy oknie. – Ale ci *sous-chefs*...

– Su... co?

– *Sous-chefs*. Zastępcy szefa kuchni. Jak zwał, tak zwał. Podobają mi się.

– A. Może za nim?

– Tak. Po dwóch...

– ...z każdej strony.

Aoife ustawiła ich w kadrze. Jeszcze raz spojrzała przez obiektyw i uśmiechnęła się. Z tego miejsca *sous-chefs* wydają się mali; drobne gnomy za plecami mistrza.

Evelyn wyciągnęła rękę po polaroid. Rzuciła okiem, odsunęła włosy z twarzy, podeszła do aparatu i Aoife się przekonała, jak zawsze w tym momencie, że robi wydech, przeciągle wypuszcza powietrze w oczekiwaniu na krzepiące pstryk-drr-pstryk skomplikowanego wewnętrznego mechanizmu aparatu.

Ale słyhać było tylko ciszę. Evelyn się wyprostowała. Zmarszczyła brwi.

– O! – powiedziała.



Aoife rzuciła się naprzód.

– Co?

Rzuciła okiem na aparat, zbadała natężenie światła w pomieszczeniu.

– Co się dzieje?

Spojrzała znów na Arnaulta i zauważyła, że coś się nie zgadza. Ale co? Arnault siedział złowrogo przyczajony na blacie, za nim kulili się *sous-chefs*; noże błyskały przyjemnie w słońcu. Ale czegoś brakowało. Wtedy się zorientowała, że nie ma jednego z zastępców. Wyszedł. Zamiast czterech było teraz trzech.

Aoife znalazła go na tyłach budynku, palącego papierosa przy kubłach na śmieci.

– Cześć – zaczęła, z trudem hamując się przed złapaniem go za rękaw i wciągnięciem do środka. – Jak już skończysz, to czy mógłbyś...

– To Evelyn Nemetov, prawda? – wszedł jej w słowo.

Aoife uniosła brwi.

– Tak.

– Tak myślałem – zaciągnął się. – Niezły numer, chociaż przypuszczam, że on – tu wskazał głową kuchnię – nie ma zielonego pojęcia, z kim ma do czynienia.

– No tak. Słuchaj, musisz naprawdę...

– Widziałem jej wystawę w MoMA. Coś niebywałego. Te zdjęcia rodzin żyjących na ulicy. Pracowałaś z nią wtedy?

– Eee... tak – Aoife skinęła głową i zaraz nią pokręciła, zdezorientowana kierunkiem, w którym podąża ta rozmowa. – Pracowałam. Jak ci się wydaje, czy...

– Asystowanie jej to musi być fantastyczna sprawa.

– I jest. No więc byłoby super, gdybyś zechciał wrócić do kuchni, bo...

– Nie mogę być na waszym zdjęciu.

Aoife otworzyła szeroko oczy. Był mniej więcej w jej wieku, może nieco starszy. Miał mlecznobłądą cerę człowieka, który spędza za mało czasu na dworze, chudą sylwetkę, nieposkromione czarne włosy, które za wszelką cenę chciały się wydostać spod czapki, i tęczówki tak ciemne, że skrywały źrenice. Stał z założonymi rękami oparty o kubel i patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Ono zostanie opublikowane, prawda? W czasopiśmie, w gazecie.

Bardzo bym chciał na nim być. Ale nie mogę.

Aoife przestąpiła z nogi na nogę.

– Nic rozumiem. Co takiego...

Zaśmiał się krótko i rzucił niedopałek na ziemię.

– Angielka, prawda?

– Nie.

– Gadasz jak Angielka.

– Ale nią nie jestem.

– To kim jesteś?

Aoife westchnęła.

– Zapracowanym człowiekiem, jeśli chcesz wiedzieć. Słuchaj, potrzebujemy za nim czterech ludzi. Ujęcie wyjdzie do kitu, jeśli będzie trzech. Naprawdę musisz wrócić do...

– A może pan założy ciemne okulary? – Evelyn wyrosła jak spod ziemi i stanęła między nimi. – I nasuniemy panu czapkę na oczy? Co pan na to?

Mężczyzna spojrzał na nią. Potarł dłonią szczecinę na twarzy.

– Dla pani – powiedział z powagą do Evelyn – mogę to zrobić.

Evelyn skłoniła głowę. Zanurzyła dłoń w kieszeni i wyjęła okulary przeciwsłoneczne, małe niebieskie krążki w drucianych oprawkach.

– Może pan założyć moje. – Podała mu je i poklepała go po ramieniu.

– Nic z tego nie rozumiem – wybuchnęła Aoife. – Dlaczego, u licha...?

Evelyn patrzyła to na pomocnika, to na Aoife i znów na niego, na rozpostarte między nimi powietrze, jakby odnalazła jakiś ciekawy dla niej tekst. Przez jej twarz przemknął cień grymasu, przemknął i znikł.

– Nasz znajomy jest, jak rozumiem, człowiekiem z zasadami. Mam rację?

Pomocnik założył okulary i uśmiechnął się do Evelyn, a ta odwróciła się do Aoife.

– To dekownik, Aoife – mruknęła. – Co ty, gazet nie czytasz?

Sesja rozpanoszyła się na całe popołudnie. Evelyn pstrykała i patrzyła, pstrykała i patrzyła. Przesztykowała z nogi na nogę, tam i z powrotem. Aoife wpadała i wypadała, zmieniając obiektywy i filmy, opisując zużyte rolki i wrzucając je do toreb. Kiedy Evelyn oznajmiła, że już po wszystkim, Arnault zeskoczył z blatu, objął ją jak najserdeczniej i odprowadził na kieliszek wina. Aoife przystąpiła do żmudnego procesu rozbierania statywów, pakowania aparatów, składania lamp. Właśnie wkładała obiektywy do futerałów, gdy

ktoś koło niej stanął.

– Dla nas zostaje najlepsza robota, co?

Aoife zerknęła na niego.

– Na to wygląda.

– Ja muszę jutro z samego rana obrać i posiekać pięć kilo marchwi.

– Zazdroszczę.

– Mam nadzieję, że chociaż ci przyzwolicie płaci.

Aoife parsknęła śmiechem.

– W ogóle mi nie płaci.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Żartujesz sobie.

– Nie.

– Nie płaci ci? Jak to?

Podniosła wzrok. Zdjął już swój strój roboczy i stał w koszulce odsłaniającej długie, blade, umięśnione ręce. Zdawało się, że litery na wiszącej za jego głową tabliczce GAŚNICA przestawiają się w ostrzeżenie CIASNO, a może CIŚNIE?

– Asystentom fotografów na ogół się nie płaci. Robimy to dla...

– Splendoru?

– Chciałam powiedzieć: praktyki.

– Ej, słuchaj – wyciągnął nogę i dotknął stopą torby. – Przepraszam, że wzięłam cię za Angielkę. Aoife... – uśmiechnął się i zastanawiał przez chwilę.

– Już wiem. To po irlandzku?

– Aha. Odpowiednik Eve.

– A jak to się pisze?

– A-O-I-F-E – odparła śpiewnie.

– Coś podobnego. Tylko jedna spółgłoska. Jakby twoi rodzice rzucili kamyk na klawiaturę maszyny, sprawdzili, co z tego wyszło i tak cię nazwali.

Aoife zapięła suwak torby.

– Dobre maniery masz we krwi, co?

Znów się uśmiechnął.

– Może byśmy poszli gdzieś na lunch?

– Na lunch? – powtórzyła, wskazując ciemniejące niebo za oknem.

– Późny lunch – odpowiedział. – Nie daj się prosić, poduczysz mnie irlandzkiego. A ja ci pokażę, jak siekać marchewkę na sześć sposobów i jak

najlepiej fałszować tożsamość. Chyba się nie oprzesz, co?

Pokręciła głową.

– Muszę iść do pracy.

– Do pracy?

– Płatnej pracy. Robię nocki na bramce w takim lokalu w Bowery.

– Chyba nie w tym klubie muzycznym? Wszyscy mi powtarzają, że muszę się tam wybrać. Może już pora. Odprowadzę cię.

Aoife leży na plecach z ręką pod głową. Głowa Gabe'a spoczywa na jej brzuchu; czuje jej ciężar przy każdym oddechu. Gabe przebiera palcami po jej kości miednicy i sunie w górę, po brzuchu. Aoife dotyka świeżo ostrzyżonych włosów na jego karku. Nigdy nie widziała podobnych włosów: gęstych, czarnych, sterczących na wszystkie strony. Nie przypominają włosów, a raczej tkaninę obiciową. Albo listowie. Łapie ich pełną garść i mocno ciągnie.

– Gdzie zniknąłeś? – pyta.

– Au, boli – protestuje łagodnie.

Aoife nie puszcza.

– Musiałem wyjechać, okay? Zwinęli kilku kumpli. Po prostu czułem się za bardzo... osaczony.

Aoife rozluźnia chwyt.

– Ale dokąd pojechałeś?

– Mówiłem ci. Do Chicago. Mam tam trochę znajomych. Pojechałem ich odwiedzić i poczekać, aż się tu uspokoi.

– I uspokoiło się?

Gabe się odwraca, patrzy jej w twarz i kładzie dłoń w zagłębieniu między piersiami.

– Najwyraźniej nie do końca.

Aoife odpycha jego dłoń.

– Gabe, poważnie. Jesteś bezpieczny w Nowym Jorku?

Gabe opada na łóżko i nurza głowę w pościeli. Aoife się domyśla, że robi to po to, żeby nie patrzeć jej w oczy.

– Na pewno, na pewno. Nie chcę się ukrywać w Kanadzie. No wiesz, lubię Kanadę, ale Nowy Jork to moje miasto, mój dom, zresztą... – ujmuje jej dłoń, ale dalej na nią nie patrzy. – Tu są ludzie, z którymi chcę być.

Aoife wpatruje się w pęknięcie na suficie. Śledzi jego przebieg: od

framugi okiennej do lampy.

– A co z tą amnestią? Evelyn twierdzi, że jeśli zgłosisz się dobrowolnie w ramach tego programu, nie pójdziesz do więzienia. Zrobił tak syn jakiejś jej znajomej. Musi tylko pracować społecznie przez...

– Przez dwa lata – mówi Gabe i siada. – Wiem. Ale to gównie warte, Aoife, ten program jest gównie wart. To amnestia warunkowa. To za mało. I dla mnie, i dla tysięcy innych przyczajonych ludzi. Ani myślę podporządkować się jakiejś zaszraney polityce napominania i wygrażania palcem i karania, aż zacznę się kajać. Nie po to od prawie sześciu lat odwlekam swoje życie, żeby przystać na taki układ. Nie. Albo pełna, bezwarunkowa amnestia, albo do widzenia.

– Pomyślałam tylko...

– Ona nadejdzie, wiesz? – przerywa jej Gabe. – Bezwarunkowa amnestia w końcu nadejdzie. Jestem o tym przekonany. Teraz to już tylko kwestia czasu. Muszą ją wprowadzić. Nie ma innego wyjścia. Jeśli konstytucja ma się utrzymać przez następną dekadę... – Gabe nie przestaje gadać. Aoife wyslizguje się z łóżka, wciąga sukienkę, nalewa wody do czajnika i zapala palnik gazowy. Gabe rozprawia teraz gorączkowo o znikomej różnicy między uchylaniem się od poboru a unikaniem poboru. Aoife zapomina czasem, że gdy go powołano, przymierzał się właśnie do rozpoczęcia studiów prawniczych. Zniesiono właśnie odroczenia dla studentów i świadomie zdecydował, że nie będzie się temu sprzeciwiał – wykorzystanie edukacji i pochodzenia, żeby uniknąć poboru, uznawał za nadużywanie przywilejów. Nie, powiedział, zrobię to jak „zwykły człowiek”. Zacznę się ukrywać. Tylko w ten sposób będę mógł spojrzeć sobie później w oczy. Aoife zastanawia się czasem, czy Gabe tego nie żałuje. Jest przekonana, że mógłby się wykpić od Wietnamu tym swoim gadaniem. Gadaniem Gabe mógłby się wykpić od prawie wszystkiego.

Aoife otwiera szafkę, w której przechowuje żywność, i znajduje pałeczki chińskie oraz pudełko z ogarkami świec. Otwiera inną i znajduje naszyjnik, z którym zdążyła się już pożegnać, oraz piętękę czerstwego chleba. Bierze do jednej dłoni naszyjnik, a do drugiej piętękę i przygląda im się uważnie.

– Chodź do łóżka – mówi Gabe i wyciąga rękę. – Już się przymknąłem, słowo daję.

Aoife się uśmiecha i wyciąga dłonie z naszyjnikiem i chlebem.

– Głodny?

Gabe unosi brew.

– Jeśli to proponujesz na lunch, to nie. Ale jeśli wyjdziemy do baru naprzeciwko na makaron, to tak. Ale najpierw chodź tu do mnie. Musimy pogadać.

Aoife nie rusza się spod kuchenki.

– O czym?

– Czy myślałaś o tym, co mówiłem.

Uśmiech jej blednie. Przed wyjazdem do Chicago Gabe pytał, co ona na to, żeby razem zamieszkali. Siedział na łóżku, zapinał koszulę, patrzył na nią z dołu i na jego twarzy malowała się taka nadzieja, taka wiara, że Aoife jest dobrym człowiekiem, że jest tą osobą, za którą ją uważa, że nie należy do tych, którzy coś zatajają albo kłamią, i poczuła się rozdarta, bo zdała sobie sprawę, być może po raz pierwszy, że go kocha, że kocha tego człowieka o osobliwym, mętnym zyciorysie, niezachwianych zasadach i sznurówkach nie do pary, ale wiedziała też, że nie może z nim dzielić mieszkania, bo jakże zdoła ukryć przed nim swoje trudności, jeśli zamieszkają pod jednym dachem? Jakże zachowa je w tajemnicy, jeśli on stale przy niej będzie? Zobaczy, jak się biedzi nad rozszyfrowaniem rachunku. Przyłapie ją na wypytywaniu sąsiadki o etykietę na puszcze z jedzeniem. Usłyszy, jak mówi, że zapomniała okularów i powie: ale ty przecież nie nosisz okularów, Aoife, nigdy nie nosiłaś. Nie, to niemożliwe. Musi mu odmówić, ale musi wymyślić takie „nie”, które zabrzmiałoby jak „tak”, a jak niby miałyby to ubrać w słowa?

Właśnie idzie ku niemu, gdy przerywa jej jakiś hałas. Przez chwilę nie może dojść, co to takiego. Głośny dźwięk, który podrywa ją z miejsca. Potem dociera do niej, że to telefon.

– Nie odbieraj – mówi natychmiast Gabe.

– Naprawdę powinnam.

– Nie – rzuca się w jej stronę, ale Aoife robi unik. – To pewnie Evelyn będzie ci zawracać głowę oświeceniem. Albo fakturą papieru. Albo czymkolwiek, co jej tam przyjdzie do tej jej pojebanej głowy.

– Gabe, nie bądź wredny.

– Wiem. Jestem wredny. Chodź no tu. – Łapie ją za rąbek sukienki właśnie w chwili, gdy Aoife odbiera telefon.

– Halo? – mówi.

Na linii słychać trzaski i zakłócenia. Ktoś mówi do niej jakby z oka cyklonu, słowa przesłonięte są akustyczną zamiecią. Gabe łapie w dłoń coraz więcej materiału jej sukienki, a ona nadal trzyma w wolnej ręce chleb i naszyjnik.

– Halo? Kto mówi? Nic nie słyszę – Aoife potrząsa ze złością słuchawką. – Halo? Spadaj, Gabe – syczy i upuszcza piętękę chleba, a ta ze stukotem uderza go w głowę. Gabe klnie i zaczyna się śmiać.

– ...samochodem... – słyszy Aoife przez telefon.

– Co? Nic nie słyszę.

Próbuje wyrwać swoją sukienkę z uchwytu Gabe'a, a na linii buczy niezrozumiała mowa, już z wyraźną nutą rozdrażnienia, uporczywa jak brzęczenie owada za szkłem.

– Może zadzwoni pan później? – mówi bezradnie Aoife poprzez zgiełk. Gabe zdążył już ją objąć i przywrzeć w całej okazałości do jej pleców. – Słyszysz mnie pan?

I nagle, o dziwo, słyszy głos swojego brata, tu, w mieszkaniu w Nowym Jorku, gdzie na podłodze leżą jej porzucone ubrania, gdzie nie ma śladu jedzenia, gdzie mieszka sama, gdzie wozy policyjne przez całą noc tkwią w gotowości przy krawężnikach, gdzie nie przychodzi nikt poza jej kochankiem wyjętym spod prawa. Głos jej brata dociera do niej ze słuchawki i Aoife ledwo może w to uwierzyć, i ten dźwięk sprawia, że łyzy zaczynają ją szczypać w oczy i trudno jej się skupić na tym, co on mówi, tak bardzo jest poruszona samym faktem, że go słyszy.

– Michael Francis?

– Musisz przyjechać do domu – mówi jej brat.

---

# PIĄTEK

---

**16 LIPCA 1976**

- 5) (II) Kradzież wody... będzie uznana za wykroczenie i karana grzywną nie wyższą niż 1500 funtów, a nie niższą niż 500 funtów.  
(III) Za „kradzież” wody uważa się pobór wody z ujęcia bez zgody zainteresowanych osób.

Ustawa o suszy z 1976 roku



# Dom

Wczesny poranek przy Gillerton Road. Ziemisty wielkemiejski mrok powoli kapituluje przed światłem. Ceglane szeregowce kryją się jeszcze w cieniu, niebo ma barwę nieświeżego mleka, a drzewa przy chodnikach skupiają przy gałęziach resztki ciemności. Dzień miniony i dzień nadchodzący ważą się na szali i każdy czeka na ruch tego drugiego.

Dziś w odległym hrabstwie Dorset połąć gleby torfowej, która tliła się od wielu dni, stanie w płomieniach. Ziemia sama z siebie zagorzeje i buchnie ogniem. W pobliżu St Ives ściana żywiołu przemieszczająca się z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę pochłonie cały las. Ale nikt jeszcze o tym nie wie. Termometry zwisają z parapetów, ze ścian garaży, z dachów szop i gromadzą ciepło, wyczekują; strażacy śpią z twarzami zagłębionymi w poduszkach i pięściami zaciśniętymi jedynie na pościeli.

Nietypowa pogoda rodzi nietypowe zachowania. Jak palnik Bunsena przystawiony do tygła powoduje wymianę elektronów, rozpad niektórych związków i zespolenie innych, tak i fala gorąca wywiera wpływ na ludzi. Obnaża ich, odziera z czujności. Zaczynają się zachowywać nie zwyczajnie, lecz nierozważnie. Postępują nie wbrew swej naturze, lecz właśnie zgodnie z nią.

Kobieta przy końcu Gillerton Road, drużynowa żeńskiej grupy zuchów, zaczęła się spotykać z mężczyzną, który po zamknięciu swojego sklepu prowadzi jeszcze kiosk wielobranżowy. Dziewczyna z sąsiedztwa, uzdolniona uczennica, po której wszyscy spodziewają się wzorowych wyników na maturze, przestała chodzić do szkoły i spędza całe dnie w Hyde Parku, krążąc rowerem wodnym po zarosłym glonami jeziorze i zapalając zapalkę za zapalką, aż zostają z nich poczerńiałe wiązki. Mężczyzna z naprzeciwka kupił sobie włoski skuter. Lubi kluczyć jego elegancką sylwetką między samochodami, wsłuchiwać się w zaśpiew silnika, gdy przyspiesza, żeby wyprzedzić niemrawe autobusy. Lubi, jak rozpalone powietrze i spaliny z szumem omiatają mu skórę, włosy. Lubi klekoczący pomruk silnika i oślepiający blask słońca na stali. A pan Riordan spod czternastki, o czym wie już większość ulicy, zapadł się pod ziemię,

zwyczajnie wstał i wyszedł, a jego rodzina nie ma pojęcia, dokąd się udał i kiedy wróci. Jeśli wróci.

Zza stojącej furgonetki czmycha lis, zatrzymuje się na środku Gillerton Road, a potem, zakreślając ogonem koło, znika nad ogrodzeniem któregoś ogrodu. Pod płytami chodnikowymi niesie się drganie pierwszego pociągu metra, wyczuwalne do głębi w ceglanych ścianach domów, ramach okiennych, deskach podłogowych i tynkach. Rytmiczny, wibrujący szum niesie się po ulicy, wędruje od pierwszego do ostatniego domu w szeregu. Ale domy do tego nawykły, lokatorzy też. Szklanki drżą zgodnie na kuchennych półkach, zegar podróżny na kominku pod numerem czwartym bije półgębkiem; kolczyk pozostawiony na stoliku nocnym po drugiej stronie ulicy stacza się na podłogę. Kilka domów dalej kobieta przewraca się z boku na bok; dziecko się budzi i widząc, że tkwi za szczebelkami łóżeczka, zastanawia się, co to takiego i gdzie się wszyscy podziali, i wzywa kogoś błagalnie, proszę, chodź szybko.

Aoife Riordan idzie środkiem ulicy i słyszy płacz dziecka. Odwraca głowę. Przebiega spojrzeniem po zaciągniętych zasłonach, krzewie hortensji o zwiotczałych kwiatach, trzykołowym rowerku porzuconym w połowie ścieżki, ale nie widzi tych rzeczy, nie rejestruje ich istnienia. Nawet nie wie do końca, że dziecko nadal płacze, ani dlaczego w ogóle spojrzała w tamtą stronę.

W Aoife przejście tą ulicą budzi ogromny niepokój. Ma świadomość, że jest ona zarazem całkiem znajoma – jak widok własnej ręki, rządka kościstych knykci, płaszczyzny paznokci – i zatrwająco obca. Ten spacer po Gillerton Road o szóstej rano w środku lata jest niczym irytujący surrealistyczny sen. Co ona tu robi? Jak to się stało, że w ciągu nocy przebyła drogę od mieszkania w Nowym Jorku, gdzie po raz pierwszy od tygodni spędzała czas z Gabe'em, do ulicy, którą przemierzała tysiące tysięcy razy, idąc do szkoły i z powrotem, ze sklepu na rogu, wysłana po papierosy dla matki i mąkę, z tych okropnych lekcji tańca, z kółka szachowego, ze stacji metra? Czuje nadciągające zawroty głowy i lekkie mdłości. Przez trzy ostatnie lata sądziła, że może nigdy nie wróci, nigdy więcej nie przejdzie Gillerton Road. A jednak tu jest. Oto szereg drzew z korzeniami przebijającymi płyty chodnikowe. Oto frontowe alejki wyłożone płytkami. Oto betonowy murek z trójkątnym zwieńczeniem biegnący wzdłuż pięciu

domów. Nie musi kłaść na nim dłoni, żeby poczuć adekwatny zgrzyt, ziarnistą fakturę betonu, wyobrazić sobie, jak to jest, gdy się siedzi na jego twardym, nieprzyjaznym grzbiecie i jak nieuchronny zjazd kończy się zaczepieniem i uszkodzeniem samodziłowej szkolnej spódniczki. Dorosła Aoife widzi nagle, że murek specjalnie zaprojektowano tak, by ludzie – dzieci – na nim nie siadali, i odrazą napawa ją myśl o mieszkańcach tych domów, którzy wzniesli takie ogrodzenie. Co za istota ludzka odmawia odpoczynku dziecku wracającemu ze szkoły?

Aoife wymierza murkowi kopniaka.

A potem rusza dalej Gillerton Road. Jeszcze jedenaście domów i będzie na miejscu.

Podciąga szarpnięciem pasek torby. To worek marynarski Gabe'a; jej jedyna walizka rozpadła się wieki temu. Jego obecność, o dziwo, dodaje jej otuchy. Znoszone, przetarte fałdy mają w sobie coś osobistego, kwintesencję jego osoby. Aoife się cieszy, że ma go tu ze sobą; gdy tak stoi na tej ulicy, mogłoby się wydawać, że cofnęła się w czasie i że Gabe i Nowy Jork nie istnieją. Worek marynarski to dowód. Nie zmyśliła go sobie.

Podnosi wzrok i patrzy na gałęzie drzew. Brzozy białe. Nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi: wzdłuż tej ulicy rosną same brzozy o powyginanych, łuszczących się pniach i liściach w kształcie serca, teraz zwiotczałych i pożółkłych. Biedaczyska. Kiedy ostatnio dostały choć trochę wody? Trudno powiedzieć.

Wszystko wydaje się mniejsze. Niższe. Drzewa, domy, krawężniki, furtki ogrodowe. Jakby cała ulica zapadła się o jakieś kilkadziesiąt centymetrów.

Aoife próbuje wbić czubek trampka w ziemię wokół drzewa. Bezskutecznie. Nie poddaje się ani odrobinę. Sama wysuszona gleba o konsystencji wypalanej gliny.

Trzeba iść. Głupio się tak ociągać.

Pod ulicą przejeżdża następny pociąg. Aoife jeszcze przez chwilę stoi bez ruchu, czując, jak wibracje wpływają przez podeszwy jej stóp i suną po goleniach, kościach udowych, miednicy i kręgosłupie. Londyn, miasto, znów w nią wnika, zabiera ją z powrotem.

Przykłada dłoń do pnia brzozy; szelest kory pod skórą. A potem idzie dalej.

Gdy dociera do domu, od frontu witają ją zielone drzwi. To dla niej

wstrząs. Zawsze, odkąd tylko pamięta, były czerwone. To wesoły kolor, powtarzała zawsze matka, wita gości jak należy. Malował je ojciec, odziany w strój przeznaczony specjalnie do takich robót – spodnie naznaczone trądzikiem farby emulsyjnej, koszule z wytartym kołnierzykiem. Gdy była młodsza, chętnie mu pomagała, obserwując, jak opala starą warstwę lampą lutowniczą, od której drżało powietrze. Jej ojciec nigdy nie należał do rozmownych – nadrabiała to, rzecz jasna, matka, która wypełniała domowe fale eteru – ale pozwalał jej pomagać, gdy wlewał farbę do kuwety; stawał bokiem, żeby mogła zobaczyć, jak gęsty, czerwony muł wlewa się w jej cztery zakamarki, i może przelotnie kładł jej dłoń na ramieniu.

Myśli o ojcu – jak szedł tą ścieżką ze świadomością, że odchodzi, że wyjeżdża, nic nikomu nie mówiąc. Gdzie jesteś, pyta w myślach, dokąd poszedłeś?

Gdy stoi na chodniku, drzwi frontowe, świeżo odmalowane na zielono i połyskujące miedzianym numerem czternaście, nagle się otwierają. Przez ułamek sekundy Aoife ma wrażenie, że wyjdzie z nich ojciec, żeby wziąć z progu mleko; że to wszystko pomyłka, że wrócił, że to zwykłe nieporozumienie.

Ale to nie ojciec. To matka, która wychodzi przez próg na oświetloną brzaskiem ulicę, w kapciach i podomce, ostrożnie zamykając za sobą drzwi w pełnej namysłu pantomimie. Oczywiście, że to matka – zawsze miała dziwne nocne nawyki: te pigułki, które stale łyka, rozstroiły jej zegar biologiczny. Wygląda na starszą, myśli Aoife, nieco wstrząśnięta. Nie, nie na starszą. Na bardziej bezradną. W dłoniach ściskających krawędź kosza na śmieci widać niepokój. Włosy, już odrastające, ma pofarbowane na dziwny kolor drzewa tekowego. Czy to możliwe, że minęły zaledwie trzy lata?

– Mamo – mówi.

Matka obraca się z przestraszoną miną.

– Co? – pyta dziwnie niestosownie.

– Mamo – mówi znów Aoife. – To ja.

– Aoife?

I wtedy uderza ją to, że matka jest jedyną osobą, która umie poprawnie wymówić jej imię. Jedyńą osobą, w której ustach brzmi ono tak, jak należy. Jej akcent rodem z Galway – mimo upływu lat nieomylnie rozpoznawalny – podkreśla pierwszą sylabę głoską pomiędzy *i* a *e*, a drugą tajemniczą zbitką *v*

i f. Prowadzi to imię dokładnie między „Ava”, „Eva” i „Eve”, mijając każde z nich, ale z żadnym się nie zderzając. Aoife, mówi, precyzyjnie i jak nikt inny.

– Tak – odpowiada i odkłada worek.

Przy końcu alejki stoi jakaś kobieta i przemawia do Gretty znajomym głosem. Głowę ma obwiązaną chustką, a u jej stóp stoi bagaż.

– Boże drogi – mówi Gretta i niemal upuszcza trzymane śmieci. – To ty?

O tej godzinie powietrze wisi nieruchomo, już gęste od narastającego skwaru. Gretta brnie przez nie po omacku, przez to dzielące je powietrze, i już łapie dziewczynę za ramię, za kark, za wszystko. I już trzyma je w ramionach, swoje trzecie dziecko, swoje zaskoczenie, swoją dziewczynkę, swoją udrękę. Cała przestrzeń, cały dystans między nimi znika, wali się u ich stóp. Oto Aoife, tutaj. Wiele rzeczy Grettę zaskakuje, szczególnie jej wzrost. Zawsze utrzymywała, że ona i Aoife są tego samego wzrostu – niskie, małe, jak zwał, tak zwał. Ale teraz widzi, że Aoife przewyższa ją z dziesięć centymetrów. Jak to się mogło stać?

– Co ty tu robisz? – Mówi takim tonem, jakby wymyślała córce; to silniejsze od niej. – Miałam do ciebie dzwonić. Wiem, że u ciebie jest pięć godzin później, więc...

– Wcześniej.

– Co?

– Wcześniej. W Nowym Jorku jest pięć godzin wcześniej, mamo. Nie później.

– W każdym razie miałam ci powiedzieć, żebyś nie przyjeżdżała. Nie chcę was tak fatygować. Michael Francis mówił, że zamierzasz przylecieć i powtarzałam mu: Michaelu Francisie, po co zawracasz siostrze głowę? Ma swoje życie i nie zechce tu przyjechać, żeby...

– Oczywiście, że musiałam przyjechać – Aoife klepie ją po ramieniu. – Przyjechałam. Jestem.

Córka wpatruje się w nią i Gretta ma poczucie, że musi wyglądać koszmarnie, gdy tak stoi przed domem o tak wczesnej godzinie. Przyciska dłonie do włosów, a potem do policzków.

– Jesteś – szepcze i wybucha płaczem.

Dopiero gdy Michael Francis zauważa, że leży na wyjątkowo wąskim łóżku i słyszy głos swojej siostry, Aoife, dociera do niego, że pełen napięcia

scenariusz z udziałem koleżanki z pracy i roweru tylko mu się przyśnił.

Przetacza się na plecy – co za cholernie wąskie wyro, na pewno niezaprojektowane z myślą o prawie dwumetrowych ludziach, na pewno nie – i ma teraz przed oczami dobrze znany sufit. Trójwarstwowa, jak jej tam, no, to coś, co łączy sufit ze ścianą pod odpowiednim kątem – chyba faseta? Kiedy był mały, marzył o tym, żeby pokój się obrócił, żeby można było pochodzić boso po tej nieskazitelnie białej powierzchni, dotknąć oświetlenia, przesunąć dużym palcem po fascie. Czy to się na pewno nazywa faseta? Mąż Moniki by wiedział. Ma beznadziejną manię na punkcie poprawności nazw, które wszyscy poza nim mają w nosie. O czym to gadał w kółko przy okazji ich ostatniego spotkania? O słowie, które oznacza szczeliny między zębami grzebienia. Teraz oczywiście już go nie pamięta, ale wówczas miał ochotę powiedzieć: a kogo to obchodzi? Na co komu takie słowo?

W głowie wyświetlają mu się realia czekającego go dnia, bez ustanku, jak koniki na karuzeli.

Znajduje się w pokoju, który należał do niego przez osiemnaście pierwszych lat jego życia; małym, wciśniętym między sypialnię rodziców a pokój na tyłach, w którym mieszkały razem Monica i Aoife.

Ojciec zniknął.

On sam wdał się wczoraj późnym wieczorem w awanturę z Claire, jedną z tych przerażających awantur o niespodziewanym finale pojawiającym się nagle przed człowiekiem jak krawędź urwiska, z którego istnienia nie zdawał sobie sprawy. Awanturę, podczas której słycać ryk morza poniżej, łoskot fal rozbijających się o skały.

Nie musi iść do pracy. Ani dziś, ani jutro, ani przez sześć następnych tygodni luksusu. Ma lato wytchnienia od pracy, której nie znosi, pracy, którą podjął, bo musiał, pracy, którą uważał za tymczasową, pracy, której jego żona najwidoczniej zupełnie nie docenia i nie chce dostrzec, jakich poświęceń wymaga od niego codzienne jej wykonywanie.

A tu Aoife. Wróciła po trzech latach.

Zdaje się, dociera do niego nagle, że zadaje tylko pytania, jedno za drugim. Michael Francis marszczy brwi z wysiłku, żeby dosłyszeć, o czym mowa na dole.

– I co powiedział?

- I nigdy więcej o tym nie wspominał?
- A szpitale?
- Ale pytałaś go?
- Jesteś pewna, że zabrał?
- Do kogo by się tu jeszcze zwrócić?
- I już nic więcej nie przychodzi ci do głowy?

Wydaje mu się dziwne, że w tej rozmowie nie słyhać Gretty. Ich matka zawsze miała – jak to uprzejmie określali sąsiedzi – „bardzo wyrazisty ton głosu”. Głos matki prześladował go przez całe życie, od wczesnego dzieciństwa. Miał sześć, może siedem lat i prowadził w szkolnym wyścigu w workach, gdy do jego uszu doszła relacja Gretty o tym, że jej syn jeszcze robi siusiu do łóżka. Nie trzeba chyba dodawać, że wyścigu nie wygrał. Podczas ślubu, a wręcz podczas składania przysięgi małżeńskiej, zorientował się, że jego matka opowiada jednej z ciotek Claire, że wiedziała, że się młodo ożeni, bo miał dwanaście lat, gdy „zaczął się z sobą zabawiać”. Bo to przecież bardzo wcześnie „na takie rzeczy”, prawda?

Claire twierdziła, że nie jest tak źle, jak mu się wydaje, że jest przewrażliwiony na tym punkcie. Ale matka zawsze go peszyła, zawsze robiła mu wstyd. Popatrywał na inne matki na wieczorkach rodzinnych, wycieczkach ze szkółki niedzielnej, paradach ulicznych, schodach kościoła i zastanawiał się, dlaczego nie może mieć matki takiej jak one. Smukłe, eleganckie i najczęściej milczące. Dlaczego jego mama musi być taka tęga, tak ekscentrycznie ubrana, taka głośna, taka pozbawiona hamulców, taka potargana, taka skłonna do opowiadania wszystkim historii swojego życia? Kulił się z zażenowania na widok kwiecistych płacht jej sukien, szytych wieczorami na maszynie, tego, że jej stopy wylewają się spod pasków butów, tego, że tak ochoczo częstuje, nieraz zupełnie obcych ludzi, kanapką z plastikowego pudełka, pasztecikiem z parówką albo ciastkiem z rodzynkami. Odczuwał to wręcz fizycznie – uczucie gorąca i słabości w kończynach, nieokreślonej masy zbierającej się za czołem. Upierał się, by w autobusach i pociągach oraz podczas wszelkich zgromadzeń publicznych siadać osobno, żeby przypadkiem nikt go z nią nie skojarzył.

- I nic więcej nie zniknęło? – pyta na dole Aoife. – Mam ja sprawdzić?

Co się stało? – zastanawia się, nie wstając z łóżka. Czyżby wstrząs wywołany odejściem ojca poraził matce struny głosowe?

I zaraz wstydzi się tej myśli.

Dźwiga się z łóżka i idzie na dół. W drzwiach dostrzega przyczynę pozornej powściągliwości matki. Gretta głowę trzyma w kredensie.

Mniej więcej dwa razy w roku, może rzadziej, ma skłonności do przeprowadzania tak zwanego „generalnego sprzątanki”. Te rzadkie napady gorączkowego porządkowania bywają często poprzedzone przeróżnymi kłopotami. A to sprzeczką z Bridie, a to tym, że nowy ksiądz „dziwnie na nią spojrział”, a to tym, że ktoś wepchnął się przed nią w kolejce, a to tym, że lekarz nie potraktował poważnie jej kolejnej autodiagnozy. Przez dzień lub dwa Gretta drepcze ciężko po domu, opróżniając półki, wyjmując zawartość szaf, wyszarpując rzeczy z szuflad, układając w sterty porozrzucone bibeloty, obrusy i wszelkie zgromadzone barachło. Porcelanowe źrebię przytroczone złotym łańcuszkiem do matki, zaledwie bez jednej nogi, pudełko na tabakę z wieczkiem wysadzonym kamieniami, filiżankę z porcelany kostnej ze wzorem chińskiej damy przechodzącej przez most, tyle że bez uszka. Wszystkie te skarby, gromadzone przez lata targowania się na każdej wyprzedaży rzeczy używanych, każdym jarmarku kościelnym, w każdym lokalnym sklepie ze starzyzną, rzucają się na chybił trafił na różne sterty: niektóre do zachowania, inne do reperacji, jeszcze inne do oddania. Potem Gretta straci zainteresowanie tym przedsięwzięciem. Wszystko wróci na miejsce. Obramowanie kominka zostanie na nowo zastawione, półki załadowane, szafki wypełnione. Aż do następnego razu.

– Dźbry – mówi Michael Francis. – Generalne sprzątanko, jak widzę?

Matka wycofuje się z kredensu, patrzy na niego stojącego w otwartych drzwiach i minę ma tak zagubioną, tak dziecinną w swej konsternacji, że rozdrażnienie natychmiast z niego uchodzi. Dociera do niego, że przez chwilę matka wzięła go za ojca. Mają podobny głos, tę samą barwę. Że też musiało jej się to przydarzyć, w jej wieku.

Michael Francis przechodzi przez pokój i ją obejmuje. Matka oczywiście się sprzeciwia, ale odwzajemnia uścisk. W plecy wbija mu się koralowy stojak na biżuterię w kształcie drzewka. I w pokoju jest ktoś jeszcze, ktoś, kto wypadł właśnie z kuchni, ktoś z burzą włosów, kto tuląc się do niego, łapie go mocno za kark. Michael Francis wymawia jej imię, Aoife, ale coś nie pozwala mu do końca uwierzyć, że to ona – tak bardzo się zmieniła.

– Czekaj no, niech ci się przyjrzę – odpycha ją na długość ramienia. – Mój



Boże – tyle tylko umie wydusić.

– To ma być powitanie?

– Wyglądasz... – nie wie, jak dokończyć to zdanie, nie wie nawet, co chce powiedzieć. „Całkiem inaczej” nie pasuje, bo to nadal niewątpliwie ona. Ale jednocześnie niełatwo ją rozpoznać. Mógłby równie dobrze minąć ją na ulicy bez słowa. Ma dłuższe włosy, ale nie w tym rzecz. Ma może bardziej pociągłą twarz, ale nie chodzi też o to. Zmieniła styl ubierania: zamiast hipisowskich łaższków własnej produkcji ma na sobie wąskie spodnie z zamkami w kostkach i koszulkę z podwiniętymi rękawami.

Michael Francis i jego matka taksują ją spojrzeniami.

– Ładne rzeczy – mówi on.

– Żebyś wiedział – odpowiada Gretta.

– Co? – Aoife krzywi się i uśmiecha jednocześnie.

– Całkiem wydorosłała – mówi Gretta i ociera oczy rękawem.

– E, dajcie spokój, już dawno wydorosłałam. Wyście tylko nic nie zauważyli.

Obraca się na pięcie i kieruje do kuchni.

– Komuś herbaty?

Aoife podstawia czajnik pod kran, ale wzdryga się, gdy strumień wody wystrzeliwuje na boki i moczy jej nadgarstek. Coś tu nie pasuje. Dom, który zna od urodzenia, płata jej figle. Framugi drzwi, przez które przechodziła dziesięć tysięcy razy, wydają się nagle węższe i przechwytyją jej łokcie ostrymi krawędziami. Dywany, na których leżała jako niemowlę i po których dreptała niepewnie jako małe dziecko, zmówiły się, żeby ją przewrócić, zaczepić o jej buty. Półki są zawieszane niżej, gotowe przyłożyć jej w skroń. Włączniki światła przeniosły się z jednej strony okna na drugą. Coś jest na rzeczy.

Osusza rękę ścierką kuchenną. Rząd puszek z herbatą nad kuchenką wydaje się mesmeryczny w swej swojskości. Przez wszystkie lata poza domem nie pomyślała o nich ani razu, a jednak zna każdy szczegół. Lekko wgniecione wieko czerwonej, plama rdzy na zielonej. „Bewley’s”, krzyczą do niej grubą złoconą kursywą. Czy to kwestia różnicy czasu, czy powrotu do domu, czy nieobecności ojca? Aoife czuje się na wpół obłąkana, nie jest pewna, co zaraz zrobi lub powie.

Gretta wchodzi do kuchni i zastaje przewrócony czajnik bez pokrywki.

Kubki najwyraźniej dalej stoją w kredensie. Aoife wpatruje się w półkę, a wokół ręki ma owiniętą ścierkę kuchenną.

Gretta się nie odzywa. Chwyta czajnik, nalewa wody, stawia na kuchence. Wyciąga rękę i odplątuje ścierkę z nadgarstka Aoife.

– Przesunęliście poranną puszkę – Aoife wskazuje półkę z herbatą. – Zawsze stała na prawo od mieszanki popołudniowej.

– Tak?

– Tak.

– Hm. No, to ją przesun z powrotem, jak chcesz.

Michael Francis wchodzi za nimi do kuchni. Uświadamia sobie, że nie chce na długo spuszczać Aoife z oka, jakby się obawiał, że wyleci przez otwarte okno, jak te dzieci z *Piotrusia Pana*.

– Chcesz pożyczyć szczotkę? – pyta matka.

Aoife obraca się w jej stronę.

– Jak: pożyczyć szczotkę?

– Pomyślałam tylko... – Gretta wzrusza ramionami i zasiada przy stole kuchennym.

– Co pomyślałaś?

– Że może ci się przyda.

– Chcesz powiedzieć, że coś nie tak z moimi włosami?

Zaczyna się, myśli Michael Francis. Dlaczego Aoife i Gretta nie mogą spędzić choćby dwudziestu minut w swoim towarzystwie bez wdawania się w takie rozmowy? Gretta ze spokojem rozdziela swoje uwagi jak kuksańce, a Aoife odbija je jak piłeczkę. Właśnie mówi, że nigdy nie szczotkuje włosów, nigdy a nigdy, a Gretta odpowiada, że jest skłonna w to uwierzyć i czy w Nowym Jorku nie mają fryzjerów? Michael Francis chce powiedzieć: Aoife, odpuść jej, chociaż raz, pomyśl, przez co teraz przechodzi.

Podnosi głos, żeby go usłyszały:

– Słuchajcie, to jaki mamy plan na dziś?

Jego matka i siostra odwracają się, patrzą na niego i po wyrazie ich rozszerzonych, nadzwyczaj podobnych oczu widzi, że obie się boją, że zabijają tylko czas, zagęszczają przestrzeń powietrzną, że ich zatargi o szczotkę do włosów to tylko gra na zwłokę.

Jakieś sto trzydzieści kilometrów na północny zachód od kuchni Monica unosi zawieszoną w oknie łazienki frankę z dziewiętnastowiecznej koronki

i przez zamgloną szybę wygląda do ogrodu. Przypomina sobie, jak czytała gdzieś, że z biegiem lat szyby stają się grubsze u podstawy, że szkło, choć wydaje się solidne i niezawodne, powoli, niezauważalnie pełźnie w dół.

Monica przystawia dłoń do szyby, jakby chciała sprawdzić, czy można wyczuć szkło płynące kroplami jak melasa. Nic z tego. Tylko nieożywiony chłód.

W ogrodzie Peter zajęty jest wykopywaniem dziury w pobliżu jabłonek. Szepcze do niego: „Tylko głęboko”, a potem dociera do niej, że słyszała już te słowa, w podobnych okolicznościach. Człowiekowi zawsze robi się dziwnie, gdy przyłapuje się na powtarzaniu słów własnych rodziców, gdy przekonuje się, że pewne przeżycia powracają. Te same, a jednak inne. Tym razem wyje dwoje dzieci. Ani jedno jej.

Do tej pracy Peter włożył swój strój roboczy. Peter, jej mąż. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale mimo że minęły trzy lata, nadal jej nieswojo tak o nim mówić. Słowo „mąż” nieodwołalnie kojarzy jej się z innym mężczyzną. Czy tak już pozostanie? Kobieta w sklepie zapytała ją ostatnio, czy to jej mąż czeka na zewnątrz, a Monica, odwróciwszy się, szukała za szybą twarzy Joego, sylwetki Joego, jego pełnej wyczekiwania pozy – przygarbienia, dłoni w kieszeniach – zanim oczy rozbłysły jej na widok Petera. Dopiero po chwili się przestawiła i też mu pomachała. Co za głupota, doprawdy, bo co, u licha, miałby robić Joe w wiosce w Gloucestershire?

Wszyscy naokoło powtarzali jej nieustannie, jaką jest szczęściarą, że może wyjechać z Londynu i przenieść się na wieś. Świeże powietrze, mówili. Daleko od miejskiego zgiełku, mówili. Będzie zachwycona, mówili.

Szczerze mówiąc, nie jest. Szczerze mówiąc, wieś ją przeraża. Szczerze mówiąc, nie znosi tego domu, nie znosi jego nierównych desek podłogowych, jego cholernej zabytkowej integralności, jego żeliwnego pieca, jego wypaczonych drzwi, jego nieusuwalnych dowodów istnienia Jenny, pokrzywdzonej męczennicy. Nie znosi weekendów spędzanych w roli macochy, nie znosi cotygodniowych przypomnień, że jest do niczego, nie znosi, jak dziewczynki owijają się wokół swojego ojca, jak cała trójka siedzi ciasno spleciona na kanapie przed telewizorem, a ona musi zajmować krzesło naprzeciwko i przez cały czas udawać, że jej to nie przeszkadza. Nie znosi ogrodu, pełnego ślimaków i much, i os, i wyschniętych kwiatów, i jabłek, które za wcześnie spadły, i roślin, których wąsy zaczepiają jej się

o rajstopy. Nie znosi zapadającej co wieczór ciemności, tej okropnej ciszy, zdobnej w szczekanie, pohukiwanie i szamotaninę zwierzyny w oddali, za płotem ogrodu. Nie znosi tej koszmarnej ściany drzew, która przywiera ściśle do domu, drzew o żółknących, drżących liściach. Nie znosi tego, że nie ma dokąd pójść, że za rogiem nie ma kafejki ani sklepów, po których można się powłóczyć i przetrwać godzinę czy dwie, tego, że autobus przy końcu uliczki przejeżdża tylko dwa razy dziennie. Nie znosi tego, że jeśli chce wyjść, to pozostaje jej dwudziestopięciominutowy spacer przez pola i płoty do wioski, gdzie mieszka Jenny, gdzie mogłaby na nią wpaść, gdzie nikt się do niej nie uśmiecha, gdzie urzędniczka na pocztę, wzięwszy od niej pieniądze, ciska resztę na kontuar, gdzie wszyscy dają jej do zrozumienia, że jest kimś złym, intruzem, złodziejką mężów. Peter twierdzi, że wszystko to tkwi tylko w jej głowie, że nikt tu tak nie uważa, ale ona wie swoje. Nie jestem złodziejką mężów, chciała powiedzieć, gdy tam ostatnio była. Jakżeby mogła, skoro oni nawet nie byli po ślubie? Ale nie zrobiła tego. Ostatnimi czasy, gdy chce się gdzieś wybrać, czeka na autobus do Chipping Norton, gdzie mieści się kilka przyjemnych sklepów oraz herbaciarnia; gdzie nikt jej nie zna, a nawet jeśli, to jest mu to obojętne.

Tęskni za Londynem. Tęskni za nim tak samo jak za Joem. To dziwny, bolesny ścisk, który czasem prawie odbiera jej mowę. Nie mieszkała dotąd poza Londynem. Niezupełnie rozumiała, że można mieszkać albo chcieć mieszkać gdzie indziej. W niektóre dni ledwo daje radę to znieść; przechadza się w kółko po pięttrze, obejmując się w talii i nie mogąc się opędnąć od obrazów: zjazd ruchomymi schodami na stację linii Piccadilly w mokry, pochmurny wieczór, pośród śliskich od deszczu parasoli; dziesięciominutowy spacer między jej mieszkaniem a domem matki; Highbury Fields w mglisty dzień; panorama miasta z Primrose Hill. Przekonała się, że jest chora z nostalgii, oszalała z tęsknoty. Ale gdy nadchodzi wieczór, jest zawsze gotowa; żal pozostawia za sobą, w ukryciu, jak ułomność, którą trzeba zatuszować. Włosy ułożone. Makijaż gotowy. Obiad na piecu. Nie zepsuje tego; nie robi kroku wstecz; nie zdradzi się przed nikim; nie pokaże, że znów jest pokonana. Monica, niedoszła dyplomowana pielęgniarka, Monica dziecinna, Monica, którą zostawił mąż – taką osobą już nie będzie. Będzie tu mieszkać, w tym domu z chybotliwym dachem, z listwami przypodłogowymi, które trzeszczą po nocach,

z wyliniałymi meblami, z nieprzyjaznym sąsiedztwem. Będzie tu mieszkać i nie odezwie się słowem.

Gretta siedzi przy stole ze swoją herbatą i mówi, prawie bezgłośnie, że nie wie, gdzie on mógł pojechać, że łamie sobie głowę, dlaczego coś takiego zrobił? Co za człowiek odchodzi od żony w letni poranek, jakby nigdy nic, i nie mówi, dokąd się wybiera? Pytała sąsiadów i nikt go nie widział, nikt a nikt, to zdecydowanie dziwne, nie sądzą?

Dla Aoife ten widok jest niemal nie do zniesienia: jej matka, taka drobna i skurczona przy stole kuchennym, taka zgnębiona. Jakie to dziwne; ona, która zawsze robiła tyle szumu i scen z byle powodu. Melodramat to jej specjalność; kiedyś, na przykład, Aoife po powrocie ze szkoły dowiedziała się, że jej matka odwiedziła zakład pogrzebowy, bo znalazła guzek na szyi. Wiedziała, że jest umierająca, wiedziała, że to to, czuła to w kościach i zapragnęła „godziwego pożegnania” w „odpowiednim” zakładzie pogrzebowym, w takim, w którym mają sporo terminów wczesnym popołudniem, żeby wcześniej dało się odprawić mszę, a potem zorganizować w domu stypę. Przynajmniej tyle mogła dla nich zrobić. Aoife zażądała, żeby matka pokazała jej guzek, obejrzała miejsce nad obojczykiem i oznajmiła jej, że to ukąszenie owada. Nic więcej. To dziwne, myśli Aoife, że gdy pierwszy raz Gretta boryka się z rzeczywistym kryzysem, wydaje się kurczyć w jego obliczu, porzucać swoje zwykłe sztuczki.

Michaelowi Francisowi przychodzi na myśl, że wczoraj matka mówiła mu to samo dokładnie tymi samymi słowami: „zdecydowanie dziwne”, „od żony w letni poranek”, „łamię sobie głowę”. Ilekroć wypowiada te kwestie, sprawia wrażenie, jakby robiła to po raz pierwszy, jakby słowa samorzutnie do niej napływały, jakby właśnie jej przyszły na myśl. „Nigdy, przenigdy bym się tego po nim nie spodziewała”, mówi, i znów to samo. Albo taka dobra z niej aktorka, albo ma poważne kłopoty z pamięcią. Ale co za dziwny rodzaj pamięci wybiórczej: umieć zapamiętać wypowiedane frazy, ale zapomnieć, że już się ich użyło. Jeśli powie jeszcze, że odkąd przeszedł na emeryturę, wydawał się o wiele szczęśliwszy, chyba będzie musiał rzucić czymś w ścianę.

– Chodzi o to – mówi Gretta, odstawiając filiżankę i wbijając wzrok w Aoife – że odkąd przeszedł na emeryturę, był o wiele szczęśliwszy.

Aoife nie bardzo wie, co na to odpowiedzieć, bo wyjechała, ominęło ją to

całe przechodzenie na emeryturę, ale otwiera usta z nadzieją, że wypłynie z nich coś stosownego. Siedzący obok niej Michael Francis odsuwa gwałtownie krzesło i wychodzi.

– A ty dokąd? – woła za nim Gretta.

– Idę się odlać.

– Mógłby się tak nie wyrażać – narzeka Gretta. – Nie musi tego rozpowiadać na prawo i lewo.

– Przecież sama zapytałaś.

Gretta prycha z niesmakiem i macha ręką, jakby chciała odegnać przykry zapach.

– Och, wy, jedno z drugim.

– Co: my, jedno z drugim?

– Zawsze to samo, co?

– Co: zawsze to samo?

– Zawsze stajecie za sobą murem. Nawet jak któreś zawini.

– Ale on nie zawinił! Idzie się odlać. To mu chyba wolno, co?

Gretta kręci głową, jakby uznała nagle, że ta kłótnia jest poniżej jej godności.

– Zawsze za sobą murem – mamrocze w przestrzeń.

– W końcu ktoś musi – ripostuje Aoife.

– A to co ma znowu znaczyć?

Michael Francis patrzy na skrawek swojej twarzy w zawieszonym nad toaletą, malutkim lusterku w plastikowej ramce. Jego ojciec staje tu co dzień, dokładnie w tym miejscu, i przystępuje do golenia. Napełnia miseczkę w zlewie kuchennym i przenosi ją tutaj, do toalety pod schodami.

– Tu mam święty spokój – odpowiedział, gdy Michael Francis spytał go kiedyś, dlaczego nie korzysta z łazienki na górze. Przybory do golenia nadal tu są: jego brzytwa, pędzel z włosia borsuka, w mydelniczce mydło do golenia z wyżłobioną w środku dziurą, jasnobrązowa plama na rezerwuarze w miejscu, w którym staje emaliowana miseczka.

Michael Francis wpatruje się w plamę. Osobliwy to widok. Krawędź nieobecnej miseczki idealnie by tu pasowała; to jak jej widmo. Czy ojciec ogolił się rano, zanim wyszedł, czy nie? Dotyka palcami włosia pędzla. Używano go czy ojciec wyszedł z domu z jednodniowym zarostem?

Słychać, jak za ścianą jego matka i jego siostra odbijają piłeczkę.

Przychodzi mu do głowy, że ojciec musiał go nauczyć się golić, musiał go przeprowadzić przez rytuał, który odprawia co dzień rano, ale Michael Francis niczego takiego nie pamięta. To musiało być na piętrze: tu by się nie zmieścili. Czy ojciec stał za nim, gdy on podnosił brzytwę? Czy uczył go, że trzeba zanurzyć ją w wodzie, mocno naciągnąć skórę? Czy w lustrze było widać twarze ich obu, gdy po raz pierwszy przeciągnął nią z chrzestem po skórze? Kiedy miał czternaście lat, przerósł ojca; Robert powiedział mu kiedyś w chwili nieuwagi, że Michael Francis jest taki wysoki po swoim wujku, który zginął w zamieszkach w Irlandii Północnej. Nigdy więcej o tym nie wspominał, ale Michael Francis już zawsze miał poczucie, że jego wzrost, nie wiedzieć czemu, krępuje ojca. Ale na pewno stali razem na górze, przy umywalce, któregoś dnia, gdy wszedł już w wiek nastoletni. Wyteża pamięć, żeby wydobyć z niej jakieś wspomnienie, obraz, ale nic z tego. Pewnego dnia trzeba będzie nauczyć Hughiego. Cóż to za myśl!

O wiele szczęśliwszy, odkąd przeszedł na emeryturę. Michael Francis parska rehotliwym śmiechem, ale nie bierze pod uwagę skrajnej ciasnoty tego wnętrza; dźwięk uderza w ścianę naprzeciwko, odbija się i go policzkuje.

– Ja tylko mówię... – dobiega go z kuchni krzyk matki.

Zdaniem Michaela Francisa przejście na emeryturę bynajmniej Roberta nie uszczęśliwiło; raczej odebrało mu sens życia. Zdaniem Michaela Francisa emerytura Roberta to najgorsze, co go w życiu spotkało. Praca nadawała jego życiu nieodwołalny porządek, dawała mu powód do wstania rano z łóżka, miejsce, w którym mógł spędzić dzień, zadania, które wypełniały mu czas, i w końcu miejsce, z którego wracał wieczorami. Bez tego był jak łódź odcumowana z portu, która unosi się i rozbija bez celu.

Nie bardzo się orientuje, w jaki sposób ojcu mijały dni, odkąd odszedł z banku. Ostatnio typowa rozmowa między nimi mogła brzmieć mniej więcej tak:

– Cześć, tato, co u ciebie?

– Dobrze. A co u ciebie?

– Co porabiasz?

– Niewiele. A ty?

Michael Francis podejrzewa, że Robert został zdegradowany do podążania tropem Gretty, co pewnie niespecjalnie mu przeszkadzało. Robert

zawsze podziwiał Grettę, zawsze zdawał się na jej osąd, ulegał jej kaprysom (których miała wiele), jej życzeniom, w znacznie większym stopniu niż ojcowie kolegów Michaela Francisa, którzy obierali na ogół bardziej patriarchalny kierunek. Przypomina sobie, że gdy byli dziećmi, ojciec był całkowicie skupiony na matce. Jeśli wychodziła z domu – co czyniła często, bo jest z natury osobą ruchliwą i towarzyską – na mszę, odwiedzić sąsiadkę, dorwać i zagadać księdza albo po prostu do sklepu po mleko, ojciec krążył tam i z powrotem po pokoju od frontu i powtarzał: gdzie wasza matka, gdzie ona poszła, a mówiła, kiedy wróci? Jego niepokój niczym wirus przenosił się na Monicę – stawała w oknie wykuszowym, splatała dłonie i wyglądała Gretty, która zawsze wracała, często jeszcze w fartuchu; toczyła się ulicą i przez drzwi, mrucząc coś pod nosem, i mówiła na ich widok: a wy co tak stoicie, na autobus czekacie czy jak?

W dzieciństwie zastanawiał się często, jak ojciec radzi sobie w pracy, skoro nie ma tam Gretty, która za niego mówi i podejmuje decyzje, i wspiera. To się nie mieściło w głowie: ojciec spędza wszystkie te godziny pozbawiony krzepiącej siły matki. Mógł mieć z dziewięć lat, gdy podczas długiej przerwy wymknął się ze szkoły i nie zastanawiając się wiele, wybrał się do banku, w którym pracował ojciec. Wiedział, gdzie się mieści, bo kiedyś podczas wakacji Gretta ich tam zabrała, w odwiedziny. Jemu i Monice pozwolono obejrzeć skarbiec, w którym przechowywano pieniądze klientów, pokręcić się na obrotowym krześle i obejrzeć przycisk pod blatem, który mieli wciskać kasjerzy w razie napadu. Ojciec pracował w banku. Był zastępcą dyrektora. Tyle Michael Francis wiedział. Ale i tak zdumieni go ludzie czekający w kolejce po to, żeby porozmawiać z innymi ludźmi za ladą, zdumiały go stukające na maszynach sekretarki i biurko, na którym widniało imię i nazwisko ojca.

Więc wybrał się tam sam, poszedł Holloway Road. To było po urodzeniu Aoife, mógł więc mieć dziewięć lub dziesięć lat. Przeszedł przez drzwi banku i między meandrami rozpiętych na słupkach lin, aż odnalazł rząd czerwonych krzeseł, które zapamiętał z letniej wizyty, i usadowił się na jednym z nich. A kiedy drzwi gabinetu ojca się otworzyły i ojciec powiedział: „proszę wejść”, posłuchał. Usiadł na krześle naprzeciw ojca i kusiło go, żeby znów się zakręcić, tak jak latem, ale nie mógł, bo ojciec, wbrew temu, czego się spodziewał, nie spytał: a co ty tu, na miłość boską, robisz? Ojciec nie



powiedział nic. Czytał coś w segregatorze, który po chwili zatrzasnął tak szybko, że Michael Francis aż podskoczył. „Zobaczmy, zobaczmy” – ojciec przeszedł przez pokój do szafy z dokumentami i gwałtownym ruchem wysunął szufladę. Michael Francis słyszał, jak bije mu serce – łup, łup, łup, łup – plecy ojca tak blisko, jego oczy skierowane w głąb szuflady, a w niej pliki papierów. Prawie nie śmiał oddychać i starał się uchwycić wszystkie doznania, żeby przechować je na później: cudowny chłód podłokietników, ołówki zakończone nienagannymi różowymi gumkami, bliskość ojca, który nachyla się w skupieniu tuż obok.

Potem ojciec się odwrócił, cofnął i upuściwszy segregator na podłogę, powiedział: „To ty!”, głosem piskliwym ze zdumienia – Michael Francis nigdy nie zapomni brzmienia tych dwóch słów – i nagle wszystko się skończyło i sekretarka odprowadziła go do szkoły. Gdy po południu wrócił do domu, jego zestaw modelarski leżał wysoko na szafie i pozostał tam przez tydzień.

Przeciąga borsuczym włosiem po brodzie, przeglądając się we fragmencie lustra. Ojciec minus matka to działanie nie do rozwiązania. Jej gadatliwość ubarwiała jego małomówność, jego uporządkowanie i beznamietność to kontrapunkt dla jej bezładności i dramatyzmu. Robert nieożywiony przez Gretkę – czegoś takiego żadne z nich nigdy nie widziało. Michael Francis nie umiał sobie wyobrazić ojca w latach poprzedzających pojawienie się Gretty. Jak zdołał przeżyć? Jak wiódł bez niej życie? Jeśli chodzi o to dziwne przed-życie przedmałżeńskie jego ojca, Michael Francis wiedział na pewno tylko trzy rzeczy: że urodził się w Irlandii, że miał brata, który zginął, i że podczas wojny był jednym z żołnierzy Armii Brytyjskiej pozostawionych na pastwę losu w Dunkierce. O tym ostatnim dowiedział się pewnego wieczora, gdy odrabiał lekcje przy stole kuchennym – siedział nad podręcznikiem i sunął piórem po kartce – i nagle czyjaś wyciągnięta nad jego ramieniem ręka zatrzasnęła zamasyście książkę. Żeby mi tego ojciec nie zobaczył, syknęła matka, rzucając przez ramię spojrzenie na drzwi. Michael Francis zabrał książkę do swojego pokoju i obejrzał zdjęcia rybaków wciągających żołnierzy z wody do kutrów, na mapę z zaznaczonymi pozycjami różnych wojsk i grafiką pokazującą, jak alianci zostali otoczeni i zepchnięci w stronę morza. Rozmyślał o tym, co powiedziała mu matka: że ojciec należał do grupy żołnierzy ewakuowanych na samym końcu, że

myślał, że nie przeżyje, że zostawią go samego, pomiędzy wodą a wrogiem. Michael Francis przemyślał tę historię, a potem, jako że miał siedemnaście lat i właśnie przystępował do matury, później zaś wybierał się na studia, zamknął książkę i nie wracał do tej sprawy przez długi czas.

Ze swej domowej kryjówki Monica widzi, jak Peter się nachyla, żeby podnieść kocie ciało. Weterynarz zawinął je w ręcznik; ładnie z jego strony, myśli Monica. Nie trzeba, żeby dzieci oglądały tę – musi na siłę przywołać to słowo – ranę. Peter rozłożył ręcznik tak, że widać tylko koci pyszczek. Jenny delikatnie popycha dziewczynki naprzód. Obie przywierają do jej sukienki, jej rąk, jej dłoni. Jakie tu musi być dziwne uczucie: być tak uwiązaną, oplątaną dwojgiem małych ludzi, niczym Guliwer i liliputy (ależ Aoife uwielbiała tę opowieść). Florence odrzuca w tył głowę i ryczy, twarz ma lśniąca i purpurową. Jenny tuli do siebie jej ciało i Monica widzi, że i ona płacze; wyciąga rękę i głaszcze kota po łbie, po ścieżce między uszami, gdzie prawie niewidoczne pręgi zbiegają się i zdają przepływać przez wąską szparę. Do Moniki dociera, że porusza bezwiednie palcami, jakby chciała zrobić to samo. Chciałaby dotknąć tej miękkiej sierści, ostatni raz. Ale oczywiście nie może. Nie wolno jej tam zejść. Zaciska palce drugiej dłoni.

Peter nie zgodził się powiedzieć, że to on uśpił kota; nie zgodził się wyświadczyć jej tej jednej drobnej przysługi. Leżała przy nim w łóżku i błagała go, błagała, żeby nie mówił dziewczynkom, że to ona. Nie, oznajmił w ciemność, obrócony do niej plecami. Nie może ich okłamywać. To poza dyskusją.

Jessica trzyma się z tyłu, zauważa Monica, i chlipie w garść. Peter obsuwa zawiniątko do dziury, a ono wygląda żałośnie, jak naręczce starych szmat. Obraca się i sam też obejmuje dzieci, i cała czwórka stoi na trawniku, połączona w zawiły ludzki splot.

Monica już nie może tego oglądać. Nie może. Znajdzie sobie coś do zrobienia, coś pożytecznego, wyznaczy sobie zadanie, weźmie się do roboty. Trzeba sporządzić wykaz ludzi, do których trzeba zadzwonić w sprawie ojca, ludzi do wypymania, miejsc do przeszukania. Nie wierzy w to całe zniknięcie, ani przez moment. Coś musiało się stać. Jej ojciec nie odszedłby od nich ot tak, nie odszedłby od niej. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił, za żadne skarby.

Nie zjeździe na dół, o nie. Nie chce się spotykać z dziewczynkami, nie chce

czuć siły ich złości. I nie chce słyszeć od Jenny żadnych pytań o ojca. Słyszała, jak wcześniej Peter jej o tym mówił. Ma tupet. Później się z nim rozmówi. Jak śmie dzielić się szczegółami z jej życia, z prywatnego życia jej rodziny, z tą kobietą? Na razie woli się trzymać z daleka. Ma tu dość roboty. Zresztą Jenny i tak nie wejdzie do domu, Monica jest tego pewna. Po co miałyby to robić?

Ale, o dziwo, wchodzi. Monica słyszy, jak jej głos wznosi się spiralnie z przedpokoju; Jenny przemawia łagodnie do któregoś z dzieci, prosząc, by nie zdejmowało sandałów. Monica stoi u szczytu schodów, zastygła, z dłonią na poręczy, niezdolna pojąć, co się właściwie dzieje.

Jenny. W domu. Pierwszy raz, odkąd się wyprowadziła. Peter nigdy jej nie uprzedzał, że może do tego dojść.

Jej głos dobiega teraz z kuchni. Drzwiczki szafek otwierają się i zamykają. Wie, oczywiście, gdzie się co przechowuje, gdzie co leży. Ktoś odkręca kran. Słyszczyć brzęk kubków, przyciszone głosy o łagodnym tonie, nieutulony jeszcze płacz dziecka. Jessica to czy Florence? Podobno matka umie natychmiast rozpoznać płacz swojego dziecka; macoch to najwidoczniej nie dotyczy.

Ona jest w domu.

Monica czuje, jak wilgotnieją jej wszystkie pory skóry. Jak tu cholernie gorąco; bluzka ją uciska i moczy się pod pachami. Znieruchomiłe stawy zaczynają ją boleć, ale jest niezdolna do ruchu, niezdolna ukryć się w sypialni i niezdolna zejść po schodach.

Gdy Michael Francis wraca, w kuchni nie ma już śladu rodziny. Wita go widok pustego stołu, porzuconych filiżanek, złożonej serwetki. Na górze słyszczyć odgłosy stąpania; to bez wątplenia matka, to jej stanowczy, rozkołysany krok. Drzwi do ogrodu są otwarte i Michael Francis widzi plecy Aoife siedzącej z podciągniętymi nogami na progu; smuga dymu unosi się nad nią pionowo jak sygnał, niezakłócona nawet najmniejszym ruchem powietrza.

Michael Francis osuwa się na stopień obok niej. Aoife nic nie mówi, podtyka mu tylko dłoń z papierosem. Michael Francis kręci głową, a ona obraca się i patrzy na niego z uniesioną brwią.

– Rzuciłem – mówi on.

Aoife unosi obie brwi.

– Ogólnie rzecz biorąc – wyrywa jej z palców papierosa i zaciąga się. – Nie mów Claire.

Aoife prychnie cicho, pogardliwie, co znaczy: już lecę, a Michaela uderza to, jak bardzo za nią tęsknił i jak ubóstwia ją za to, że jest jedyną osobą w rodzinie, która umie dochować tajemnicy, która dotrzymuje słowa; jaka to ulga, że wróciła, Michael Francis już ma wymówić imię żony, już ma powiedzieć: Claire, wyznać wszystko Aoife, bo wie, że będzie go słuchała, aż mu zabraknie słów, a potem zada pytanie, które przywróci mu mowę, i będzie milczała do samego końca, z głową przekrzywioną w jedną stronę, a potem coś powie, coś tak...

– A Monica przyjeżdża? – pyta Aoife.

Michael Francis oddaje jej papierosa i zauważa, że ma paznokcie obgryzione prawie do krwi i dziwi go to, bo nie wiedział, że Aoife obgryza paznokcie – to nie była Monica?

– Dzisiaj, chyba trochę później – patrzy na nią z ukosa. – Ma tyle na głowie.

Aoife się uśmiecha, tak jak przewidywał.

– Coś tam z pochówkiem kota.

– Monica ma kota?

– Miała. A właściwie Peter miał.

– A! – Aoife chowa stopy pod siebie i opiera brodę na kolanie. – Spójrz tylko na to – mruczy pod nosem.

Michael Francis lustruje wzrokiem ogród, wąski pas ziemi wciśnięty między podobne sobie; ogląda wyblakły, łysiejący trawnik, wyschnięte, pozbawione kwiatów rośliny, słabowitą śliwę.

– Widziałem.

– Słyszałam, że jest okropna susza, ale nie sądziłam, że aż taka – Aoife zgniata niedopałek na schodku. – Co za upał. A to dopiero... która?

Michael Francis patrzy na zegarek.

– Piętnaście po ósmej.

– Piętnaście po ósmej – powtarza Aoife, spoglądając na lazuruwe niebo. – Chryste.

Siedzą tak jeszcze przez chwilę. Nadlatuje bzycząca pszczoła, gryzmoli powietrze nad ich głowami, a potem zmienia kierunek i leci do jabłoni.

– To co myślisz? – Aoife pokazuje głową dom.

Michael Francis bierze oddech. Pszczoła wraca do nich, a potem najwyraźniej zmienia zdanie i leci w górę wzdłuż ceglanej ściany domu.

– Nie wiem – odpowiada. – Naprawdę nie wiem.

– Nie wygląda to za dobrze.

– Zgadza się.

– Myślisz, że on...?

– Co?

– No, wiesz.

Ich spojrzenia krzyżują się na moment, po czym uciekają.

– Skończył ze sobą? O to ci chodzi?

– Sama nie wiem – Aoife bawi się srebrnym łańcuszkiem na nadgarstku, przesuwając ogniwa między palcami. – Nie wiem, co o tym myśleć. Jeśli chodzi o niego, to nigdy nie wiem, co sądzić. Jego się nie da...

– Rozgryźć.

– Właśnie. Myślisz, że z kimś uciekł?

– Z jakąś latawicą? – pyta, powtarzając ulubione wyrażenie ich matki. – Nie sądzę.

– Jesteś pewien?

– Jakoś go sobie nie wyobrażam w takiej sytuacji.

– Kto by go zechciał? – szepcze Aoife, otwierając paczkę papierosów i zamykając ją z powrotem. – Myślisz, że ona wie więcej, niż nam mówi?

Michael Francis się obraca i patrzy na nią.

– Dlaczego tak sądzisz?

Aoife wzrusza ramionami.

– Wiesz, jaka jest.

– Ale w jakim sensie?

– No, wiesz – znów wzrusza ramionami. – Widzi to, co chce wiedzieć, a...

– Resztę odsiewa. Daj no jednego – mówi i Aoife wręcza mu paczkę. Michael Francis wkłada papierosa do ust i już ma wziąć zapałki, gdy znad ich głów dobiega okrzyk:

– A co wy tam tak szepczecie?

– Ja pierdołę – Michael Francis wrywa papierosa z ust. Wypycha paczkę i zapałki poza pole widzenia matki i podnosi głowę.

– Jezu – szepcze Aoife. – A ty co? Ile ty masz lat, dwanaście?

– Przymknij się – syczy.

– Sam się przymknij.

– Nie, ty się przymknij.

Aoife opiera się o niego i okazuje się, że ciężar siostry na jego ręce to coś niezwykłego – jedyna dobra rzecz, która go dziś spotkała.

– Co was tak śmieszy? – dopytują głowa i ręce Gretty.

– Nic takiego.

– Schodzę – oznajmia.

Aoife obraca się z powrotem w stronę ogrodu. Unosi ręce nad głowę i z zamkniętymi oczami rozciąga szyję raz w jedną, raz w drugą stronę.

– A to co? Jakaś gówniana joga?

– A nawet jeśli, to co? – odpowiada, wciąż z zamkniętymi oczami. W końcu je otwiera i patrzy na niego.

– Co u Claire?

– Po staremu – mówi Michael Francis i strąca coś z nogawki spodni. – A co tam w Nowym Jorku?

– Po staremu.

W ciemnym prostokącie drzwi staje Gretta z jakimś przedmiotem w dłoniach; za nią, niczym ogon, ciągnie się długi kabel.

– Przyda się komuś suszarka, która się kiedyś zapaliła?

Irlandczycy umieją sobie radzić w kryzysowych sytuacjach, myśli Michael Francis, odwijając plastikową folię okrywającą tacę kanapek pozostawionych w kuchni przez jego ciotkę Bridie. Wiedzą, co robić, jakich zwyczajów przestrzegać; przynoszą jedzenie, zapiekanki, ciasta, roznoszą herbatę. Wiedzą, jak omawiać złe wiadomości: półgłosem, z kręceniem głową i akcentem, który opatula sylaby niedoli.

Na spodzie folii zebrała się lekka mgielka. Kanapki są ciepłe i mają wywinięte rogi. Ale Michael Francis nie narzeka. Zjada jedną, drugą, potem trzecią. Pierwsza jest z jakimś pasztetem, a trzecia ma niepokojąco rybny posmak. Czwartą zjada po to, żeby zabić smak jej poprzedniczki. Ale potem łapie go szaleńczy głód. Nie może przestać jeść. Tak jakby w życiu nie jadł niczego bardziej apetycznego niż ciepłe cioczine kanapeczki z pasztetem.

Gdy usta ma już napchane do granic możliwości, w drzwiach pojawia się Aoife. Zdażyła upiąć te swoje włosy. Widok jej karku, jej odkrytych kości policzkowych, wzruszających w swej bezbronności, całkiem go zaskakuje. Aoife patrzy na niego, patrzy na przetrzebione kanapki i bez słowa wycofuje

się z powrotem.

Pokój dzienny nagle, nie wiadomo kiedy, wypełnił się kuzynostwem, krewnymi i ludźmi, których rozpoznaje, ale nie bardzo potrafi umiejscowić. Nie chce z nimi rozmawiać, nie chce napotykać ich spojrzeń ani przyjmować wyrazów współczucia. Czuje, że towarzystwo matki ma nad nim przewagę: wszyscy wiedzą, kim jest, podejrzewa, że wiedzą o nim więcej, niżby chciał, ale sam zupełnie nie może sobie przypomnieć, kim są oni. Sąsiadami? Znajomymi z kościoła? Pewnie i tym, i tym. Wieści się rozeszły i przybyli, żeby zaproponować swoje przezuwająco-szemrzące wsparcie. Chciałby, żeby poszli sobie w cholerę, wrócili do swoich domów, zostawili ich samych z tą sprawą. Chce porozmawiać z Aoife, z matką, chce wyjaśnić tę katastrofę. Nie wie, od czego zacznie, ale nie ma wątpliwości, że najpierw trzeba się pozbyć tych namolnych ludzi, że nic się nie da zrobić, dopóki w domu roi się od nieznanym osób, które okupują krzesła i domagają się gorących napojów. Jak matka może to znieść?

Podchodzi do drzwi i zagląda do pokoju. Nie ma ich aż tak wielu, jak przypuszczał. Bridie i jej mąż oraz jedna z jej córek z niemowlakiem na kolanach. Kilku starych dziadów kręcących głowami. Jak to się stało, że wszyscy przyszli o tej samej porze? Czy jest jakaś niepisana zasada głosząca, że żonę zaginionego człowieka odwiedza się dokładnie o dziesiątej trzydzieści rano?

Bridie krąży pomiędzy nimi, podsuwając kolejny talerz z kanapkami; z pasztetem, docieka Michael Francis, czy z czymś innym? Słowo tu, ukłon tam, mina zachęcająca, acz poważna, stosownie do sytuacji. Tak, słyszy jej przyciszony głos, coś okropnego, nie, oka nie zmrużyła, biedactwo, a kto by zmrużył, tak bez słowa wstać i wyjść, policja się nie poczuwa, może jeszcze kanapeczkę?

Trudno byłoby znaleźć kogoś innego tak różnego od Gretty, myśli, obserwując Bridie, która wykrzykuje właśnie, jak dobrze, że cię widzę, Aoife, a jak ślicznie wyglądasz. Na pierwszy rzut oka nikt by się nie domyślił, że są siostrami. Bridie jest niska, jak Gretta, ale drobna i z jakiegoś powodu lepiej się trzyma, choć jest trzy lata starsza. Szczupła, myśli Michael Francis, i zadbana. Mógłby się założyć, że Bridie pilnuje diety; jej włosy, które nigdy nie zaznały widocznej siwizny, a ostatnio przybrały barwę dojrzałej pszenicy, są sztywne, wymodelowane i zaczesane do tyłu. Jej dom jest

uporządkowany, z kilkoma tylko szklanymi ozdobami na parapetach. Herbatę podaje się tam w filiżankach ze spodeczkami od kompletu. Pamięta, że kiedyś chciał mieszkać tam, a nie tu.

Wraca do kanapek, tylko po małą dokładkę. Jedna albo dwie powinny wystarczyć, potem już da spokój. Wrzuca kanapkę do ust, ale jakimś sposobem chybia; kromka spada na ziemię, odbijając się od czubka jego buta, po czym znika gdzieś w okolicach kosza na śmieci.

Wiadomo, że musiało dojść do czegoś podobnego; to doskonale harmonizuje z jego obecną sytuacją – sytuacją człowieka żyjącego z żoną, która go najwidoczniej nie znosi, człowieka, którego pogrążona w kryzysie rodzina rozpada się na kawałki, człowieka udręczonego upałem, suszą, niedoborem wody, człowieka, którego ojciec zbiegł Bóg wie gdzie.

Z westchnieniem opada na czworaki i zagląda w płat ciemności pod kredensem. Udaje mu się wypatrzeć coś, co jest przypuszczalnie kielbaską, gnijącą i stwardniałą ze starości, uchwyt z wieczka puszki, szpulkę nici, coś, co wygląda jak wysuszona fasolka w pomidorach. Jak jego rodzice mogą tak żyć, w takim brudzie i nędzy? Aż dziw, że żadne z nich nie nabawiło się dyzenterii. Albo nawet cholery. Widzi jaśniejszą stronę kanapki i choć zdążył już stracić apetyt, wkłada tam rękę i wyciąga kromkę. W świetle widzi, że coś przykleiło się do jej maślanego wnętrza. Skrawek papieru. Oddziela kartkę od kanapki i przysuwa ją bliżej twarzy.

Jest złożona pośrodku, ma wytarte krawędzie, a w rogu jeszcze kawałek koperty. Widoczny jest tylko fragment znaczka z naciągniętymi strunami harfy. Michael wyjmuje kartkę, a napisane jest tam: „i mówią, że koniec już blisko”, niebieskim atramentem, wiecznym piórem, nieznanym pismem. Michael upuszcza kanapkę do kubła, zatrząskuje wieko i czyta jeszcze raz: „i mówią, że koniec”...

Ktoś go dotyka i Michael się podrywa.

– No i jak, Michaelu Francisie, są już jakieś wieści? – Bridie staje obok niego i kładzie mu dłoń na ramieniu, zgodnie z jej zarządzeniem, że wszystkie poważne pytania należy zadawać głowie rodziny. Kolejna rzecz, która odróżnia ją od Gretty.

– Nie – mówi i wpycha skrawek papieru i fragment koperty do kieszeni. Sięga na oślep po kanapkę z trzymanego przez ciotkę talerza, wpycha do ust cały okrojony ze skórki trójkąt i odkrywa zbyt późno, że posmarowany jest



pastą jajeczną, jego najmniej ulubionym smarowidłem.

– Absolutnie żadnych? – nachyla się poufale Bridie.

– Mhm – wymiguje się Michael z ustami pełnymi tego ohydztwa.

– Zawsze wiedziałam, że ten łobuz... – unosi się Bridie, ale ktoś jej przerywa.

– Paskudna sprawa – mówi starszy pan, posiadacz imponująco wielkich uszu, który pojawił się koło nich, a Bridie wtrąca swoje: och, tak, prawda?, i właśnie wtedy do ich uszu dobiega huk zatraskiwanych drzwi frontowych i odgłos kroków w przedpokoju. Stuku-puk wysokich obcasów i Michael Francis myśli: „koniec już blisko”, a także „jak to możliwe, że Monica ma jeszcze klucz?”.

Aoife masuje kark matce i mówi do siedzącej obok kobiety, nie, nie, jeszcze się nie odezwał, ale mamy nadzieję, że to się lada chwila zmieni, i wtedy zdaje sobie sprawę, że coś się dzieje.

Monica tu jest. Za nią, w przedpokoju. Czuje to: uzmysławia sobie bliską obecność siostry i krew zaczyna jej pulsować w uszach. Nie może się obrócić, nie może, a potem to robi i pierwsze, co przychodzi jej na myśl na widok Moniki, to: a, to tylko ty. Przecież to tylko ty.

Narasta w niej fala uczucia – instynktowna, reaktywna – i czuje, jak na twarz wypływa jej uśmiech. Widzi, że siostra zadbała o swój wygląd. Nosi fryzurę, której Aoife wcześniej nie widziała: dłuższe włosy, luźne loki zebrane na karku, i choć niezbyt jej to pasuje, nie do końca dobrze wyszło, Aoife wyobraża ją sobie, jak siedzi przy toalecie ze szpilkami do włosów i szczotką w dłoniach, i niespokojnymi palcami nadaje włosom kształt, i ten obraz Moniki jest dziwnie poruszający. Przecież to tylko Monica, myśli Aoife. Tylko Monica. Monica, którą zna od urodzenia, jej siostra, nie ta potworna zjawa, w którą się rozrosła w jej głowie przez cały ten czas w Nowym Jorku. To tylko Monica i Aoife podnosi się z miejsca, bo tak przecież się robi na widok niewidzianej od lat siostry, prawda? Obejmuje się ją i wszelkie problemy, które przez ten czas narosły, można wymazać, można zacząć od nowa, i Aoife myśli, że może uda jej się zapomnieć o tym, co zaszło u Michaela Francisca, może nie trzeba do tego wracać.

Prawie już dochodzi do Moniki, gdy uświadamia sobie, że siostra nawet na nią nie spojrziała. I nadal na nią nie patrzy. Wzrok Moniki prześlizguje się po niej i biegnie dalej, jakby Aoife tam nie było, jakby stała się

niewytłumaczalną, uformowaną na ludzki kształt dziurą w atmosferze. Aoife stoi na wyciągnięcie ręki od niej, ale Monica robi zgrabny unik i kieruje się do przedpokoju, mówiąc, że musi odwiesić zakiet, bo fatalnie się go prasuje, a ona w tym upale nie ma ochoty przez cały wieczór ślęczeć nad deską.

Aoife stoi przed pustym progiem. Puls dalej dudni jej w uszach, mobilizując ją do działania. Ale co właściwie powinna zrobić? Matka stoi obok i uśmiecha się bezmyślnie; goście podnoszą się i mówią, że na nich już pora. Bridie zaczyna nagle sprzątać talerze. Gretta podąża za Monicą i dopytuje, czy poszukać jej wieszaka.

Aoife wraca na fotel. Uzmysławia sobie, że pragnie złożyć głowę na znajomych słojach i sękach podłokietnika. Kiedy ostatnio spała? Nie tej nocy, w samolocie, i poprzedniej też prawie nie. Ma poczucie, że jest zrobiona z samego papieru: niematerialna, słaba, nieskończenie rozdzielalna.

Patrzy na talerz stojący obok na stoliku, na grad okruchów wokół, na starorzecze śladów po kubkach z herbatą, i dociera do niej, że przez zmianę czasu czuje się idealnie rozdarta między głodem a nudnościami. Odczuwa potrzebę podliczania wszystkich obecnych, określania ich położenia, niespuszczania ich z oczu na wypadek, gdyby ktoś jeszcze postanowił zniknąć. Odznacza w głowie wszystkich po kolei. Michael Francis dalej czai się w kuchni; matka i Monica w przedpokoju. Gabe daleko, za Atlantykiem.

Michael wchodzi do salonu. Rozkoszna pustka, wszyscy wyszli w tym samym czasie. Widocznie w kwestii pory wychodzenia też obowiązuje jakaś niepisana etykieta. Aoife siedzi rozparta w fotelu i dłonią zmiata na dwie kupki rozsypane na stole okruszki. Właśnie zaczyna formować z jednej długą, wijącą się linię. Michael słyszy, jak z przedpokoju wchodzi Gretta; jej kapcie skrzypią na linoleum.

– Cześć, Mon – mówi i słyszy, że odezwał się nieco zduszonym głosem.

Monica nie przerywa rozmowy z Grettą, ale idzie do niego po dywan, przyciska swój policzek do jego policzka, a jej palce zaciskają się na jego ramionach i zostawiają dziesięć równych wgniecień. Postać na fotelu za nimi tkwi nieporuszona.

Monica i Gretta rozmawiają o autokarze, o tym, jak ciężką Monica miała podróż, o tym, czy są już jakieś wieści, czy ktoś nie dzwonił, o ograniczeniach zużycia wody w Gloucestershire i o tym, że pod tym

względem jest tam gorzej niż gdzie indziej (a jakże, myśli Michael Francis), o tym, czy Monica napije się herbaty i czy Gretta ma zaparzyć świeżej, czy ta, która pozostała w dzbanku, nie jest zbyt stęchła, może lepsza byłaby świeża, Monica zaparzy, nie, Gretta mówi, że nie, że ona to zrobi, nie, nalega Monica, bo Gretta wygląda, jakby padała z nóg, niech sobie lepiej usiądzie, tylko powie jej najpierw, jaką chce herbatę. Michael bierze z talerzyka bułeczkę, bo nie wie, co innego miałby zrobić, i myśli sobie, że jeśli któraś nie ustąpi i nie pozwoli drugiej pójść do kuchni i nastawić wodę, zaraz straci panowanie nad sobą. Jeśli ten cholerny duet rozprawiający o wszystkim poza najistotniejszymi i najpilniejszymi kwestiami tego dnia – czyli zniknięciem ojca i faktem, że Aoife i Monica udają, że się nie widzą – zaraz nie zamilknie, chyba trafi je czymś w głowę, wyjdzie i nigdy nie wróci. A, pies im mordy lizał.

Aoife stara się nie patrzeć na ich stopy stojące przed nią na dywanie. Bose Michaela Francisa, obute w kapturki – matki, zaróżowione pod paskami bordowych sandałków – Moniki. Patrzy za to na swoje dłonie i widzi, że są jeszcze pokryte blednącymi czarnymi napisami złożonymi z liter biegnących w różnych kierunkach.

Gabe pojechał z nią na lotnisko. Jedli gofry z budki w hali odlotów, a raczej Gabe jadł; Aoife obserwowała go, paliła papierosa i przesuwiała palcami po rozmiękłych krawędziach paszportu.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, biorąc ją za rękę. – Wiesz o tym, prawda? Znajdziecie go. Przecież nie można ot, tak zapaść się pod ziemię.

Aoife strzepnęła popiół z papierosa i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie? – spytała.

Odwrócił wzrok. Otarł usta serwetką. Dyskretnie rozejrzał się wokół, co miał w zwyczaju, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie obserwuje.

– To co innego – mruknął.

Aoife odchrząknęła, położyła dłoń na jego dłoni, tak że stykały się wnętrzami.

– Gabe, słuchaj...

– Tak?

– Chcę cię o coś prosić.

Chwila ciszy.

– O! Jasne – skinął głową. – Co takiego?

Zorientowała się, że spodziewał się po niej czegoś innego: rozmowy na temat wspólnego mieszkania. Jakież by to był stosowny, serdeczny gest: powiedzieć „tak”, zgodzić się, właśnie tutaj, na lotnisku, podczas pożegnania. Przez chwilę wyobraża sobie lokum, w którym by razem zamieszkali. Kwiaty doniczkowe na parapetach, fotografie przyklejone do drzwi, jedzenie z talerzy z kolorowej ceramiki. To idealny moment, żeby wyartykułować: zamieszkajmy razem; Aoife to wiedziała, ale próbowała to wymazać z głowy, zmienić temat.

– Jest taka... – próbowała szybko przemyśleć rozmaite niebezpieczeństwa na swojej drodze, różnorakie ryzyko, które ponosi, a tymczasem podróżni wokół niej wchodzili i wychodzili, jedli gofry, podnosili walizki, jakby nigdy nic – ...teczka. U Evelyn. Niebieska teczka. W środku są papiery, które powinnam była... papiery, których nie dopilnowałam. Zastanawiałam się, czy... czy nie mógłbyś się tam po nie wybrać. Może... mógłbyś je za mnie przejrzeć. Powiedzieć, co w nich jest.

Gabe zmarszczył brwi.

– Mam pojechać do Evelyn i wyciągnąć dla ciebie teczkę?

– Żaden kłopot. Nie będzie miała nic przeciwko. Zadzwonię do niej i powiem, że przyjedziesz. Tu są klucze. Możesz to zrobić?

– Tak. Pojadę jeszcze dziś.

Aoife przycisnęła dłoń do jego dłoni; kamień spadł jej z serca. Może wszystko się ułoży. Być może jest ocalona, uratowana, po raz kolejny.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Nie chciałam, żeby je odnalazła pod moją nieobecność, a nie mogłam... nie wiedziałam, jak inaczej z tego wybrnąć... dzięki. Na pewno ci to nie przeszkadza?

– Skąd. Nie ma sprawy.

– Weź też to – popycha przez blat stołu klucz od mieszkania, ale Gabe kręci głową.

– Nie, zatrzymaj go, niech to będzie...

Nachyliła się nad dzielącym ich stołem i wrzuciła mu klucz do kieszeni koszuli właśnie w chwili, gdy Gabe kończył zdanie:

– ...gwarancja, że wrócisz.

Na krótką chwilę zapadła niezręczna cisza; Gabe wpatrywał się w nią, jakby chciał zapamiętać jej rysy, a ona przygryzła wargę i wymamrotała, że naturalnie, że wraca, że nie ma o czym dyskutować.

Gabe spuścił wzrok i położył dłoń na kluczu, na sercu.

– Dzięki – mruknął. – Może się przydać.

Spojrzał na zegarek.

– Czas na ciebie.

Przeszli przez halę odlotów i do ostatniej sekundy, do samego wejścia, nie wypuszczała go z objęć. Miała chęć zamknąć oczy, jakby mogła w ten sposób zatrzymać w sobie jego obraz, pełna obaw, że jeśli nakarmi wzrok zbyt wieloma widokami, może zapomnieć, jak on wygląda, może utracić jakąś część jego osoby.

Przeszła na drugą stronę, odwróciła się i zobaczyła, że Gabe patrzy na nią przez przeszkloną ścianę. Podeszła bez wahania i przycisnęła do niej twarz, blisko niego, tak blisko, że jej rzęsy zaszeleściły na dzielącym ich szklanym ekranie. Gabe chuchnął na szybę i zakłębiła się między nimi chmura pary, i nagle palec zaczął kreślić po mgiełce kreski, zawijasy, kształty. Litery. Patrzyła, jak Gabe pisze coś na szybie; ostatnią wiadomość. Cztery słowa. A może trzy. Trudno było stwierdzić, bo odstępy między nimi wydawały się zbiegać i rozciągać, jak powietrze w akordeonie. Zdanie zaczynało się od MO, co mogło oznaczać MOŻE albo MOŻESZ albo MOGĘ albo MOJE, i kończyło się podobnym do części wieszaka zakrętasem znaku zapytania. Ale co to za pytanie – oto jest pytanie. Aoife spojrzała na ciąg liter, które chwiały się i falowały jak flagi na wietrze, i poczuła, jak do oczu napływają jej łzy, gorzkie i metaliczne. Spojrzała na Gabe'a. Poczowała w głowie znajomy stukot, poczuła, że nie może nabrać dość powietrza, jakby ktoś ujął szczyt jej tchawicy w bezlitosny, niesłabnący chwyt.

Nic więcej nie mogła zrobić. Przekrzywiła głowę, obdarzyła Gabe'a półuśmiechem i nieznacznie wzruszyła ramionami.

Nie tak miała zareagować, zrozumiała to od razu. Gabe cofnął się od szklanej ściany, na której prześwit podmywał już zakreślone litery. Na twarzy malowała mu się uraza, konsternacja, a ona ledwo się powstrzymała przed walnięciem głową w szybę i zakrzyknięciem, proszę cię, to nie moja wina. Ja nie umiem.

W poczekalni wypełnionej podróżnymi rozłupującymi orzeszki ziemne, drzemiącymi albo grzebiącymi w torbach Aoife wyjęła pióro i pochyliwszy się nad lewą ręką, zaczęła coś pospiesznie skrobać, po czym przełożyła pióro do drugiej ręki i zaczęła pisać na prawej. Zanotowała wszystko, co udało jej

się zapamiętać z obejrzanych słów. Przyszedł jej do głowy szalony pomysł, że może pokaże je komuś, zapyta, na przykład w samolocie. „MO”, długi ciąg liter na końcu, „?” – słowo, którym mogło być SOBA albo OSOBA? Pisała w gorączkowym skupieniu, jakby dzięki temu mogła cofnąć tę chwilę, gdy stał za szybą z rzednącą miną, jakby przelewanie tych znaków na skórę mogło odwrócić bieg zdarzeń.

To, co wypłynęło spod jej stalówki, przypominało raczej złe zaklęcia. Wspięła się po stopniach samolotu, a słowa zabrała ze sobą.

Gretta chwyta córkę za nadgarstek.

– A to co?

Cała ręka Aoife pokryta jest nagryzmlonymi na czarno słowami i literami. Niektóre są wytarte, inne zapisane od tyłu, zauważa Gretta, i przecinają ją strzały irytacji, prujące dobrze znanymi szlakami.

– Nic takiego – Aoife wykręca rękę z jej uścisku i rozwala się z powrotem w fotelu, pokazując całemu światu minę posępanej nastolatki, którą niegdyś była. Gretta nie może się skupić, nie może zebrać myśli. Nie umie być tą osobą, którą być powinna z okazji pierwszej od lat wizyty wszystkich dzieci. Roberta nie ma. Aoife siedzi z taką, a nie inną miną. A Monica stoi przy kredensie, odrzuca po swojemu głowę do tyłu i majstruje przy koszu z praniem. W ogóle na siebie nie patrzą. Jak dwoje obcych. Gretta za nic nie może dojść, jak to się stało, i to do tego w jej własnej rodzinie.

– Musimy... – mówi Monica, jakby do ściany – ...usiąść i ustalić jakiś plan.

– Nie powinnaś tak pisać po skórze – mówi Gretta, ale sama nie wie dlaczego, bo tak naprawdę chce powiedzieć: co też się wydarzyło między tobą a siostrą, nikt nic nie wspominał, może byś się chciała zdrzemnąć, proszę, nie bądź taka blada i smutna. – Nabawisz się sepsy. Znałam takiego chłopczyka...

– ...który zmarł na sepsę, bo pisał po skórze – uzupełnia Aoife. – Wiem. Już mówiłaś. Tysiąc razy. Ale to gówna prawda.

– Aoife, nie wyrażaj się w moim domu.

– Plan działania – mówi Monica.

Gretta ma już tego po dziurki w nosie. Wasz ojciec zniknął, chce krzyknąć. Dlaczego tak się zachowujecie, udajecie, że się nie znacie? Czy my wszyscy nie mamy teraz ważniejszych spraw do załatwienia?

– Ale w ogóle się nie można wyrażać? – pyta przez ramię Michael Francis.

– Teraz już nic nie można zrobić. Tylko czekać. Tak powiedziała policja.

– Nie można dostać sepsy od atramentu. To jakiś absurd.

Aoife wstaje, tak gwałtownie, że fotel się przewraca i rozlega się piskliwy skrzyp linoleum. Michael Francis, jak zwykle nadwrażliwy, wzdryga się i zatyka uszy.

– Nie zgadzam się – mówi Monica i z łopotem strzepuje poszewkę na poduszkę. – Nic nie można zrobić. Też coś. Bardzo dużo można zrobić. Można dzwonić, szukać tropów, prowadzić dochodzenie. Dziś rano zrobiłam listę.

Aoife stoi bez ruchu. Gretta obserwuje ją spod zmrużonych powiek. Zerka na jej ręce, na wszystkie zapisane tam, nieczytelne słowa.

– Wychodzę zadzwonić – mówi Aoife i wystrzela z pokoju, jak to zwykła robić w dzieciństwie. Gretcie niemal robi się miło, że znów to widzi, ten gwałtowny ruch Aoife. Dobrze wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

– Zadzwonź z telefonu w przedpokoju – mówi Gretta. – Po to jest.

– Muszę zadzwonić do Nowego Jorku. Pójdę do budki.

Aoife jest już przy drzwiach, ale jeszcze się odwraca.

– A... biblioteka jest czynna?

Teraz patrzą na nią wszyscy: Gretta, Michael Francis i Monica.

– Biblioteka? Na miłość boską! – woła Gretta. – A na co ty chcesz iść do biblioteki?

– Po książkę.

– No przecież wiem, że nie po kilo kartofli. Co za książka?

– Nieważne. Książka.

– A do kogo idziesz dzwonić?

Mina Aoife wyraża to, co wszyscy dobrze znają: nie zadzierajcie ze mną, nie zmienię zdania.

– Nieważne – powtarza.

– No, już – mówi Gretta. – Gadaj. Masz kawalera w Nowym Jorku?

Mruga do Michaela Francis, który krzywi się w odpowiedzi, ponurak jeden.

– Do niego idziesz dzwonić?

Aoife nie odpowiada, patrzy tylko ze zboląłą miną na składany przez Monicę obrus.

– Do niego? – naciska Gretta. – A nie będzie facet spał o tej godzinie?

– Nie – mruczy Aoife. – Tam jest... – spogląda na zegar nad oknem.... no, nie wiem... gdzieś ósma rano.

– A nie będzie w pracy?

– Mmm – mamrocze Aoife i markując przeszukiwanie kieszeni, wycofuje się z pokoju. Gretta wstaje od stołu i rusza za nią.

– A pracę ma?

– Mamo – szepcze za nią Michael Francis. – Aoife chce zadzwonić, więc...

– Czy też jest... artystą?!

Aoife odwraca się przed frontowych drzwi, odgarnia włosy z czoła – och, jak Gretta ręka świerzbi, żeby ją porządnie przejechać szczotką – i odwarkuje:

– Nie. Jest prawnikiem, jeśli chcesz wiedzieć. Albo niedługo będzie.

Otwiera szarpnięciem drzwi, jak to ona.

– Niedługo wrócę.

I trzaska. Jak to ona.

– No cóż – mówi Monica, osuwając się na zwolniony przez Aoife fotel. – Widzę, że kilka lat w Nowym Jorku nie utemperowało komuś charakterku.

Michael Francis wzdycha i już ma coś powiedzieć, ale Gretta przystępuje do kuchennej krzątaniny.

– Słyszeliście to? – pyta. – Prawnik. Prowadza się z prawnikiem.

– Naprawdę? – pyta Michael Francis. – A kiedy niby tak mówiła?

– Przed chwilą. Pod drzwiami. Kto by pomyślał? – Gretta chwyta poskładaną przez Monicę bieliznę i upycha ją na oślep w szufladach. – Aoife i prawnik.

Przerywa upychanie i odwraca się do nich.

– Katolik? Jak myślicie?

Aoife stoi na chodniku tuż za furtką i patrzy w prawo i w lewo, jakby zapomniała, dokąd się wybiera.

Brytyjskie pieniądze dziwnie ciążą jej w dłoni; portmonetka pęka w szwach, nie wytrzymując natłoku walut: dziesięciocentówek i dwupensówek, pięciocentówek i dziesięciopensówek.

Monica, jej własna siostra, udawała, że jej nie zna, patrzyła przez nią albo za nią, jakby jej tam w ogóle nie było. Ta gra przekreślała wszystko, mówiła: nigdy nie spałyśmy razem w pokoju, ani razu nie przeprowadziłam cię za rękę przez ulicę, to nie ja obwiązywałam ci głowę, kiedy ją sobie rozciąłaś



o barierkę, to nie ty donaszałaś po mnie ubrania, nie ty wlewałaś mi łyżeczką herbatę do ust, gdy leżałam z mononukleozą, nie ty przez lata spałaś koło mnie w identycznym łóżku, to nie ja pokazywałam ci, jak się reguluje brwi, wiąże sznurowadła i pierze ręcznie sweter. Irracjonalność zachowania Moniki, przykrość, jaką jej tym sprawiła, zupełnie wytrąca Aoife z równowagi. Na samo wspomnienie Moniki uchylającej się od niej w taki sposób czuje pulsujący ból, jak od świeżo zadanej rany.

A to wszystko, myśli, ruszając w głąb ulicy i ściskając napęczniałą portmonetkę, przez okropny splot okoliczności. Gdyby tak nie wybrała się do Moniki tego dnia. Dlaczego to zrobiła? O co tym razem chodziło? Przebywała akurat w okolicy i nie widziała się z Monicą od dłuższego czasu; mniej więcej od miesiąca, gdy spotkali się przy Gillerton Road i Joe oznajmił, że Monica jest w ciąży. Gdy to mówił, Aoife spojrzała na Monicę, bo siostra zawsze powtarzała, że nie będzie miała dzieci. Nigdy, ale to nigdy, twierdziła. Wybuchła wrzawa rodzicielskich gratulacji, a Monica siedziała na kanapie, sztywno wyprostowana, z dłonią w dłoni Joego i kamiennym wyrazem twarzy.

Aoife wybrała się więc do mieszkania Moniki, ale zastała siostrę bladą, skuloną, w spódnicy ciężkiej i ciemnej. Zbiegła po schodach do właściciela budynku, żeby zadzwonić po pogotowie. Pojechała z Monicą do szpitala, stała przy łóżku, trzymała siostrę za ramię, gdy ból się nasilił; tak mi przykro, Monica, mówiła, tak bardzo mi przykro, i ocierała siostrze łzy swoją chustką do nosa, a gdy ta przesiąkła łzami, przykładła jej róg swojej apaszki. Kiedy przyjechał Joe i wbiegł pędem przez oddział, Aoife wyszła, wsiadła do autobusu i patrzyła na przesuwany się za oknami Londyn, ale widziała tylko jego blask i myślała o tym, jak jest esencją życia, ale i śmierci. Nie, mówiła Monica, nie patrz, to przynosi pecha. Ale jakżeby mogła nie patrzeć? Jak mogła pozwolić, by pielęgniarka je zabrała, jak byle co, a nie osobę, którą nie zdążyło się stać? Aoife uważała, że ktoś musi na nie spojrzeć i powiedzieć, tak, byłeś tu, widziałam cię, istniałeś. Tylko niedługo.

Gdy nazajutrz Aoife wróciła do szpitala, te myśli dalej kłębiły jej się w głowie i chciała opowiedzieć Monice, jak wyglądało. Chciała opowiedzieć o kruchym wygięciu pleców, o nieznośnie doskonałych, splecionych palcach. Ale Monicę otaczał już całkiem inny widok. Matka siedziała na łóżku, rozrzuciwszy po pościeli torebkę, apaszkę, rękawiczki i rozmaite pakunki,

i mówiła właśnie: „...nikt o tym nie wie, ale do końca życia nosił to na łańcuszku pod ubraniami”.

Ojciec stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz, wyraźnie zahipnotyzowany widokiem srebrzystych wentylatorów na szpitalnym dachu. Joe siedział pochylony na krześle przy łóżku i trzymał Monicę za rękę.

Sama Monica pólleżała na kilku poduszkach. Miała na sobie lizeskę z opadającymi satynowymi kokardami i rękawami wykończonymi koronką. Włosy miała, jak to sama nazywała, „zrobione”; Aoife się zastanawiała, kto jej przyniósł wałki i suszarkę. Ktoś musiał, pomyślała, bo przecież w szpitalach nie mają takich rzeczy. A może mają.

Gretta karmiła Monicę zupą, łyżka po łyżce. „Mój zuch”, mówiła między kolejnymi porcjami, a potem ciągnęła swoją opowieść. W ogóle nie przywitała się z Aoife, odwróciła się tylko i wykrzyknęła: „Patrz tylko na swoją siostrę! Jaka dzielna, prawda?”.

– Wychodzimy za dziewięć minut – oznajmił oknu ojciec.

Monica odpędziła gestem podsuwaną przez Grettę łyżkę, skrzywiła się lekko i rozłożyła na poduszkach. Gretta nachyliła się, przyłożyła jej palce do czoła, spytała, czy coś ją boli i czy wezwać pielęgniarkę.

To, co stało się później, Aoife pamięta tak wyraźnie, jakby oglądała to na małym ekranie w głowie. Oderwała spojrzenie od matki i siostry, na zawsze wykluczona z ich ścisłego sojuszu, i jej wzrok padł na płaszcz Moniki, przerzucony przez oparcie krzesła. Elegancki, niedzielny płaszcz, granatowy, wykończony karakułami, zapinany na ozdobną pętlę. Sama go zdjęła z wieszaka w przedpokoju, gdy sanitariusze znosili Monicę ze schodów. Przyszło jej na myśl, że Monice może być zimno, że może go potrzebować. Joe gładził Monicę po ręce, Gretta oblizywała grzbiet łyżki, Robert dalej wyglądał przez okno, a Aoife myślała: karakuły... czy ktoś jej kiedyś nie wspominał, że wyrabia się je z futra owieczek przedwcześnie wywołanych na świat? Kieszenie płaszcza, jak zauważyła, też wykończono misternie pozwijanymi, nieprawdopodobnie miękkimi supełkami.

Aoife przeniosła spojrzenie z płaszcza na Monicę, rozłożoną blado na poduszkach, a potem znów na płaszcz. Rodzice zaczęli zbierać rzeczy, torby, pojemniki po jedzeniu.

Między osobami mieszkającymi w jednym pokoju zachodzi swoisty, niewidoczny proces osmozy. Gdy śpi się przy czyimś boku, noc w noc,

wdycha jego powietrze i oddaje mu własne, to sny i cała rzeczywistość nieświadoma zaczynają się splątywać, obwody psychiki biegną równolegle, wymieniając informacje bez słów.

Aoife spojrzała na siostrę, spojrzała na płaszczy i nagle już wiedziała. Nie miała cienia wątpliwości. Trudno jej było uwierzyć, że nie zorientowała się poprzedniego dnia, ale szok i panika nie pozwoliły jej jasno rozumować. Oczywiście tego odkrycia rozbrzmiała w niej jak dzwon: nie było żadnego poronienia, to nie przypadek. Aoife to wiedziała. Jej umysł odsłonił to i jej ukazał. Monica zrobiła to sobie sama.

W sali trwały pożegnania – widocznie upłynęło dziewięć minut. Monicę kilkakrotnie objęto, odegrał się minidramat, gdy Gretta nie mogła znaleźć apaszki. Znalaziono ją pod łóżkiem i założono gdzie trzeba.

Aoife nadal stała przy drzwiach i zdawało jej się, że ta wiedza uciska jej pierś jak astma. Gdy Gretta się nachyliła, żeby po raz kolejny, już ostatni, uściskać Monicę, ta znad ramienia matki zerknęła na Aoife.

Aoife wytrzymała jej spojrzenie. Wpatrywały się w siebie przez dłuższą chwilę, po czym Monica przygryzła wargę. Jej policzki pokryły się wypiekami, a gdy Joe wstał z krzesła, żeby odprowadzić Grettę i Roberta, Monica wyciągnęła do niego rękę.

– Nie idź – powiedziała. – Zostań ze mną.

Joe klepał ją po dłoni i mówił, że wróci w mgnieniu oka, ale Monica nie ustępowała.

– Nie – mówiła. – Chcę, żebyś został.

– Ale Aoife tu jest – przekonywał łagodnie Joe, odplątując jej palce ze swojego rękawa. – Nic ci nie będzie.

I nagle zostały same.

Co powiedzieć? – myślała Aoife. Która się pierwsza odezwie? Jaki przewidziano protokół na takie sytuacje? Coś jej nakazywało oznajmić: nie mój interes, to twoje życie, twój wybór, nie puszczę pary z ust. Ale inny głos podszeptował: Mon, jak mogłaś, dlaczego to zrobiłaś, a co z Joem?

Monica się nie odezwie, Aoife wiedziała to wyraźnie. Jej spojrzenie umknęło w inną stronę, na sufit, podbródek uniósł się nieznacznie, usta zacisnęły. Ta mina była Aoife tak dobrze znana – mina świadcząca nie tyle o oporze, co o waleczności. Aoife wiedziała, że w tej chwili Monica mobilizuje siły, gromadzi energię. Monica odrzuciła włosy i przenosząc

wzrok za okno, strząsnęła z rękawa nieistniejący pyłek. Aoife się odwróciła, przycisnęła drzwi i poszła szybko korytarzem. Miała poczucie, że ściga ją jakaś sfora, szczekająca przeciągle i kłapiąca paszczami przy jej piętach. Jeśli pójdzie wystarczająco szybko, wystarczająco daleko, być może jej się wyrwie, być może nie dopuści, by zatrzęsnęła szczęki na jej ciele.

Aoife skręca przy końcu Gillerton Road. Zastłania oczy przed słońcem, rozgląda się po ulicy i zamiera na chwilę na widok samochodu śmigającego z prawej strony. Zatrzymuje się przed budką, jakby chciała złapać oddech, ale w rzeczywistości musi tylko otrzeć pot z linii włosów, znad górnej wargi.

Gabe odbiera i jego głos wydaje się wyważony i chłodny. Brzmi to tak niepokojąco, że Aoife bezwiednie powtarza do słuchawki:

– No to jak leci?

– Dobrze – mówi on. – W porządku.

Aoife przestrasza zmysł słuchu na ten nowy sposób mówienia, jego dziwną powolność i bezdźwięczność. Takim tonem można się zwracać do znajomego, którego się nieszczególnie lubi, albo do kogoś, kogo niezbyt dobrze się zna i nie ma się chęci poznać lepiej. Może to dlatego, że jest w pracy? W restauracji trwa właśnie poranna zmiana, zawsze najspokojniejsza, bo Arnault przyjeżdża później. Czy ktoś nasłuchuje ich rozmowy? Może o to chodzi.

Dłoń zaciska jej się na czarnej słuchawce. Wie, że nie w tym rzecz. Wiele razy dzwoniła do niego do pracy i nigdy wcześniej nie mówił tym tonem. Znowu rozwija się przed nią ciąg liter na zaparowanej szybie: MOŻE, chyba, potem coś jeszcze, potem SOBA, potem jeszcze coś? Co tam było napisane? – chce zapytać. Proszę, tylko mi powiedz. Co SOBA?

– Coś nowego w sprawie taty? – pyta Gabe.

– Jeszcze nie. Wiesz... byłam ciekawa... czy udało ci się może... – krzywi się na siebie, że o to pyta, ale musi wiedzieć – ...wpaść do Evelyn?

Słyszy, jak Gabe wciąga powietrze.

– Tak – mówi tym swoim nowym głosem.

– A... znalazłeś teczkę?

– Tak – mówi znowu Gabe, a Aoife przyciska słuchawkę do ucha i czeka na ciąg dalszy. – Jezu, Aoife – dodaje, a ona ma wrażenie, że przeniósł telefon w jakieś zaciszniejsze miejsce, bo powietrze wokół niego zamarło. – Niektóre papiery mają rok. Listy, umowy, naprawdę ważne rzeczy.

– Tak – odpowiada słabo Aoife. – Tak, wiem, tylko że...

– Nie rozumiem, dlaczego... czy Evelyn w ogóle wie, że... – wzdycha. – Nic z tego nie rozumiem.

Aoife napiera opuszkami palców na ostro zakończony rowek na monety, aż bieleją od nacisku.

– Nie wiem, jak mogłaś jej to zrobić. Po tym wszystkim, co ona zrobiła dla ciebie. Tam były niezrealizowane czeki na tysiące dolarów. Coś ty sobie wyobrażała?

– Ale... czeki idą na ogół prosto do księgowości, ale może kilka mi umknęło... chodzi o to...

– Wiem, że bywa ciężko i wiem, że cię nie oszczędza, ale tak wrzucać to wszystko do pudła i zapomnieć, no, tak nie można, Aoife.

– Wiem – wykrztusza Aoife. – Tylko że...

– Słuchaj, muszę lecieć – przerywa Gabe. – Zadzwoń, jak będzie wiadomo, co z tatą, okay?

Aoife wypada z budki telefonicznej. Temperatura wewnątrz, w otoczeniu całego tego szkła, jest niewiarygodna. Nie do wytrzymania. Opiera się na chwilę o drzwi i łapie powietrze. Ale powietrze na zewnątrz nie jest wiele chłodniejsze i wydaje się przepalać rozgałęzione kanały w jej płucach. Dociera do niej, że metalowe części budki parzą ją w skórę i czym prędzej odskakuje. Czyżby nie było ucieczki? – myśli. Czy wszędzie jest równie gorąco?

Teczka jest u Gabe'a. Ten problem ją drażnił jak rzep na ubraniu, a teraz zna już rozmiary problemu. Faktury sprzed roku. Tysiące dolarów w niezrealizowanych czekach. Co powie Evelyn? Aoife próbuje sobie to wyobrazić: Evelyn będzie przerażona, zaskoczona, nawet wściekła. Gdy zaczęły współpracę, oznajmiła Aoife, że potrzebuje kogoś, kto zajmie się takimi rzeczami, całą tą życiową paplaniną, żeby ona, Evelyn, mogła się skupić na zdjęciach. A czy Aoife się z tego wywiązała? Nie, nie wywiązała się. Straci pracę. Wie o tym. Może zawsze o tym wiedziała, odkąd tylko odłożyła do teczki tę pierwszą umowę. Jedyne prace, którą polubiła. I co z Gabe'em i jego bezbarwnym głosem mówiącym: jak mogłaś, Aoife?

Patrzy na niebo i natychmiast musi zasłonić oczy. Słońce weszło wysoko ponad dachy i drzewa. Musi być południe czy w okolicach południa. To, co widzi przed sobą – samochody, autobusy, witryny, młodą kobietę z wózkiem

– drga i załamuje się w gorącym powietrzu. Wydaje się, że światło słoneczne przenika wszystko, wwierca jej się w siatkówki ze sklepowych wystaw, samochodowych zderzaków, kół wózka.

Myśl o tym, że jeszcze ktoś się od niej odsunie, wytrąca ją z równowagi, napełnia paniką. Wkrótce, myśli do siebie, nie pozostanie ci nikt.

Obserwuje, jak autobus z Islington zakręca na łuku; stojący pasażerowie lecą w bok, a potem do tyłu.

Tak jak podejrzewała, u Evelyn nikt nie odebrał. Nawet gdy była w pracowni, rzadko podnosiła słuchawkę. Aoife musiała się więc nagrać na sekretarkę: musiała powiedzieć Evelyn, że ma spotkanie o jedenastej, że do studia przyjdzie wydawca czasopisma, że ma pamiętać o wysłaniu odbitek do MoMA. Przekazanie tego wszystkiego kosztowało ją prawie wszystkie drobne, bo automat łykał monety w zastraszającym tempie. Musi załatwić więcej. Może w którymś sklepie. W domu nie poprosi. To by wywołało zbyt wiele pytań, a jak miałyby na nie odpowiedzieć, co miałyby powiedzieć, skoro nie wiedzą nic o Evelyn, nie wiedzą nic o Gabie, nie wiedzą nic w ogóle? Za dużo wyjaśniania; sama nie wiedziałyby, od czego zacząć. Nie, najlepiej, jak wejdzie po prostu do sklepu i rozmieni banknot na dziesięciopensówki. Matka by się tylko zamartwiała i lamentowała, i dramatyzowała.

Jeszcze w budce, po tym, jak zadzwoniła do Nowego Jorku, naszło ją dziwne pragnienie skontaktowania się z ojcem. Wykręcenia jego numeru i usłyszenia jego głosu w małych otworkach słuchawki. Kiedy z nim ostatnio rozmawiała? Całe miesiące temu. Od czasu do czasu dzwoni do rodziców z Nowego Jorku, ale dla nich rozmowy międzynarodowe to zbytek graniczący z wykroczeniem. Traktują je jak coś w rodzaju telegramu: wymieniają najważniejsze, najbardziej podstawowe informacje, po czym się rozłączają. Mówią pospiesznie jedno przed drugim, wrzeszczą do słuchawki, a ich pytania mieszają się i zagłuszają tak, że nie słyszy ani jednego, ani drugiego. Czy dobrze się odżywia? Chodzi w niedzielę do kościoła? Ma ciepłą kurtkę?

Aoife przechodzi przez ulicę. Ze szczelin w nawierzchni wysączają się czarne strumienie stopionej smoły. Aoife wymija je i przypomina jej się zabawa z dzieciństwa, w której nie wolno było nadepnąć na linie między płytkami chodnikowymi. Kto nastąpi na linię, weźmie za żonę świnię, a na

własnym pogrzebie pająka wyminie. Pamięta, że przerażała ją ta rymowanka. To śmieszne, gdy największym zagrożeniem staje się pająk napotkany na własnym pogrzebie.

Zatrzymuje się w myślach na słowie „pogrzeb”. Pociera dłonią czoło, jakby próbowała coś wymazać z pola widzenia, ale jej świadomość nie ustępuje i podsuwa jej obrazy trumny, ojca leżącego w jej wyłożonym niebieską, marszczoną satyną wnętrzu i matki, wplątującej różaniec w jego zeszytniałe palce. Jakże może być inne wytłumaczenie?

Zatrzymuje się pod biblioteką. Nie jest pewna, po co tu przyszła; zapytała o nią tylko po to, żeby odciągnąć ich uwagę od budki telefonicznej. O dziwo, gdy była młodsza, spędzała tu masę czasu. Uwielbiała bibliotekę za surową, przykurzoną ciszę, za niekończące się rzędy grzbietów książek. Uwielbiała przesuwać dłonią po regałach, jakby w nadziei, że gdy dotknie woluminów, te oddadzą jej swoje sekrety. Ale to, rzecz jasna, nigdy nie podziałało.

„Godziny otwarcia” – głosi prawdopodobnie tabliczka na drzwiach i Aoife, żeby wyrzucić z głowy obraz ojca w trumnie, dopuszcza, by te ciągi liter trafiły do tej części jej świadomości, którą zawsze usilnie tłumi. I natychmiast, dokładnie tak, jak przypuszczała, umysł zaczyna przetasowywać litery jak dłoń talię kart. „Otwarcia” przetapia się w „warto”, „ci”, „tarcia”, oczywiście „ot”, „tor”, „toward”, „owo”, „oto”, „wiata”, „trawa”. „Godziny” próbują się rozpoczynać od „Gi”, potem od „no”, a potem „dzi” wznosi się ponad słowo i...

Odcina się. Dość. Tu musi być stanowcza, w przeciwnym razie jej mózg może tak pracować bez ustanku, a ona ma dzisiaj za dużo do zrobienia, żeby pozwolić sobie na ten rozprasający bełkot.

Jakiś tydzień po szpitalnym epizodzie odbyło się spotkanie rodzinne u Michaela Francisa. Cóż to była za okazja? Urodziny któregoś z dzieci? Aoife wyraźnie sobie przypomina rządęk płonących świec, a w tle zaskoczona i pełną podziwu twarz Hughiego.

Urodziny Hughiego. Monica przez cały czas unikała spojrzenia Aoife: podczas otwierania prezentów, podczas śpiewania „Sto lat”, podczas niekończących się kolejek herbaty. Taka osobista oziębłość była jej specjalnością; nie dostrzegał jej nikt poza osobą zainteresowaną. Ale Aoife nie mogła się powstrzymać przed spoglądaniem na siostrę; jej spojrzenie co rusz się na nią kierowało, jakby dla sprawdzenia, czy Monica wciąż jeszcze

udaje, że Aoife nie istnieje.

Po jakiejś godzinie Aoife miała dość. Jak Monica może ją tak traktować, jakby to ona kłamała, ukrywała coś i udawała? Nie zrobiła niczego złego i Monica nie ma się czego obawiać z jej strony. Nikomu się nie zdradzi; Monica powinna to wiedzieć. To, co inni robią z własnym życiem, to ich sprawa: Aoife była o tym święcie przekonana. Ale pewne słowa muszą między nimi paść, to na pewno. Gdy więc Monica poszła do kuchni, żeby znów napełnić czajnik, Aoife wymknęła się z salonu i poszła za nią. Podeszła siostrę od tyłu, gdy ta stała przy zlewie, i odcięła jej odwrót.

– Słuchaj – odezwała się do jej potylicy. – Chciałam ci powiedzieć, że ja nie...

Monica odwróciła się jak na zawołanie.

– Zastanawiam się czasem... – zaczęła dziwnie towarzyskim tonem, jakby właśnie wracały do przerwanej przed tygodniami pogawędki; wysoko na policzkach znów pokazały jej się wypieki – ...czy masz pojęcie, co się stało z mamusią po twoim urodzeniu.

Tego Aoife spodziewała się najmniej. Z jednej strony zdawała sobie sprawę, że Monica zachowuje się tak jak zwykle, gdy staje przed jakimś problemem: odwraca uwagę od własnej osoby i przenosi winę na przeciwnika. Ta strategia Moniki była Aoife znana tak dobrze, jak imię siostry, ale i tak się cofnęła i natrafiwszy na stół za plecami, rozsunęła palce na jego gładkich słojach.

– Ale o co ci chodzi? – spytała, chociaż wcale nie chciała wiedzieć, zupełnie nie miała ochoty wysłuchiwać, co na ten temat ma do powiedzenia Monica. Nie chciała tego usłyszeć; żadnej z tych okropnych, potwornych rzeczy, które zaczęła jej szeptem wyłuszczać Monica, gdy stały w kuchni: to jej wina, że Gretta bierze wszystkie proszki na uspokojenie, to wszystko jej wina, to się zaczęło wraz z jej narodzinami – czy Aoife wie, że była niemowlakiem z piekła rodem, że ciągle płakała, istny koszmar, że dobiła matkę, naprawdę, to ona doprowadziła Grettę do ostateczności, wykończyła ją. Wykończyła, powtarzała Monica. A Aoife nie chciała w to wszystko uwierzyć – może Monica sama w to nie wierzy, może to wszystko kłamstwa, może na nią naskoczyła, bo czuje się przyparta do muru.

– Jego zapytaj. – Monica wskazała brata, który właśnie wszedł do kuchni.  
– Jeśli mi nie wierzysz.



Obróciły się obie do Michaela Francisa, który jeszcze się uśmiechał z powodu czegoś zasłyszanego w salonie, i na jego widok Aoife poczuła, jak rośnie jej serce, bo zawsze był jej obrońcą, jej ostoją prawdy i sprawiedliwości, zawsze. Jeśli on tu jest, nic jej się nie stanie. On powie Monice, żeby się zamknęła, że plecie bzdury. Na pewno tak zrobi.

– O co? – spytał jowialnym tonem, otaczając Monicę ramieniem.

Monica wysunęła głowę w jego stronę; wzrok miała rozpalony gniewem, triumfem.

– Prawda, że Aoife była niemowlakiem z piekła rodem i że to przez nią mamusia bierze te wszystkie proszki?

Z twarzy Michaela Francisa spęłzył urodzinowy uśmiech, a zastąpiło go przerażenie. Jego ręka opadła martwo z ramion Moniki.

– Po co coś takiego mówisz? – spytał cicho. – Jak możesz jej to mówić?

Niczemu nie zaprzeczył, niczego nie obalił. Aoife stała przy stole, którego narożnik wbijał jej się w nogę, i dopuszczała płynnie do świadomości ten fakt: Michael Francis nie powiedział, że to nieprawda, tylko zapytał, po co to mówi. I gdy tak stała, uzmysłowiła sobie, że to wszystko w pewnym sensie układa się w logiczną całość, tak jakby ktoś wręczył jej ostatni element układanki, nad którą przez lata się głowiła. Słowa Moniki wypełniły w niej pewną lukę z odrażającą, bezwzględną precyzją.

Wyszła więc po angielsku. Przeszła przez salon, gdzie Hughie skakał po kanapie z twarzą umazaną polewą czekoladową, gdzie siedział jej ojciec, trzymając Hughiego za poły koszuli, żeby dziecko nie fiknęło z kanapy, gdzie Claire składała jeden na drugim talerzyki po torcie, gdzie matka kroїła sobie następny kawałek i mówiła coś o kochanym solenizancie, ale Aoife nie mogła na nią patrzeć, ani przez chwilę.

Jeden Joe uniósł głowę, gdy przechodziła między nimi. W przedpokoju domu Michaela Francisa zatrzymała się nagle jak zabawka, której wyczerpały się baterie. Zapatrzyła się na okrycia i torby wiszące na kołkach za frontowymi drzwiami: tweedowy płaszcz z guzikami obciążniętymi strzępiącą się już skórą, prochowiec zapinany na pasek z klamrą, ciepła męska kurtka z kieszeniami wypchanymi rękawiczkami, nieprawdopodobnie mała budrysówka z kapturem z podszewką w szkocką kratę, wijący się między okryciami malinowy szalik z wełny. Wpatrywała się w nie jak zaczarowana, próbując dojść, co należy do niej i gdzie jest jej

płaszcz, gdy ktoś nagle dotknął jej łokcia i poderwała się jak trącona ostrogą.

Koło niej stał Joe i wtykał papierosa w usta.

– Gdzie idziesz? – zapytał.

Płaszcz odnalazł się na podłodze i Aoife porwała go szybkim ruchem.

– Nigdzie – odpowiedziała, wpychając ręce do rękawów.

Joe, nie spuszczać z niej oka, pstryknął zapalniczką i podstawił płomień pod końcówkę papierosa.

– Co się dzieje, Aoife? – spytał, a żarzący się papieros zachwiał się niebezpiecznie.

– Nic – odparła i spuściła głowę, żeby zapiąć guziki. – Nie wiem, o co ci chodzi. Nic się nie dzieje.

– Między tobą i twoją siostrą – wyszedł też i ruszył za nią ścieżką. – Aoife? Pytałem cię o coś.

– Muszę lecieć – powiedziała i zatrzasnąwszy za sobą furtkę, odeszła tak szybko, jak tylko umiała, nie przechodząc przy tym w bieg. Odwróciła się przy końcu ulicy. Joe, ze smugą dymu papierosowego za głową, stał nadal na ścieżce wiodącej do domu Michaela Francis'a i ją obserwował.

Aoife waha się przez chwilę u podnóża bibliotecznych schodów, ale potem, w nagłym przypływie stanowczości – bo tu jest, bo może – wspina się po nich, podciągając torbę na ramieniu, przechodzi przez podwójne drzwi i już czuje, jak spowija ją zbawienny chłód biblioteki.

Kilka minut później dołączają do niej brat i siostra.

Monica zatrzymuje się w holu. Mrok tu panujący przynosi ulgę po ulicznym blasku i Monica chce dać oczom chwilę odpoczynku. Michael Francis, który jak zwykle się zagapił, wtacza jej się na plecy, popychając naprzód tak, że Monica zaczepia łokciem o stojak z ulotkami.

– O, pardon – mówi łagodnie.

Monica nie odpowiada i nie patrzy na brata, pociera tylko łokieć.

– Myślę, że to nie ma znaczenia – mówi przyciszonym głosem. W bibliotekach trzeba zawsze szeptać, wie o tym.

– Boże, niewiele się tu zmieniło, co? – Michael Francis patrzy na kręte drewniane schody prowadzące do biblioteki dziecięcej, dziwną, podobną do klatki konstrukcję, czyli windę, do której nie wolno im było wsiadać. Jego głos rozbrzmiewa tak głośno, że Monica czuje się z tym nieswojo. Taki uczony, a nie słyszał o szeptaniu. – Dlaczego nie? – dodaje Michael Francis

i nachyla się, żeby zajrzeć z bliska do tego zakratowanego niby-szybu windy.

– Co: dlaczego nie?

– Dlaczego myślisz, że to nie ma znaczenia?

– To zwykły świstek – mówi Monica, patrząc jeszcze raz na kawałek papieru, który pokazał jej po drodze brat. – Oderwany od czegoś. Od listu. Nie rozumiem, dlaczego miałby coś znaczyć.

– Ale mama mówiła, że nie rozpoznaje tego charakteru pisma. Nie wiedziała, skąd to się wzięło. A patrz, co tu jest napisane. To takie... apokaliptyczne.

Monica odtwarza w głowie sylaby tego słowa, raz i drugi.

Brat spogląda na nią.

– Katastroficzne – mówi szybko. – No wiesz, jak w...

– Wiem, co znaczy apok... co to znaczy, wielkie dzięki.

– Nie ma sprawy. Chciałem tylko...

– A co my tu właściwie robimy?

– Szukamy Aoife – podchodzi do drzwi wypożyczalni i zagląda przez szybę. – Pomyślałem, że powinniśmy obgadać parę spraw. Bez mamy.

– Dlaczego? – marszczy brwi Monica.

– Bo musimy opracować jakiś plan. Sama tak powiedziałaś.

– Ale dlaczego bez mamy?

– Bo ona... – Michael Francis milknie, zaglądając wciąż do wypożyczalni, gdzie zebrani przemierzają się powoli jak ryby w sadzawce.

Monica wzdycha i muska czoło chustką do nosa.

– Pewnie Aoife tam i tak nie ma.

– Mówiła, że się wybiera.

– Ale to nie znaczy, że przyszła. Znasz Aoife.

– A jednak się mylisz – mówi Michael Francis i postukuje w drzwi. – Tu jest.

Monica podchodzi do szyby. Przez chwilę ogląda przechodzącą przez pomieszczenie kobietę tak, jakby jej nie знаła. Aoife jest atrakcyjna, konstatuje Monica, jakby ją pierwszy raz widziała; wąskie, hiacyntowe spodnie z zamkami, przylegające zgrabnie na biodrach, bluzka w zwariowane wzory, odsłaniająca obojczyki. Włosy zebrane i upięte niedbale z tyłu głowy. Kto by pomyślał, że wyrośnie z niej ktoś taki; a takie z niej było pozbawione wdzięku, wiecznie potykające się o własne nogi

dziecko o dziwnym wyglądzie. Monica pamięta, jak po szkole musiała przyprowadzać Aoife właśnie tu, do tej biblioteki. „Zaprowadź ją, dobrze?“, błagała Monicę Gretta. „Potrzebuję chwili wytchnienia”. Bo Aoife była nieznośna, jeśli chodzi o zadawanie pytań. A dlaczego Ziemia kręci się wokół Słońca tylko w jedną stronę? A zmienia czasem kierunek? A co jest za niebem? A skąd wiesz? Kto tak powiedział? Jakie jest największe miasto na świecie? A najmniejsze? Gretta mawiała, że dziesięć minut w towarzystwie Aoife przyprawia ją o ból mózgu. Ale Aoife lubiła bibliotekę, chociaż przez lata odmawiała nauki pisania. Tam się wyciszała, tam nieruchomiła. Książki traktowała jako przyczynek do własnych wyobrażeń. Sunęła alejkami, od regału do regału: „O, tej jeszcze nie czytałam”, szeptała do siebie i przechylała książkę, żeby zdjąć ją z półki. Brała ją do stolika, siadała na krześle i obracała strony, badając obrazki i mamrocząc własną, zmyśloną wersję opowieści. Monica siedziała obok i mówiła: „Pospiesz się, Aoife, idziemy do domu”.

Monica patrzy teraz, jak dorosła Aoife przechadza się między regałami, jej niby-bluzka wydyma się i opada z impetem każdego kroku. Monica sama by czegoś takiego nie włożyła, ale na siostrze docenia jej urodę. Aoife niesie wielką, grubą książkę, rozmiarów encyklopedii. I pod okiem Moniki i Michaela Francisa robi coś naprawdę szokującego. Gdyby Monica tego nie widziała na własne oczy, nigdy by nie uwierzyła. Aoife wsuwa książkę do torby. Nie ma co do tego wątpliwości. *Fotografia amerykańska*, czyta Monica znikający pod brezentem napis. Włożyła tę książkę, tę *Fotografię amerykańską*, do torby. Nie podeszła z nią do kontuaru. Nawet się nie obejrzała. Zapina teraz zamek torby i ze spuszczoną głową idzie w ich stronę.

– Czy ona...?

– Tak – szepcze Monica.

Aoife pojawia się w drzwiach. Na widok brata i siostry stojących w holu staje jak wryta.

– A wy co tu robicie? – ma czelność zapytać.

– Patrzymy na ciebie – mówi Michael Francis.

– Czy ty właśnie ukradłaś tę książkę? – rzuca Monica i zdaje sobie sprawę, że to pierwsze od trzech lat słowa, które wypowiedziała do siostry. – Natychmiast ją tam odnieś.

Aoife prycha, obraca się na pięcie i wychodzi z biblioteki.

– Nie wierzę, że to zrobiła – mówi Michael Francis, z bezradnie opuszczonymi rękami.

– A ja tak.

Monica rusza za nią i na zewnątrz gonia ją razem chodnikiem. Michael Francis pierwszy jej dopada i mówi:

– Nie można okradać biblioteki.

– To żadna kradzież – odpowiada Aoife, nie zwalniając kroku.

– A wyglądało całkiem jak kradzież – mówi Monica.

– Monica ma rację – dodaje Michael Francis.

– Spokojnie, tylko ją pożyczam. Nie mam karty bibliotecznej. Odniosę ją jutro.

– A tak w ogóle, to na co ci ona? – pyta Michael Francis.

– Co za samolubne, bezmyślne... – zaczyna Monica, ale nie kończy, bo Aoife chwyta ją nagle za rękę.

– O Boże – mówi. – Czy to nie Joe?

To Joe. Idzie Blackstock Road z dłonią zanurzoną głęboko w kieszeni dzinsów towarzyszącej mu kobiety. Kobieta pcha głęboki wózek, Joe nachyla ku niej głowę, żeby wychwycić, co mówi, po czym uśmiecha się i sprawia wrażenie spokojnego i beztroskiego, jakby to nie on płakał bez końca w pobliskim mieszkaniu na pierwszym piętrze, szlochał przerażająco i zwierzęco, z głową ukrytą w dłoniach, jakby nic go dotąd tak w życiu nie zraniło; jakby to nie on przysunął twarz do twarzy kobiety i powiedział: brzydzę się cię, nie jesteś człowiekiem, robi mi się niedobrze na twój widok; jakby to nie on stał w kościele naprzeciw tej samej kobiety i ślubował przed Bogiem, że będzie ją kochał i szanował w doli i niedoli; jakby to nie on trzymał ją za rękę, gdy stali w snopie światła latarni ulicznej, i mówił, że jest dla niego wszystkim, że nie może bez niej żyć. A oto i on, żyje bez niej, idzie sobie w słońcu z tą samą dłonią wetkniętą w tylną kieszeń spodni innej kobiety. A oto i on, w tej samej kraciastej koszuli, ale z nową żoną, prowadzącą, zdaje się, wózek, w którym, jak przypuszcza Monica, musi się znajdować dziecko.

Psiakrew, myśli Michael Francis. Aoife myśli, że to ta sama kobieta z wózkiem, którą widziała wcześniej, i czy przypadkiem nie chodziła do jej szkoły kilka klas wyżej? Belinda jakaś tam. Może Greenwell? A Monica w zasadzie nie myśli o niczym. W głowie rozwiera jej się stroma przepaść

paniki, niemego niezrozumienia. Nie pojmuje, jak do tego doszło, jak to się mogło stać. Chce powiedzieć komuś lub czemuś: nie, nie możesz tego zrobić, nie teraz, nie po tym wszystkim, proszę, nie.

Aoife przejmując dowodzenie. Robi krok w tył, otwiera drzwi najbliższego sklepu, wpycha tam Monicę i z powrotem zatrzaskuje drzwi. Nagle wszyscy troje stoją w witrynie kwaciarni i patrzą na ulicę. U Moniki woń kompostu zmieszana z zapachem jaśminu już zawsze przywoływać będzie widok jej pierwszego męża przechodzącego o kilkadziesiąt centymetrów od niej, nieświadomego jej obecności, obejmującego ramiona innej kobiety, gdy przed nimi leży opatulona poczwarka w granatowym wózku, wieziona chodnikiem niczym nagroda. Monica kuli się za snopem goździków i patrzy jak zahipnotyzowana, aż witryna znów jest pusta, aż ich trojga już nie widać.

– No! – parska Michael Francis. – Niewiele brakowało.

– Nie wiedziałam, że znów się ożenił – mruknęła Aoife, stając na palcach, żeby niczego nie przeoczyć.

Monica zamyka oczy. Wyrywa Aoife swój łokieć, bo siostra ciągle ją jeszcze trzyma, jakby się obawiała, że Monica się potknie, jakby zapomniała o wszystkim, co między nimi zaszło.

– Nie? – odwarkuje Monica. – A mnie się zawsze zdawało, że byliście sobie tacy bliscy.

Gretta chodzi po domu. Powinna się wziąć do sprzątnięcia. Te talerze, filiżanki, serwetki, okruchy – wszystko porozrzucane po salonie. Powinna je zbierać i wstawiać do zlewu. Trzeba wyczyścić poduszki i zaciągnąć zasłony we frontowym pokoju, żeby uchronić przed słońcem trzyczęściowy komplet mebli. Zostawiła sobie wodę po porannym zmywaniu; susza, nie susza, ona wody marnować nie będzie.

Powinna się tym wszystkim zająć. Ale na razie kręci się po domu, przechodzi przez drzwi, pokoje i korytarze, przesuwa ręką po wypolerowanej powierzchni poręczy, kładzie dłonie na oparciach krzesel, dotyka chwościków przy zasłonach, muska palcami odstające, wysuszone krawędzie tapety.

Nieczęsto się zdarza, by dom był taki pusty. Odkąd Robert przeszedł na emeryturę, Gretta rzadko ma cały dom dla siebie; mąż stale tu jest – siedzi na fotelu i strzepuje gazetę albo chodzi za nią z pokoju do pokoju. Taki rodzaj pustki Gretta lubi: wokół widać ślady bytności bliskich, a należące do

nich porzucone rzeczy są gwarancją ich powrotu. Żakiet Moniki na wieszaku, kluczyki samochodowe Michaela Francisa na stoliku w przedpokoju, apaszka, którą Aoife przewiesiła przez kołek.

Gretta, która wychowywała się na wsi pod jednym dachem z sześciorgiem rodzeństwa, rodzicami, dziadkami, ciotką i wujem albo i dwoma, nie nawykła do samotności. Zdaje się, że nigdy nie widziała tego domu pustego.

A ten dom, rzecz jasna, przechodził przez różne etapy, myśli Gretta, docierając do pokoju na piętrze, tego na tyłach – pokoju dziewczynek, jak nadal go nazywa. Naciąga kołdrę na łóżku Aoife, strzepuje poduszkę Moniki. Czy Monica się tu dziś zatrzyma? Trudno określić, a jeszcze trudniej zapytać, bo Monica nigdy nie udziela jednoznacznych odpowiedzi. Później się zastanowi, jak jej to wyłożyć. Kiedy to ostatnio spały tu razem? Chyba w noc poprzedzającą ślub Moniki. Aoife miała wtedy osiem lat, tyle co teraz Hughie. Gretta pierwszy raz zadaje sobie pytanie, czy odtąd Aoife trudno było spać samej, czy nocami nie brakowało jej siostry.

Gdyby Gretta zamknęła oczy, bez trudu wyobraziłaby sobie ówczesny wygląd tego pokoju: ściany wokół łóżka Moniki pokryte fotosami gwiazd filmowych albo zdjęciami sukien ślubnych, a te wokół łóżka Aoife ozdobione jej nieczytelnymi wersami, rysunkami wilków i lisów i schodów prowadzących nie wiadomo gdzie.

Dla Gretty dom jest pełen zjaw. Jeśli zajrzy znienacka do ogrodu, na pewno zobaczy szczeble starej drewnianej drabinki, z której Michael Francis kiedyś spadł i złamał sobie siekacz. Jeśli zejdzie teraz na dół, zobaczy, że wieszaki w przedpokoju wypełnione są szkolnymi teczkami, workami na gimnastykę, strojem do rugby Michaela Francisa. Gdyby skręciła za róg, zastałaby syna leżącego na brzuchu na podłodze i czytającego komiks albo raczkującą Aoife, która za wszelką cenę chce się podciągnąć na górę po schodach, żeby dołączyć do rodzeństwa, albo Monicę, pochyloną nad kuchenką i przyrządzającą swoją pierwszą jajecznicę. Dla Gretty powietrze rozbrzmiewa jeszcze dziecięcymi płaczami, sprzeczkami, okrzykami triumfu, pomniejszych pretensjami. Nie może uwierzyć, że ten etap życia już się skończył. Dla niej to wszystko się działo, nadal dzieje i będzie działo już zawsze. Dla niej fundamenty, ściany i tynki tego domu przesączone są życiem jej trojga dzieci. Gretta nie może uwierzyć, że poszły już swoją drogą.

I że wróciły.

Jeśli chodzi o Roberta, to dla Gretty ta sprawa jest nie do pomyślenia. Jego nieobecność przechodzi wszelkie pojęcie. Tak przywykła do tego, że jest zawsze obok, w pobliżu, że nie może się pogodzić z jego zniknięciem. Przyłapuje się na tym, że już prawie do niego mówi; dziś rano zdjęła z półki dwie filiżanki. Spędzili razem tyle lat, że nie przypominają dwojga ludzi, a raczej jedną dziwną, czworonożną istotę. Dla niej ich małżeństwo oznacza głównie mówienie: ona lubi mówić, on chętnie słucha. Bez niego nie ma się do kogo zwrócić ze swoimi uwagami, spostrzeżeniami, niekończącym się komentarzem do życia jako takiego. Od kilku dni jej głowa wypełnia się zdaniami typu: natknęłam się dzisiaj w mięsnym na przedziwnego niemowlaka, widziałeś, że na stacji metra jest nowy kasjer, pamiętasz tę fryzjerkę, do której chodziła Bridie? Bola ją wręcz skronie od tego, co niewypowiedziane, niewysłuchane.

Wchodzi do sypialni i staje przed krzesłem po jego stronie łóżka. Z oparcia zwisa tweedowa marynarka, o wiele za ciepła na tę pogodę. Gretta dotyka rozgrzanego słońcem kołnierza, a potem jej palce suną wzdłuż śliskiej podszewki i sięgają do kieszeni. Kilka monet, spinacz, końcówka biletu na metro. Nic więcej. Nic ponad to, co można zwykle znaleźć w kieszeni u męża.

Niech pani spróbuje się postawić w jego sytuacji, powiedział jej policjant, i spróbuje sobie zadać pytanie, dokąd mógł się wybrać? Musi pani w pewnym sensie czytać mu w myślach, mówił, i popukał się w skroń, jakby chciał jej pokazać, gdzie te myśli znajdzie. Ale prawda jest taka, że choć żyła u jego boku przez trzydzieści kilka lat, choć ostatnio nie rozstają się ani na chwilę, policjant równie dobrze mógłby ją zapytać, co by zrobiła na miejscu królowej angielskiej. Mimo że był od niej taki zależny, mimo jego trwałego przywiązania, Gretta nie ma pojęcia, co się dzieje za tymi okularami, jakie myśli buzują pod tymi gęstymi, bielejącymi włosami.

Gdy go poznała, powiedziała koleżankom z pracy, że to milczek, poważny, mało mówny. Na takich trzeba uważać, orzekła dziewczyna z Kerry. Gretta się zaśmiała, ale była przekonana, zupełnie pewna, że z czasem stanie się bardziej rozmowny, bo tak przeważnie bywa. Ludzie oswajają się ze sobą, ośmielają, otwierają, wychodzą ze swoich skorup.

Razem z innym dziewczynami z hotelu robotniczego pracowała w lokalu



w Islington, w restauracji i kawiarni Pod Aniołem; co za śliczna nazwa. Zobaczyła to ogłoszenie, gdy klęczała na podłodze w wiejskiej kuchni i wykladała gazetami mokre kozaki. „Poszukiwani pracownicy do kawiarni i restauracji Pod Aniołem w Londynie. Oferujemy stałe wynagrodzenie, zakwaterowanie i wyżywienie. Podania proszę składać korespondencyjnie”, przeczytała na głos matce w kuchni. Posłuchaj, mamuś. Kawiarnia i restauracja Pod Aniołem. To tak, jakby istoty niebiańskie sfrunęły z wysokości na herbatę. Matka nic nie odrzekła, tylko z hukiem zatrzasnęła drzwiczki pieca i wytarła ręce o fartuch. Nie chciała, żeby Gretta jechała. Ale ona i tak pojechała, mówiąc matce, że nie będzie jej tylko przez parę miesięcy, że wróci, jak tylko odłoży trochę pieniędzy, na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, a może latem. Ale któregoś wolnego wieczora wybrała się z koleżanką do kina i mężczyzna stojący przed nimi w kolejce odwrócił się, uchylił kapelusza i zapytał, czy to irlandzki akcent. „A kto pyta?”, odparła. Powiedział, że jego matka pochodzi z Irlandii, że tam się urodził, ale jako mały chłopiec przeniósł do Anglii i zmienił imię z Ronan na Robert, żeby się nie wyróżniać; coś podobnego, ona na to.

Gdy spotkali się ponownie, powiedział, że pracuje jako kasjer w banku i że zawsze dobrze rachował. Przyszedł do kawiarni Pod Aniołem i czekał, aż skończy się jej zmiana, pochłaniając herbatę za herbatą i patrząc, jak Gretta kluczy między stolikami z wysoko uniesioną tacą.

Dopiero co wrócił z wojny. Był starszy niż inni, z którymi chodziła, i był rasowym irlandzkim brunetem, jacy zawsze jej się podobali, z prościutkim przedziałkiem. Miał w sobie pewną powagę i nie przypominał chłopców, z którymi wcześniej się spotykała, rozkrzyczanych, błaznujących i płatających figle. Podobało jej się to, że jego uśmiech jak niełatwo się pojawia, tak i niełatwo znika.

Zabrał ją do Islington Green, gdzie usiedli na trochę pod drzewem, a potem ruszyli wzdłuż kanału. On jakby wiedział i cenił sobie to, że ona nie ma nic przeciwko takiemu długiemu spacerowi. Zapytała go, gdzie stacjonował w czasie wojny – tak się w owych czasach zaczynało rozmowy – ale on, zamiast podzielić się z nią paroma ciekawymi opowieściami o Francji, wbił wzrok w ziemię i już się nie odezwał. Sama musiała wypełnić ciszę i opowiedziała mu o gospodarstwie, braciach i siostrach, i tym, co robią teraz, rozsiani po świecie. Słuchał z uwagą, a gdy wieczór miał się ku

końcowi, umiał wyrecytować w kolejności urodzeń imiona, pierwsze i drugie, całej szóstki jej rodzeństwa. Taka sztuczka towarzyska, wyjaśnił. Potem odprowadził ją do hotelu i przez cały ten czas nawet jej nie tknął. Miała pewność, że nad kanałem wykona jakiś ruch i była na to przygotowana – miała wprawę w odpieraniu zalotów – ale on nawet nie próbował, dotknął tylko jej pleców, gdy wspinali się po schodach na ulicę.

Nazajutrz znów przyszedł, i dzień później też. Uznał widocznie, że jest mu pisana; podobała jej się ta jego pewność, to przekonanie. W czasie całego okresu ich małżeństwa wątek przeżyć wojennych powrócił jeszcze tylko raz. Szli Rosebery Avenue, ramię w ramię, i gdy mijali kiosk, Gretta zatrzymała się po gazetę, bo lubiła wiedzieć, co się dzieje na świecie. Robert wziął ją, po czym sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu drobnych i nagle zamarł. Gretta spojrzała na niego; spojrzała na trzymaną przez niego gazetę. Jego twarz zastygła w upiornym bezruchu. Gretta zobaczyła dwóch mężczyzn w mundurach piechoty brytyjskiej, którzy przechodzili obok, rozmawiając, paląc papierosy i nie zwracając na nich uwagi. Zaczęła grzebać w portmonetce, żeby zapłacić kioskarzowi; ujęła Roberta za ramię, zaprowadziła do najbliższej kawiarni, zamówiła im po herbacie i wyjęła z uścisku gazetę. Wiedziała, że nie pora teraz mówić, nie pora wypełniać ciszę opowieściami, więc czekała, mieszając swoją herbatę, z drugą dłonią na jego dłoni, i po chwili język mu się trochę rozwiązał i Robert opowiedział jej o rzeczach, o których nikomu jeszcze nie opowiadał. O oczekiwaniu w zrujnowanym porcie w Dunkierce, o tym, jak przelatujące nad nimi niemieckie samoloty zrzucały ulotki, na których napisano, że już po nich, że są otoczeni, właściwie martwi. O tym, że trafił na pokład ostatniej, dosłownie ostatniej ewakuującej jednostki i dopóki nie poczuł, jak wyrrywają go z morskiej wody i wciągają na mokre deski, sądził, że nie przeżyje, że go opuszczą, porzucą, pozostawią na pastwę losu, że sam będzie musiał szukać drogi do domu. Gretta siedziała i słuchała, a gdy oznajmił, że nigdy więcej nie chce o tym rozmawiać, powiedziała: oczywiście, nie ma takiej potrzeby.

Panicz, mówiły o nim dziewczyny: idzie panicz Gretty, podśpiewywały sobie za kontuarem Lyonsa, gdy widziały go w drzwiach, w jego nieskazitelnie czystym, czarnym płaszczu i wypolerowanych butach, z wiechciem kwiatów w dłoniach. Gdy jej się oświadczył na piętrze autobusu na Pentonville Road, musiała bez słowa wziąć go za rękę i przymknąć oczy,

bo nie chciała, żeby ta chwila urwała się i przeminęła.

Gretta wsypuje spinacz i monety z powrotem do kieszeni marynarki. Osuwa się na łóżko, siadając po stronie Roberta, i wygląda na ulicę, na niebo, na pełzające po szybie biedronki.

Pamięta, jak po ich zaręczynach uderzyło ją to, jak bardzo jest osamotniony. Bez rodziców, bez rodzeństwa, bez kuzynów ani przyjaciół; wyglądało na to, że po jego stronie nie ma kogo powiadomić o ślubie. To był dla niej wstrząs, ponieważ sama, gdziekolwiek by się znalazła, zawsze przyciągała do siebie ludzi. Jak to możliwe, że człowiek taki jak on, przeżywszy tyle lat, jest sam jak palec? Miał brata, wyznał jej kiedyś, ale już odszedł, i z samego tonu tej wypowiedzi Gretta się domyśliła, że był zamieszany w konflikt w Irlandii Północnej i tam zakończył życie. Robert nigdy więcej nie wspominał o bracie, a Gretta nigdy nie pytała. Tak było i już.

Jakże pięknie wyglądała Monica w dniu ślubu z Joem. Gdy schodziła po schodach, ostrożna w tych swoich satynowych pantoflach na obcasie, z podkasaną suknią, wyglądała jak siedzący na obłoku anioł. Robert rozplakał się na jej widok; płakał i płakał. Musiał się przytrzymać poręczy, a Gretta musiała pójść po następną chustkę. Wypchnęła go do toalety na parterze, zamknęła drzwi i oboje znaleźli się w tej ciasnej przestrzeni, ona w nowej garsonce z dobranym pod kolor kapeluszem. O co chodzi, spytała, biorąc go za rękę, co ci dolega; krew tętniła jej, rozdzierająco tętniła na szyi. Robert, możesz mi powiedzieć, zapewniała go, wiesz przecież, że możesz. Czekala tam dobrych pięć minut – on siedział na desce sedesowej, a ona stała nad nim – gdy stało się jasne, że nie powie nic; wtedy kazała mu się wziąć w garść, bo dom był pełen ludzi, bo prędzej czy później musieli dotrzeć do kościoła. Ale on nie mógł się uspokoić i Gretta miała poczucie, że zagląda do wnętrza na nowo otwartej szczeliny, głębokiej, ciemnej i niepokonanej; w przedpokoju stoi Monica z wiązanką w dłoni, gotowa do wyjścia, a Aoife wierci się w swojej sukience i pyta: a co się stało tatusiowi?

Przed furtką Michael Francis powiedział, że musi skoczyć do sklepu po gazetę. Ale prawda była inna: potrzebował chwili z dala od nich wszystkich.

Aoife i Monica, nie patrząc na siebie, weszły razem do domu, a on oddalił się pospiesznie ulicą, ledwie świadomy, dokąd idzie, ale za to przepelniony olbrzymią ulgą, że numer czternaście przy Gillerton Road został za nim i każdy krok go od niego oddala.

W sklepie patrzy na stojaki z prasą, na rzędy batoników czekoladowych, na ustawione na półkach słoje ze słodyczami. Przychodzi mu do głowy myśl, że można by kupić coś dobrego Hughiemu i Vicie. Bo wraca dziś do domu, żeby się z nimi zobaczyć. Patrzy na słoje i waha się przez chwilę, bo Claire pozwala dzieciom jeść słodycze tylko w soboty. Czy ma naruszyć tę zasadę?

A chrzanić to, myśli i prosi o dziesięć deko nadziewanych landrynek cytrynowych, ulubionych cukierków Hughiego, i trochę żelków w cukrze dla Vity. Szelki w cukrze, mówiła, gdy była młodsza, i Michael Francis przeszukujący kieszenie w poszukiwaniu drobnych uśmiecha się na to wspomnienie.

Po wyjściu na zewnątrz staje, z gazetą pod pachą i kieszeniami wypchanymi słodyczami dla dzieci, i waha się przez chwilę, dokąd teraz pójść. Wsuwa do ust żelka i czuje na języku jego piaszczystą, porowatą powierzchnię.

Po drugiej stronie ulicy zatrzymuje się autobus, który zawiózłby go do Stoke Newington. Mógłby tu poczekać, wsiąść, pójść do domu, spotkać się z Claire. Ale jak może to zrobić, skoro musi wrócić na Gillerton Road? I jak mógłby to zrobić, skoro żona najwyraźniej nie może na niego patrzeć?

Gdy tak stoi pod sklepem, znów to wyczuwa, tę przepaść pod nogami, prawdopodobieństwo, że koniec jest bliski. I znów uzmysławia sobie obecność Giny Mayhew, która przesuwająca się tuż obok jak ktoś, kto chce go jak najszybciej wyminąć.

Joe minął ich na chodniku, gdy stali tam we troje. Nowa żona, dziecko, zupełnie inne życie. To było coś nader osobliwego, zobaczyć go w takich okolicznościach, skoro tak długo był częścią ich życia. Od lat przychodził do ich domu i zabierał Monicę na randki, gdy byli jeszcze nastolatkami. Michael Francis był dumny, gdy poza domem zdarzało mu się spotykać Joego, który był od niego kilka lat starszy, z papierosem w ustach i kanapkami pod pachą, bo Joe pracował, był praktykantem, nie chodził już do szkoły; kiwał głową na jego widok i mówił, czołem, Michael Francis. Jego akcent był wtedy zawsze bardziej londyński, wymowa bardziej bezdźwięczna niż u nich w domu. Michael uwielbiał, gdy Joe coś takiego robił, szczególnie gdy słyszał to jakiś chłopak ze szkoły. Cóż może być lepszego niż znajomość z kimś takim jak Joe, gdy ma się piętnaście lat i jest się trochę dręczonym w szkole z powodu dobrych stopni? A potem Joe ożenił się z jego siostrą; na ich weselu Michael

Francis po raz pierwszy w życiu napił się alkoholu; Aoife miała sypać kwiatki, co prawdę mówiąc, nie było najlepszym pomysłem, bo przez całą ceremonię gadała do siebie, a płatki w ogóle pogubiła. Joe spędzał z nimi każdą Gwiazdkę, każdą Wielkanoc, co niedzielę zasiadał z nimi do obiadu. Grywał z Aoife w karty, drażnił się z nią, a potem pozwalał wygrać. Pomagał Gretcie łuskać groch, który uprawiała na grządkach; siadał w progu drzwi do ogrodu, umieszczał sito między kolanami i mówił: niech no pani mi tu trochę sypnie, pani R. To niepojęte, że wysunął się z materii ich życia, niewiarygodne, że chodzi teraz po mieście z inną kobietą, inną rodziną.

Czy to możliwe, myśli, kierując się z powrotem w stronę Gillerton Road, że to samo może spotkać jego i Claire? Że czeka ich rozstanie, rozdarcie, separacja, rozwód? Że odejdzie i zamieszka... gdzie? W jakimś mieszkaniu. Będzie widywał dzieci w weekendy, co wieczór wracał sam do domu, gotował dla jednej osoby, a od czasu do czasu prowadził z Claire wymuszone rozmowy telefoniczne w sprawie spotkań, godzin, miejsc.

To nie do pomyślenia. To się nie może zdarzyć.

A jednak nie wie, co będzie dalej. Kłótnia była z kategorii tych, od których chyba nie ma odwrotu.

„Wróciłeś”, powiedziała z zaskoczeniem, jakby dowiedziała się właśnie, że Michael Francis wybiera się w rejs dookoła świata. Zanim wrócił do swojego domu, zajmował się matką, rozmawiał z policją i próbował zlokalizować Monicę i Aoife. Wrócił do swojego domu po rzeczy na noc, bo wiedział, że powinien zostać z matką, dotrzymać jej towarzystwa do przyjazdu sióstr. Wrócił do swojego domu i było już późno, i wyobrażał sobie, że na chwilę usiądzie z Claire na kanapie, może przy piwie, i potrzyma ją za rękę. Robili tak czasem niedługo po ślubie, zanim kupili telewizor, w dwupokojowym mieszkaniu przy Holloway Road; Hughie leżał ciasno zawinięty w gondoli stojącej w rogu pokoju, a on i Claire zwyczajnie siedzieli sobie razem i dumali nad tym, jak nowego kształtu nabrało ich życie. Gdy wprowadzili się do tego mieszkania, Michaela Francisa zaskoczyło u Claire jej spokojne usposobienie, jej opanowanie. Przywykł do domu, po którym wszyscy poruszają się z łomotem, krzyczą ze szczytu schodów, wałą w otwarte drzwi i wrzeszczą: o której to się wraca, gdzie ludzie rzucają się na krzesła, z hukiem odstawiają filiżanki, używają więcej słów niż trzeba. Zamieszkanie z Claire było wtedy jak wyjście z zatłoczonego pociągu na

ożywcze, chłodne górskie powietrze.

Wrócił zatem do swojego domu, pragnąc poczuć znów ten dotyk i kontakt, i ciepło jej zwiniętych palców: czyżby żądał zbyt wiele? Było już późno, dzieci były w łózkach, a matka płakała i płakała, i chciał na kilka minut usiąść z żoną na kanapie, tak jak kiedyś. Ale Claire stała w kuchni i przycinała zioła wprost do bulgoczącego rondla. Miała na sobie fartuch, a pod nim rozpoznał jej najlepszą sukienkę, tę z dopasowaną górą, w orientalne wzory, tę, którą zawsze lubił. Usta miała zabarwione na ciemno szminką, a na jej nadgarstkach pobrzękiwały bransoletki, gdy mieszała swoją miksturę, wydzielającą opary pachnące mocno wołowiną, winem i czosnkiem. Przez krótką, rozdzierającą chwilę zdawało mu się, że robi to dla niego, że dla niego przygotowała kolację, że względu na niego wybrała orientalną sukienkę, zrobiła makijaż i włożyła bransoletki.

– Ale ładnie pachnie – zauważył.

Claire podniosła wzrok i widział to, widział w jej minie cień przerażenia, zanim powiedziała: „Wróciłeś”.

Wcześniej rozmawiali przez telefon; chciał ją na bieżąco informować, co się dzieje, i chciał też usłyszeć jej głos, uspokoić się, że ma jeszcze jakieś życie poza rodziną, w której się urodził, że rodzina, którą sobie zbudował, nadal istnieje, jest dostępna. Claire była zatroskana, martwiła się o jego ojca, zadawała mnóstwo pytań, słuchała jego odpowiedzi i mówiła: tak mi przykro, Mike. Dodała nawet: biedna ta twoja matka, a takim uczuciom Claire rzadko dawała upust.

Ale teraz wszystko się zmieniło. Nie przypominała osoby, z którą rozmawiał przez telefon, osoby, która powiedziała: daj mi znać, jak się czegoś dowiesz, która powiedziała: biedna ta twoja matka. Ta osoba była wystrojona, na stojącym za nią stole leżało srebro i serwetki z tkaniny; ta osoba powiedziała, że nie zdawała sobie sprawy, że on dziś wróci, tak jej przykro, i czy zamierza zostać, bo jej grupa z akademii przychodzi na dyskusję przy kolacji?

– Teraz? – zapytał, osuwając się na futrynę, wiedząc, że go podtrzyma, da mu potrzebne wsparcie fizyczne. – O tej godzinie?

Claire oblizwała szybko wargi i odsunęła włosy z twarzy.

– Naprawdę mi przykro, Mike. Nie przyszło mi na myśl, że wrócisz. Gdybym wiedziała... wiesz, wszyscy uznali, że tu jest więcej miejsca, a ja

mówiłam, że cię nie będzie, więc wszyscy uznali...

– Wszyscy uznali, wszyscy uznali, tylko to masz, kurwa, do powiedzenia?  
– wrzasnął nagle, bo przez długie godziny trzymał za rękę płaczącą matkę, bo jego ojciec zniknął, co było niewiarygodne i więcej niż dziwne. Bo chciał tylko przyjść i usiąść z Claire na kanapie, w swoim pokoju od frontu, a dowiedział się, że to niemożliwe, że lada chwila rozsiądą się tu jacyś ludzie, żeby omawiać pierwszą wojnę światową, jak w jakimś chorym śnie, w którym uczniowie budzący w nim największy postrach najeżdżają na dom, zasiadają wokół stołu i nie spuszczając go z oka, oznajmiają, że szkoła zostaje na pewien czas przeniesiona tutaj.

– No jasne! – odkrzyknęła Claire, a on doznał wstrząsu, bo Claire nigdy nie krzyczała, to nie leżało w jej naturze, nie było zapisane w jej DNA. – Możesz mi ubliżać tym... tym swoim fallocentrycznym językiem!

Michael Francis wybuchnął śmiechem, gromkim i z głębi trzewi.

– Kogo papugujesz, mówiąc takie rzeczy? Co się z tobą stało? Po co w ogóle robisz ten kurs? Przecież jesteś inteligentna, jesteś wykształcona, jesteś...

– Tylko po części!

– A to co ma znaczyć?

– Dobrze wiesz.

– Nie, nie wiem. Powiedz mi, proszę.

– Mój dyplom... – Z oczu trysnęły jej łzy. Otarła je szybkim, gniewnym ruchem. – Nie zrobiłam dyplomu. A dlaczego? Czyja to wina?

Miał ochotę wrzasnąć: nasza! Nas obojga. Byliśmy tam razem. Ale nagle spojrzał na siebie z perspektywy jej nowych, oczekiwanych lada chwila znajomych: ten okropny, krzykliwy mąż Claire – patrzcie tylko, jak na nią wrzeszczy, mówi jej, że nie może nas tu gościć. Nie mógł się zdobyć na omawianie tej sprawy właśnie teraz, z tymi wszystkimi nakryciami przy stole.

– Claire – próbował wziąć żonę za rękę; miał ochotę nią potrząsnąć, jakoś ją otrzeźwić, spróbować jej pokazać, że to, co się tu dzieje, dzieć się nie powinno, spróbować ją odzyskać. – Przepraszam, niepotrzebnie krzyknąłem. Miałem okropny dzień, a teraz jeszcze ta... kolacja. A co z dziećmi? Nie obudzi ich hałas?

Na dźwięk słowa „dzieci” Claire uniosła głowę i spojrzała na niego. Claire

kochała dzieci; ciągle go zadziwiała, jak bardzo. Nie mógł wyjść z podziwu, gdy wstawiała o trzeciej nad ranem, żeby podać Vicie coś do picia, jak oddawała Hughiemu cały swój lunch, jeśli tego chciał; podziwiał stojący za tym wszystkim altruizm i poświęcenie; podziwiał wysiłek, jaki wkładała w przygotowanie kostiumu na jasełka, podziwiał jej cierpliwość, słodką, anielską cierpliwość, gdy Vita się wściekała, że nie chce szczotkowania włosów albo domagała się tamtych, a nie tych skarpetek, albo po prostu wymagała, żeby Claire siedziała przy niej godzinami i czytała jej jedną książeczkę za drugą. Uważał, że jest cudowna, i zastanawiał się, czy może jej to jakoś okazać przez dotknięcie jej skóry.

Ale ona powiedziała:

– Dzieciom nic nie będzie. Jak się obudzą, to się obudzą. Dobrze, żeby poznawały nowych ludzi. Dobrze, żeby miały spełnioną, aspirującą matkę. Na razie żyją pod kloszem, nie sądzisz?

Pod kloszem?, chciał spytać, pod kloszem? Ale ja chcę, żeby żyły pod kloszem. Chcę, żeby były chronione, bezpieczne, izolowane, osłonięte, teraz i zawsze. Gdyby to zależało od niego, obszyłby dzieci puchem, żeby nigdy nie zrobiły sobie krzywdy; nigdy nie pozwoliłby im wyjść z domu; nawet zabrałby je ze szkoły, żeby uniknąć choćby najmniejszego ryzyka, że ktoś powie im coś przykrego. „Pod kloszem” – to zaledwie namiastka ochrony, którą chciałby im zapewnić.

– A zresztą... – dodała, wyjmując dłoń z jego dłoni – ...myślałby kto, że zawsze stawiałeś dzieci na pierwszym miejscu.

Gina Mayhew między nimi, znowu. Claire odłożyła łyżkę i potarła kark, jakby i ona poczuła, że Gina wśliznęła się do pomieszczenia, zajęła miejsce przy stole, założyła nogę na nogę i obdarzyła go nieobecny spojrzeniem, które dostrzegł już pierwszego dnia w pokoju nauczycielskim, jakby pochłaniało ją coś, czego nie widzi i nie rozumie nikt inny, jakby nosiła w sobie fascynującą tajemnicę, której nikt nie może się nawet domyślać.

Miał ochotę powiedzieć: ale ja nie chciałem, żeby do tego doszło. Miał ochotę obrócić się do żony i mówić: nie chciałem i przepraszam. Ale czy rzeczywiście, z ręką na sercu, mógł potwierdzić, że to cała prawda?

Gretta ściąga różne rzeczy z szafy w sypialni, gdy słyszy na schodach kroki Moniki. Pełna wahania ostrożność w stawianiu każdego kroku podpowiada jej, że to Monica w swoich sandałach z paseczków. Potem słyszy, jak na



korytarz wypada Aoife, która była dotąd w sypialni, i naskakuje na Monicę. Gretta marszczy brwi. Miała nadzieję, że Aoife drzemie.

– O co ci chodziło, gdy mówiłaś to o mnie i Joem? – pyta nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Cisza. Gretta sobie wyobraża, jak Monica unosi po swojemu brew, spokojnie i pytająco.

– Ale co?

– To, że ja i Joe „byliśmy sobie tacy bliscy”.

– No bo byliście, prawda?

Znów cisza. Gretta ma ochotę zejść z taboretu, na którym stoi, i podreptać do drzwi, ale obawia się, że się zdradzi, że cokolwiek dzieje się w korytarzu, zostanie zakłócone, przerwane. Zostaje więc na swoim miejscu, bez ruchu, z dłonią na pudle na kapelusze, zawierającym, jak się zdaje, stare buciki dziecięce. Pomyślała, że może Claire by je zechciała dla swojej dwójki. Może któreś będą pasować na Hughiego. Wielkie stopy ma ten chłopiec, dokładnie jak jego tata.

– Monica, czy ty myślisz, że... między mną a Joem... do czegoś... doszło?

– A nie?

– Jezu, Monica. Oczywiście, że nie. Za kogo ty mnie masz? Chyba ci odbiło, jeśli sądzisz...

– Nie o to mi chodziło – mówi przez zaciśnięte zęby Monica. – Tylko o to, że... – zapada cisza.

– O co? – Aoife domaga się odpowiedzi. Ta to się stale czegoś domaga, odkąd tylko przysłała na świat. Nigdy nie rozumiała, że nie znaczy nie. Zupełnie inaczej niż jej siostra, która jest jak ślimak w skorupie, zupełnie jak jej tata.

Monica coś dodaje, ale tak cicho, że Gretta nie jest pewna, czy się nie przesłyszała. Brzmi to jak: „że mu powiedziałaś”.

Aoife nie pyta: ale co mu powiedziałaś? Aoife w ogóle się nie odzywa. Gretta nachyla się na swej grzędzie i odstawia pudło, żeby nic jej nie umknęło. Fakt, że Aoife nie pyta: ale co mu powiedziałaś?, zatapia się w niej jak kamień wrzucony do sadzawki, bo nagle widzi w całej jaskrawości to, co na wpół świadomie podejrzewała. To tak, jakby patrzeć na zamazany obraz i nagle wyregulować soczewkę – teraz Gretta widzi wszystko wyraźnie. Przesuwa dłonią po drewnie szafy, zdejmuje z góry starą kulkę naftalinową.

– Nie powiedziałałam mu – mówi drżącym głosem Aoife. – Oczywiście, że nie powiedziałałam. Po co miałabym to robić?

– Skądś się musiał dowiedzieć.

– Nie ode mnie.

Z korytarza wtacza się cisza, gęsta jak mgła. Gretcie się wydaje, że mogłaby wyciągnąć rękę i dotknąć jej zimnej postaci.

– To dlatego odszedł – szepcze. – Bo się dowiedział. A ty myślałaś, że ja...

– Odszedł, bo mu powiedziałaś – wyrzuca z siebie Monica, a Gretta ma ochotę podejść do córki, dotknąć jej ramienia i zapewnić, to nie ona, to nie twoja siostra, uwierz mi, Aoife by czegoś takiego nie zrobiła.

– Monica, ja mu nie powiedziałałam – zapewnia Aoife. – Przysięgam.

Gretta słyszy, że Monica się odwraca i schodzi po schodach, a Aoife jeszcze przez chwilę stoi w korytarzu. Potem przenosi się do łazienki i Gretta słyszy, jak się tam rozbija: pije wodę prosto z kranu, choć Gretta, Bóg jej świadkiem, tysiące razy powtarzała jej, że trzeba używać kubka, następnie odrywa z rolki trochę papieru, mamrocząc niezrozumiale. Dziwne, że nie wyzbyła się tego nawyku, nawet w dorosłym wieku. Następnie Aoife wraca do swojego pokoju i trzaska drzwiami. Słysząc jęk sprężyn – Aoife widocznie rzuca się na łóżko – i na ten dźwięk Gretta uśmiecha się mimo woli.

Schodzi wreszcie ze stołka. Siada na krześle Roberta i czuje tweed jego marynarki; sztywny kołnierzyk odciska jej się na plecach na kształt litery n. Czuje pragnienie, z początku przytłumione, ale potem silne i drażniące, spotkania się z mężem, podzielenia się z nim tym wszystkim, nawet niekoniecznie słowami; wystarczyłoby przy nim usiąść i wiedzieć, że czuje to, co ona: ich dziewczynki, ich ukochane dzieci pośród takiego zamętu i nic się nie da z tym zrobić.

Siedzi i przeżywa swoją samotność, brak jego osoby, patrzy na płatany za oknem, na ich żółte, pomarszczone liście, nieruchome w ciężkim, stężalym powietrzu. Dłonie ma złożone na piersi, nogi skrzyżowane. A więc tak się sprawy mają, rozmyśla, żeby wyprzeć potworność jego zaskakującej nieobecności. Monica w kuchni, pobrzękuje naczyniami. Aoife w swoim pokoju. Michael Francis siedzi gdzieś ze zwieszoną głową, to pewne.

Suche liście drzew za oknami wyglądają jak fotografia, tak bardzo są nieporuszone.

Aoife urodziła się trzy tygodnie przed terminem. Gretta wracała

z Monicą i Michaelem Francisem ze sklepu na rogu, gdy nagle odeszły jej wody. Nie została zdemaskowana. Był początek lutego. Gretta miała na sobie zimowy płaszcz i wełniane rajstopy – to one wchłonęły większość płynu.

Gretta wyciągnęła rękę z zakupami.

– Proszę – powiedziała do Michaela Francisa, który jak zawsze szedł przed nią. – Ponieś to, dobrze?

Michael Francis udawał, że nie słyszy i szedł dalej.

U jej boku zaraz zjawiała się Monica; włosy zaplecione w porządne warkoczyki, głowa przedzielona przedziałkiem jak kredową linią.

– Ja to wezmę, mamuś.

Gretta poklepała ją po ramieniu.

– Ty się nic nie martw, dla ciebie i tak jest za ciężka, kochanie.

Monica spojrzała na nią. Gretta poczuła wiązkę tego spojrzenia, jakby parzyło ją w skórę. Nigdy nie umiała ukrywać niczego przed Monicą, nigdy a nigdy. Nie było nawet sensu próbować. Jeszcze zanim to dziecko nauczyło się mówić, Gretta miała świadomość, że wie o nim wszystko – i vice versa. Przywykła do tej łączącej je, niewidzialnej linii telegraficznej; od rana do wieczora płynęły po niej informacje i nikt o tym nie wiedział.

– Ty się nie martw – powtórzyła córce.

Monica wyciągnęła z rąk Gretty torbę z zakupami. Przyspieszyła kroku i podała ją bratu, starszemu o dziesięć miesięcy, ale wyższemu o głowę, po czym wróciła do Gretty i ujęła jej dłoń.

– Dobrze się czujesz, mamuś? – spytała, blada z niepokoju, i wychyliła się, żeby na nią spojrzeć.

– Wszystko w porządku, słonko – przemówiła Gretta poprzez falę bólu; udało jej się zachować spokojny ton.

W domu Monica zaparzyła Gretcie herbaty (Gretta nie przyznała, że w tej chwili na samą myśl o herbacie chce jej się wymiotować). Michael Francis został wysłany do sąsiadki z domu obok, która miała telefon i miała zadzwonić po ojca; numer od kilku tygodni zapisany był na bloczku w kuchni.

Gretta trzymała się oparcia krzesła – skurcze się zagęszczały i prawie nie było między nimi przerwy; nigdy wcześniej nie postępowały tak szybko, ani za pierwszym, ani za drugim razem – gdy w drzwiach salonu pojawiła się sąsiadka. Miała czworo dzieci, troje lokatorów, męża, który zginął na wojnie,

i mieszkała przy Gillerton Road przez całe swoje życie. Patrzyły na siebie z Grettą przez dłuższą chwilę i Gretta czuła jak zwykle, że Monica przechwytuje to spojrzenie, przyciąga je do siebie, usiłuje odczytać to, co niewypowiedziane.

– Zaraz wracam – oznajmiła tylko sąsiadka.

Gretta chciała puścić oparcie krzesła, ale zorientowała się, że nie umie. Ręce jej zdrętwiały i czuła tylko drażniące mrowienie.

– To już niedługo – próbowała wydusić i zauważyła, że jej głos brzmi trochę jak bełkot. – Cieszycie się, że poznacie swój...

– Tatusia nie ma – odezwał się Michael Francis z drugiego końca pokoju; jak jej się zdawało – z wielkiej odległości.

– Co? – spytała Monica.

Cicho, chciała powiedzieć Gretta, bądźcie cicho, nie widzicie, że próbuję się skupić.

– Nie ma go. Dzwoniliśmy, ale go nie ma.

– Gdzie w takim razie jest?

– Nie wiem. Mówili, że nie wiedzą, gdzie jest.

– Jesteś pewien... – zaczęła Gretta, cedząc ostrożnie każde słowo – ...że wybraliście właściwy numer?

Dzieci na nią spojrzały. Jej dzieci. Ich odległe buzie, owalne w słabym lutowym świetle. Dalsza kolejność zdarzeń trochę się Gretcie miesza. Pamięta, że sąsiadka wróciła do pokoju i powiedziała, że karetka jest w drodze, że przyjedzie lada chwila, a ona, Gretta, na to, że nie jedzie żadną karetką, bo musi czekać na męża. Michael Francis i Monica, jak jej się zdawało, zostali odesłani do domu sąsiadki, przywabieni obietnicą jedzenia chleba z dżemem z innymi dziećmi. To dziecko nie będzie czekać, powiedziała sąsiadka i w samą porę sięgnęła na kominek po wazon, do którego Gretta zaraz zwymiotowała.

Potem jakimś sposobem znalazła się na podłodze, a przy niej sąsiadka, która ścisnęła ją za rękę i mówiła, niech pani prze, pani Riordan, a Gretta myślała tylko o tym, że sąsiadka rozłożyła na dywanie prześcieradła z bieliźniarki i to były niewłaściwe prześcieradła, te porządne. Gretta chciała powiedzieć, mam inne prześcieradła, stare, trzymam je w szopie, ale przez zaciśnięte zęby nie chciało przejść ani jedno słowo. Przyj pani, powtarzała sąsiadka, niedługo będzie po wszystkim, a Gretta chciała powiedzieć,

zamknij się, stul pysk, gdzie, do jasnej cholery, mój mąż, ale fale ją obezwładniały, wznosiły się ponad głowę. I nagle byli tam już sanitariusze, ogromni i w granatowych mundurach; kroczyli zamasyście przez pokój, a Gretta jakoś zebrała siły, żeby wstać i zapytać, czy może już jechać do szpitala.

Ale mężczyźni – nie, właściwie chłopcy – już ją chwyтали za łokcie i mówili, nie, nie ma czasu, pani nigdzie nie jedzie, pani się położy, pani kochana.

Nie mogę, wydyszała, nie mogę, ja... urwała, bo nagle sobie uświadomiła, że w pokoju ktoś jeszcze z nimi jest. Rozejrzała się wokół i przez chwilę mignęły jej chude nóżki w szarych podkolanówkach. Gretta ryknęła: zabierzcie ją stąd, zabierzcie ją. Monica, mówiła, zmykaj do sąsiadki, zmykaj, ale już. Ale Monica ani drgnęła. Zabierzcie ją, na miłość boską, ona ma dziesięć lat. Ale zebrani w pokoju ludzie nie słuchali, mówili, że nie ma czasu, że to już, że musi przecć i przecć, i przecć; ktoś prowadził ją na kanapę, a gdzie na Boga ten Robert, czy Ronan, czy czort go wie, gdzie mój jebany mąż, usłyszała swój krzyk, chociaż wiedziała, że jest tam Monica; nie widziała jej, ale zawsze wiedziała dzięki tej niewidzialnej więzi. W ostatniej chwili, tuż przed tym, jak dziecko wysliznęło się na rozłożone dłonie sanitariusza, sąsiadka nagle się opamiętała, chwyciła Monicę za ramiona i zaczęła ją wypychać z pokoju.

Gretta zawsze wiedziała wszystko o Monice; zawsze, od chwili, gdy ją po raz pierwszy ujrzała. Z pozostałą dwójką tak nie miała, tylko z Monicą. A gdy oprzytomniała z porodowego transu w toczącym się do szpitala ambulansie, sama jedna, nie licząc wyjącego dziecka, zrozumiała, że Monica być może i nie widziała wszystkiego, ale widziała za dużo, o wiele za dużo, a to, co przeżyła, pozostanie w niej na zawsze.

Monica wtyka palce w zwoje kabla i nawija, nawija na nie ciasne spiralki.

Telefon w Gloucestershire dzwoni już długo. Właśnie ma się rozłączyć, przekonana, że Peter musiał zorganizować dziewczynkom wyjście, może na basen albo do znajomych, gdy po drugiej stronie odzywa się głos, wysoki i ważny.

– Halo, Camberden trzy osiem trzy cztery.

Monicę tak zaskakuje głos jednej z dziewczynek tak płynnie recytujący jej własny numer telefonu, że na chwilę odbiera jej mowę. Potem przychodzi do siebie.

– Jessica, kochanie – mówi. – To ty?

Cisza. Monica i dziecko nasłuchują nawzajem swoich oddechów.

– Jessica? – powtarza Monica. – To ty? Czy Florence? Florence?

– Kto mówi? – głos dziecka brzmi wyraźnie i wyniośle.

– Monica, skarbie. Przyjemnie wam mija weekend? Czy tatuś...?

– Kto? – przerywa jej głos.

Monica wydaje z siebie trel urywanego śmiechu i próbuje wyrwać palce ze sprężyny, ale najdłuższy, ten obok wskazującego – jak on się tam nazywa? Ma w ogóle nazwę? – uparcie tkwi w kablu. – To ja, Monica, wasza... tatusia...

– Kto? – pyta znów dziecko.

Monica bierze wdech i wbija paznokcie w dłoń.

– Możesz, proszę, pójść po tatusia i powiedzieć mu, że chciałabym z nim porozmawiać?

I znów pauza. A potem Monica słyszy charakterystyczny dźwięk rzuconej słuchawki.

Przez chwilę stoi jak wryta i nie może w to uwierzyć. Zastanawia się, czy nie zadzwonić ponownie i nie zażądać wezwania Petera do telefonu, ale nie może tego strawić, nie może wysłuchać już ani jednej sylaby wypowiedzianej przez ten piskliwy, bezczelny głosik.

Mogłaby się założyć, że to Jessica. Młodsza, Florence, nie miałyby dość odwagi. Ale Jessica – ta jest zdolna do wszystkiego.

No cóż, myśli Monica, przeciskając się do salonu, niech ta młoda dama sobie nie wyobraża, że jej to ujdzie na sucho. Przy okazji następnej rozmowy z Peterem Monica wszystko mu dokładnie opowie. A co robi Peter? Monica wie: absolutnie nic. Westchnie, poruszy się w swoim kombinezonie i mruknie coś o tym, jakie to dla nich trudne, jak to córka wyraża tylko swoje niezadowolenie, że mu przykro, że Monica nie może się tym przejmować, że dziewczynki zmieniają zdanie.

Monica chwyta oparcie fotela, który należy do Roberta i nikogo innego. Gdyby ona albo Michael Francis, albo Aoife postąpili tak jak Jessica, znaleźliby się w opałach. Klaps w pupę, wcześniej do łóżka, a po powrocie ojca bura.

Nie żeby tak często jej to dotyczyło. Była tą grzeczną, tą posłuszną, tą odpowiedzialną. Nadal jest. Ale pamięta, jak Aoife i od czasu do czasu Michael Francis byli karani zgodnie z tą formułą: klaps+łóżko+bura od ojca.

Pamięta jeszcze przed kolacją ciężkie dudnienie stóp ojca na wykładzinie na schodach, stóp obutych jeszcze w porządne wyjściowe buty, i chociaż to nie ona czekała na niego pod narzutą, bała się.

Monica odchodzi od fotela i staje przed należącym do ojca sekretarzykiem z żaluzjowym zamknięciem. Przesuwa ciekawskim palcem po jego szczycie; kładzie dłoń na jego boku. A potem, spojrzawszy szybko przez ramię na pusty frontowy pokój, wsuwa czubki palców pod wieko. Szarpie. Nic z tego. Zamknięte.

To jej nie zraża. Podchodzi do okna wykuszowego i wszedłszy na (własnoręcznie) tapicerowany stołek, sięga do karnisza i szuka czegoś po omacku.

Kiedyś przyłapała ojca, jak to robił; miała pewnie ze dwanaście czy trzynaście lat i z pewnością działo się to w okresie świątecznym, bo dokładnie pamięta, że ojciec musiał się nachylić nad choinką, żeby tam sięgnąć. Gdy zszedł, zauważył ją stojącą w progu. Wstrzymała na moment oddech, zapatrzona na niego i na klucz w jego dłoni. Od razu wiedziała, od czego jest: wszyscy troje byli zafascynowani biurkiem ojca, drewnianym pudłem z mosiężnymi zamkami i rzędami szuflad, które przycupnęło w rogu frontowego pokoju. Chronił się przy nim w niedzielne popołudnia, siadał twarzą do jego otchłani, składał i rozkładał kartki papieru, pisał coś wiecznym piórem, odrywał brzegi kopert. Ale niepotrzebnie się martwiła. Ojciec po chwili się uśmiechnął i przysunął palec do nosa.

– Nasza mała tajemnica – powiedział. – Zgoda?

– Zgoda.

Skinęła głową i stanęła u jego boku, gdy usiadł na krześle i otworzył biurko. Zawsze uwielbiała patrzeć, jak pokrywa zwija się w nicość, drewniane listwy ulatniają się jak fala na piasku. Najbardziej jednak przepadała za skrytkami i małąkimi szufladkami, i wszelkimi zakamarkami wyładowanymi świstkami papieru, kałamarzami z atramentem i drucianymi oczkami spinaczy. Wiedziała, że są tam też zdjęcia. Zdjęcia mamusi jako młodej kobiety, z całkiem ciemnymi włosami i cienką talią, z dłońmi ukrytymi w rękawiczkach. Zdjęcia ludzi, których nie znała, stojących sztywno w słońcu w dalekich ogrodach.

– Mogę ci napełnić pióro, tatusiu? – spytała.

Ojciec podniósł wzrok znad leżących przed nim papierów.

– Możesz.

Monica wyjęła kałamarz granatowego atramentu. Quink, głośno zawijasy na szkle. Monica wiedziała, jak odkręcić nasadkę pióra, jak zanurzyć w cieczy samą srebrną stalówkę, a potem przycisnąć, aż znikną pęcherzyki. A potem to wspaniałe uczucie, gdy atrament wpływa do pióra, ten cichutki odgłos ssania. Słyszała tupot Michaela Francisa na górze, słyszała narastający pisk Aoife z kuchni – „Nienienienienie, ja sama!”. A ona sobie tu ładnie stoi, napełnia ojcu pióro atramentem, i prosi bardzo, jeszcze ociera stalówkę swoją chusteczką do nosa i przykręca nasadkę. Nie było czynu bardziej właściwego, bardziej satysfakcjonującego niż oddawanie mu pióra ze słowami: „Proszę, tatusiu”, a potem jeszcze nagroda w postaci jego ręki na jej ramieniu i słów: „Doskonale, kochanie”.

Palce Moniki napotykały coś twardego i zimnego, i porywa klucz z karnisza, porośniętego kurzem, który ją obsypuje, gdy zeskakuje ze stołka. Monica otrzepuje sukienkę, przeklinając wyrwykowe porządki matki.

Rozglądając się znów po pokoju, podchodzi do biurka i wkłada klucz do zamka. Nie ma żadnych skrępowań. To jej prawo. To jedyne, co można zrobić.

Ojciec odszedł. Wciąż jeszcze nie może się z tym pogodzić, nie może w to uwierzyć. Wyszedł sobie i nawet o niej nie pomyślał, o tym, że zostanie z tym wszystkim, że będzie musiała uspokajać rozhisteryzowaną Gretkę i stawić czoło napływowi rodzeństwa i krewnych. Musiał wiedzieć, że to ona, Monica, najbardziej odczuje kłopotliwość tej sytuacji, a czy go to obeszło? Nie, nie obeszło. Wyszedł sobie i nawet się nie obejrzał. Jak mógł się spodziewać, że Monica rzuci wszystko i przyjedzie do domu, żeby wyjaśnić tę sprawę? To już szczyt egoizmu, całkowite lekceważenie.

Monica mocnym pchnięciem otwiera sekretarzyk, a ten zwija się w sobie z pełnym oburzenia grzechotem. Monica przesuwa dłonią po tłoczonej skórze, poprawia suszkę do atramentu, dotyka nasadki umieszczonego na stojaku wiecznego pióra.

Zawsze wiedziała, że jest ulubienicą. Tak już bywa, powtarza sobie. Rodzice nigdy o tym oficjalnie nie mówili, bo to nie w ich stylu. Ale ona wie, że to prawda, w myśli i czynie. Wszyscy to wiedzą. Cóż poradzi na to, że bardziej ją kochają, że czerpią większą przyjemność z jej towarzystwa, że jej ścieżka życiowa wydaje się najbardziej zbieżna z ich własną? Ta ich wieczna



aprobata; nigdy o nią nie zabiegała, nie prosiła. Nic nie może na to poradzić; nigdy nie miała na to wpływu. Zawsze miała świadomość, że mimo ogromnej wagi, jaką rodzice przykładają do nauki, pilności w szkole, dobrych ocen, bycia prymusem, to jednak jej decyzjom – a nie Michaela Francisa – zawsze przyklaskiwali. Monica znalazła sobie chłopaka, wyszła za mąż, ustatkowała się i przeprowadziła do mieszkania tuż za rogiem. Żadne starania pozostałych by ich tak nie uszczęśliwiły. Nic nie utwierdziłoby ich bardziej w przekonaniu o słuszności własnych decyzji życiowych niż fakt, że ich najpiękniejsza córka, ubrana w rozłożystą białą suknię, wychodzi za miejscowego chłopaka z porządnej irlandzkiej rodziny. Nic a nic. Nawet jej późniejszy rozwód – dla rodziców istny wstrząs sejsmiczny – nie stracił jej z piedestału. Jeśli cokolwiek zmienił, to tylko jeszcze bardziej ich do siebie zbliżył. Michael Francis mógł sobie zrobić ze trzy doktoraty, a i tak by jej nie dorównał. Aoife, rzecz jasna, nie liczyła się w tej konkurencji; taka już była – dołożyła starań, żeby nie zasłużyć na miano faworytki. Ale Michael Francis... Monica często się zastanawiała, czy mu to przeszkadza. Czy to dlatego tak pilnie pracował, tak mocno zabiegał o szkolne sukcesy? I tylko po to, żeby to wszystko spać przez głupi błąd i skończyć tak jak ona – wziąć ślub i zamieszkać w sąsiedztwie.

Monica przygląda włosy, poprawia szpilkę na karku i przystępuje do pracy. Zacznie od skrytek, od lewej do prawej. Coś tam musi być, na pewno, jakaś wskazówka, coś przeoczonego przez pozostałych. Zna ojca lepiej niż ktokolwiek z nich i wie, że człowiek, który przez całe życie pracował w banku, bez wątplenia rozlicza się ze wszystkiego. Na pewno zostawił jakiś ślad, znak, zapis, nawet jeśli nie miał takiego zamiaru.

Aoife siedzi po turecku na łóżku, a na kolanach ma rozłożony album o fotografii amerykańskiej. Przekłada jego kartki, po kilka w przód, po kilka w tył, wydmuchuje dym przez okno i znów przewraca kartki. Sama nie wiedziała, po co weszła do biblioteki, i prawie kierowała się już do działu dziecięcego, jaskrawo znajomych regałów z książkami ilustrowanymi, ze ścianami, na których chwiały się malowane, niezbyt precyzyjnie oddane postacie z bajek. Ale potem spostrzegła półkę, której nigdy wcześniej nie widziała, z ułożonymi rzędem książkami o wysokich grzbietach. A wśród nich znalazł się ten album, wciśnięty między inne, poświęcone technikom szycia kołder albo zdobienia wypieków.

Są tu wszyscy, począwszy od Williama Henry'ego Foxa Talbota i jego odbitek na papierze solnym. Evelyn jest przedostatnia i, jak zauważa Aoife, należy do nielicznych kobiet.

W albumie zamieszczono sześć zdjęć jej autorstwa, pochodzących sprzed epoki Aoife i raczej nie tych najbardziej znanych. Jedno z nich pokazywano na wystawie, którą odwiedziła lata temu w Londynie, gdy miała osiemnaście czy dziewiętnaście lat i przechodziła od fotografii do fotografii, całkowicie nieświadoma, że pewnego dnia będzie dla tej kobiety wywoływała klisze, wykladała stykówki, ustawiała światła. To dziwne, że życie może podsuwać takie znaczące skrótory do przyszłości, a człowiek je omija i nie ma o niczym pojęcia.

Oglądanie tu i teraz prac Evelyn powielonych w albumie, który może przerzucać, siedząc na swoim dawnym łóżku w swoim dawnym pokoju, jest dziwnie pokrzepiające. Aoife kładzie dłoń na rozkładówce z fotografią mężczyzny z zadziwiającym znamieniem zasłaniającym połowę twarzy, trzymającego rybę o martwym spojrzeniu, a potem na kolejnej, przedstawiającej kobietę w halce siedzącą na rozbitym samochodzie, za którym ciągną się tory kolejowe. Kładzie dłoń na tych zdjęciach i wie, że ma wybór. Ma swoje życie gdzieś indziej. Nie jest tak, że nadal tu mieszka, bez nadziei, bez świetlanej przyszłości. Udało jej się wyrwać.

Wraca właśnie do fotografa poprzedzającego Evelyn, gdy otwierają się drzwi i do jej pokoju wparowuje brat.

Nie patrzy na nią. Nie odzywa się. Osuwa się, jeden staw po drugim, na dywanik i kładzie na nim twarzą w dół.

Aoife przerzuca kartkę i uznaje, że nie znosi dzieł tego fotografa, że poznała go kiedyś i okazał się aroganckim wieprzem. Rzuca okiem na długie ciało brata:

– Żyjesz? – pyta.

– Mmmnnng – mamrocze Michael Francis. Czy coś podobnego.

Twarz przycisnął do szmacianego chodnika, w niegdyś siostrzanym pokoju. Naraz dociera do niego, że to teraz dla niego najlepsze miejsce na świecie. Pod tułowiem ciepłe deski, nogi lekko rozsunięte, powieki przymknięte, policzek na ciekawym terenie splątanych tkanin. Czy to nie chodnik, który zrobiły pewnej zimy matka i Monica? W pamięci rozbłyskuje mu wspomnienie stołu kuchennego pokrytego skrawkami materiałów,

matka wyciąga ponad nim rękę, przebija powierzchnię jego świadomości, ale potem zamazuje się i znika. Może to się zdarzyło, może nie.

– Myślisz, że już zawsze mogę tu leżeć? – pyta głosem przyjemnie stłumionym przez chodnik.

Słyszy, jak siostra obraca kartkę w albumie, słychać cichy trzask papieru, a potem dłoń wygładzającą stronę.

– Możesz – odpowiada swoim tonem, który znaczy: tylko się nie waz przeszkadzać mi w czytaniu. – Teoretycznie. Ale za dzień albo dwa umrzesz z odwodnienia. A w tym upale nawet szybciej.

Michael Francis zakrywa dłonią oczy. Słyszy, jak piętro niżej ktoś się przemieszcza; Monica? Za oknem rzezi silnik jakiegoś pojazdu. Aoife przewraca stronę, później następną. Na dole ktoś z brzękiem stawia na krawędzi zlewu dzbanek do herbaty.

– Coś zrobiłem – mówi Michael Francis.

Nadal ma zamknięte oczy, a Aoife znajduje się za nim, ale jest pewien, że uniosła głowę. Odkłada teraz książkę na łóżko, tak jak przewidywał. Słychać, jak sprężyny łóżka jęczą z powodu nowego ciężaru.

– To ma coś wspólnego z tatą?

– Nie.

– Okay. Coś dobrego, coś złego?

– Złego.

Przerwa. W ogrodzie kilka domów dalej jakiś rozkazujący głos wykrzykuje coś przeciągle i rozkazująco o leżaku, kapeluszu i czymś jeszcze, czego nie dosłyszał.

– Coś z pracą? Coś z małżeństwem?

– Z małżeństwem.

– A.

W tej głosce rozbrzmiewa tyle mądrości, tyle akceptacji, że Michaelowi Francisowi pozostaje już tylko wszystko jej opowiedzieć; wszystko albo tak dużo, jak mu się uda. Nie może jej, na przykład, wyznać, że gdy pierwszy raz zobaczył Ginę Mayhew, to jakby ją rozpoznał, jakby czekał na jej przybycie. Jesteś, miał na końcu języka, dlaczego dopiero teraz? Albo że wcześniej nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia. Albo że, obiektywnie rzecz biorąc, nie była atrakcyjna ani w jego typie, nie była też kimś, kto mogłby zakłócić małżeństwo albo myśli kierownika pracowni historycznej, dobrego

męża i ojca. Była wysoka, miała białą, piegowatą cerę i kończyny, nad którymi, jak się zdawało, nie do końca panowała. Najbardziej przypominała mu żyrafę. Rękawy kończyły jej się przed nadgarstkami. Stopy, wielkie, długie i wąskie, obuwała w rodzaj sandałów ze sprzączką, jakie nadawałyby się dla dziecka. Nosiła spódnico-spodnie, kardigany, które wyglądały tak, jakby wydziergała je własnoręcznie, i opaskę, która przytrzymywała jej krzywo przycięte włosy. Strój, który – wiedział o tym dobrze – nie przysporzy jej przychylności uczniów. Nie mógł powiedzieć Aoife, że gdy pierwszy raz poszedł ją odszukać w szkolnym laboratorium – pod takim czy innym pretekstem, bo w rzeczywistości chciał tylko zobaczyć ją na osobności, chciał na nią spojrzeć, to wszystko, z dala od gęstej od dymu nudy pokoju nauczycielskiego – zastał ją w zbyt krótkim kitlu laboratoryjnym, wychodzącą zza tablicy, na której rozrysowano cykl węglowy. Na jego widok się zaczerwieniła, a on pomyślał: cykl pąsowy. Prawie się zdradził z tą myślą. Rumieniec oblał jej twarz i kark, i jemu również, jakby w odpowiedzi.

Opowiada więc Aoife sam zarys historii. Że zakochał się w koleżance z pracy, a ona zakochała się w nim. Że jedli razem lunch za wyciągiem laboratoryjnym. Że wieczorem czasem jechali razem metrem aż do Tottenham Court Road, gdzie Gina przesiadała się na inną linię. Że Claire się dowiedziała. Że Gina wróciła do Australii. Że Claire w ramach zemsty zaczęła studia na akademii otwartej i chodzi na wykłady i seminaria i wypełnia ich dom nowymi znajomymi.

Nie mówi siostrze, że nawet teraz, po upływie półtora roku, podchodzi czasem do wyciągu w laboratorium. Albo że zdjął kiedyś z kołka kitel i ważył go w dłoniach. Albo że widok innej nauczycielki pijącej jakby nigdy nic z pozostawionego przez Ginę kubka z górą Uluru tak go rozwścieczył, że kubek zniknął z pokoju nauczycielskiego i do dziś leży w szufladzie jego biurka. Nie mówi jej tego wszystkiego, bo nie chce, żeby wiedziała; nie mówi jej, bo wie, że takie szczegóły Aoife umie sobie dopowiedzieć sama.

Milknie i ma wrażenie, że opowiadał przez całe wieki, że nie sposób wskazać, kiedy ostatnio nie poruszał ustami i nie wydawał z siebie dźwięków. Siedząca za nim Aoife pali papierosa i przychodzi mu na myśl, że to może ściągnąć na górę psa ogrodnika; odkąd Gretta rzuciła papierosy, nie pozwala palić w domu.

Nasłuchuje, jak siostra zaciąga się papierosem, i obserwuje dym

unoszący się w pokoju. W końcu odchrząkuje i mówi:

– Powiedz coś.

– Ale co?

– Cokolwiek.

– Okay. Co się stało, gdy Claire się dowiedziała?

– To było... – Michael Francis nurza twarz w pleciance szmacianego chodnika i wdycha jego osad; mikroskopijne warstwy pyłu i pozostałości po wczesnym etapie życia sióstr; wyobraża sobie kosmyki niemowlęcych włosów, kłaczki z dziecięcych sweterków, drobiny nastoletniej skóry, księżyce paznokci, strzępki skórek, odłączone nitki rozdwojonych końcówek – ...okropne. Wprost okropne. Gorzej być nie mogło.

Gdyby nie szkolna wycieczka, wszystko byłoby w porządku. Zdołałby zapanować nad sytuacją, utrzymać życie na jałowym biegu. Ale na kilka dni przed corocznym wyjazdem maturzystów na pole bitwy nad Sommą wezwał go do siebie dyrektor.

Nauczycielka, która towarzyszyła mu zawsze w tej podróży – starsza wiekiem nałogowa palaczka, która najwidoczniej uczyła geografii od czasów, gdy z Brytanii wycofał się lądolód – musiała się udać do szpitala na „badania”. I tu dyrektor poczerwieniał i zaczął się bawić przyciskiem do papieru, więc Michael się domyślił, że chodzi pewnie o sprawy kobiece, coś związanego z krwawieniami, badaniami i zabiegami w jakichś nieprawdopodobnych rejonach. Ale wszystko w porządku, zapewnił go przełożony, bo wpadł na świetny pomysł, żeby poprosić o towarzyszenie mu w wycieczce tę nową nauczycielkę od biologii. Pewnie nigdy nie była we Francji, stwierdził, dobrze jej to zrobi. Australijczycy to lubią podróżować, prawda?

Popłynęli promem. Tylko troje uczniów się pochorowało, co można uznać za postęp w stosunku do poprzedniego roku. W autobusie on i Gina Mayhew usiedli osobno. Ona całą drogę wyglądała przez okno. Torebkę – lśniącą, czerwone puzderko ze skóry, z zakreconym paskiem – umieściła sobie na kolanach jak pieseczka. Traktowali się, myśli teraz, uprzejmie i nic poza tym. „Rzetelnie”, można powiedzieć. Podchodzili rzetelnie do siebie nawzajem i wszystkiego wokół. Utrzymywali minimalny kontakt wzrokowy; rozmawiali ze sobą tylko wtedy, gdy było to konieczne i tylko w obecności dzieci; ona zwracała się do niego per „panie Riordan”; ona wieczorem gasiła

światła u dziewcząt, a on u chłopców. Nikt by nie powiedział, że coś tu nie gra.

Zwiedzili okopy, zwiedzili pole bitwy, przeszli przez cmentarze; musiał odesłać z powrotem do mikrobusa tylko jedno dziecko. Rozdał zestawy zadań i ołówki, wygłosił (krótki) wykład o działaniach w okopach; zwrócił uwagę na nachylenie terenu, na to, że Niemcy znajdowali się wyżej; pokazał im pas ziemi, na którym poległo w ciągu jednego dnia pięćdziesiąt siedem tysięcy ludzi.

– Zanotujcie to – powiedział. – Pięćdziesiąt siedem tysięcy ludzi, z czego większość...

– Niewiele starsza niż wy – wybuchła Gina.

Spojrzał na nią w dół ze swego miejsca u szczytu zrekonstruowanej drabiny prowadzącej do ziemi niczyjej. Gina siedziała na końcu rzędu, w żółtym skafandrze z kapturem i szortach z wyhaftowanymi na brzegu lwami; włosy związała w rozkołysany koński ogon. Na szyi miała zawieszoną lornetkę do obserwacji ptaków. Nawet sobie nie zdawał sprawy, że Gina go słucha. Zakładał, że towarzyszy im ciałem, ale jej myśli krążą wokół... czego? Wyobraził sobie australijskie pustynie, przebarwione na czerwono w ostrym słońcu, peryferie i ścieżki ludzkiego układu krążenia, tablice obrazujące rozmnażanie owadów, wykroje spódnico-spodni. Kto wie, gdzie krążyły jej myśli, gdy on recytował tę samą starą śpiewkę o poborze i wołownię z puszki, którą recytuje od dziesięciu lat?

Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, oblała się rumieńcem. Ta sama jaskrawa plama powędrowała jej od karku na policzki. Zmusił się do odwrócenia wzroku, do spojrzenia w notatki, do poszukiwania przerwanego wątku lekcji.

– Mmm... – zaczął, grając na zwłokę. – No, dobrze. Uzbrojenie. Ktoś coś wie na ten temat?

Tej nocy, gdy zapadł już na kilka dobrych metrów w sen, dotarło do niego nagle, że ktoś puka do drzwi jego jednoosobowego pokoju w schronisku młodzieżowym. Wytoczył się z łóżka, otworzył drzwi i zobaczył Ginę Mayhew w kwiecistej bawełnianej piżamie z krótkimi nogawkami; jej gołe nogi fluoryzowały w świetle jarzeniówki.

– O! – powiedział. – Gina, nie wydaje mi się...

Ale ona już szła korytarzem.

– Lepiej chodź – rzuciła przez ramię.

Uczniowie, co było do przewidzenia, jakimś sposobem weszli w posiadanie alkoholu i w pokoju dziewcząt odbywała się prywatka. Stanęli z Giną w drzwiach i dokonali szybkiej oceny sytuacji. Pięcioro pijanych, w tym jedno mocno, czworo półnagich, dwoje w uścisku, troje albo wymiotuje, albo wygląda tak, jakby im już niewiele brakowało. Przez następne pół godziny oboje pracowali nieprzerwanie: karcili, sprząтали, rozdzielali, segregowali, konfiskowali. Gina ubrała dziewczyny – Michael solennie odwrócił wzrok – i położyła je do łóżek. Michael wyprowadził chłopaków do ich pokoju i zamknął drzwi. A potem wrócił.

Gina stała w korytarzu z naręczem skonfiskowanych butelek wódki.

– Wszystko dobrze? – zapytał z błędnym i przede wszystkim ruchomym spojrzeniem, wędrującym po ścianach, podłodze, klamkach u drzwi. Nie potrzebował jeszcze raz oglądać tych szortów od pizamy, tych białych, piegowatych nóg.

– Tak – wyszeptała. – Poszły do łóżek.

– Świetnie. No to... – kilka razy uniósł w bok ręce i z powrotem je opuścił, jakby podejmował z góry skazaną na niepowodzenie próbę lotu. – Chyba trzeba...

– Czy przychodzi ci... – zaczęła, odchylając głowę w tył, jakby badała sufit.

Spojrzał na nią i w tym momencie zauważył ze zdumieniem, że prawie nigdy na nią nie patrzy. Nie może. Gdyby to zrobił, straciłby rozeznanie, jak długo wypada przyglądać się kobiecie. Lepiej w ogóle nie ryzykować. Zobaczył długie, naciągnięte ścięgna jej szyi, pionowy rowek nad wargą, jasnordzawe rzęsy.

– ...czasem na myśl, że wybrałaś niewłaściwy zawód?

Cały czas, chciał odpowiedzieć, w każdej minucie każdego dnia. Powinienem uczestniczyć w seminariach w Berkeley, u Williamsa, na Nowojorskim, a nie zmywać podłogę po zalanych w pestkę nastolatkach we francuskim schronisku młodzieżowym.

– A ty tak myślisz? – spytał w zamian. – Niepotrzebnie. Nie możesz tak myśleć. Widziałem cię przy pracy. Jesteś świetna. Bardziej niż świetna.

– Nieprawda.

– Prawda. Poradzisz sobie, zobaczysz. Pierwszy rok jest zawsze najtrudniejszy. Potem to już wchodzi w krew.

Podniósł rękę i zanim się obejrzał, już poklepywał ją po ramieniu.

To był błąd. Oczy wypełniły jej się łzami i nie mogła ich otrzeć, bo ręce miała pełne butelek.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie szkodzi, nie...

– Oni... – nowe łzy napłynęły i wyszły na policzki – ...włożyli mi żabę do łóżka.

Ręka opadła mu z powrotem do boku.

– Co?

– A ja nie znoszę żab, naprawdę. Z większością zwierząt nie mam problemu, ale żaby... żywe... mają coś takiego w sobie. Nie umiem ich dotykać, nie umiem ich podnosić, nie umiem i...

Mówiła coraz głośniej i głośniej, więc wziął ją pod rękę, otworzył drzwi do jej pokoju i wprowadził ją do środka.

Wszystko jest w porządku, powtarzał sobie w głowie, głośno i wyraźnie. Tylko jej pomaga. Tak jak pomaga nocą Vicie albo Hughiemu, gdy śni im się koszmar. Usunie żabę, powie dobranoc i wyjdzie. Nic trudnego. Wszystko jest w porządku. Powtarzał to sobie, gdy stał przy łóżku z nią za plecami i ściągał pościel, absolutnie nie wdychając jej woni. Żaba, siedząca z podwiniętymi kończynami, odcinała się od materaca jak kleks w kształcie strzały. A za nim Gina, w piżamie z krótkimi nogawkami; był w jej pokoju. Ale przecież nie robił niczego złego. Pomagał jej tylko uporać się ze skutkami sztubackiej psoty.

Przykrył dłońmi żabę, a ona zatrzepotała, jak zatrzepotałoby ludzkie serce wyjęte z ciała.

– Okno – powiedział.

Gina podskoczyła jednym susem i zwolniła zatrzask. Okno się otworzyło, a on wychylił się w ciemność. Zanim zdążył wypuścić stworzenie, uderzyła go osobliwość, odmienność nocy za oknem – tej zewnętrznej przestrzeni, pozbawionej światła, ale tętniącej życiem świerszczy i ptactwa, i wszelkich niewidzialnych stworzeń. Miał poczucie, że spędził tygodnie, może lata w zamkniętym schronisku młodzieżowym, z jego jarzeniówkami, boazerią, opanowanymi przez pająki kabinami prysznicowymi, rozbrzmiewającą echem jadalnią, wąskimi łóżkami, dziecięcą wrzawą. Ale to miejsce, ta aksamitna ciemność i nakłute gwiazdami niebo znajduje się tuż, tuż za



ścianami i jakże jest piękne, jakie łagodne tu powietrze, jakie hipnotyzujące te tajemnicze odgłosy.

Rozłożył dłonie i żaba z głuchym, tłumionym łoskotem wpadła w zarośla. Usłyszał, jak szeleści, odzyskuje równowagę i oddala się w podskokach. Wziął ostatni haust nocnego powietrza, jeszcze raz spojrzął w mrok i cofnął się do pokoju.

Mogło się zdawać, że noc jakimś sposobem zdążyła wnikać do pokoju. W mroku nadal stała Gina w swojej pizamie, ale teraz trzymała w ręce butelkę wypełnioną srebrnym płynem.

– Nie patrz – powiedziała, zaśmiała się krótko, przystawiła butelkę do ust i przechyliła ją. Zobaczył, że przelyka, raz i drugi.

Odkaslnęła, uśmiechnęła się i otarła wargi grzbietem dłoni.

– Tego mi było trzeba – powiedziała. – Przepraszam.

– Nie ma za co – odparł i wyciągnął rękę.

Czy tylko udawała, że źle zrozumiała? Rękę wyciągał, rzecz jasna, po wódkę, a nie do niej. Zaprzagnął nagle poczuć w swoim gardle jej zajadły, pałacy strumień. Nie do niej wyciągał rękę; chciał butelki.

Tak czy owak, Gina podała mu dłoń.

A gdy poczuł w swej dłoni dłoń Giny Mayhew, zaskakująco drobną, drobniejszą niż – dopuścił tę myśl, ale na tym koniec – dłoń Claire, zdawało mu się, że wyciąga rękę poprzez przestrzeń tak rozległą i nieskończoną jak wszechświat, i że ta przestrzeń wypełniona jest jego przekonaniem na temat własnej osoby. On, taki rodzinny, mąż i ojciec, nauczyciel, który, w odróżnieniu od pewnych kolegów, których nie będzie wskazywał palcem, nigdy nie wpatrywał się w długie nogi maturzystek w rozgrzanej auli, nigdy nie reagował na maślane spojrzenia niektórych uczennic, nigdy nie pozwalał sobie na obecne w pokoju nauczycielskim zwierzenia, sojusze i flirty, mężczyzna, który od ślubu nie spojrzął na inną kobietę, żonaty z dziewczyną, której zrobił dziecko na studiach, u progu doktoratu, mężczyzna, który porzucił marzenia o karierze naukowej, o ucieczce do Ameryki, o rzuceniu wszystkiego, mężczyzna, który bierze należyty udział w zmywaniu i dźwiganiu, i nęceniu, i karmieniu, i sprzątaniu składającym się na życie rodzinne, mężczyzna, który często wozi matkę do kościoła, mężczyzna rozsyłający kartki urodzinowe i kupujący prezenty, i porcjujący świątecznego indyka. Jest dobrym człowiekiem. Wie, że to prawda. A jednak

wyciągnął rękę ponad tym wszystkim, całą tą dobrocią i obowiązkowością, i pracowitością, i troskliwością, aż dotknął czegoś innego po drugiej stronie.

Gdy się zbudził, właśnie wstawał świt. Za wciąż otwartym oknem było znów zwyczajnie – rozjaśniona szarość, wilgoć, skrzek ptaków, kłębiące się w powietrzu owady. Wyplątał się z pościeli i wygramolił z wąskiego łóżka. Jego myśli wyprzedzały pędem sytuację, w której się znalazł. Musi się stąd wydostać, przejść korytarzem do swojego pokoju tak, żeby nikt go nie zauważył. Co on narobił, co on narobił, co on, na miłość boską, narobił? Porwał z podłogi ubrania. Będzie dobrze, powiedział sobie, wciskając nogę w porzucone spodnie od pizamy, które, jak się nagle okazało, tak silnie się naelektryzowały, że nie chciały wpuścić ludzkiej kończyny; wszystko będzie dobrze. Wiedział, że panika oznacza śmierć; jako były skaut wiedział o tym doskonale. Zachowaj spokój, myśl trzeźwo, a nade wszystko nie panikuj. Nic się nie stanie, opanuje sytuację, wydostanie się stąd i wszystko będzie dobrze. Claire się nie dowie, nie powie jej, nigdy jej nie powie, to się zdarzyło tylko raz i nigdy się nie powtórzy. Claire nigdy się nie dowie i nic się nie zmieni; porozmawia z Giną, a ona zrozumie. W końcu wiedziała, że jest żonaty. Wiedziała o tym od samego początku – wiedziała o tym wczoraj, gdy wsunęła się pod niego w łóżku, gdy ściągnęła przez głowę górę od pizamy. Claire nigdy się nie dowie, co tu zaszło. To była chwila szaleństwa, ale już przeminęła.

Przekręcił gałkę w drzwiach i wytknął głowę. Nic. Nikogo. Korytarz był pusty. Wydawało mu się, że to wyjątkowy łut szczęścia, znak, jeśli ktoś woli, że odtąd wszystko pójdzie po jego myśli. Wróci do domu, zapomni o tym; będzie odtąd wzorowym mężem, idealnym ojcem. Claire nigdy się nie dowie.

Cóż, kiedy los lubi płatać figle. Kto by przewidział, że w chwili, gdy on podniesie żabę z prześcieradła Giny Mayhew, Hughie, idąc po ciemku do toalety, potknie się o porzuconą na podłodze ciężarówkę (a czyż Claire ich nie przestrzegala, raz za razem, żeby nie rozrzucać zabawek u szczytu schodów?), wpadnie na poręcz i w środku nocy trzeba go będzie zabrać do szpitala, żeby mu założyć osiem szwów na czole? Kto by pomyślał, że Claire kiedykolwiek będzie miała powód, żeby sięgnąć po pozostawiony na wypadek nagłych zdarzeń numer telefonu, który od dziewięciu lat co roku przyczepiał do drzwi lodówki przed wyjazdem na tę wycieczkę? I kto by

odgadł, co chodziło Claire po głowie, gdy w środku nocy stała na oddziale ratunkowym z dwójką zawodzących dzieci i słuchała głosu wyraźnie zagniewanego pracownika francuskiego schroniska młodzieżowego, który twierdził, że jej męża nie ma w pokoju, że nie wiedzą, gdzie jest i czy mają go poszukać w innym pokoju?

Michael Francis przetacza się na plecy i patrzy na Aoife, która siedzi z podciągniętymi nogami, oparta plecami o ścianę.

– Nie nienawidź mnie – mówi.

– Pewnie, że cię nie nienawidzę.

– A ja siebie tak.

– Nie bardzo rozumiem, w czym ci to pomoże – mówi Aoife, nawijając włosy na palec wskazujący jak na motek. – Można powiedzieć, że w pewnym sensie to wszystko wina żaby.

– To wcale nie jest śmieszne.

– No dobra.

– To nie była wina żadnej cholernej żaby.

– Racja. Pardon. Kiepski żart.

– Bardzo kiepski. To moja wina. Moja i tylko moja.

– Przecież ta, jak jej tam... Gina... też tam była, prawda?

– No tak... ale...

– Ale co?

– Ale to wszystko moja wina.

Aoife przewraca oczami.

– Wątpię, żebyś mógł sobie zawłaszczyć całą... – potrząsa głową, jakby próbowała uporządkować myśli. – Jak długo to trwało?

– Hm, zaczęła pracę z początkiem roku szkolnego, we wrześniu, pierwszy raz rozmawiałem z nią, zdaje się, w październiku, a może w listopadzie? A potem, pamiętam, jeszcze na koncercie świątecznym, na którym wszyscy nauczyciele musieli...

– Czy ty mnie specjalnie wkurzasz?

– Ale o co ci chodzi?

– Po co mi trujesz o jakichś koncertach bożonarodzeniowych? Powiedz mi normalnie, jak długo żeście się dymali.

Michael Francis aż siada z oburzenia.

– Uważam, że naprawdę nie musisz używać takiego...

– Czego?

Kładzie się z powrotem.

– To było tylko raz.

– Tylko raz?

– Tak.

– I wpadłeś?

– Tak.

– Ale pech.

– Tu nie o to chodzi, Aoife. Rzecz w tym, że zrobiłem coś okropnego. Jak się ma żonę, to się nie sypia z koleżankami z pracy. Powinno się...

– Widujesz się z nią jeszcze?

Michael wzdycha. Zasłania twarz dłońmi.

– Wyjechała. Tydzień później. Wróciła do Australii.

– Hmm.

Aoife zgniata niedopałek i pstryczkiem wyrzuca go przez okno.

– Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Myślę, że nie jest tak źle, jak ci się zdaje. Na tle wszystkich gównianych rzeczy, jakie robią sobie ludzie, na tle tych wszystkich strasznych, tragicznych, okrutnych rzeczy, które przydarzają się w małżeństwie, mogło być gorzej. Pewnie, że nie trzeba było z nią spać, ale to się zdarzyło tylko raz. Nie powtórzyłeś swojego błędu. I nie odszedłeś. Nie porzuciłeś dzieci. Claire powinna się cieszyć, że trafił jej się pocziwiec, powinna zrozumieć, że...

– Cóż, jakoś się nie cieszy. I ma rację. Nie sypia się z innymi ludźmi, jak się ma...

– Jezus, Michael Francis, jesteś tylko człowiekiem. Zdarza się. Ludzie się zakochują. No dobra, zadurzyłeś się w kimś. Miałeś jednorazową przygodę. Każdy to zna. Ale ty zrozumiałeś, że popełniłeś olbrzymi błąd. Postawiłeś na pierwszym miejscu Claire, postawiłeś na pierwszym miejscu dzieci.

– Nieprawda – jęczy on, z twarzą w dłoniach. – Właśnie nieprawda.

– Och, oszczędź mi już tego dramatyzmu i obwiniania. Tak było. Zadurzyłeś się, pomyliłeś, spojrzaleś prawdzie w oczy i załatwiłeś sprawę. Koniec, kropka.

– To nie było zadurzenie – mruczy Michael.

– A nazywaj to sobie, jak chcesz.

– Ja ją kochałem.

– Nie, nie kochałeś.

– Kochałem.

– Nie kochałeś.

– Tak.

– Nie.

– Tak.

– To się wie dopiero po trzecim razie.

Michael odsuwa dłonie od twarzy.

– A kto tak powiedział?

– Ja.

– A, pierdoły.

Aoife pochyla się w jego stronę.

– Michael Francis, z iloma osobami w życiu spałeś?

– Nie twój interes.

– Z dwoma. Zgadza się? No, najwyżej z trzema?

– Nie powiem – mówi, ale zaczyna się śmiać.

– No widzisz. Musisz mi uwierzyć na słowo. Seks decyduje o wielu rzeczach. O wszystkim. A za pierwszym razem nie da się nic stwierdzić. To tak, jakby tylko odkaszlnąć.

– A ty z iloma osobami spałeś?

– Nie powiem ci.

– Dawaj.

– Nie.

– Proszę.

– Nie. Chyba byś się przewrócił. Pamiętaj, że jestem z innego pokolenia.

– Chociaż z grubsza. Ponad pięć?

– Boże.

– Więcej? Ponad dziesięć?

– Dość. Ja się tak nie bawię. Opowiedz mi o tych nowych znajomych Claire.

– Ponad dwadzieścia?

Monica stoi na korytarzu na piętrze; obraca stopę w jedną stronę, a potem w drugą, i obserwuje zadrapanie na podbiciu buta. Będzie musiała coś z tym dzisiaj zrobić; takie rysy lepiej tuszować od razu. Ale czy matka będzie miała bordowy lakier? Bardzo wątpliwe.

Zza drzwi pokoju, który należał kiedyś do niej, potem do niej i do Aoife, a potem tylko do Aoife, słyszy rozmowę brata i siostry. Więcej niż dziesięć, dopytuje Michael Francis, więcej niż dwadzieścia, po czym słyhać śmiech Aoife i Monica ma ochotę powiedzieć: taka sytuacja, a wy się śmiejecie. I dodać: co ponad dwadzieścia, co w tym takiego śmiesznego?

Monica czuje, że znów jest bliska łez. Przekrzywia głowę, żeby je powstrzymać, i jej wzrok pada na szklany klosz w esy-floresy, w kształcie odwróconej misy. Szkło weneckie, twierdzi matka, ale Monice trudno w to uwierzyć. Klosz pochodzi z czasów, gdy matka namiętnie odwiedzała sklepy ze starzyzną przy Holloway Road. To była jedna z jej najbardziej uporczywych manii. Co tydzień przychodziła z czymś nowym – a to z obrazkiem zrobionym w całości z muszelek, a to z popielniczką w kształcie wyspy Man, a to ze stojakiem na parasole w kształcie słoniowej nogi. „Prześliczne” – mówiła o swoich nabytkach. „Okazja, że ho, ho!” Jakże ci sklepikarze musieli zacierać ręce na jej widok. Matka wierzyła we wszystko, co jej wmawiali, zdjęta pragnieniem kupowania, przeświadczona, że następny nabytek, kolejny drobiazg, odmieni jej życie, odmieni jej dom.

Monica uznaje, że ma już dość jak na jeden dzień. To okropny dzień, najgorszy z możliwych, i minione zdarzenia obracają się w niej i skręcają jak ciężkostrawny posiłek: pochówek kota, podróż tutaj, najpierw autobusem, potem parnym pociągiem, to, że musiała akurat zobaczyć Joego z dzieckiem, telefon do Gloucestershire, przeszukiwanie biurka ojca i do tego jeszcze Aoife, która mówi, to nie ja, nie ja mu powiedziałam. Monica chciałaby, żeby to wszystko już się skończyło. Żeby nigdy się nie zdarzyło. Żeby mogła wyjść z tego domu i już nigdy tu nie wracać.

Nie mów, że ponad trzydzieści, słyhać zza drzwi głos Michaela Francis, chyba sobie jaja robisz, a Aoife dalej się śmieje i mówi, nie rozmawiam na ten temat.

Monica podchodzi do drzwi i otwiera je jednym pchnięciem. Śmiech i rozmowa urywają się natychmiast, pochłonięte przez ciszę, dokładnie tak, jak przewidywała. Na tym polegają, myśli sobie, ujemne strony bycia faworyzowaną. Traktują człowieka jak jednego z rodziców, jak szpiega z ich obozu; gdy są razem, tolerują obecność faworyta, ale nie uważają go za swego.

Jak to teraz rozegrać? Monica stoi bez słowa i zastanawia się, co wybrać.

Michael Francis siedzi i przeczesuje włosy palcami z miną skarconego chłopca. Wie, że to nie czas na pogaduszki i śmichy-chichy. Aoife za to rzuca jej nienawistne spojrzenie, wydobywa papierosa z leżącej obok paczki i kładzie na kolanach książkę. Książkę skradzioną z biblioteki, jak zauważa Monica.

Czy powinna próbować się dołączyć, zapytać: co ponad trzydzieści? Czy raczej pokazać odcinki czeków i tak ich zawstydzić, że skupią się w końcu na tym, co jest do załatwienia?

Zanim zdąży zdecydować, na pierwszy plan wysuwa się to drugie.

– A wy tu co robicie? – pyta wielkopańskim tonem. – Ja tam na dole pracuję, przeszukuję rzeczy taty. Lepiej byście pomogli, zamiast tu siedzieć i gadać, zamiast jak zwykle zostawiać wszystko na mojej głowie.

Mówi i mówi. Michael Francis wstaje, jakby był gotów zrobić, co tylko ona zasugeruje; tego to zawsze było łatwo wpędzić w poczucie winy. Poszło jak po maśle. Aoife za to przewraca oczami i z powrotem rozwała się pod ścianą. Jak to możliwe, myśli nagle Monica, że to nie ona powiedziała Joemu? Przekonanie, że to zrobiła, tkwiło jej w głowie od tak dawna, wgryzało się w jej myśli od tylu lat. Siostra zrujnowała jej małżeństwo: oto wewnętrzny dramat Moniki, jej naczelna krzywda. Jak to możliwe, że tego nie zrobiła? A jeśli to nie ona, to skąd się dowiedział? Powiedziała mu pielęgniarka, jeszcze w szpitalu? Czy sam się domyślił?

A potem ta sytuacja w kuchni u Michaela Francisa. Nie lubi o niej myśleć, nie może o niej myśleć, nawet jej dokładnie nie pamięta. To się zdarzyło w czasie, gdy życie było takie zagmatwane, splekane. Czyżby naprawdę wygarnęła siostrze to wszystko? Czy naprawdę wypuściła te słowa w przestrzeń między nimi? Nieprawdopodobne. A jednak wyraźnie czuje, że tak się stało. Naprawdę powiedziała Aoife, co się stało z Grettą po jej narodzinach. Jak to możliwe?

W Monice wzbiera pragnienie rozmowy z Aoife – jaka miałyby być jej treść, nie wiadomo – ale pojawia się to pragnienie, nieznanne, niewytłumaczalne pragnienie wyrażenia, przekazania czegoś siostrze.

– A widziałeś to? – mówi jednak tylko do Michaela Francisa i wciska mu w dłoń odcinki czeków.

Brat musi je łapać, żeby nie pospadały.

– Nie – mówi. – Co to jest?

Monica piorunuje go wzrokiem.

– Odcinki czeków.

– Tak, to widzę, ale co...

– Ojciec... – Monica kroczy dramatycznie w stronę okna, udaje, że wygląda przez okno, po czym odwraca się do niego. – Ojciec co miesiąc wpłaca dwadzieścia funtów komuś, kogo nazywa „Assumptą”.

Brat i siostra wybałuszają na nią oczy. Monica czuje, że triumfuje, choć sama nie wie dlaczego. Sięga na chybił trafił po jeden z odcinków leżących w złączonych dłoniach Michaela Francisca.

– Robi to od tak dawna, jak dawno sięgają kwity. Co miesiąc, pierwszego, wystawia czek dla „Assumpty”. Spójrzcie – wymachuje zapiskiem, najpierw przed oczami Michaela Francisca, następnie przed oczami Aoife. – Dwadzieścia funtów, pierwszy dzień miesiąca.

– Chryste – mruczy pod nosem Michael Francis. Siada na łóżku naprzeciwko Aoife. Przekłada odcinki na małą stertę obok siebie i zaczyna je przeglądać.

– Znamy kogoś o imieniu Assumpta? – pyta Monica.

– Nie sądzę – odpowiada Michael Francis. – Nic mi to nie mówi, chociaż... czy mama nie miała przypadkiem takiej kuzynki?

– Assumpta – mruczy w tle Aoife. – Według mnie to brzmi jak imię zakonniczy.

– Nie zwracają na nią uwagi.

– Której? – dopytuje Monica.

– Pamiętasz. Z tej zagrody w dolinie, gdzieś tam w Galway. Z masą psów i rdzewiejących maszyn. Pies na psie.

– Pamiętam – mówi Monica.

– A ja nie – mówi Aoife.

– To nie jest Assumpta?

– Assumpta? Assumpta – nuci do siebie Monica. – Czy ona miała na imię Assumpta?

Zamyka oczy i przypomina sobie kuchnię kuzynki, psy objające się o nogi, psy biegające rozkołysanym krokiem tam i z powrotem po schodach, przechodzące przez drzwi, włączące na meble i zeskakujące na podłogę.

– Nie, to była Ailish. Zresztą miała wtedy ze sto lat, na pewno już nie żyje.

– O, ja pierdołę – mówi Michael Francis, przeglądając dalej świstki. – Ja



pierdołę! – powtarza głośniej. – Tego jest mnóstwo...

– No właśnie.

– Co miesiąc. Myślisz, że to znaczy...

Z pokoju piętro niżej dobiega krzyk Gretty, niczym zawołanie ducha w *Hamlecie*:

– MICHAELU FRANCISIE, W TYM DOMU SIĘ NIE WYRAŻAMY!

– Co jeszcze to może znaczyć?

– Myślicie, że uciekł z tą Assumptą, kimkolwiek ona jest? – pyta Aoife. – Zrobiłby to?

– SŁYSZYSZ MNIE? – grzmi Gretta.

– Nie wiem – odpowiada. – Ale to nie wygląda za dobrze, co? TAK, SŁYSZĘ CIĘ!

Wszyscy troje biorą wdech i patrzą na siebie nawzajem.

– Trzeba będzie jej powiedzieć, co? – mówi Aoife.

– Jeszcze nie teraz – odpowiada szybko Monica.

– Poczekajmy – mówi Michael Francis – aż...

– Aż będziemy mieć więcej dowodów.

– A skąd je niby weźmiemy? – pyta Aoife.

Monica wygładza spódniczkę na kolanach.

– Z tego samego miejsca, w którym znalazłam te – wskazuje odcinki czeków. – Będziemy musieli przeszukać dom – mówi swoim najbardziej rozkazującym siostrzanym tonem i wyławia z kieszeni karteczkę. – Tu zrobiłam spis.

– Jaki spis?

Monica, jak można się było spodziewać, ignoruje jego pytanie.

– No, dobrze. Ja już przejrzałam biurko. Zamierzałam przejść teraz do szafy. Michael Francis, to zajmij się może strychem, a Aoife może przeszukać metalowe regały w szopie.

Michael Francis drapie się po jednodniowym zaroście. To przyjemność, którą sprawia sobie zawsze na początku wakacji: przestaje się golić.

– Co to znaczy: zajmij się strychem?

– Może być niełatwo ukryć poszukiwania przed mamą – ciągnie Monica. – Ale na pewno wam się uda.

– Sam nie wiem... – mówi Michael Francis. – Ale czego mamy szukać?

– Wszystkiego. Czegokolwiek. – Monica podchodzi do szafy i otwiera

drzwi. Zdejmuje z półki karton i wyciąga z niego drewnianego kurczaka, potem ozdobę świąteczną i w końcu sowę zrobioną z szyszki sosny.

Michael Francis przygląda się temu wszystkiemu. Zerka na zegarek. Aoife wstaje z łóżka i wychodzi z pokoju. Zatrzymuje się za drzwiami i nasłuchuje, ogryzając naderwaną krawędź paznokcia. Co za durny pomysł, podsumowuje w duchu. W życiu nie słyszała niczego głupszego. Jaką, u licha, miałoby to przynieść korzyść? I jeszcze: niech Monica sobie nie myśli, że teraz już wszystko będzie dobrze. I jeszcze: mój Boże, jaka ja jestem straszliwie zmęczona.

Robi kilka kroków i orientuje się, że stoi w progu pokoju rodziców. Łóżko, myśli. Jak dobrze by było się na nim rozprostować. Kładzie się na ukos z głową skierowaną w stronę okna wykuszowego. Tylko chwilkę. Może się zdrzemnie. Tylko chwilkę. Wdycha zapach rodziców: talku, kropli na kaszel, naftaliny, olejku do włosów, pasty do butów. Wpatruje się w kłaczki wyblakłej liliowej narzuty z pluszu, olbrzymiej, wprost geograficznej z tej perspektywy, a kłaczki na przemian wyostrajają się i zamazują.

Aoife się budzi i nie wie, co się dzieje, gdy widzi koronkowe firanki i światło elektryczne wpadające przez drzwi nie tam, gdzie należy. Podrywa się, opiera na łokciach i konstataje ze zdumieniem, że oto znajduje się w sypialni rodziców przy Gillerton Road.

Czuje się wręcz nieprawdopodobnie źle. Spieczone wargi, widmo choroby, zawroty głowy, gorąc, nieznośny gorąc. Wierzga nogami, próbując się wyplątać z czegoś, w co ją opakowano – z jakiegoś swędzącego okrycia.

Ktoś tu był, gdy spała, i owinął ją kocem. Wełnianym kocem. Kto przy zdrowych zmysłach przykryłby kogokolwiek wełnianym kocem w takim upale?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie dobiega ją przez ścianę świński terkot matczynego chrapania.

Aoife skopuje wściekle koc, aż ten ląduje na dywanie jak zrzucona skóra. Czuje nagle, że unosi się na falach mdłości, jakby łóżko kołysało się na morzu, góra-dół, góra-dół. W pewnej chwili nabiera przekonania, że zaraz puści pawia, tu i teraz, i zastanawia się, czy to w dobrym tonie: wymiotować na łóżko rodziców. Ale ta chwila przemija. Aoife układa z powrotem głowę na łóżku, na niepokojąco znajomej liliowej narzucie, przywołującej, jak się okazuje, liczne wspomnienia sfilcowanych świątecznych skarpet, które

wypatroszała na tym łóżku – siatka z czekoladowymi monetami, jo-jo, laleczka z drewna, pomarańcza przy części na palce – a tymczasem ojciec udawał, że śpi, a matka wydawała swoje ochy i achy, i zobacz to, a to.

Nie ma pojęcia, która jest godzina. Sądząc po wpadającym przez firanki srebrzystym świetle i rozedrganym arpedzio ptactwa w ogrodzie, musi właśnie świtać, ale Aoife nie godzi się na tę wersję. Przecież spała chyba nie dłużej niż dziesięć minut. Niemożliwe, że minął cały wieczór i część nocy.

Rozwarte zielone wskazówki na budziku ojca podpowiadają jej, że jest dwadzieścia po czwartej. W Nowym Jorku dwadzieścia po jedenastej, czyli jeszcze wczoraj. Czy Gabe już śpi?

Aoife podciąga się do pionu. Znów przez moment ma wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Patrzy na podłogę w poszukiwaniu butów. Skopuje na bok koc, żeby sprawdzić, czy nie ma ich pod spodem. Unosi bożonarodzeniową narzutę, czołga się wokół łóżka, zagląda pod szafki nocne rodziców. Nic z tego. Aoife siada na łóżku i ściska dłońmi czaszkę. To, że nie może znaleźć butów, jawi jej się nagle jako najgorsza rzecz, jaka ją kiedykolwiek spotkała. Gdzie one mogą być, na litość boską? To całkiem zwyczajne sandały z czerwonej skóry, ale sama ich nieobecność nadaje im wartość talizmanu.

Wie, rzecz jasna, co się stało. Widzi to wyraźnie, jakby wcale nie przespała tej sytuacji. Kiedy matka weszła tu z tym cholernym kocem, zauważyła je, podniosła i postanowiła gdzieś uprzątnąć. Ten jej zwyczaj nadgorliwego porządkowania doprowadza Aoife na skraj obłędu. Każda rzecz pozostawiona w pobliżu Gretty może zostać lada chwila uprzątnięta. Klucze odkładaj na własne ryzyko. Nigdy nie zostawiaj luzem portmonetki. Nawet nie myśl, że ten kardigan, zawieszony dla wygody na oparciu krzesła, znajdzie się tam po twoim powrocie.

I nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, już je widzi. Zostały prawie w całości wciśnięte pod komodę ojca. Aoife podrywa się z łóżka, chwyta sandały i szybko je zapina, jakby się obawiała, że zaraz ktoś jej je wyrwie z ręki.

Aoife wychodzi na korytarz. Matka chrapie zdrowo za drzwiami pokoju Michaela Francisa. Musiała się położyć tam. Czy to znaczy, zastanawia się Aoife, że Monica śpi w ich pokoju? Przysuwa się bliżej drzwi i przyciska ucho do słójów. Chciałaby odzyskać książkę, chciałaby znów położyć dłonie na pracach Evelyn. Ale nie może ryzykować, że ją zbudzi. Monica nigdy nie

należała do osób, które łaskawie znoszą pobudki.

Aoife schodzi wolno po schodach. Nie bardzo wie, co robić. Zaraz będzie świtać. Wszyscy śpią. Jej książka leży zamknięta u siostry. Czuje się dziwnie rozbudzona, jakby organizm wyrwał ją ze snu z informacją: już pora do pracy, jazda do klubu.

W pokoju od frontu mierzy się ze wstrząsającym widokiem ojcowskiego biurka: szeroko otwarta pokrywa, zawartość porozrzucana po podłodze. Nigdy wcześniej nie widziała go otwartego, a co dopiero tak wybebeszonego. Czyżby to Monica pozostawiła je w takim stanie? A co na to Gretta? Ciekawie byłoby obserwować taką rozmowę, chociaż Gretta pewnie i tak nic Monice nie powiedziała. Chyba że: jeśli uważasz, że tak trzeba, to dobrze, skarbie, porozrzucaj rzeczy taty, ja później sprzątnę, nie martw się.

Aoife zasiada ciężko na krześle przy biurku ojca i odsuwa włosy z twarzy. Ale gorąco. Jak może być tak gorąco? Wydaje się, że na dole jest jeszcze cieplej, ale to przecież tylko pozory, bo wiadomo powszechnie, że ciepłe powietrze unosi się do góry.

Przypatruje się artykułom porozrzucanym wokół biurka: kartkom papieru, starym paszportom z przyciętymi narożnikami, paragonom, listom. Widok znaku na jednej z kartek przyprawia ją o dreszcze, sama nie wie dlaczego. Porywa kartkę i pojmuje, że widnieje na niej szkolny herb. „W służbie Bogu”, głosi umieszczony poniżej, zakreślony napis; Aoife to wie, bo przypomniano im o tym co dzień podczas tych niekończących się apeli. Zerka jeszcze niżej, ale widząc stłoczone linijki maszynopisu, wyrzuca kartkę.

Zastanawia się, czy zaparzyć kawę, czy może uporządkować ten bałagan albo wyjść do ogrodu, ale na razie składa głowę na biurku. Czuje pod policzkiem ciepło skórzanej tapicerki, a zapach środka do czyszczenia, papieru i atramentu działa na nią kojąco. Patrzy na pokój, rozchylony na boki, i myśli, że nigdy go nie oglądała z tego miejsca, że to dziwne, a następnie przyłapuje się na myśli, że dobiegający ją z tyłu głos matki brzmi wyjątkowo donośnie.

Aoife podnosi głowę z blatu, siada i odkrywa, że pokój wypełniają biegnące wzdłuż dywanu snopy światła. Czy to możliwe, że znów zasnęła?

– Nie twierdzisz chyba... – mówi matka. – W takim razie... a co on na... w ogóle...

Gretta rozmawia z Irlandią: Aoife rozpoznaje to po zwięźlejszym stylu, nieco bardziej syczącym s, zmiękczone t. To pewnie któryś z jej rozlicznych krewnych; oni zawsze dzwonią o dziwnych godzinach. Telefon o szóstej rano to dla nich pestka.

Aoife wstaje niepewnie i chwiejnym krokiem rusza przez pokój i do kuchni, staje i rozgląda się. Co by tu zjeść? Na stole dostrzega pudełko płatków, miskę matki i tonącą w mleku łyżkę. Bochenek chleba na blacie wygląda na czerstwy, wklęsły w miejscu przecięcia. Aoife nachyla się nad zlewem i odkręciwszy kurek, pije prosto z kranu. Właśnie siada przy stole z jabłkiem wyjętym z miski z owocami, gdy zauważa, że w progu kuchni stoi matka z rękami w kieszeniach szlafroka.

– Co? – pyta Aoife.

Gretta patrzy na nią nieobecny spojrzeniem.

– Co się dzieje?

Aoife wstaje, podchodzi do matki, ujmuje jej dłonie i prowadzi ją na krzesło.

– Kto dzwonił?

– Mary – szepcze Gretta.

– Mary. Znajoma, sąsiadka, krewna, Najświętsza Panienska?

– Żona Dermota – szepcze znów Gretta.

– A! – mówi Aoife. Nadal nic nie rozumie.

Gretta kryje twarz w dłoniach.

– Aoife, podaj mi moje proszki, dobrze? Zaraz mi głowa pęknie.

Aoife podchodzi do matczynej farmakopei ukrytej w kuchennej szafce. Stoi tu dwadzieścia parę fiolek, każda w innym rozmiarze. Aoife bierze dwie na chybił trafił, wpatruje się w etykiety, odstawia je i bierze dwie następne.

– Jezu, mamó, na co to wszystko?

– Ty się nie pytaj. Daj no te... różowe.

– Ale poważnie, co to za leki? Nie powinnaś ich wszystkich zażywać. Kto ci je przepisuje?

– Aoife... – Gretta przykłada dłoń do głowy. – Po prostu mi je daj.

Aoife wyjmuje z szafki wszystkie fiołki i ustawia je w rzędzie.

– Czy lekarz wie, że ty to wszystko masz? Mamó, ta ilość valium powaliłaby konia i naprawdę nie powinnaś...

– Monica twierdzi...

– A, Monica twierdzi! – Aoife z hukiem stawia na blacie fiolkę z jakimś środkiem na literę P. – Monice samej nie zaszkodziłoby trochę valium – mruczy pod nosem. – A dajcie wy mi święty spokój.

Gretta toczy się przez kuchnię, chwyta fiolkę, wysypuje na dłoń dwie pigułki i przełyka je bez popijania, a potem odwraca się do córki.

– Widzieli go – mówi.

Aoife przenosi uwagę z fiolek na matkę.

– Kogo?

– Waszego ojca.

Aoife przygląda się matce. Gretta wygląda dziwnie, spojrzenie ma dzikie, a skórę białą jak pergamin.

– Kto go widział? – pyta z rezerwą i myśli: proszę, tylko nie mów, że skrzaty albo duszki. Gretta lubi sobie czasem pobajdurzyć, a wtedy niełatwo sprowadzić ją z powrotem na ziemię.

Gretta wzdycha.

– Przecież mówiłam. Dermot i Mary.

Kim, u diabła, są Dermot i Mary?, chce już warknąć Aoife, ale gryzie się w język.

– Gdzie? – pyta za to.

Gretta patrzy na Aoife jak na opóźnioną w rozwoju.

– Przy drodze do Roundstone.

– Jakiego Roundstone?

– Jak to: jakiego Roundstone? Czyś ty zwariowała?

– Nie! – krzyczy Aoife. Tego już za wiele. – Nie zwariowałam. Może byś przestała mówić zagadkami i powiedziała, co się stało, bo mnie zaraz krew zaleje?

– Roundstone... – odkrzykuje Gretta – ...to wioska w Connemarze, o czym byś wiedziała, gdybyś kiedykolwiek słuchała, co mówię, gdybyś zachowywała się jak członek tej rodziny, zamiast uciekać i...

– I co? – pyta Aoife. – Co chciałaś powiedzieć?

– Eee! – Gretta macha tylko ręką. Otwiera drzwi do ogrodu i znika za nimi.

Aoife stoi w kuchni z zamkniętymi oczami i pięściami zaciśniętymi w kułak. Pragnie teraz zobaczyć się z Gabe'em, stanąć przy nim. Oddałaby prawie wszystko za to, żeby właśnie w tej chwili móc położyć mu dłoń na

ramieniu, mieć go tu przy sobie, zobaczyć jego akceptującą twarz.

Po chwili przekracza próg kuchni, schodzi po schodkach i zbliża się do matki. Gretta stoi przy wyschniętym złotokapie i pochlipuje w chusteczkę. Gdy Aoife podchodzi bliżej, widzi, że ich wzajemna złość rozwiąła się jak chmury z pejzażu. Otacza matkę ramionami i mówi:

– No, mów.

Aoife dzwoni po raz drugi do drzwi domu Michaela Francisa, a potem podnosi kołatkę. Dochodzi ósma. Przyszła tu, do Stoke Newington, pieszo, aż z samej Gillerton Road. Widziała listonoszy, śmieciarki, furgonetki mleczarzy. Widziała puste autobusy orzące puste ulice. Widziała, jak słońce zakrada się na jaśniejące niebo, jak ulice wzbierają światłem. O tej porze chyba już wypada przyjść z wizytą. Zresztą czyż ludzie z dziećmi nie wstają zawsze wcześniej?

Zanim zdąży wypuścić z dłoni kołatkę w kształcie lwiego łba, drzwi otwierają się gwałtownie i staje w nich Monica, otulona po szyję szlafrokiem.

Aoife jest taka zdumiona, że prawie się cofa, żeby spojrzeć na dom. Była pewna, całkiem pewna, że podeszła pod dom brata. Ale może nie. Może wprowadziła się tu Monica i nikt jej o tym nie powiedział.

– To ty – mówi w końcu.

– Tak, to ja.

– Co tu robisz?

– Mogłabym cię zapytać o to samo – wzdycha Monica. – Wiesz, która jest godzina?

– Dochodzi ósma.

Monica wyrzuca rękę z rękawa szlafroka.

– Siódma. Za piętnaście siódma.

– O! – Aoife patrzy na własny zegarek, który niewątpliwie wskazuje ósmą.  
– Może... źle go ustawiłam.

Monica obraca się na gołej pięcie i znika w głębi domu Michaela Francisa. Po chwili Aoife idzie w jej ślady.

Monica stoi w kuchni i dociska pokrywę czajnika.

– Gdzie mama? – pyta, nie odwracając się.

Aoife wślizguje się za stół brata i przesuwa kij krykietowy, kocią obrózkę, komiks oraz lalczyną filiżankę.

– Śpi – odpowiada Aoife, przejmując lakoniczny styl siostry. Jak Kuba

Bogu, tak Bóg Kubie, myśli. I jeszcze: jak cholera należą mi się od ciebie przeprosiny, i to z niejednego powodu, i nie wyobrażaj sobie, że o tym zapomnę. Poirytowana chwyta mały, tajemniczy kawałek pomarańczowego plastiku i obraca go w dłoni.

Do kuchni wsuwa się Michael Francis w koszulce i slipach.

– Jezu – mówi, ziewając w stronę Aoife. – To ty dzwoniłaś do drzwi?

Aoife kiwa głową.

– Przepraszam.

– O tej godzinie?

– Zegarek mnie zmylił.

Monica zdejmuje czajnik z płyty.

– Źle go ustawiła – mówi.

W tonie siostry Aoife słyszy wszystko, cały scenariusz swojego dzieciństwa: Aoife matolek, Aoife idiotka, Aoife dziewczynka, która nie umie odróżnić prawej strony od lewej, która nie umie pisać ani czytać, która nie umie się posługiwać nożem i widelcem, która nie umie sama zawiązać sznurowadeł.

– To była pomyłka! – wrzeszczy, ściskając ten pomarańczowy kawałek plastiku (zdaje się, że to fragment zabawki albo jakiegoś pojazdu). – Dopiero co przeleciałam Atlantyk! Źle przestawiłam zegarek. To wszystko. To nie znaczy, że jestem idiotką. Przeprosiłam. Czego jeszcze ode mnie chcecie?

Brat i siostra wpatrują się w nią, jakby mieli pewność, że gdzieś już ją widzieli, ale nie do końca wiedzą gdzie. Odwracają zgodnie wzrok; Monica przenosi go na czajnik, a Michael Francis na szafkę z kubkami; zostawiają ją w spokoju z jej gniewem.

Aoife musi się powstrzymać, żeby nie zacząć zgrzytać zębami, żeby nie rzucić czymś w ścianę. Jak to się dzieje, że wystarczą dwadzieścia cztery godziny w towarzystwie własnej rodziny, żeby człowiek został zdegradowany do poziomu nastolatka? Czy ta retrogresja narasta? Czy nadal będzie się cofała w tempie dekady na dobę?

– Słuchajcie – mówi, starając się panować nad głosem. – Chciałam wam coś powiedzieć. Ktoś widział tatę. W Irlandii.

– Ktoś? – odwraca się Monica. – Kto?

– Mary. I Declan. Kimkolwiek, u diabła, są.

– Mary i Declan? – zastanawia się Michael Francis, siadając przy stole



z pudełkiem płatków pod pachą.

– Mary to żona Dermota – mówi Monica. – Nie Declana. To kuzynka mamy od strony jej ojca. Mieszka gdzieś za Derrylea.

Aoife i Michael Francis patrzą na siebie.

– Tak czy owak... – ciągnie Aoife, zrywając kontakt wzrokowy z bratem – ...dzwonili rano o jakiejś niehumanitarnej porze, żeby przekazać, że ktoś widział tatę w pobliżu miejsca zwanego Roundstone. Wychodził, nie uwierzycie, z jakiegoś pieprzonego klasztoru. Ostatniego miejsca, w którym byśmy go szukali. To była jakaś kuzynka kuzynki i ojciec się zatrzymał, żeby porozmawiać, a potem poszedł w swoją stronę.

– To się kupy nie trzyma – twarz Moniki wyraża niezrozumienie i wściekłość. – Ani trochę – dodaje i szybkim ruchem łapie się za dekolt. – Co by tam robił? W klasztorze? I dlaczego przed wyjazdem nic nikomu nie powiedział?

– Gdzie mama? – pyta Michael Francis.

– W domu – odpowiada Aoife i macha ręką w powietrzu. – Miała jeden z tych swoich ataków. W każdym razie dziwnie się zachowywała. Wzięła jakieś proszki, nie wiadomo jakie, a potem zamknęła się w łazience i nie chciała wyjść. Nawiasem mówiąc, czy któreś z was widziało, ile ona ma tabletek?

Udają, że nie słyszą.

– Mówiła coś jeszcze? – dopytuje Monica. – Cokolwiek?

Aoife marszczy czoło i próbuje sobie przypomnieć. Wprowadziła matkę do domu i na górę; w drzwiach sypialni Gretta strząsnęła jej ręce i weszła do pokoju sama. Powiedziała, że musi się położyć, ale Aoife słyszała, że się tam krząta.

– Nie – odparła Aoife. – Ale coś się święci. Ona o czymś wie, ale nie chce powiedzieć. Urządziła cyrk z bólem głowy...

– A! – mówi Michael Francis. – Zastłona dymna, jak zwykle.

– Skądże znowu! – mówi Monica, odstawiając kubek. – Jak możecie tak mówić. Ma nadciśnienie, wiecie przecież, a sugerowanie, że udaje ból głowy, jest po prostu...

– Czy któreś z was wie, kim jest Frankie? – pyta Aoife, wchodząc Monice w słowo. – Powiedziała: „Dlaczego nie pomyślałam o Frankiem?”, ale nie chciała tego rozwinąć, więc byłam ciekawa...

– Frankie... – mówi jej brat – ...był bratem taty.

Aoife patrzy na niego. Patrzy na siostrę. Patrzy znów na brata.

– Co takiego? – mówi.

– Był jego bratem.

– Przecież on nie ma brata.

– Owszem, ma. Albo raczej miał. Bo zginął. W Irlandii Północnej. Lata temu, jeszcze przed naszym urodzeniem. Przecież wiedziałaś o tym, prawda?

Aoife nie może wykszusić słowa. Musi wstrzymać oddech, nie upuścić ani odrobiny. Czuje, jak wypełnia ją wściekłość, narasta od stóp do głów. Nie wściekłość na ojca za to, że zniknął, że wyszedł z ich życia i nawet się nie obejrzał, za to, że zostawił matkę na łodzi, za to, że – jak się okazuje – miał brata. To wściekłość na rodzeństwo. Na nich wszystkich. Że to przed nią zataili. Ich ojciec miał brata? Ten pomysł jest dziwaczny, niesłychany, absurdalny. Ale dlaczego nikt jej nigdy nie powiedział? Dlaczego znów o niej zapomnieli?

Rodzeństwo spogląda na nią z mieszaniną wyższości i politowania. Znów jest zerem, liliputem w cieniu ich nieprzejejdanej wiedzy. Znów ma pięć lat i pewnego wieczora pyta mamę, jak kocięta dostają się do brzuszka kotki i pośród porywistego huraganu ich śmiechu zastanawia się, co tak bawi Monicę i Michaela Francisa, i dlaczego nie może się pośmiać z nimi. Przypomina sobie, jak dopytywała ich, czy jest ranek, czy popołudnie, i czy jadła już lunch, a oni obdarzali ją spojrzeniem takim samym jak teraz: pełnym politowania, rzucanym z wysokich jak Olimp wyżyn doświadczenia. Nie ma szans, żeby ich kiedykolwiek dogonić; to daremny wysiłek.

– Wiedziałaś o tym – mówi Monica i wsuwa się na krzesło obok Michaela Francisa.

– Nie wiedziałam.

– Musiałaś wiedzieć – Monica wrzuca do herbaty słodzik dietetyczny.

– Musiałaś wiedzieć – powtarza jak echo Michael Francis, ale już nachodzą go wątpliwości. – No, nie wiedziała – teraz mówi znów do Moniki. – Jak to się stało, że nie wiedziała?

Spoglądają na nią ciekawie i Aoife czuje, jak te spojrzenia drażnią jej skórę, jakby znajdowała się w pobliżu alergenów, na przykład pyłków albo wełny. Monica mamrocze, że jakoś się o tym nie mówiło, rzadko kiedy

wspominało, może Aoife to umknęło, może po tym, jak się urodziła, już do tego nie wracali, on przecież zginął lata temu...

W drzwiach pojawia się dziecko i wszyscy milkną. Dziewczynka jest naga, nie licząc pary tęczowych kaloszy włożonych na opak. Trzyma za ogon jednookiego tygrysa.

– A kto ty jesteś? – pyta, mierząc palcem w Aoife.

– Aoife Magdalena Riordan – odpowiada Aoife i odwzajemnia gest. – A ty kto jesteś?

– Vita Clarissa Riordan.

Przyglądają się sobie przez chwilę. Tygrys obraca się powoli w powietrzu, z jednym, jedynym okiem skierowanym na podłogę.

– Dlaczego mamy tak samo na nazwisko? – pyta Vita.

– Bo jesteśmy spokrewnione. Jestem siostrą twojego tatusia.

Vita marszczy brwi.

– To jest siostra tatusia – dźga palcem powietrze w kierunku Moniki.

– A ja jestem drugą siostrą.

Vita przemyka chyłkiem przez kuchnię i staje przy krawędzi stołu. Kładzie tygrysa prosto przed sobą, tak że maskotka patrzy na Aoife.

– Co się stało w oko twojemu tygrysowi?

– Wyrwałam je.

– Aha.

– Zębami.

– Dlaczego?

– Nie podobało mi się, nic a nic.

– Bywa i tak.

Vita przekrzywia głowę.

– A jak jest na złej drodze?

Aoife nachyla się ku niej.

– Co mówiłaś?

– Babcia mówi...

Michael Francis podnosi wzrok znad płatków.

– Vita...

– Co mówi babcia?

– Że zeszłaś na złą drogę.

– Ach tak? To bardzo ciekawe. A co jeszcze mówi o mnie babcia?

– Mówi, że wszystko zmarnowałaś, że miałaś szanse, których ona nigdy...

– Vita – mówi Michael Francis. – Wystarczy.

– Powiedzieć ci coś, Vita?

– Co?

– Wiesz, jak jest na zły drodze? Jest wspaniale. Jest świetnie. Jest...

– Aoife – mówi Michael Francis. – Dość.

Zasłania dłońmi oczy.

– Chryste Panie – mówi przez palce.

Vita i Aoife patrzą na niego.

– Chryste Panie! – jęczy śpiewnie Vita i sama zasłania oczy.

– Żeby tylko babcia tego nie usłyszała – mówi Aoife.

– Michael Francis, a masz jeszcze ten świstek? – odzywa się Monica.

– Jaki świstek? – pyta Aoife.

– Tak – odpowiada Michael Francis i grzebie w kieszeni.

– Jaki świstek? – powtarza Aoife. – Dlaczego mi nie powiedziałeś o świstku? Dlaczego dowiaduję się ostatnia?

Michael Francis podaje jej go ze słowami: „i mówią, że koniec już blisko”.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – pyta Aoife.

A Vita kładzie jej dłoń na ramieniu i mówi:

– Mnie też nie powiedział.

Aoife i Michael Francis kłócą się przez długi czas, czy powinni sprowadzić Grettę tu, czy raczej wszyscy powinni się przenieść na Gillerton Road. Michael Francis powtarza, że muszą się rozmówić z Grettą, że trzeba zwołać naradę rodzinną. W kółko używa tego określenia: narada rodzinna. Może, myśli Monica, wziął to ze szkoły. Jeśli wszyscy mają się przenieść na Gillerton Road, to jak się tam dostaną? Metrem czy autobusem, czy samochodem? Jeśli się zdecydują tam pojechać, to czy powinni jechać wszyscy? Czy wystarczy miejsca w samochodzie? Czy rozsądnie jest budzić Grettę, czy lepiej pozwolić jej się wyspać? Może powinni odłożyć tę rozmowę na porę po lunchu.

Monica stoi w ogrodzie brata. Słyszy, jak odbijają piłeczkę, od czasu do czasu słysząc tylko wtrącenia Claire i Vity. Monica stoi z palcami u stóp zawiniętymi na krawędzi szczeliny, która utworzyła się na trawniku, ciemnego rozwidlenia w kształcie błyskawicy przecinającego pożółkłe kępy.

– Straciliśmy tam siedem autek – mówi koło niej jakiś głos.

Odwraca się i widzi bratanka. Ma na sobie dół od piżamy, włosy ma jeszcze potargane od snu, jego drobne zebra rysują się pod białą skórą jak gałązki. Hughie wyjada z miseczki płatki kukurydziane z regularnością tykającego zegara.

– Jedno ja wrzuciłem – ciągnie z ustami pełnymi płatków. – Ale niechcący, a Vita wjechała pozostałymi sześcioma specjalnie.

– O! – mówi Monica. – Przykro mi to słyszeć.

Hughie kuca i odstawivszy miseczkę, zagląda do szczeliny.

– Sześć – mamrocze. – Mamusia powiedziała, że jeśli to znów zrobi, nie dostanie w sobotę słodyczy. Myślisz, że je wyciągniemy?

– Słodycze?

– Nie, autka.

Monica patrzy na poszarpaną, czarną dziurę.

– Nie wiem – mówi ostrożnie. – Może się...

– Ja myślę, że nie. Vita mówi, że je tam zepchnęła, żeby zobaczyć, czy wyjadą nimi diabełki.

Monica skupia się przez chwilę na tym zdaniu. Rozpatruje każdy wątek z osobna: wpychanie diabełków do pęknięcia w ziemi, diabełki, wyjazd na powierzchnię. Nie, uznaje, to nie ma sensu.

Do Hughiego chyba też to powoli dociera, bo spogląda na nią. Monicę uderza nieskazitelność jego cery, jej doskonała półprzejrystość, widoczne pod spodem meandry żył.

– Babcia mówi, że diabełki żyją tam, w ziemi – wyjaśnia. – Więc Vita pomyślała, że jeśli włoży tam autka, to diabełki mogą je znaleźć i nimi wyjechać. Vita mówiła, że chce je zobaczyć.

Monica mruga, żeby odpędzić wizję małych czerwonych stworzonek wylewających się ze szczeliny jak stado mrówek.

– Wierzysz w to? – pyta Hughie.

– W co?

– Że tam mieszkają diabełki.

– No...

– Bo ja nie – podpowiada jej.

– Ani ja. I nie jestem pewna, czy umiałyby kierować.

Hughie unosi głowę i obdarza ją uśmiechem tak czarującym, ufnym, olśniewającym, że Monica czuje, jak zbiera jej się na płacz.

– Czy dziadek wróci? – pyta.

– Nie wiem – odpowiada Monica. – Ale coś ci powiem: jeśli nie przestaną się kłócić, kto gdzie jedzie, zaraz zaczną krzyczeć.

Hughie jest pod wrażeniem i sprawia wrażenie trochę przestraszonego. Monica wchodzi do domu i dowiaduje się, że Claire – która ostatnio zafundowała sobie wyjątkowo niekorzystną fryzurę, tak niekorzystną, że może powinna dostać za nią zwrot pieniędzy – właśnie jedzie po Gretkę.

Ustalono, że przyjazd Claire zaskoczy Gretkę i skłoni do uległości. Gdyby pojechało któreś z nich, Gretta uciekłaby się do starych sztuczek stosowanych wtedy, gdy nie chce czegoś zrobić: proszków, bólu głowy, wrzasków. Ale fakt, że jej mówiąca nienaganną angielszczyzną synowa przyjeżdża po nią sama, żeby zabrać ją na naradę rodzinną, może ją zakłopotać na tyle, że da się omamić i na to przystanie.

Towarzystwo zbiera się na chodniku przed domem Michaela Francis, żeby pomachać Claire na do widzenia.

– Nie mów jej, że to narada rodzinna – mówi żonie Michael Francis przez okno samochodu.

– Nie powiem – mówi Claire.

– Nawet nie używaj określenia „narada rodzinna” – dodaje Monica.

– Nie użyję.

– Powiedz: herbata – radzi Aoife. – Powiedz jej, że przyjechałaś wziąć ją do was na herbatę.

Claire kiwa głową.

– Powiem: herbata.

– Herbata – kiwa głową Michael Francis. – Słusznie, słusznie.

– Pa, pa, mamusiu! – woła Vita i przemierza tanecznym krokiem chodnik, porwana dramatyzmem sytuacji.

Gdy Claire odjeżdża, Hughie biegnie boso chodnikiem równo z samochodem, wykrzykując coś i wymachując ręką, a Michael Francis woła za nim, żeby włożył, na miłość boską, buty.

W chwili przyjazdu Gretty wszyscy są już mniej więcej ubrani. Vita siedzi nago w ogrodzie, a Hughie ukrył się w tipi, więc Monica nie widzi, czy jest ubrany czy nie. Monica, jej brat i siostra siedzą w salonie, który, podobnie jak fryzura Claire, wyraźnie zmienił się na gorsze: rozsunięto meble, ogołocono kominek, a poduszki ułożono w stos w kącie.

Gdy przyjeżdża Gretta, robi się rozgardiasz: dzieci wpadają do domu i rzucają się na nią; Monicę zaskakuje żarliwość ich uczuć. Vita wczepia się w sukienkę Gretty i zaklina ją: babciu, babciu, a Hughie tańczy wokół niej i wykrzykuje coś o szklanych kulkach.

Gretta rozmawia z wnukami, a Monica przygląda jej się bacznie. Zauważa, że od wejścia ani razu nie spojrzała w stronę swoich dzieci. A to bardziej niż znaczące. Gretta sprawia wrażenie nieugiętej, twardej jak stal, uznaje Monica. „Przygotowanej” – można by rzec. Włosy, uwolnione wreszcie od nieodłącznych wałków, zaczesane zostały do góry. Wargi – stanowczo pociągnięte szminką. Poza tym ma na sobie porządną sukienkę i prawdziwe buty.

Buty zdradzają wszystko. Gretta za wszelką cenę unika wkładania butów, szczególnie w tym upale. Od zawsze doskwierają jej puchnące kostki, halluksy, płaskostopie, odciski, pękające pięty, obolałe paluchy – stopy, jak chętnie powtarza, to zmora jej życia. Na ogół porusza się w kapciach z tkaniny albo miękkich klapkach, a buty wkłada tylko na szczególne okazje. To, że wcisnęła stopy w te skórzane sandały, świadczy zdaniem Moniki o jednym: że jest więcej niż gotowa i grozi im batalia.

Przez kilka dobrych minut Gretta mówi. Opowiada im ze szczegółami o kartoflach, które właśnie obierała, i o różnych ludziach, którzy do niej dzwoniли, i o upale, i o ogólnej niekompetencji londyńskiej policji. I przez cały ten czas unika spojrzeń swoich dzieci.

Oczywiście to Aoife pierwsza wpada jej w słowo.

– Mamuś – zaczyna, przerywając litanie o tym, kto gdzie spał i jak długo.

– Czy wiesz może, dlaczego tata pojechał do tego Round... Round... coś tam?

– Do Roundstone? – Gretta obdarza ich dziwnie obłąkanym uśmiechem i przykłada chustkę do szyi. – Nie mam zielonego pojęcia.

Monica nachyla się nad stołem, żeby lepiej wychwycić subtelne nuty rozbrzmiewające w głosie matki. Gretta to nieudolny kłamca: Monica zawsze ją zdemaskuje.

– Zupełnie nic ci nie przychodzi do głowy? – nie ustępuje Aoife.

– Jeśli to w ogóle jego widziała ta kuzynka – mówi Gretta, wyjmując nową chusteczkę z torebki i zamykając głośno zatrask. – Równie dobrze to mógł być ktoś inny. Wiecie co, pomyślałam sobie, że usmażę frytki na lunch. Jakoś nie mam apetytu, wcale a wcale, ale kilka frytek to może bym przełknęła.

Frytki z jajkiem sadzonym. To było zawsze twoje ulubione danie, Aoife.

Na sam dźwięk słowa „frytki” Monica czuje, jak w przetyku rośnie jej bańka furii. Jak matka może gadać o jedzeniu, tu i teraz? Spycha bańkę z powrotem w głąb ciała.

– O ile dobrze zrozumiałam... – mówi opanowanym głosem – ...Dermot twierdził, że to na pewno on.

Gretta wzrusza nieznacznie ramionami. Otwiera torebkę, zagląda do niej i zatrząskuje z powrotem.

– Czy ja wiem... – Ma teraz minę dzieciaka przyłapanego na kłamstwie albo koloryzowaniu. – Zresztą to nie Dermot, tylko Mary.

– Mamuś, czy mówi ci coś imię Assumpta?

Twarz Gretty się rozjaśnia, jak zwykle, gdy mowa o czymś związanym z Connemara.

– Assumpta to imię... – mina jej rzednie i Gretta przywołuje się do porządku. Patrzy na nich przez zmrużone powieki. – A dlaczego pytasz?

Monica chwyta za oparcie krzesła.

– Co za imię?

– Mogę prosić szklankę wody czy to za duży kłopot? – woła w stronę kuchni Gretta, odwróciwszy głowę. – Michaelu Francisie, ależ tu u ciebie gorąco, jeszcze gorzej niż u nas. Coś ty powtykał w ściany? Owczą wełnę?

– Co chciałaś powiedzieć? – pyta Aoife. – O Assumpcie? Że co to za imię?

– To imię... – zaczyna, ale znów urywa. Jej dłonie wędrują do kołnierzyka sukienki, do włosów, do zauszników okularów. – To imię świętej, patronki klasztoru pod Roundstone, zadowoleni? Klasztoru Sióstr Serwitek pod wezwaniem Świętej Assumpty.

– Tego, z którego podobno wychodził ojciec?

Gretta znów wzrusza ramionami i majstruje przy wystającej z rąbka sukienki nitce.

– Mamo, czy wiedziałaś, że tata co miesiąc wysyła pieniądze do jakiegoś miejsca oznaczonego jako „Assumpta”? – pyta Aoife. – To pewnie ten klasztor.

Gretta uparcie nawija nitkę na palec.

– Wiedziałaś o tym?

– Nie wiedziałam – warczy Gretta. – I ciekawa jestem, skąd wy to wiecie. Pewnie weszyliscie po domu, przeszukiwaliście prywatne dokumenty.



Zawsze was uczyłam, że prywatną własność się szanuje, nie wtyka się nosa w sprawy innych. Nie rozumiem, dlaczego miałyby się to zmienić.

Monica cierpliwie czeka. Taką ma strategię, gdy matka coś ukrywa, gdy udziela wymijających odpowiedzi, gdy najwyraźniej kłamie.

Matka kołysze się na krześle i znów z trzaskiem otwiera torebkę.

– Tak grzebać w rzeczach innych ludzi – mruczy pod nosem i wyjmuje fiolkę leków, i jeszcze jedną. – Widział kto coś podobnego?

Odchyła głowę w tył i opiera ją o krzesło, jakby straciła siły.

– Moja głowa – jęczy.

Monica czeka dalej. Czuje, że Aoife i Michael Francis zaczynają się łamać, patrzą na nią, a potem na matkę, zachodząc w głowę, co tu dalej robić, ale ona, Monica, dobrze wie. Całkowicie panuje nad sytuacją. Czyta w matce jak w otwartej książce, jakby była bohaterką komiksu, a jej myśli, ubrane w słowa, wyświetlały się w obłoczkach. Matka rzuca jej szybkie spojrzenie spod powiek. Monica zakłada ręce na piersiach, ale się nie odzywa.

– Nie wiem, dlaczego tam pojechał! – wykrzykuje nagle, otwierając oczy i mocując się z wieczkiem fiolki. – Musicie mi uwierzyć. Mogę prosić o szklankę wody, żeby popić proszki? Czy to za dużo?

Monica czeka jeszcze chwilę. Potem opuszcza ręce.

– Wierzę ci, że nie wiesz – mówi. – Ale coś mi się zdaje, że się czegoś domyślasz. I chciałabym wiedzieć czego.

Gretta wpatruje się w trzymaną w dłoni fiolkę, jakby się zastanawiała, skąd się tam wzięła.

Nie powie im, tym swoim dzieciom. Za dużo opowiadania, to się zdarzyło tak dawno, nie ma co rozgrzebywać starych spraw, zresztą i tak by nie zrozumieli. Nie ma potrzeby, żeby wiedzieli. Sama poznała tę historię przez zupełny przypadek, jeden z tych osobliwych zbiegów okoliczności, które pokazują, jak długie jest ramię Kościoła katolickiego.

Książd trzymał w jednej ręce filiżankę herbaty, a w drugiej kanapkę; spojrzał na nią i powiedział, że znał w Liverpoolu dwóch braci Riordanów, i czy to nie przypadkiem jej krewni?

Nigdy tego nie zrozumieją, te jej dzieci, nie zrozumieją zasięgu, wpływów i wszytkowidzącego oka Kościoła. Żadne z nich nie chodzi na mszę, ani Michael Francis, ani nawet Monica, choć pewnie tam, gdzie teraz mieszka, w samym sercu angielskiej Anglii, nie ma nawet kościoła

katolickiego. W Nowym Jorku są kościoły katolickie, to wie na pewno, ale założyłaby się o ostatniego pensa, że noga Aoife nigdy w żadnym nie powstała. Nie trzeba więcej, żeby matce krajało się serce.

Gdyby chodzili do kościoła, może by im powiedziała. Tak to sobie tłumaczy. Albo gdyby chociaż jedno z nich chodziło, choćby od czasu do czasu, wtedy może by na to przystała. Ale w takiej sytuacji nie może.

Gdyby nie przedstawiła się księdzu po nazwisku, gdyby zachowała je dla siebie, ta sprawa nigdy by nie wypłynęła, Gretta nigdy by się nie dowiedziała, żyłaby dalej jak dotychczas.

Przygląda się badawczo swoim dzieciom: Monica siedzi z założonymi rękami na krawędzi kanapy, taka zadbana, taka opanowana; Michael Francis obok niej, rozwalony na poduchach, z miną, która mówi, że wolałby być gdzie indziej, i wreszcie, na końcu, Aoife, zwinięta w ciasny kłębek, skrzywiona ze złości i napięcia. Chce słów, chce rozwiązania, chce wiedzieć! Taka zawsze była i taka pozostanie.

Do pokoju wchodzi teraz Claire, podaje jej śliską szklankę z wodą – mogłaby doprawdy pomyśleć i wcześniej ją wytrzeć, ale gdzie tam – i szepcze coś do Michaela Francis. Gretta słyszy: jak Robert może być u zakonnic, przecież mężczyźni nie wpuszczają? Michael Francis odszeptuje, że zakon serwitek to zakon służebny, czynny, a nie zamknięty. Tak to już jest, myśli Gretta, jak się weźmie za żonę protestantkę. Oni nie mają niezbędnej wiedzy o podstawowych rzeczach.

Sama Gretta dowiedziała się zupełnie przez przypadek. Nigdy nie prosiła o tę historię. Wybrała się z bratową do Galway, żeby posłuchać pewnego księdza, który przyleciał z wizytą z Bostonu. To był bardzo szczególny dzień: wcześniej rano razem z dziesięcioma, dwunastoma innymi złapały autobus z Clifden, żeby zdążyć na specjalną mszę prowadzoną przez gościa. Aoife była jeszcze niemowlęciem, więc Gretta wzięła ją ze sobą; jej matka została, żeby zająć się Monicą i Michaeliem Francisem. W autobusie, gdy za oknami przesuwali się krajobrazy, a Aoife płakała, mnóstwo rąk wyciągało się po nią i ją sobie podawało; znalazło się mnóstwo kolan do podskakiwania i huśtania.

Po mszy zorganizowano podwieczorek z herbatą i kanapeczkami, i w pewnej chwili tak się złożyło, że przedstawiono Grettę przyjezdnemu kapłanowi. Nazywał się ojciec Flaherty – pochodził z Wexford, jak

wywnioskowała – i dotknął przelotnie palcami głowy Gretty, a ona w myślach podziękowała niebiosom, że choć raz Aoife spokojnie śpi. Usłyszawszy jej nazwisko i dowiedziawszy się, że na co dzień mieszka w Anglii, ojciec Flaherty przyjrzał jej się i powiedział, że gdy służył w Liverpoolu, poznał tam rodzinę Riordanów. Dwóch braci. Może to krewni Gretty?

Jej bratowa i inne znajome znajdowały się po przeciwnej stronie pokoju, Gretta stała przed księdzem pośród grupy nieznanomych kobiet i coś w jego twarzy nakazało jej odpowiedzieć:

– Nie.

Tragiczna historia, pokręcił głową ksiądz, prawdziwa lekcja miłości braterskiej. Język zaraz przywarł Gretcie do podniebienia, Aoife ciążyła jej w ramionach jak ołów i wiedziała już, że usłyszy historię o swoim mężu, o ojcu swoich dzieci; usłyszy historię, której on sam nigdy by jej nie opowiedział.

Stała tak i myślała o swoim londyńskim domu, swoim ślicznym, małym domu, i myślała o swoich dzieciach: Michaelu Francisie, tym zdolnym, Monice, tej ładnej, i Aoife, najmłodszej. Myślała o swoim ogrodzie, nasturcjach w donicach przy drzwiach i groszku o zakrzywionych, zielonych wąsach, pnącym się po bambusowych tyczkach. Poczowała ledwo uchwytnie pragnienie zagarnięcia tego wszystkiego, jakby ktoś albo coś groziło, że jej to odbierze.

Myślała o tym wszystkim, a ksiądz tymczasem snuł opowieść o dwóch braciach, Robercie i Francisie, nazywanym przez wszystkich Frankiem, o tym, jak niezmiernie byli sobie bliscy i jakie ciężkie mieli życie, gdy po śmierci ojca matka przywiozła ich do Anglii, żeby zatrudnić się w kuchni i móc ich jakoś utrzymać.

Tego też nigdy nie zrozumieją, te jej dzieci z Londynu, jak było wtedy ciężko, jak to w Irlandii brakowało pracy, nie było tam czego szukać, jak statki pocztowe kursowały wyładowane zdesperowanymi ludźmi, którzy płynęli do Anglii zarobić na kawałek chleba. Te jej dzieci myślą, że to one mają za sobą trudne chwile, bo w szkole je przezywali i opowiadali przy nich te męczące dowcipy, a niektóre dzieciaki z okolicy twierdziły, że rodzice nie pozwalają im się bawić z katolikami-brudasami. Ale nie mają nawet pojęcia, co to znaczyło być Irlandczykiem w Anglii wtedy, dawno temu, jak bardzo

było się nienawidzonym i wyszydzanym, i nieszanowanym. Jak jej bracia jako nastolatki musieli się najmować do pracy na jarmarkach, jak jej siostry pojechały służyć do wielkich domów w Londynie i nigdy nie wróciły. Jak ludzie, słysząc irlandzki akcent, spluwali na nich w autobusach albo wyrzucali z kawiarni, albo przepędzali z parku, gdy ktoś chciał na chwilę spocząć na ławce, albo wieszali w witrynach tabliczki z napisem „Irlandczyków nie zatrudniamy”. Te jej dzieci nawet sobie nie wyobrażają, ile miały szczęścia.

Nawet teraz – szczególnie teraz, przy tym konflikcie rozlewającym się na cały kraj – Anglicy ich nie lubią. I to się nigdy nie zmieni. Do niektórych sklepów nie wchodzi do dziś, w pewnych miejscach słyszy szepty za plecami albo widzi zniesmaczone miny. Ostatnio chciała zapłacić za masło w sklepie w sąsiedztwie, w którym robi zakupy od lat, gdy nagle właściciel trzasnął czymś o ladę i kazał jej się wynosić, bo nie chce tu takich jak ona. Tak ją to zdumiało, że przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa, sądząc, że zaraz zrozumie swoją pomyłkę, zorientuje się, że ją z kimś pomylił, i z pewnością przeprosi z uśmiechem na twarzy. Ale potem spojrzała na ladę i zobaczyła, że jego pięść spoczywa na gazecie, a w niej widnieje nagłówek o bombie IRA. Należało się wyprostować, należało powiedzieć, moja rodzina to przyzwoici ludzie, żadni mordercy. Ale nie zrobiła tego. Zostawiła masło i wycofała się. Robert mawia, że lata życia w Anglii robią coś takiego z człowiekiem. Odbierają mu ducha walki. Lepiej nie podnosić głowy.

W każdym razie ksiądz ciągnął swoją opowieść o tych małych Riordanach, o tym, jak starszy, Frankie, zawsze opiekował się młodszym, który w rzeczywistości miał na imię Ronan, ale zmienił imię na Robert, a był to spokojny chłopiec w typie mola książkowego, zupełnie niepodobny do Frankiego, który był wielki jak dąb i lubił się tym chwalić. Do Liverpoolu przyjechała wtedy pewna dziewczyna, a że pochodziła z tej samej części Sligo, co rodzina Riordanów, i znała ich krewnych, w dniu wolnym od pracy zaproszono ją kiedyś na herbatę.

To była dziwna dziewczyna, od samego początku, stwierdził ksiądz. Choć była młoda – nie mogła mieć więcej niż siedemnaście czy osiemnaście lat – miała długą, sięgającą pasa grzywę srebrzystobiałych włosów. I była maleńka, drobniutka, jak słowik albo myszka.

Gretta stała i wsłuchiwała się w ten opis. Zbudowała sobie w głowie

obraz. Przyjrzała mu się ze wszystkich stron. Wiedziała od razu, że ten obraz dziewczyny o srebrzystych włosach, rozpostartych na ramionach jak ślubny welon – bo tak ją sobie wyobrażała – będzie ją nawiedzał do końca życia, będzie żył razem z nią jak domowy upiór.

Ksiądz poczęstował się herbatnikiem i powiedział, że bracia Riordanowie zakochali się w niej na zabój. Obaj. Chodzili – jeden i drugi – pod dom, w którym pracowała, i kręcili się pod tylnymi drzwiami, byle tylko zamienić słowo z dziewczyną o srebrzystych włosach.

– Wszyscy wiedzieliśmy, że zanosi się na kłopoty – powiedział z cierpkim uśmiechem ksiądz. – Trafiła do mnie ich matka i pytała, co ma począć. Frankie przynosił dziewczynie kwiaty, które zerwał w miejskim parku. Ronan, czy też Robert, jak się przedstawiał, oddawał jej swoje talony na odzież i swój przydział cukru. I co ja mam zrobić?, pytała ich nieszczęsna matka.

Ostatecznie sprawa rozwiązała się sama. Robert i jego matka przyszli pewnego razu, żeby oznajmić, że Robert i dziewczyna, Sarah jej było, zamierzają się pobrać. Dziewczyna wybrała solidniejszego, bardziej przewidywalnego brata i tyle.

– Sam udzielałem im ślubu – powiedział ksiądz i czy Gretcie się zdawało, czy mówiąc to, spojrział jej prosto w oczy? – Wspaniały ślub, w upalny dzień w samym środku lata. Piękna z nich była para, nie ma co.

Nazajutrz po ślubie – a, rzecz jasna, u Riordanów trwały w najlepsze poprawiny – w pewnym momencie stało się jasne, że nikt nie może odnaleźć Sarah. Goście rozglądali się po pokojach i dalej, a w miarę, jak wieść się niosła, także po ogrodzie i ulicy. Była pełnia lata, straszliwe upały; z powodu gorąca nie dało się spać. Nie minęło wiele czasu, a nikt już nie zwracał uwagi na świętowanie, na muzykę i na napitki, tylko wszyscy pytali: gdzie Sarah? Aż w końcu ktoś zapytał: gdzie Frankie?

– Rozumie już pani, do czego zmierzam, prawda? – spytał ksiądz.

Frankie i Sarah uciekli. Do Dublina, mówili niektórzy, czy do Sligo, jak twierdzili inni. W każdym razie zapadli się pod ziemię, razem, jeszcze w strojach ślubnych. Krążyły pogłoski, że Sarah nosiła już dziecko i nie było do końca pewne, którego brata, ale nikt tego nie potwierdził.

– Paskudna sprawa – powiedział ksiądz, przeżuując kanapeczkę.

Gretta sądziła, że to już koniec, i powtarzała sobie, że trzeba się ruszyć,

odejść, wyjść stąd i nie wracać. Ale ksiądz opowiadał innej kobiecie, jak Robert usilnie próbował ich odnaleźć. Jak pojechał do Dublina i przeczesał całe miasto, pojechał do Sligo, ale nikt ich nie widział. Chciał odzyskać dziewczynę, mimo wszystko. Ksiądz nigdy nie widział, żeby ktoś tak okropnie zawiódł się w miłości.

Niedługo potem Robert został powołany do wojska i pojechał walczyć do Europy; matka zginęła, gdy w jej dom uderzyła bomba. Kilka lat po wojnie Frankie się odnalazł, w Ulsterze, w więzieniu.

– W więzieniu? – powtórzyła Gretta, bo Robert mówił jej, że jego brat Frankie nie żyje, zginął w zamieszkach w Irlandii Północnej.

– To była kontrowersyjna sprawa, swego czasu było o niej bardzo głośno. Skazano go za zastrzelenie policjanta podczas Kampanii Północnej, ale do tego czynu przyznał się później inny człowiek, który twierdził, że Frankie nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Bóg raczy wiedzieć, jaka jest prawda. Frankiego zwolniono po wielu, zdaje się, latach, ale oczywiście podupadł przez ten czas na zdrowiu. Dziewczyna, Sarah, dawno się już ulotniła, niektórzy twierdzili, że do Ameryki. A najbardziej poruszająca część tej historii, którą usłyszałem po latach od innego księdza, jest taka, że po wyjściu Frankiego z więzienia Robert, czy Ronan, po dziś dzień, choć od tamtej pory nie zamienili ani słowa, dba, by Frankiemu niczego nie brakowało. Zorganizował mu opiekę i czyż nie jest to kwintesencją... a, dzień dobry.

Ksiądz się odwrócił, żeby się z kimś przywitać, i zaczął rozmowę o jakimś budynku w Bostonie, a Gretta stała jak wryta, aż starczyło jej przytomności umysłu, żeby się usunąć, opuścić salę i wyjść na zewnątrz, na chodnik, gdzie trzymała Aoife pośród ciemniejącego powietrza, a wokół niej śmigły jaskółki, wytyczając niewidzialne, koliste tory.

Monica czeka. Aoife czeka. Michael Francis czeka, i czeka też Claire, która stoi teraz za nimi.

– To wszystko zdarzyło się dawno temu – wybucha Gretta, po czym łyka jedną ze swoich pigulek. – Sama nie znam szczegółów.

– To powiedz nam, co wiesz – mówi Aoife.

– Chodzi o to... – mówi Gretta, przykładając teraz chustkę do czoła – ...że nie mnie opowiadać tę historię. To sprawa waszego ojca, a on... on nawet... No cóż. Wydaje mi się, że nie wypada mi jej tutaj opowiadać.

– Myślę, że czas tego, co wypada, już minął – mówi Aoife i siada prosto. – Tata zniknął. Wysłuchajmy po prostu tej historii, żeby móc w końcu postanowić, co dalej.

– Nie mogę tak... chodzi o to... – Gretta robi grymas, jakby się głowiła, od czego zacząć albo raczej którą wersję przedstawić. – Chodzi o to, że wasz ojciec i jego brat byli skłócenii.

Monica przekrzywia głowę.

– Dlaczego?

– Nie wiem! – warczy Gretta i odwraca wzrok. – To się stało, zanim się poznaliśmy. Ale to tragedia. Wstrząsająca tragedia.

– Co za tragedia? – wyskakuje Aoife. – Co się stało?

– To było... nie wiem dokładnie... to wszystko się działo podczas wojny. Posprzeczali się o politykę. Wasz ojciec walczył po stronie brytyjskiej, a potem Frankie związał się z IRA i... – Gretta milknie, wyraźnie spłoszona.

– I co?

– Były jeszcze... inne trudności.

– Jakie trudności?

– Poszło o kobietę i... no, w końcu ona uciekła z Frankiem.

Gretta poci się jak mysz, kropelki potu spływają jej po obu stronach twarzy.

– A teraz on ma zrujnowane zdrowie, więc... więc niech to będzie nauczka dla was wszystkich – mówi Gretta i macha ręką, jakby nie miała nic więcej do powiedzenia.

– Nauczka? – pyta Aoife.

– Myślałem, że Frankie nie żyje – mówi jednocześnie Michael Francis.

– Że jak się człowiek pokłóci z rodzeństwem, to automatycznie podupada na zdrowiu? – ciągnie Aoife.

– Tak – mówi z naciskiem Gretta. – Nie. Nie o to mi chodziło.

– Na sto procent nam mówiłaś, że nie żyje – nie ustępuje Michael Francis.  
– Mówiłaś to wiele razy.

– Bo myślałam, że nie żyje! Tak mi mówił wasz ojciec, ale potem... potem się dowiedziałam, że to nieprawda.

– Frankie żyje? – mówi Michael Francis. – To nie do wiary. Od kiedy o tym wiesz? I dlaczego nam nie powiedziałaś? Mamy stryja i nawet go nie znamy. To naprawdę... nietypowe. Dlaczego nam po prostu nie powiedziałaś? I co to

ma teraz wspólnego ze zniknięciem taty?

– Cicho, Michael Francis – syczy Monica. – Daj jej coś powiedzieć.

– Ty mnie nie uciszaj – odpowiada Michael Francis.

– Będę, jeśli zechcę.

– Nie będziesz. To mój dom i...

– A wy lepiej nie zaczynajcie! – krzyczy Gretta. – Tylko tego nam teraz trzeba. Jak sobie przypomnę czasy, gdy byliście dziećmi, te cudowne czasy, to nie mogę uwierzyć, co się z wami wszystkimi porobiło. Aż sama nie wierzę, że dopiero co...

– Dla mnie to kręactwo – mówi Michael Francis. – Oszukaństwo. To przedziwne, że nam nie powiedziałaś, że Frankie jeszcze żyje. No, ja rozumiem, że był tam zamieszany w pewne sprawy, ale mimo wszystko to rodzina, brat ojca, na Boga. Czy nie mamy prawa wiedzieć?

– Nie wiemy, czy był zamieszany! – krzyczy znów Gretta i aż się prostuje, jak zwykle zażarta obrończyni splamionego honoru Irlandczyków. – Niektórzy twierdzą, że skazanie Frankiego było pomyłką sądową. Skazali niewłaściwą osobę. A ja sądziłam zawsze, że...

– A ta kobieta, która uciekła z Frankiem – mówi nagle Aoife. – Co z nią?

Gretta odwraca się błyskawicznie w jej stronę.

– Jak to: co z nią? – wyrzuca z siebie.

– No, co się z nią stało? O co tu chodzi? To dlatego się posprzecjali? Bo zostawiła tatę dla Frankiego?

– Co? – pyta Gretta. – Nie... nie wiem – poprawia się po chwili.

Aoife marszczy brwi.

– Czy to był poważny... to znaczy, czy ona i tata byli już zaręczeni, czy coś takiego?

Twarz Gretty jest jak z kamienia.

– Mamo? Czy tata był zaręczony z tą kobietą, zanim uciekła z Frankiem?

Gretta siedzi całkiem nieporuszona, jakby najmniejszy ruch mógł ją zdradzić.

– Byli po ślubie – wykrztusza Monica.

Gretta zamyka oczy.

– No to... rozwiedli się? – pyta Aoife, wymawiając ostatnie dwa słowa szeptem, bo tak właśnie należy je wymawiać w obecności Gretty: jakby oznaczały jakąś śmiertelną chorobę, która wypuszczona w powietrze może



zakazać. Szczególnie odkąd przydarzyło się to jej własnej córce.

– Tego... tego nie powiem.

Aoife nachyla się w jej stronę.

– Nie powiesz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo... bo z nim... bo z nim o tym nie rozmawiałam.

– Nigdy z nim o tym nie rozmawiałaś?

– Nie.

– Nigdy? Ani razu?

Aoife za wcześnie naciska, Monica to widzi. Pojawia się niebezpieczeństwo, że strąci Grettę do stanu, w którym dojdzie do eksplozji emocji, w którym gniew stanie się zarazem pretekstem i tarczą. Daje znak Aoife, żeby przestała, żeby zwolniła, ale Aoife nie zwraca na nią uwagi.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy nie rozmawiałaś z tatą o jego poprzednim małżeństwie? O nic nie pytałaś, gdy ci o tym powiedział? Nie byłaś zupełnie ciekawa?

Gretta bawi się znów kołnierzykiem. Wpatruje się w ścianę, w lustro, a usta ma zaciśnięte w linijkę. Monica wyczuwa, że nadciąga burza, i musi im stanąć na drodze: jeśli Gretta i Aoife posuną się dalej, wszystko stracone.

– Przecież jej nie powiedział, nie rozumiesz tego? – mówi do siostry, a Aoife patrzy na nią z przerażeniem. – Nie powiedział ci, prawda, mamuś? W ogóle o tym nie wspomniał.

Gretta strzepuje tylko z łopotem chustkę do nosa. Łzy tryskają jej z oczu i biegną po policzkach, i Monica nieznacznie się odpręża. Ze łzami sobie poradzi.

– Nie, słoneczko – szlocha Gretta. – Nie, nie wspomniał. Pytałam i pytałam, ale nie chciał mi nic powiedzieć.

– To skąd się o tym wszystkim dowiedziałaś?

– Od księdza. Po latach.

Monica przechodzi przez pokój i bierze matkę w objęcia.

– No już, już dobrze. Nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

Powtarza to w kółko, prawie jakby chciała przekonać o tym siebie.

– Gdzie, gdzie, gdzie on jest? – szlocha matka.

– Wiemy, gdzie jest, pamiętasz? W Connemarze, u tej świętej Assumpty.

– Myślisz, że jest tam Frankie? – szepcze Gretta. – Myślisz, że o to chodzi? Że wasz tata przesyłał tam pieniądze, żeby zakonnice zajmowały się Frankiem?

– To chyba całkiem możliwe. Ale przekonamy się sami.

Gretta zaczyna lamentować przez łzy, nie całkiem składnie:

– A co niby miałam zrobić? Byłam taka młoda i sama, z dala od domu. Nigdy bym tego nie zrobiła, ale on twierdził, że nie ma na to rady.

Monica patrzy ponad zawodzącą matką na rodzeństwo, a oni patrzą na nią: Michael Francis struchlały, speszony, pragnący rozpaczliwie, żeby to się już skończyło; Aoife z oczami jak szparki.

– Ale o co chodzi? – pyta Aoife. – Powiedział, że nie ma na to rady? Na co?

– Na... na... małżeństwo.

Monica główkuje, o czym może mówić matka, a gdy jej wzrok pada na koraliki różańca w otwartej torebce Gretty, ryzykuje przypuszczenie:

– Chodzi ci o to, że rozwiódł się z tą drugą kobietą? Chodzi ci o to, że to grzech, ożenić się ponownie po rozwodzie? Mamuś, teraz wszyscy się rozwodzą. Wiem, że trudno ci z tym, że ja... wiem, że się załamalaś, kiedy się rozwiodłam, ale czasy się zmieniły. Nie wolno ci tak myśleć.

– Nie – łka dalej Gretta. – Nie, ty nic nie rozumiesz.

Monica tuli do siebie gorące, zwaliste ciało matki. To wszystko ją przerasta, przytłacza; niczego nie pragnie teraz bardziej niż przenieść się na zaplecze warsztatu Petera. Pod świetlikiem stoi tam szezlong i jeśli się na nim położyć, widać tylko chmury i czyste niebo, i rozkołysane wierzchołki drzew. Dałaby niemal wszystko, żeby być teraz tam, a nie w tym rozgrzanym pokoju pełnym ludzi, z którymi jest spokrewniona.

– Mamo – odzywa się Aoife w rozgrzanym pokoju, z dala od ustawionego pod świetlikiem szezlonga. – Czy ty i tata w ogóle jesteście małżeństwem?

Monica gwałtownie wciąga powietrze. Odwraca się, jakby chciała ją uderzyć, jakby chciała dać tej swojej siostrze to, na co zasługuje, jakby chciała jej powiedzieć, że nie może jakby nigdy nic wejść z powrotem do tej rodziny, którą z taką łatwością porzuciła, i pozwalać sobie na ferowanie wyroków i zadawanie takich okropnych pytań. Monica chce zasłonić matce uszy; instynkt nakazuje jej chronić matkę przed osobą, która mówi takie straszne rzeczy.

Ale Gretta jest dziwnie spokojna. Nie patrzy na nikogo. A Monica zna te

wygięte w dół usta, te nieznacznie opuszczone powieki. Taką minę robi matka, gdy słyszy ordynarny język, gdy ktoś podważa wartość któregoś z jej nieprzemyślanych nabytków, gdy musi powiedzieć, gdzie aktualnie przebywa któryś z jej nieodpowiedzialnych członków rodziny. Taką robi minę, gdy jest proszona o przeinterpretowanie, przetworzenie, przeformułowanie rozmowy lub spotkania, lub zdarzenia z przeszłości.

Aoife podnosi się z kanapy. Nachyla się po szklanekę wody i pociąga łyk, a potem pociera dłonią twarz.

– A niech mnie – mówi.

---

# **NIEDZIELA**

---

**18 LIPCA 1976**

- (9) Minister Spraw Wewnętrznych ma prawo żądać wsparcia służb cywilnych przez Siły Zbrojne Jej Królewskiej Mości. Przez służby cywilne rozumie się straż pożarną, personel medyczny oraz policję.

Ustawa o suszy z 1976 roku

# Irlandia

Odgłos silników narasta w gardłowy warkot i natychmiast wprawia w drganie kościec promu pasażerskiego. Prężą się nity, trzaskają schody, bucą drzwi w futrynach, dygoczą jednomyślnie schnące za barem kieliszki. Pies wyczuwa wibracje przez łapy i wpełza pod krzesło, żeby skomleniem dodać sobie otuchy.

Michael Francis, który usilnie próbuje wyjaśnić Vicie, dlaczego nie należy wtykać sera do uszu, unosi głowę.

– Ruszamy – mówi.

Aoife, paląca papierosa na pokładzie, też to wyczuwa i wychyla się za burtę, żeby zobaczyć, jak wokół śrub napędowych kłębią się masy wody; i ona czuje dreszczyk emocji. Gretta, grzebiąca wśród pojemników z pasztecikami, racuchami i kurzymi udkami, prostuje się i rzuca nieodgadnione spojrzenie na ciemniejące za oknami niebo. A Monica, która oparłszy głowę o gryzącą tkaninę siedzenia, oscyluje gdzieś pomiędzy markowaniem snu a faktycznym snem, uchyla nieznacznie powieki, przygląda się przez chwilę siedzącej naprzeciw rodzinie, po czym zamyka je z powrotem.

Nocny prom do Cork. Riordanowie płynęli tak wiele razy, w wielu wcieleniach: najpierw Gretta sama, z dzieckiem w brzuchu, potem sama z małym Michaeliem Francisem, potem z nieco starszym Michaeliem Francisem i małą Monicą, potem z dwójką dzieci i wreszcie z Aoife w wózku i pozostałą dwójką ganiającą się całą noc między fotelami. Co roku latem Gretta płynęła na miesiąc do matki, a Robert dołączał do nich na ostatni tydzień. Nie znosi zostawiać banku, twierdził, ale Gretta uważa, że to dlatego, że w Irlandii czuje się nieswojo – niby tutejszy, a nietutejszy, Irlandczyk z nazwiska i urodzenia, ale Anglik z wychowania, zażenowany swoim mieszanym akcentem, miękkimi irlandzkimi spółgłoskami przeplatającymi się z rozciągniętymi liverpolskimi samogłoskami. Po urodzeniu Aoife spędzili ostatnie lato na wsi u matki. Matce udało się przywiązać Aoife do grzbietu, tak jak robiła to ze swoimi dziećmi, po to, żeby przejść przez jezioro po jajka z kurnika zbudowanego na małej wysepce dla

ochrony przed lisami. Gretta pamięta to, jakby zdarzyło się wczoraj: matka idzie z podkasaną spódnicą, niebieska niemowlęca czapeczka Aoife podryguje nad wełnianym pledem, kury tłoczą się i kud-kudaczą na jej widok, białe stopy wylaniają się ze słonawych wód jeziora i z powrotem w nich zanurzają.

Gretta wyjmuje z plastikowego pojemnika pasztecik z parówką i zaczyna go przeżuwać. Trzeba czymś wypełnić żołądek. Podsuwa pudełko Michaelowi Francisowi, który bierze dwa, i Claire, która kręci głową.

Matka Gretty odeszła cztery miesiące później, upadając pod drzwiami domu. Nie cierpiała, powiedziała jej przez telefon kuzynka. Skrzep w mózgu. Gretta wiele razy go sobie wyobrażała: ciemne, żelazowe skupisko krwi jak supeł w motku przędzy, wędrujące centymetr za centymetrem po czaszce matki aż do chwili, gdy ta stanęła w progu domu. Ciekawe, czy wchodziła, czy wychodziła, myślała Gretta. Może stała podparta pod boki i patrzyła w niebo? Może szła po jajka? Tego jej kuzynka nie powiedziała. Wiedziała tylko, że znalazł ją w progu człowiek ze skupu mleka.

Potem, oczywiście, gospodarstwo trafiło w ręce najstarszego brata Gretty, a on je sprzedał i ruszył do Australii. Gretta nigdy mu tego nie wybaczy. Nigdy, przenigdy. Później już przyjeżdżali rzadziej, aż stary wuj, który mieszkał samotnie na wyspie, zapisał Gretcie swój domek. Jako młoda dziewczyna chodziła do niego plażą, raz lub dwa razy w tygodniu, a gdy było zimno, nawet częściej, i nosiła mu jajka, mleko, chleb i ciasto. Nigdy nie zapominała, nigdy, nawet kiedy twarz smagał jej sztormowy wiatr od Atlantyku. Nie lubiła myśleć, że siedzi tam sam w swojej chacie. O, jesteś, mówił na jej widok i odkładał szpadel. Poza tym rzadko się odzywał. Podawała mu koszyk, a on klepał ją przelotnie po ramieniu. Siadała z nim, porządkowała kuchnię, poprawiała książki i papiery, parzyła mu herbaty, smażyła jajko. Przyptyw idzie, mówił po pewnym czasie, a ona wiedziała, że już na nią czas.

Gdy dostała pismo od notariusza w Clifden, nie mogła wyjść ze zdumienia. Dlaczego wuj wybrał ją spośród wszystkich jej braci i sióstr, spośród kuzynostwa i kuzynostwa kuzynostwa? To zrodziło pewne niesnaski, szczególnie ze strony rodziny, która nadal mieszkała w Galway. Ale Gretta się tym nie przejmowała. Wuj podarował jej swój domek na wyspie Omey – wybrał ją. Gretta przez większość roku wynajmowała

chałupę, gromadząc całkiem niezłą sumkę, ale sierpień zostawiała zawsze wolny. Sierpień był dla nich, Riordanów, dla niej i jej gromadki, dla nikogo więcej. Gdy po raz pierwszy spędzili miesiąc na wyspie, Aoife miała trzy lata, Monica trzynaście, a Michael Francis czternaście. Pod wieczór Gretta wychodziła z chatki i ich wołała, a oni wracali do niej skarpą, z połowów w jeziorze albo zbierania muszelek na plaży, albo zagadywania uwięzianego przy drodze osiołka. Monica przyjechała jeszcze tylko kilka razy, bo potem zaczęła chodzić z Joem i już nie chciała go zostawiać. Ale Aoife jeździła z nią przez lata, tylko one dwie, same w chatce. Tam ich stosunki układały się zawsze bardziej harmonijnie niż w Londynie; nie kłóciły się aż tak bardzo.

Gretta prostuje się i obraca głowę, dyskretnie usuwając palcami skrawek parówki spomiędzy zębów trzonowych. Gdzie się podziała Aoife? Wyszła na dymka wieki temu, gdy tylko wypłynęli ze Swansea. Powinna już być z powrotem.

– Gdzie twoja siostra? – trąca Monicę, która markuje sen. Monica się do niej nie odzywa, o czym Gretta dobrze wie, ale postanawia się zachowywać jakby nigdy nic. Z Monicą jej to zazwyczaj wychodzi.

– Nie mam pojęcia – otrząsa się Monica, za szybko, jak na kogoś, kto naprawdę spał, i Gretta kiwa z satysfakcją głową. Wiedziała, że córka udaje.

Monica poprawia kardigan, który złożyła sobie pod głowę, i zerka ukradkiem na Grettę. Od czasu ich karczemnej awantury w domu Michaela Francisa nie rozmawiają ze sobą. Postawa matki nadal Monicę boli i oburza; nie będzie się do niej odzywać, o nie, dopóki nie usłyszy przeprosin albo wyjaśnień. Cóż za hipokryzja, cóż za płatanina kłamstw. Jak sobie przypomni, co się działo, gdy matka się dowiedziała, że Monica przespała się z Joem przed ślubem – te wszystkie okropne wyzwiska, wmawianie jej, że będzie się smażyła w piekle. Taka była przerażona, tak jej było przykro, a tymczasem jej matka, jej rodzona matka, przez cały ten czas żyła w grzechu śmiertelnym. Z niedowierzania wszystko wywróciło jej się w głowie do góry nogami.

Ale matka zachowuje się teraz tak jak zwykle, gdy wie, że kogoś zdenerwowała: niefrasobliwie i niewinnie, udając, że nie zauważa skrajnego oziębienia atmosfery. Zawsze tak robi, a gdyby Monica zapytała, dlaczego ze sobą nie rozmawiają, Gretta odwróciłaby się do niej z szeroko otwartymi oczami ranionej sarny i powiedziała: ja bym sobie nigdy nie pozwoliła z tobą

nie rozmawiać, nigdy, przenigdy. Wachluje się teraz ulotką z rozkładem rejsów, w poliestrowej sukience w paprotki, ciasnej i wilgotnej na plecach, i nuci sobie pod nosem. Monica wie, że nucenie zapowiada zmianę nastroju Gretty; nucenie jest dla niej tym, czym dla dekarza reperowanie ciekącego dachu. Gretta nuci i prostuje sobie pewne sprawy w głowie: szwagier-były przestępca – do widzenia, mąż-zbieg – do widzenia, szokujący fakt, że nie jest mężatką – do widzenia. Wszystko znów pięknie i normalnie.

Głowa Gretty obraca się na wszystkie strony. To spojrzenie, to wyczekujące, świdrujące spojrzenie Monica też zna. Gretta szuka kogoś, kogo mogłaby wciągnąć w rozmowę. Monica ma ochotę popełnić zbrodnię. Jak matka śmie rozglądać się za kompanami do pogawędki, zamiast zrobić to, co należy, czyli upaść na kolana i błagać ich o wybaczenie tego, że przez całe życie ich okłamywała?

Wypatrzwszy starszą parę po drugiej stronie przejścia, Gretta zakrzykuje tubalnie:

– A nie ma za zimno, hę?

Starsi państwo unoszą głowy, jak spłoszone owieczki, ale Gretta jest w swoim żywiole. Przesuwa się boczkami o kilka siedzeń.

– Na wakacje? – pyta.

Nie mija kilka sekund, a Monica wie już, że Gretta wyciągnie od pary całą historię ich rodziny oraz wyczerpujący plan ich podróży i będzie na najlepszej drodze do odwzajemnienia się tym samym.

Jest północ lub około północy; Aoife nie jest pewna. Pokład B jest jasno oświetlony, a na każdej dostępnej powierzchni ktoś śpi. Korytarze i przejścia wypełnione są ludźmi wyciągniętymi pod kocami i śpiworami. Ciała zwinięte w progach, na stołach, na parapetach. Z podłogi przy odgradzonej roletami, zamkniętej jadłodajni dobiega czyjeś gardłowe, rozwlekłe chrapanie. Silniki pracują mozolnie i statek unosi się i opada, unosi się i opada. Aoife, rozłożona na dwóch siedzeniach, stara się nie wpatrywać w przechyloną podłogę, chybotanie lamp sufitowych, drzwi, które samoistnie się otwierają i zamykają. Stara się myśleć o innych rzeczach, o rzecznej delcie spękań na suficie w swoim mieszkaniu, o czasie wywoływania filmów, o tym, jak Gabe nasuwa na nos okulary drugim stawem palca wskazującego, o poprawnej obsłudze powiększalnika i filtra. Próbuje sobie tłumaczyć, że ruch promu zbliża ją do Gabe'a i Nowego Jorku, i jej prawdziwego życia; już niedługo



będzie mogła wrócić, już niedługo będzie mogła spróbować się poprawić w jego oczach. Ale fale nie ustają; statek się przetacza; ten człowiek dalej chrapie; kratownica nad kafeterią stuka o oprawę.

Aoife siada raptownie. Wstaje. Przechodzi nad kończynami i bagażami swojej rodziny. Gretta coś mamrocze, ale nie wybudza się do końca.

Idzie przez przedział pasażerski w stronę korytarza. Myśli ma skupione, wzrok wyostrzony; koncentruje się tylko na tym jednym zadaniu. Przekręca klamkę do toalety, podnosi nogę i przechodzi przez wysoki, metalowy próg. Wzrok ma wbity w jedną z kabin i byłaby zdążyła, gdyby nie smród wymiocin, który uderza ją w twarz jak lekka mgiełka. Aoife porusza się bardzo precyzyjnie. Wie, że nie zostało jej dużo czasu. Nie zdąży do kabiny, już to wie, skręca więc do umywalki. W samą porę. Odgarnia włosy, zamyka oczy, zbiera siły. Odruch jest tak silny, że zgina ją w pół. Aoife wymiotuje do umywalki, raz, drugi i – najgorszy – trzeci. Wydaje jej się, że jeszcze nigdy nie miała tak silnych torsji. Nigdy w życiu się tak okropnie nie czuła. Gardło ma zdarte i obolałe, żołądek ściśnięty jak pięść, a te pulsujące świetlne punkty, które prześladowają ją przez całe życie, znów zaczynają jej perforować obraz. Może nigdy nie dotrzeć do Irlandii, może skończyć tu, w tej zarzyganej toalecie, i nigdy już nie zobaczyć suchego lądu. Odkręca kurek i otwiera oczy. Przeplukuje usta, ochlapuje wodą twarz, sięga po ręcznik na rolce, ale na widok jego brudnej, poszarzałej, sflaczałej płachty zmienia zdanie, sięga do kabiny po papier toaletowy, przyciska go do twarzy i rozmyśla przy tym o tych drgających punkcikach światła, tych znajomych, maleńkich, unoszących się w powietrzu widmach. O tym, że mogą zwiastować nadejście migreny – jak wjazd pociągu na peron – jednej z tych zgrzytliwych mgieł, które osiadają na niej na dobre trzy dni. O tym, że migocą i trzepocą jak robaczki świętojańskie. O tym, że nadciągają, gdy wypije za dużo kawy albo spojrzy w jasne niebo, albo na samym początku okresu. O tym, że ostatnio widziała je w zimny kwietniowy dzień, gdy Nowy Jork nawiedził wiatr frunący znad Hudsonu, wzbijający w powietrze papierki i śmieci z chodników, wciskający się brudem w jej oczy, włosy, szwy ubrań. O tym, że jakoś nie może sobie przypomnieć, czy od tego czasu miała okres.

Aoife stoi przez chwilę w toalecie z papierem przyciśniętym do twarzy. Potem powoli go odwija. Przygląda się sobie w lustrze. Jej twarz ma

woskowy, żółtawy koloryt, oczy są zapadnięte i otwarte szeroko z niedowierzania. Tak jakby minutę temu weszła tu inna osoba. Ta osoba, ta w lustrze, ta Aoife, to ktoś całkowicie inny.

Idzie chwiejnie korytarzem, chwytając się poręczy po lewej stronie, a potem – gdy dziób statku się zanurza – po prawej. Napiera na słono nakrapiane drzwi i wychodzi na pokład.

Jeśli gdzieś panuje upał, to akurat na tym obszarze Morza Irlandzkiego nic na ten temat nie wiadomo. Wiatr natychmiast porywa jej włosy i ubrania i próbuje je z niej zedrzeć. Aoife nachyla głowę przed żywiołem, jakimś sposobem dochodzi do barierki i przywiera do niej kurczowo. Widzi porzewiałą burtę opadającą pionowo wprost do czarnej jak żelazo kipieli. Wielkie zwały piany rozchodzą się na boki w ślad za promem. Wiele metrów dalej, w głębi morza, kładą się, zacierają i dają wchłonąć falom. Morska mgiełka czy deszcz, sama nie wie co, uderza ją silnymi, bolesnymi podmuchami. Ogarnia ją pragnienie wykrzyczenia czegoś, czegokolwiek, w ten wiatr, w morze, byle tylko poczuć nikłość swojego głosu, jego nieporadność na tle tych ścierających się Zeusowych żywiołów.

– Chryste! – wrzeszczy. – Jasna cholera!

Nie słyszy własnego głosu. O tym, że wydaje dźwięk, wie tylko dzięki mózgowi i językowi, i wargom, które formują słowa. Przywiera oburącz do zimnej barierki; składa na dłoniach głowę, czując wibrujące buczenie statku, przewalające się fale.

Z Gabe'em przespała się pierwszy raz... kiedy? Otwiera na chwilę oczy, widzi swoje mokre palce, łaty rdzy, grubą warstwę białej farby o konsystencji stwardniałego toffi. Myśli jej krążą bezładnie, nie mogąc znaleźć oparcia, ale Aoife odnajduje odpowiedź, zna ją.

W kwietniu. Rano, przed wyjazdem do Connecticut.

Jej podróżny budzik rozdzwonił się przeraźliwie o szóstej, wrywając ją ze snu o jeździe rowerem przez Clissold Park w pokoju, który z dnia na dzień nagle się odmienił. Zawsze budziła się tu sama, ale nie tym razem. Machnęła na oślep ręką w kierunku budzika i niechcący zrzuciła go na podłogę. Wyłączył się sam, dzwonienie ucichło, uprzejmie i przepraszająco.

Leżący przy niej Gabe stęknął, przewrócił się na drugi bok i uwięził ją w jednorekim uścisku.

– Mam nadzieję... – wymamrotał jej we włosy – ...że masz jakąś solidną

wymówkę, żeby mnie tak wcześniej budzić.

– Hmm – wybrnęła, odgarniając włosy z twarzy. W odróżnieniu od Gabe’a nie miała daru porannej elokwencji. Wystawiła jedną stopę za łóżko. Wystawiła drugą i wstała. Zaczęła węszyć po podłodze w poszukiwaniu czegoś – czegokolwiek – do ubrania i znalazła spodnie – własne, bluzę – Gabe’a i jakieś skarpetki, które nie pasowały ani do siebie, ani na nią.

Zanim Gabe wygrzebał się z pościeli, była już ubrana i uczesana, dopijała tylko kawę i nakładała szminkę.

– Jak ty to robisz bez lustra? – spytał z progu Gabe, patrząc, jak zamyka szminkę. Uśmiechnęli się do siebie i odwrócili wzrok. Gabe sięgnął przez stół po jej kawę i pociągnął łyk.

– Jezu – skrzywił się. – Czy ktoś ci kiedyś mówił, że robisz okropną kawę? Wstała.

– Nie. Inni złodzieje mojej kawy bardzo ją sobie chwalili.

Podszedł za nią do zlewu i otoczył od tyłu ramionami.

– To jacyś idioci pozbawieni kubków smakowych.

Uniósł jej włosy i zaczął całować po karku.

– A gdzie ty się w ogóle wybierasz? Przecież jest prawie środek nocy.

– Jadę do kolonii nudystów – odparła, płucząc pod kranem miseczkę śniadaniową.

Gabe przerwał na chwilę eksplorowanie jej karku.

– Gdyby ktoś inny mi to powiedział, pomyślałbym, że żartuje. Ale ty nie żartujesz, prawda?

– Mhm. Evelyn ma umówione portrety.

– No, tego to się już domyśliłem. Nie sądziłem, że zechcesz zostać nudystką czy coś takiego.

Jego dłonie wyciągnęły jej bluzkę z za paska spodni.

– Chociaż w razie czego jestem jak najbardziej za.

– Gabe, muszę lecieć.

– Wiem – powiedział, ale jego dłonie uczepliły się jej piersi, a on sam przygwoździł ją do zlewu.

– Naprawdę muszę lecieć – okręciła mu się w ramionach i stanęła twarzą w twarz. – Za trzy dni będę z powrotem.

– Trzy dni? Tak długo?

– Nie mogę teraz wrócić do łóżka, Gabe. Naprawdę nie mogę.

Gabe zmiotł do zlewu leżące na blacie naczynia i sztucce.

– A kto tu mówił o łóżku?

Prawie się spóźniła na pociąg do Connecticut. Szminkę nałożyła sobie na nowo w wagonie, siedząc naprzeciw Evelyn. Pojechały do kolonii nudystów. Fotografowały nagich ludzi rozłożonych na leżakach, stojących przy grillu, grających w ping-ponga. Po powrocie poszła do niego do restauracji, a gdy mignęła mu przed oczami, poprzez parę i kuchenny rozgardiasz, na jego twarzy zobaczyła przede wszystkim ulgę.

Na promie do Irlandii Aoife wpatruje się w rozjuszoną czarną noc. Jak to się, na miłość boską, mogło stać? Pierwszy raz przed wyjazdem do Connecticut, a potem jeszcze kilka razy, ale za każdym razem czegoś używali, wie to na pewno. A kiedy ostatnio miała okres? Kilka tygodni przed Connecticut. Może trzy miesiące temu. Czy naprawdę minęło już tyle czasu, czy to możliwe...?

– Będziesz wymiotować czy właśnie to zrobiłaś? – pyta Michael Francis, który wyrósł za nią jak spod ziemi.

Aoife odrzuca w tył głowę jak przerażony koń. Twarz ma mokrą, wysmaganą deszczem, włosy rozwichrzone. Wpatruje się w niego, jakby go nie poznawała.

– Wszystko dobrze? – pyta on, klepiąc się po kieszeniach. – Mam gdzieś miętówkę, jak chcesz.

– Nie, dzięki – kręci głową Aoife.

– A ja zawsze myślałem, że to ty masz żołądek ze stali – mówi i otacza ją ramieniem. – Może Nowy Jork ci zaszkodził.

– Kto wie. – Aoife dalej trzyma się barierki wpatrzona w morze.

– No, dość już tego Króla Leara – mówi Michael Francis. – Chodźmy do środka.

Aoife znów kręci głową.

– Ja tu zostaję.

– Poważnie? Zimno jak diabli.

– Wiem. Miła odmiana.

– No, dobra. Jak tam chcesz. Do zobaczenia.

Michael Francis zatacza się z powrotem przez śliski pokład, otwiera z trudem drzwi i wchodzi do środka. Jeszcze jej macha zza szyby, a ona odrywa jedną dłoń i też mu macha. Wpatruje się w oświetlone okna

przedziału dla pasażerów, aż dostrzega go znowu, widzi, jak kroczy zamasyście, a potem wciska się na siedzenie obok Claire i Hughiego, widzi, jak odbiera śpiącą Vitę i układa ją sobie delikatnie na kolanach.

Wyszedł, żeby ją odszukać. Ta myśl prawie skłania ją do uśmiechu.

Prom unosi się i opada, z nieubłagany rytmem niesie ją naprzód. Aoife trzyma się oburącz relingu. Jeśli tu pozostanie – powtarza sobie – wszystko jakoś się ułoży.

Nie rozumie. Ta myśl zalega jej w głowie, ciężka jak niewyżęta ścierka. Nic z tego nie rozumie. Zawsze jest bardzo ostrożna, jeśli chodzi o takie rzeczy, znacznie ostrożniejsza niż inni. Wie, że w pewnych sferach życia może i jest trochę niedbała, trochę zbyt pewna siebie, ale nie w przypadku antykoncepcji, między innymi dlatego, że wie, jaka by z niej była beznadziejna matka. Co to za matka, która nie umie nawet przeczytać bajki na dobranoc? Jak, u licha, do tego doszło? I jak mogła być taka głupia, że nic nie zauważyła? Przez chwilę próbuje sobie to wyobrazić: istotę przywierającą do jej wnętrza, jak ten aktor kina niemego ściskający wskazówki zegara i dyndający nad ruchliwą ulicą, ale nie potrafi. Nie umie, nie umie, nie umie tego wytłumaczyć. Nawet nie chce myśleć, co na to wszystko Gabe. Tak być nie może.

Wyteżając siły w pokazie człowieczego origami, zdołali jakoś się zmieścić w samochodzie Michaela Francisa; Michael Francis prowadził, obok umościła się Gretta, Monica, Claire i Aoife siedzące na tylnym siedzeniu podawały sobie na zmianę Vitę, a Hughie przetaczał się z boku na bok na torbach w bagażniku.

Przez pierwszy odcinek podróży, gdy opuszczali prom i jechali przez nabrzeże, przez Cork i kierowali się na północ, Aoife siedziała pośrodku, wciśnięta między Claire a Monicę. Ale tuż za miastem musiała wysiąść, żeby zwymiotować w liście szczawiu, a potem jeszcze raz trzy kilometry dalej, gdy przejechali przez łukowaty mostek. Po tym usadzono ją przy otwartym na oścież oknie, z dostępem do świeżego powietrza. Hughie narzekał na wiatr, mówił, że mu dziwnie we włosy, ale Gretta powiedziała mu z przedniego siedzenia, żeby przestał marudzić.

Tylko Monica zauważyła, że w reakcji na to Claire odwróciła głowę i zerknęła nieodgadnionym wzrokiem na syna.

Po tym zdarzeniu na pewien czas w samochodzie zapadła cisza.

Michael Francis rozmyśla o całkiem praktycznych rzeczach: za Limerick pojedą prosto w stronę Galway, a potem w kierunku wybrzeża. Czuje obecność żony, która siedzi za jego plecami, obejmując ich córkę. Nie myśli o niej, nie myśli o tym, że przyjechała, że zrezygnowała z seminarium, żeby towarzyszyć mu w podróży do Irlandii, nie myśli o tym ani też o tym, co by to mogło oznaczać dla ich związku, nie myśli o tym wcale a wcale. Nie myśli też o ojcu ani o tym, że ożenił się z dziewczyną ze Sligo, a jego brat uciekł z panną młodą dzień po ślubie, ani o tym, że, kto wie, może gdzieś tam żyje jakieś ich przybrane rodzeństwo.

Aoife pozwala, by wiatr owiewał jej twarz; zamyka oczy i kreśli w głowie schemat ich miejsc w samochodzie, przy czym linie ciągłe łączą tych, którzy ze sobą rozmawiają, a przerywane – tych, którzy nie odzywają się do siebie. Do drugiej grupy należą: ona i Monica, Monica i Gretta, Michael Francis i Claire, Hughie i Vita (po krótkiej sprzeczce o paczkę dropsów owocowych). Wyobraża sobie też ojca przeczesującego ulice Dublina w poszukiwaniu żony i brata. Które z nich chciał przede wszystkim odnaleźć? Stara się wczuć w tę scenę: ojciec chodzi i wypytuje po pensjonatach, przy porcie. Poszukiwać tak nieznośnie znajomej twarzy. Czy Frankie był do niego podobny? Aoife czuje skwierczący płomień jego gniewu, jego bólu. Jak może się czuć człowiek, gdy tak go zdradzi własny brat, gdy wykradnie mu ukochaną dziewczynę?

Myśli Moniki biegną jednym torem: męczy ją ten samochód, męczy ją ta podróż, męczy ją ta cała rodzina; żałuje, że w ogóle pojechała; żałuje, że włożyła sukienkę w szkocką kratę, bo w samochodzie panuje taki tłok, że sukienka będzie całkiem wygnieciona, gdy już w końcu wysiądą, o ile kiedykolwiek wysiądą.

Claire spogląda od czasu do czasu na tył głowy męża, na jego dłonie migające na kierownicy, na kawałek jego czoła, ledwie widoczny w ustawionym pod kątem lusterku wstecznym; patrzy, jak napręża się oparcie jego fotela, gdy zmienia pozycję. Czuje dziwny rozdźwięk znany małżeństwom z długim stażem: druga osoba w tej samej chwili może się wydawać niezwykle znajoma i dziwnie obca. Czuje gorący, spoisty ciężar Vity, której małe, okrągłe pięty wbijają się w jej udo. Odwraca głowę, a Hughie natychmiast podnosi wzrok, czujny; wciąż jeszcze szuka w jej wzroku wyjaśnienia, znaku, podpowiedzi, jak się zachowywać, jak reagować,

czego się spodziewać po świecie. Claire uśmiecha się do niego krzepiąco, a on, zadowolony, rozkłada się wygodnie wśród bagaży.

A Gretta? Gretta rozmyśla o szczęśliwym trafie, o wszystkich zbiegach okoliczności tego świata: mąż może uciec, zniknąć, można go szukać wszędzie, dzwonić na policję, przetrząsać rzeczy osobiste, a tak naprawdę wystarczy tylko telefon od kuzynki z informacją, że ktoś jej powiedział, że widział Roberta na drodze prowadzącej do klasztoru, i czyż to nie dziwne?

Gretta uśmiecha się do siebie. Powiedziała im, tym swoim dzieciom, które uważają się za takie sprytne, bo dzwonią na policję i uparcie przeszukują dom, że sprawy się ułożą. I ułożyły się, a jakże. Stali wczoraj na chodniku przed domem Michaela Francisa, Monica wykrzykiwała do niej te wszystkie okropne rzeczy, Aoife mówiła Monice, żeby zamknęła jadaczkę, a Michael Francis, jak zwykle, starał się zaprowadzić pokój, mówiąc, że wiadomo już, gdzie jest tata i na tym należy się skupić. Gretta i Monica wróciły do domu straszliwie skłócone i roztrzęsione. A co było dalej? Spakowali się na wyjazd do Irlandii.

Gretta przekłada torebkę z kolan na dywanik samochodowy i zaraz bierze ją z powrotem. Od początku wiedziała, że to się obróci na dobre, że go odnajdą. I proszę, przyłączyli się razem nocnym promem i jadą do Connemary.

Za Limerick odzywa się Aoife:

– Zatrzymaj się, proszę.

Michael Francis skręca na pobocze, a Aoife wystrzela jak z procy.

– Ciotka Evie wymiotuje strasznie dużo – zauważa z zainteresowaniem Hughie.

– Nie przyglądaj się, skarbie, to niegrzecznie – mówi cicho Claire. – Nie patrz tam.

– Ma rację – mówi Monica.

– Mówi się Aoife, Hughie, nie Evie – odzywa się Michael. – *I-fa*.

– Ifi – powtarza posłusznie Hughie. Wypycha dłońmi policzki do góry, tak, że giną w nich oczy, a potem w dół, naciągając mocno powieki. Monice na ten widok robi się nieswojo.

– Dziwię się, że jeszcze jej coś zostało w brzuchu – mówi Hughie.

– Może wymiotuje żołądek – odzywa się słabym głosem Vita, która wbrew ich przypuszczeniom jednak nie śpi.

Hughie parska śmiechem, zachwycony tym pomysłem.

– Może. A on rozleje się po całej drodze i tatuś będzie musiał go zbierać i wpychać z powrotem do środka i...

Gretta podnosi zapadkę i wychodzi na trawiaste pobocze. Nad jej głową śmiga jaskółka, a przy nagłych zwrotach jej skrzydło miga na niebiesko-czarno. Podchodzi do córki, która dalej stoi zgięta w pół, z dłońmi na kolanach, i gwałtownie łapie powietrze. Gretta zagarnia jej włosy z twarzy i przekłada je do tyłu.

– Dzięki – mówi Aoife i znów ma torsje.

Gretta klepie ją po plecach, które przez cienką materię jej bluzki wydają się oślizłe. Aoife się prostuje, nie otwierając oczu, a Gretta podaje jej chusteczkę. Przygląda się badawczo młodszej córce; widzi sinawą bladość jej policzków; widzi drżenie palców. Wręcza jej kolejną chusteczkę.

– Czy ty nie masz mi czegoś do powiedzenia, Aoife?

Aoife natychmiast otwiera oczy; matka i córka patrzą na siebie przez chwilę. Gretta, ledwie przez ułamek sekundy, czuje obecność tych małych, tych ludzi, którzy nigdy nie zaczerpnęli powietrza, miała ich pięcioro, tych niezupełnie-dzieci. Rozciągają się między nią a Aoife, teraz i już na zawsze, jak rząd laleczek z papieru. Znów spada koło nich jaskółka, o podgardlu czerwonym jak przestroga.

– Nie – mówi Aoife.

Gretta podchodzi krok bliżej.

– Proszę, nie mów, że jesteś w odmiennym stanie.

Aoife, wbrew sobie, wbrew wszystkiemu, zaczyna się śmiać.

– Co cię tak śmieszy? Ja tu nie widzę nic zabawnego.

Aoife robi kulkę z chusteczki i wkłada ją do kieszeni.

– Mamo, mamy siedemdziesiąty szósty rok.

– A co to ma do rzeczy?

– Nie mówi się już „w odmiennym stanie”.

– Mówię, jak mi się podoba. To co, jesteś? Przyznajesz?

– Niczego nie przyznaję. To nie twoja sprawa.

– O, Boże – Gretta przykłada dłoń do czoła. – Taka młoda dziewczyna, niezamężna...

– I kto to mówi? – wtrąca Aoife, a Gretta cofa się jak od uderzenia.

Tymczasem w samochodzie Monica wychyla się przed Claire, żeby lepiej widzieć.



– O czym one tam rozmawiają?

– Nie wiem – mówi Claire, która podsłuchiwała niechcący część rozmowy, a zresztą sama doszła już do pewnych wniosków w związku z mizernym wyglądem Aoife i jej niecodziennym apetytem.

– Właśnie, o czym one rozmawiają? – pyta z przedniego siedzenia Michael Francis. Opiera się o klakson szybko, nerwowo i woła „Co tak długo?”, ale nie bierze pod uwagę, jaki wpływ wywrze to na dzieci. A wywiera natychmiastowy: rzucają się jednym susem na przednie siedzenie i ładują mu na kolana z okrzykami: a mogę ja, mogę, mogę, teraz ja, nie, teraz ja, nie, to moje.

– Przestańcie – wrzeszczy pomiędzy mlócających kończyn i odgłosów klaksonu. – Wracajcie na miejsca, oboje, mówię poważnie, przestańcie natychmiast!

Dłoń Hughiego łąduje mu na skroni, łokieć – przypuszczalnie Vity – wbija mu się w gardło, a potem jakieś kolano z odrażającą precyzją zgniata mu krocze. Klakson zagłusza jego gromkie przekleństwo; płatki bólu rozchylają się i rozkwitają mu w podbrzuszu, a w mózgu wytryskują fajerwerki. Paraliżują go katusze, pas bezpieczeństwa, ciężar potomstwa.

– Przesiądź się. – Claire otwiera przednie drzwiczki i ściąga mu z kolan dzieci, jedno po drugim. – Ja poprowadzę.

W porze lunchu docierają do stóp Twelve Bens, wielkiego, szarego łańcucha górskiego wznoszącego się nad rzędem drzew, o zboczach jak słoniowa skóra, powielonych w wodach jeziora. Nawet Vita milknie z podziwu nad ich ocienioną obecnością. Przed wioską Roundstone Gretta kieruje Claire w prawo, drogą gruntową.

– Wysadź mnie tutaj – mówi, gdy samochód dociera do miejsca, w którym pod kępą dębów krzyżują się dwie podobne drogi.

– Co? – mówi Monica i rzuca się naprzód. – Tutaj? Dlaczego tutaj? Nie możemy cię tu zostawić.

– Klasztor jest tu, za górką – wskazuje Gretta chusteczką. Grzebie jeszcze w torbie, wyjmując fiołkę, pozornie na chybił trafił, łyka pigułkę, a potem wygrzebuje następną fiołkę i wrzuca do ust dwie pigułki. Miażdży je zębami i robi kwaśną minę. – Idę sama.

Monica protestuje, sprzeciwia się, wyklóca; Michael Francis próbuje powiedzieć, że według niego powinni trzymać się razem; Claire daje

Hughiemu i Vicie po herbatniku; Aoife wysiada z samochodu.

– A ty dokąd? – pyta Michael Francis.

– Będzie znów wymiotować? – pyta z nadzieją Hughie.

– Tylko siusiu – rzuca Aoife przez ramię i znika w zaroślach.

Gretta jest nieporuszona. Zbiera torebkę, chustkę na głowę, proszki, chusteczkę do nosa; wysiada z samochodu i rusza drogą.

– Wróćcie za dwie godziny – mówi. Zatrzymuje się na chwilę na widok Aoife wyłaniającej się zza drzewa i zapinającej spodnie. Patrzą na siebie przez moment, a potem Gretta idzie dalej i znika za wzniesieniem.

Aoife wraca do samochodu.

Vita wychyla się ze swojego siedziska na kolanach Claire i przygląda się z bliska ciotce, tej fascynującej, wymiotującej osobie, która pojawiła się nie wiadomo skąd w swojej bluzce z nadrukowanymi flamingami. Vita ma niepokonaną chęć na polizanie gołej ręki Aoife. Chce skosztować tej opalanej skóry; wyobraża sobie, że jest słodka jak miód, a piegi mogą smakować pieprzem. Wyciąga się szybko, zanim ktokolwiek zdąży ją powstrzymać, i sunie językiem po rękę ciotki, w okolicy łokcia.

Aoife łypie okiem i ich spojrzenia się spotykają.

– Czy ty mnie właśnie polizałaś?

– Nie – mówi Vita, jeszcze z wystawionym koniuszkiem języka. – Lepiej się już czujesz?

– Tak.

Jeszcze przez chwilę wpatruje się w dziecko, a potem szepcze:

– Wiesz, co według mnie powinniśmy zrobić, zanim wróci babcia?

– Co? – odszeptuje Vita, podchwytyjąc bez wahania poufny ton.

– Popływać.

Zatrzymują samochód przy zatoce Mannin. Gdy tylko otwierają się drzwiczki, dzieci wybiegają jak psy spuszczone ze smyczy, kreśląc stopami kółka i zygzaki. Hughie wymachuje nad głową pióropuszem z wodorostów, a Vita galopuje prosto do morza, tych drobnych zmarszczek, które obracają się i krzyżują ze sobą na srebrzystym piasku.

Monica podwija pod siebie sukienkę i siada na kamieniu. Przesiewa w dłoniach całe garście plaży – odłamki pobielonego koralowca, wyglądowne i rozebrane jak kostki jakiegoś stworzonka. Ich dotyk jest tak dalece znajomy, jak rozbrzmiewający w dzwonnicy dzwon. Zdaje jej się, że

wszystkie letnie miesiące z dzieciństwa kondensują się w tej jednej chwili, w tej jednej czynności, gdy palce nurzają się głębiej w piasku; wszystkie te dni spędzone na bieganiu po plaży w kostiumie kąpielowym i swetrze z wełny z wysp Aran, Michael Francis zawsze na przedzie, jego różowe stopy oprószone piaskiem; wszystkie te przejażdżki na grzbiecie babcinego osiołka, wszystkie te mozolne marsze poprzez deszcz, który był ni mniej, ni więcej, tylko wodą skapującą łagodnie z nieba, ciepłą i czystą, nie to co deszcz w Londynie. Wydobywanie torfu z wujem i matką, pionowy, tnący ruch szpadla, wyzymanie wypranej pościeli, kury dziobiące ziemię wokół ich nóg.

Podnosi wzrok i widzi sylwetki ludzi, członków jej rodziny, czarne i opromienione na tle jasnego nieba, brata i jego żony bliżej brzegu, i Aoife, jak chochlika, ściągającej ubrania w asyście rozkrzyczanych dzieci.

Spuszcza wzrok. Małe kości strzałkowe i piszczel koralu zatrzymują się we wgłębieniach u podstawy jej palców. To w tej skali Monica najlepiej pamięta Irlandię: drobiazgową z tej plaży, dotyku tego dziwnego koralowego piachu, barw rozwarstwiających morze, zieleni, turkusy i głębokiego błękitu, wielkich tobołów brunatnic rozłożonych na skałach niczym opasłe foki.

Aoife jest już w wodzie; Monica słyszy jej okrzyki. Vita wchodzi za nią, przebija się z determinacją przez fale. Dobrały się jak w korcu maku, myśli Monica. Czy Claire zdaje sobie sprawę, jakie utrapienie ją z nią czeka? Michael Francis rzuca się za córką, zanim zdąży ją strącić fala. Unosi jej wierzgającą, piszczącą postać w powietrze, kołysze ją góra-dół, a gdy Vita ląduje na piasku, znów się śmieje, jakby jej złość została gdzieś pod chmurami. Monice się zdaje, że widzi, jak wtapia się w błękit za nimi.

Hughie przystępuje pracowicie do kopania dołu, przebierając naprzemiennie rękami jak piesek, a piach rozsypuje się za nim łukiem. Vita przygląda mu się przez sekundę, może dwie, po czym zaczyna naśladować jego ruchy. Michael Francis się odwraca i z zaskoczeniem zauważa przy sobie żonę. Otacza ją ramionami, zmniejszając dzielącą ich przepaść. Robi to zupełnie odruchowo, bez namysłu, a gdy czuje, jak zbiegają się ich ciała – jakież to znajome uczucie, jakie z gruntu właściwe – myśli: ciekawe, czy się wyrwie, ciekawe, czy na to przyzwoli, i zastanawia się też, dlaczego nie stali w ten sposób przez długi czas, przez zbyt długi czas. Kiedy ostatnio do tego doszło i jak mogli bez tego wytrzymać? Dlaczego nie robią tego stale?

Claire się nie wyrywa. Posuwa się nawet do objęcia go ramionami. Michael Francis czuje, jak jej ręce zamykają się wokół jego talii i przymyka oczy; tak idealna jest ta chwila. Czuje, dociera do niego, że zazdrości samemu sobie, jakby obserwował tę scenę z daleka.

– Dziękuję, że przyjechałaś – mówi do niej.

– Nie wygłupiaj się – odpowiada Claire, z głową wetkniętą pod jego brodę. – Nie mogłabym nie przyjechać.

Kiedy wrócił wczoraj do domu po odwiezieniu matki i Moniki, towarzyszyła mu Aoife. Monica i Gretta wróciły na Gillerton Road w kiepskim stanie: rozwrzeszczane i zapłakane, a Monica nie posiadała się ze złości. Monica, ulubienica matki, jej pupilka, jej powiernica. Jak mogłaś, szlochając, jak mogłaś mnie tak okłamać, jak mogłaś udawać mężatkę, skoro przez cały ten czas... A Gretta łkała na to rozgłośnie, przepraszam, skarbie, tak mi przykro, ja nie kłamałam, ja tylko, ja nie chciałam, ja tylko.

Gdy przeszedł do przedpokoju, gotowy do wyjścia i przeniesienia się do własnego domu, żeby się spakować, usłyszał jeszcze, jak Monica wymyśla matce za to, że posłała ją do konfesjonatu za przespanie się z Joem przed ślubem i powiedziała jej, że toruje sobie drogę do piekła. Odwrócił się, żeby się pożegnać i zobaczył, że stoi przy nim Aoife, z założonymi rękami.

– A ty dokąd? – spytał.

– Wszystko jedno, byle nie tu – odpowiedziała. – Nie ma szans, żeby tu z nimi dziś została.

Tak więc próg swojego domu przekroczył w towarzystwie Aoife i pierwsze, co zobaczył, to Hughiego i Vitę siedzących jedno obok drugiego na schodach, oboje jakby z wybałuszonymi oczami. Z salonu dobiegał odgłos rozmów i rechot i przeciągłe dźwięki cytry, jakich nigdy w tym domu nie słyszał.

– Co się dzieje? – spytał dzieci.

Hughie spojrział najpierw na niego, potem na Aoife, a potem na zamknięte drzwi do salonu.

– Podsumowanie sesji egzaminacyjnej – powiedział, wymawiając słowa z taką starannością, że Michael Francis poczuł, że serce mu pęka. Czuł dokładnie, jak pęka, tu i teraz, w przedpokoju jego domu, przed siedzącymi na schodach dziećmi; pęka, a jego okruchy opadają z piersi do stóp.

W progu pojawiła się Claire i szybko zamknęła za sobą drzwi.

– O! – powiedziała. – To ty. Nie wiedziałam, że wrócisz, inaczej...

– Oczywiście, że wróciłem – rzekł. – Dlaczego miałbym nie wrócić? Dlaczego zwracasz się do mnie tak, jakbym już tu nie mieszkał?

Claire trzymała za sobą drzwi, ściskając oburącz klamkę. Była zarumieniona, potargana, sterczały jej końcówki włosów; tak wyglądała zwykle po czerwonym winie.

– Nieprawda. Tylko...

W tym momencie drzwi otwały się na oścież i wypadła z nich nieznana mu kobieta. Siwiejące włosy miała związane w kucyki, jak czasami Vita, i była ubrana w długą, powiewną, kopertową spódnicę.

– Witamy! – powiedziała, wyrzucając w powietrze ręce.

– Witamy? – spytał Michael Francis, ale kobieta nie odczytała ironii i właśnie chwyciła Aoife za rękę.

– Przyszłaś się do nas przyłączyć? – spytała ją, a w oczach rozblęsnął jej gorączkowy zapal i choć Michael Francis nie miał w tej chwili powodów do radości, absolutnie nie, ucieszył się, że towarzyszy mu akurat Aoife, ona, a nie ktoś inny z rodziny. Nie Monica, nie Gretta. Aoife była jedyną osobą, która wiedziała, jak się w tej sytuacji odnaleźć.

– Zobaczysz, przemiłe z nas ludziska – mówiła kobieta do Aoife. – Ja jestem Angela, a to Claire. To jej dom i...

Aoife z kamienną twarzą odsunęła się od kobiety i weszła na najniższy stopień schodów.

– A może byście mi pokazali swój pokój? – spytała, biorąc bratanków za ręce. – Jeszcze go nie widziałam. Chodźcie, idziemy na górę.

Kobieta wróciła do salonu, a on został w przedpokoju ze swoją żoną. Usiadł na najniższym stopniu. Wsparł głowę na słupku od poręczy i odkrył ze zdziwieniem, że dotyk gładkiego, lakierowanego drewna na skroni przynosi mu odrobinę ulgi. Patrzył nie na twarz żony, ale na jej stopy, jej nagie stopy. Zawsze miała szczególnie piękne stopy: smukłe, o wysokim podbiciu i zaokrąglonych, jasnych paznokciach. Nie takie jak on: włochate, płaskie jak półmiski, o pogiętych, koślawych paluchach, pamiątkach po grze w rugby. Trzeba się streszczać, postanowił. W trzech zdaniach wyłożył, co zamierza zrobić, i patrzył przy tym tylko na jej stopy, na perłowe łuki jej paznokci, na sieć niebieskich żyłek na podbiciu: powiedział jej, że cała rodzina wybiera się do Irlandii, dziś wieczorem, nocnym promem, i że

ruszają za pół godziny.

– Dzieci biorę ze sobą – dodał. – Możesz robić, co ci się żywnie podoba. Ja nie...

– Przygotuję się – powiedziała właścicielka stóp. – Ja też jadę.

Na plaży w zatoce Mannin Hughie wskakuje do swojej dziury, żeby zaraz z niej wyskoczyć, a Vita rozkopuje płytką wodę, rozpryskując ją wysoko w powietrze, gdzie mieni się małymi tęczkami.

– Słuchaj... – mówi Michael Francis do Claire, wciąż jeszcze przytulonej do jego boku.

– Mike – mówi ona. – Muszę ci coś powiedzieć.

Michael Francis wyrzywa się z objęć.

– Nie. Boże, nie.

– Co?

– Proszę, nie.

Zasłania dłońmi uszy. Nie może tego znieść, nie może, nie chce tego słuchać. Ma niepohamowaną chęć pobiec, pobiec plażą, wskoczyć do samochodu i odjechać, byle nie musieć słuchać, co mu ma do powiedzenia żona.

– Ale o co chodzi? Myślisz, że co chcę powiedzieć?

– Ja... ja nie... – siada ciężko na piasku – ...po prostu tego nie mów.

– Ale czego?

– Tego.

– Jakiego „tego”?

– Że... – zatacza ręką koło. – Że się z kimś przespałaś. Nie mów tego. Nie teraz. To dla mnie za wiele.

Aoife, dryfująca na plecach w morzu, z niebem nad sobą i dnem morza pod sobą, czuje, jak jej wierzgające stopy dotykają piachu. Wstaje i odkrywa z niezadowoleniem, że znalazła się na płytkiej wodzie: stoi w niej po kolana, ocieka morską wodą, o wiele bliżej brzegu, niż przypuszczała. Podciąga przemoczone majtki i z włosami przylepionym do pleców i ramion zaczyna brodzić po falach, łapiąc gwałtownie oddech. Mija Michaela Francisa, który siedzi na piasku z opuszczoną głową, stojącą nad nim Claire oraz dzieci, które wybierają wodę z szybko wypełniającej się dziury.

– Sami nie wiecie, ile tracicie – mówi, gdy ich mija, a oni patrzą na nią, ich twarze są nieobecne, wycięte, i Aoife pojmuję, że woła do nich przez

niewidzialną galaktykę, że zasiedlają teraz nie plażę nad zatoką Mannin, lecz królestwo swojej dorosłej gry.

Zbiera swoje ubrania, otrzepuje je z piasku i wybiera z nich kilka pasem wodorostów. Nieopodal siedzi Monica ze złączonymi kolanami, okryta spódnicą, jakby co najmniej, myśli Aoife, szykowała się do pozowania. Aoife przewraca oczami sama do siebie, zdejmuje przemoczony biustonosz i wciąga przez głowę bluzkę.

– I jak woda? – poprzez dzielące je powietrze dobiega ją głos Moniki. Plaża i morze migoczą i załamują się od gorąca; suche wodorosty przyrastają do skał; ziarenka piasku pękają i pylą w słońcu.

Aoife podnosi wzrok. Jej siostra ma dłonie splecione ciasno na kolanach, na nosie okulary zasłaniające większość twarzy.

– W porządku – odpowiada.

Monica odczekuje chwilę, po czym kiwa głową. Najwyraźniej nie wie, co jeszcze powiedzieć.

– Wchodzisz? – pyta Aoife.

– Ja? – Monica aż się prostuje, oburzona tym pomysłem. – Och, nie. Ja nie umiem pływać.

Aoife przerywa wciąganie spodni.

– Nie umiesz pływać? Naprawdę?

– Nie – kręci głową Monica.

– To prawda?

– Tak.

– Prawda-prawda?

Monica obrusza się na to przesłuchanie.

– Tak – powtarza z naciskiem. – Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Michaela Francisa.

Aoife podchodzi bliżej. Siada na skrawku piachu, blisko, ale nie nazbyt blisko siostry.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem – dobiegający z tyłu głos Moniki rozbrzmiewa tuż nad jej ramieniem. – Po prostu nigdy się nie nauczyłam. Nigdy... nie mogłam nigdy wejść do wody. Przerazała mnie. Ta jej głębia.

– A nie kazali ci wchodzić na lekcjach na pływalni? Z tymi instruktorami sadystami, którzy stali na brzegu i dźgali kijami każdego, kto popełnił błąd?

– Poszłam raz. Ale nie znośłam tego.

– No, ciekawe dlaczego?

Monica nie odpowiada i Aoife się odwraca, żeby na nią spojrzeć. Na twarzy jej siostry maluje się konsternacja, zakłopotanie, jakby Monica nie była pewna, czy Aoife się z niej nie naśmiewa.

– Mon, żartuję. Instruktorzy sadyści? Kije? Nie wiesz, co to sarkazm? Pewnie, że tego nie znośłaś. Nikt tego nie znoślił.

– Ach, tak – Monica kiwa głową i wygładza sukienkę, dopasowaną, w szkocką kratę, jak na oko Aoife nieznośnie ciepłą i krępującą ruchy. – No cóż, pływanie chyba nie jest dla mnie.

– No, tak.

Siedzą na plaży, razem, ale nie do końca. Aoife wyciąga nogi i kreśli palcami u stóp geometryczne łuki. Patrzy na nie z jednej strony, z drugiej, mruży oczy, żeby uzupełnić w wyobraźni nieobecne krzywe, gdy nagle Monica znów się odzywa.

– Jak ci się zdaje? – wskazuje widoczne na brzegu sylwetki Michaela Francisa i Claire; ona gestykuluje zamasyście, a on dalej siedzi pochylony na piasku. – Wyjdą z tego?

Aoife skręca pasmo wilgotnych, słonych włosów.

– Nie wiem.

Gdy Gretta dociera do wrót klasztoru, jest już spocona, zadyszana i wzburzona. Nie wiedziała, że podjazd jest taki długi, nie wzięła pod uwagę jego kamienistego podłoża, tego, że będzie musiała uważać na każdy krok, jeśli nie chce zwichnąć nogi w kostce; i jeszcze do tego to jej liche kolano.

Szarpiąc sznur dzwonka, poci się obficie, sapie i nagle wścieka na męża. Jak on śmie? Jak śmie tu przyjeżdżać i nikomu nie mówić, i kazać jej się tułać taki szmat drogi, ze wszystkimi dziećmi i wnukami? Co on sobie, na litość boską...

Drzwi się otwierają i staje w nich siostra zakonna, i na jej widok wściekłość Gretty kurczy się jak przekłuty balonik.

– Dzień dobry, siostro – zaczyna pokornie; musi się hamować, żeby nie przyklęknąć. – Przepraszam, że siostrę niepokoję, ale chciałam zapytać, czy może mi siostra pomóc. Szukam swojego... – Gretta zatrzymuje się nad przepaścią. Odkrywa, że nie umie wypowiedzieć słowa „mąż”, nie do tej kobiety, nie prosto w twarz, pomarszczoną, lecz pogodną, okoloną bielą;



poniżej piękne szare oczy, uniesione pytająco jasne brwi.

– Cóż, mój... on tu jest, widzi siostra, Robert... Ronan... pan Riordan... przyjechał z wizytą... do kogoś. Do Frankiego, eee, Francisa, Francisa... – Gretta nie może sobie teraz przypomnieć nazwiska – jakże ono brzmiało? – Już wie. – Francisa Riordana.

Zakonnica skłania głowę.

– Proszę – mówi. – Zaprowadzę panią na dół.

Cofa się, a Gretta wchodzi za nią do wielkiego holu wyłożonego miękką wykładziną. Jej buty zapadają się w jej mchowatą powierzchnię. Idzie przez hol za zakonnica, w dół schodami i dalej korytarzem. Dociera do niej, że jest przerażona, przerażona jak nigdy w życiu. Poszukiwania Roberta/Ronana przebiegają jak dotąd bardzo pomyślnie: przyjazd dzieci, goście, tropy policyjne, potem telefon z informacją o miejscu jego pobytu. Ale gdy tak kroczy niczym pokutniczka w ślad za zakonnica, uderza ją nagle myśl, że może Robert nie chce być odnaleziony. Może nie chce, by go sprowadzono z powrotem. Może wyjechał z myślą, że już nie wróci. Może odchodząc tamtego dnia, podjął decyzję, że pozbywa się rodziny i wkracza do przeszłości? Dlaczego nie przeszło jej to przez myśl wcześniej? Co ona tu, na Boga, robi?

Mijają wielki drewniany krucyfiks, portret Ojca Świętego, gobelin ze sceną biblijną, nie może ustalić którą, utkany w każdym razie z pomarańczowej i purpurowej wełny, coś z masywną górą w tle i Jezusem o pomarańczowych włosach, wznoszącym dłonie do Niebios. Wchodzi do węższego, ciemniejszego korytarza z kamienną podłogą. Stuk-stuk, stukoczą o posadzkę buty Gretty, stuk-puk. Gretta czuje, jak do jej głowy zakrada się łomotem ból. Chce sięgnąć do torebki po proszki, ale nie śmie tego zrobić w obecności zakonnicy.

– Pani z daleka? – pyta przez ramię zakonnica.

– Z niezbyt daleka, siostró – Gretta musi prawie galopować, żeby dotrzymać jej kroku, długie musi mieć nogi pod tym habitem. – No cóż, po prawdzie to z Londynu. Ale widzi siostró, ja pochodzę stąd. Wychowywałam się w pobliżu Claddaghduff, więc nie czuję się jak przybysz z daleka. Jeśli siostró wie, co przez to rozumiem.

Zakonnica nic na to nie odpowiada.

– Od jak dawna... – odważa się Gretta, a jej serce wyrywa się i wyrywa, bo

to jedyna część historii, której nie zna. – Od jak dawna Francis u was mieszka?

Schodzą właśnie mniejszymi, węższymi schodami i zakonnica odwraca głowę.

– Pan Riordan jest u nas od dawna. Od jakichś piętnastu lat, jak sędzę.

Gretta resztką sił dogania zakonnice i schodzą teraz po schodach ramie w ramie.

– Z jego zdrowiem nie jest najlepiej, jak pani może wie. Ale opiekował się u nas ogrodem i zajmował konserwacją budynku, jak najlepiej potrafił. Zawsze uważaliśmy go za zgodnego członka naszej małej społeczności. Ale teraz, rzecz jasna, jego czas pośród nas dobiega końca.

Zatrzymuje się pod drzwiami.

– Proszę – wskazuje je dłonią. – Może pani wejść.

– Czy... – przykłada chustkę do karku, poprawia torebkę na ramieniu. – Czy... on tam jest?

Zakonnica pochyla głowę.

– Może pani wejść – powtarza.

– Czy mogłabym prosić siostrę o szklankę wody? Bardzo przepraszam. Chodzi o to, że szłam tu długo spragniona, a muszę jeszcze zażyć tabletkę. Czy mam z siostrą pójść? Może tak będzie łatwiej. Nie chciałabym, żeby siostra się tu fatygowała z powrotem i...

– Proszę tu poczekać – mówi zakonnica. – Niedługo wrócę.

Gretta zostaje w korytarzu, z drzwiami za plecami. Patrzy w jedną stronę: schody. Patrzy w drugą: niewygodne, sądząc z wyglądu, krzesło na lwich łapach, z pazurami. Dlaczego w całym ferworze przygotowań do tej podróży, a potem na promie i w samochodzie nie pomyślała, że może Robert jej tu nie chce? Może nie chce wracać do Londynu i na Gillerton Road. Stojąc przed tymi drzwiami, rozumie nagle, że popełniła błąd, straszliwy błąd. W tym pokoju znajduje się Robert i jest z bratem, który według niego umarł, bratem, o którego istnieniu Gretta, wbrew jego przypuszczeniom, wie od lat, bratem, którego ukrywał przed nią i przed nimi wszystkimi, bratem, który zbiegł z jego nowo poślubioną żoną, bratem, który spędził większość życia w więzieniu za morderstwo, może przez niego popełnione, a może nie. Robert miał swoje powody, by to wszystko przed nią zataić, a co ona narobiła? Machnęła ręką na wszystkie te powody i pojawiła się tu

niezapowiedziana. Cóż ona najlepszego wyrabia? Chyba się szaleju najadła. Nigdy nie ganiaj za mężczyzną, powtarzała jej matka. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Dlaczego, dlaczego nie posłuchała matki? Dlaczego w ogóle wyjechała do Londynu? Mogła wyjść za przyzwoitego galwayowskiego farmera, a tak... jest tylko upokorzoną kobietą, która nawet...

Gdzieś nieopodal słychać stłumiony, zwielokrotniony odgłos kroków, jakby nadciągała grupa osób, oraz brzęk kluczy czy też sztucców, i lęk, że ktoś ją zobaczy stojącą tu jak piąte koło u wozu, popycha Grettę naprzód, przez drzwi i do pokoju.

W porównaniu z mrocznym korytarzem wewnątrz jest bardzo jasno. Musi na chwilę osłonić dłonią oczy, żeby jej wzrok się przyzwyczaił, a gdy to się udaje, jej oczom ukazuje się niewielki pokój z wysokim sufitem, łóżkiem, krzesłem i drzewami za oknem.

Krześło jest puste. Łóżko nie.

Prążkowane koce, metalowa rama, zmięta, rozrzucona pościel w nieładzie, rozgrzebane prześcieradło. Postać leżąca w łóżku jest długa i chuda, zauważa Gretta. Nie spodziewała się tego, bo Robert jest raczej masywny i niewysoki. U tego człowieka stopy sięgają ramy, choć nogi ma lekko ugięte w kolanach. Na stoliku nocnym stoją rzędem fiolki, srebrzysta nerka i zbiornik z tlenem, od którego wije się ku twarzy pacjenta przezroczysta rurka.

Gretta nie marnuje czasu. Naciąga koce, wygładza pościel, unosi krawędzie prześcieradła, żeby je zatknąć pod materac i poskładać narożniki porządnie jak kopertę; unosi kolejno ręce, ostrożnie, żeby leżały na gładkiej, niepomarszczonej pościeli, żeby mężczyźnie było wygodnie, bo dla skóry chorego człowieka pognieciona pościel może być jak ostrze noża, Gretta o tym wie.

Mogła zostać pielęgniarką. Dobra by z niej była pielęgniarka. Zrobiłaby to, gdyby tylko ktoś jej dał szansę.

Ręce są lekkie i wysuszone jak gałęzie. Gretta unosi lekko tułów mężczyzny i strzepuje poduszki. Woń, którą wydziela jego ciało – słodkawą, mdławą, stęchłą – Gretta skądś zna, ale nie może sobie teraz przypomnieć skąd. Układa mężczyznę z powrotem, nieco wyżej.

– No i już – mówi.

Siada na krześle. Gdzie jest Robert? Musiał tu być, na tym samym krześle,

ale dokąd poszedł? Mości się na twardym krześle i wyobraża sobie siedzącego tu męża, patrzącego na to samo, na co ona teraz patrzy: na dziurę w kocu, odwrócone truchła os na parapecie, lekko przechylony zegar na ścianie. Czy tylko jej się wydaje, czy krzesło jest jeszcze ciepłe? Czuje się nieswojo na myśl, że Robert mógł tu być zaledwie przed chwilą. Poprawia fiolki na stoliczku; strzepuje na podłogę jakieś piórko; dolewa wody do szklanki i przystawia ją blisko twarzy mężczyzny.

– A pić się chce? – pyta.

Ustawia słomkę pod takim kątem, żeby trafiła mężczyźnie do ust. Usta Frankiego. Popękane i wysuszone; biedaczyna. Pozwala sobie przesuwając spojrzeniem po jego twarzy, po trochu; rys za rysem dopuszcza do siebie tego człowieka, który od tak dawna istniał gdzieś na peryferiach ich życia. Ogromna białosina blizna biegnie jak szew przez skórę jego czoła i znika między włosami. Jego podobieństwo do Roberta jest dla niej wstrząsające: ten sam układ czoła, te same gęste białe włosy, taka sama stanowczo zaciśnięta szczęka. To głupie z jej strony, że spodziewała się czegoś innego. Czuje się trochę tak, jakby to jej mąż leżał w łóżku albo jakby mogła wejrzeć w przyszłość. Aż dostaje od tego dreszczy.

– Na pewno chce się pić – mówi. – Chociaż kropelkę.

Wargi się rozchylają, słomka zostaje przyjęta. Gretta obserwuje, jak ciecz wędruje w górę słomki; Frankie przełyka, raz, drugi, i wydaje się, że to dla niego olbrzymi wysiłek, jak dla kogoś innego przesunięcie ciężkiego mebla. Gretta odstawia szklankę.

Frankie. Imię przetacza jej się po głowie jak szklana kulka. Frankie. Oto Francis. Francis Riordan. Ujęty przez żołnierzy brytyjskich w pobliżu ciała policjanta, powiedział wtedy ksiądz. Ile czasu trzeba spędzić w więzieniu za coś takiego i co tam z człowiekiem robią? Patrzy na bliznę na jego czole i odwraca wzrok.

Gdzie, na miłość boską, jest Robert? – myśli Gretta w przypiływie irytacji. Powinien być tu: Frankiemu nie zostało dużo czasu, każdy to powie, a jakie to okropne, jak głęboko zasmucające, że człowiek może dobiec do kresu życia i nie mieć nikogo – nikogo poza niewidzianym od trzydziestu lat bratem. Jak można być w życiu tak samotnym, gdy na świecie tylu ludzi?

Wyciąga rękę i odgarnia z czoła kruche białe włosy. Układa mu wygodnej kołdrę pod brodą. Ujmuje palce Frankiego, zbierając je w dłoni jak wici.

Wyobraza sobie, jak inna kobieta ujmuje te palce i ucieka po własnym ślubie, a jak można zrobić coś takiego własnemu bratu, myśli, to przechodzi ludzkie pojęcie, i zaraz chce tę myśl odpędzić, bo człowiek jest, bądź co bądź, umierający i pora przebaczyć, pora odłożyć to wszystko na bok; postanawia się odezwać, ale nie wie, co innego mogłaby powiedzieć, co w ogóle można powiedzieć w takiej sytuacji, mówi więc:

– Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

Znajome słowa usypują jej się z ust w ciszę pokoju i już samo nadawanie im kształtu, ich rytmiczny akompaniament niosą jej pociechę.

– Pan z tobą. Błogosławionaś ty między niewiastami.

Przypomina sobie, jak matka uczyła ją, żeby mówić o kobietach „panie”. Tak jest grzecznie, twierdziła. Uważaj na panią, mówiła na przykład, gdy szły zatłoczonym chodnikiem. Albo: daj pani pieniądze, gdy przychodziło do płacenia w sklepie. Gretta zapytała: skoro grzecznie jest mówić „pani”, to dlaczego nie mówi się: błogosławionaś ty między paniami?

Wysłała matce swoje zdjęcie z Robertem, a matka je oprawiła i postawiła na parapecie okna, tego wychodzącego na jezioro, na którym mieszkały kury. Śliczne to było zdjęcie, zrobili je sobie w studiu fotograficznym przy Essex Road. Gretta pożyczyła od koleżanki z pracy garsonkę – z pięknego liliowego tweedu, w tym kolorze zawsze wyglądała korzystnie. Do kołnierza przypięła sobie lilię, kupiła nowe rękawiczki. Była wtedy szczupła, miała jeszcze cienką talię, a jej dłoń w rękawiczce z koziej skórki, spoczywająca na ramieniu Roberta, sama wyglądała jak lilia. A on w garniturze, z równiutkim przedziałkiem. Któż by powiedział, że to nie zdjęcie ślubne? Sama zresztą nigdy tak nie twierdziła; napisała do matki, że ona i Robert się pobrali, i oto zdjęcie.

– Matko Boża – mamrocze dalej, nie wypuszczając dłoni Frankiego. – Módl się za nami grzesznymi.

Czy naprawdę napisała, że się pobrali? Czy może tylko posłała zdjęcie? To niemożliwe, że tak matce napisała, niemożliwe, że ją okłamała. Czegoś takiego by nigdy nie zrobiła.

To jak z dziurą w londyńskiej jezdni. Wykopują ją i wygląda potwornie: ten pocięty asfalt, gruz i urwisko, goła ziemia i błoto tak blisko miejskiej nawierzchni. A potem ją zasypują, przykrywają i jest tak nowa, że aż nie pasuje, świeżo położony asfalt połyskuje wypukłą czernią na tle starej,

zapiaszczonej jezdni. Ale po pewnym czasie rozściela się, pokrywa pyłem, ujednolica, tak że nie sposób już odróżnić starego asfaltu od nowego i nikt by się nie domyślił, że coś tu jest nie w porządku.

Poprosił, żeby za niego wyszła; oświadczył jej się na piętrze autobusu jadącego Rosebery Avenue. Przykląkł na jedno kolano, a ona była taka zaskoczona, że pomyślała, że schylił się po jakiś zagubiony przedmiot. Spinkę do mankietu czy monetę. Pierścionka nie dostała, nie było na to pieniędzy, ale wtedy nikt ich nie miał; dopiero co skończyła się wojna. A więc byli zaręczeni. Ale czy na pewno? Na pewno. Ale potem on powiedział, że nie mogą wziąć ślubu, nie za bardzo, jeszcze nie teraz: najpierw musi uporządkować pewne sprawy. Co to za sprawy? Gretcie trudno to sobie przypomnieć. Powiedział, że w zasadzie dla niego już są jak małżeństwo – czy nie tak to było? Czy w ogóle poprosił ją o rękę, czy mówił tylko, że jeszcze nie mogą się pobrać, ale zrobią to później, jak najszybciej, a ona pomyślała, że ma to coś wspólnego z jego przeżyciami wojennymi, z tymi wszystkimi okropieństwami, których się naoglądał, i dlatego nie naciskała za mocno, bo nie znosił o tym rozmawiać? Wpłaciłem zadatek na dom, oznajmił, śliczny domek z ogródkiem na tyłach. Wprowadzili się. Dał jej obrączkę: przyda ci się, wyjaśnił. Gretta pamięta, jak powiedział, przyda ci się, a jej zrobiło się miło. Ale czy na pewno? Zrobiło jej się miło, czy może płakała w kuchni ich pięknego domku, trzymając obrączkę kciukiem i palcem wskazującym? Czy to była ona, czy ktoś inny? Taka była przestraszona, bo była już w ciąży i nie wiedziała, co ma innego zrobić: nie mogła pojechać w tym stanie do domu, nie mogła powiedzieć matce, bo ta by chyba umarła ze wstydu, Gretta musiała więc pozostać u boku tego mężczyzny, musiała wsunąć na palec obrączkę; zatrzymała jej się na kostce i przez chwilę zdawało jej się, że nie będzie pasowała, ale nie, przeszła i stało się. Powiedziała, że chce fotografię, a on się zgodził, co wzięła za dobrą monetę. A zdjęcie, gdy już je odebrali, okazało się piękne. Zamówiła trzy odbitki. Jedną posłała matce, jedną zachowała dla siebie, a jedną dała Robertowi, mówiąc, że może ją wysłać swojej rodzinie, o której wiedziała, że mieszka w Sligo. Z fotografią na kominku i obrączką na palcu poczuła się już różnie. Przedstawiała się jako pani Riordan, tak, mówiła, jestem przy nadziei, termin w lutym, tak, to moje pierwsze, nie, to obojętne, byle miało wszystkie paluszki. Miała nawet czelność pójść na mszę i powiedzieć księdzu, że wzięli ślub w Liverpoolu.

Czyżby naprawdę to powiedziała? Czy to możliwe, że powiedziała coś takiego księdzu? Powtarzała sobie, że to nieważne, że w zasadzie są jak małżeństwo, nieważne, że trzecią odbitkę, która miała trafić do Sligo, znalazła wciśniętą do szuflady; on tu jest i ona tu jest, i to najważniejsze. Gdy urodził się Michael Francis, okazał się najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziała, czerstwym i zdrowym, i takim grzecznym; nigdy nie płakał, potrafił siedzieć godzinami na kocu w kuchni. Obnosiła się z nim, wożąc go w wiosennym słońcu po Highbury w skrzypiącym głębokim wózku, i tak się jakoś stało, że temat ślubu już nie powrócił, a wkrótce znów była przy nadziei, Robert dostał posadę w większym banku, miał dużo zajęć i był szczęśliwy, a życie wydawało się piękne, niemal zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Zdrowaś Mario, łaskiś pełna – mówi Gretta i ściskając nieprzerwanie dłoń brata swego męża, na nowo zatacza pętlę, niekończący się cykl słów. – Pan z tobą.

Claire stoi nad nim. Znów widzi tylko jej stopy, obwiedzione teraz paskami piachu.

– Oczywiście, że się z nikim nie przespałam – mówi gdzieś ponad nim. – Co za niedorzeczny pomysł. Z kim, u licha, miałabym się przespać?

– Nie wiem. Z kimś ze studiów albo...

– Z kimś ze studiów? – stopy Claire obracają się, odchodzą i zatrzymują. – Myślałeś, że przespałam się z kimś ze studiów? Ale... to moi przyjaciele. Tak ciekawych ludzi nie poznałam, odkąd zrezygnowałam... – urywa, odchodzi sztywno jeszcze kilka kroków i odwraca się. – Nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć.

W jej głosie nie ma już gniewu, jedynie konsternacja.

– Przepraszam – mamrocze on. – Przepraszam. Chodzi o to, że często nawet nie wiem, gdzie jesteś. Ciągłe wychodzisz i nigdy nic mi nie mówisz. Pomyślałem sobie tylko, że może zechcesz... sam nie wiem...

– Co zechcę? – pyta Claire, stając znów nad nim.

Milczy; serce łomocze mu do drzwi klatki piersiowej, desperacko chcąc się wydostać.

– Co zechcę, Mike?

Nie może podnieść wzroku: nie chce zobaczyć ducha Giny Mayhew, który na pewno jest tu z nimi na plaży. Nie chce go zobaczyć – nie tu, nie teraz.

– Wziąć odwet – wydusza.

Jest tu z nimi na plaży, jest tego pewien, w tych swoich spódnico-spodniach i topornych sandałach.

Claire, o dziwo, nadal nad nim stoi. Michael Francis uświadamia sobie, że po raz pierwszy nawiązują bezpośrednio do Giny, od czasu, gdy wrócił z Francji i gdy położyli dzieci spać, odwróciła się do niego w kuchni i spytała: gdzie byłeś, kiedy dzwoniłam? Od tego pytania zaczął się okropny, najokropniejszy wieczór, który przeszedł w noc i poranek. Gdy nadszedł świt, dalej siedzieli przy stole kuchennym, on z twarzą w dłoniach, mniej więcej jak teraz, niezdolny spojrzeć jej w oczy.

– Wiesz, co chciałam powiedzieć? – mówi Claire i znów jej głos nie jest zagniewany, tylko cichy, wyważony. – Chciałam powiedzieć, że może już czas na ciebie.

Michael podnosi wzrok.

– Czas na mnie?

Claire nie spuszcza z niego wzroku. Wytrzymuje jego spojrzenie. Wiatr przenika i okrąża ich postacie. Po plaży roznoszą się krzyki ich dzieci. I Michael Francis pojmuje, że to nie Gina Mayhew towarzyszy im na plaży; to koniec, ich koniec, stoi tam pośród nich jak trzecia osoba.

– Mam... – nie może dokończyć zdania. Nie może uwierzyć, że to się zdarzyło, że do tego doszło. Dotarli do kresu; rozmyślał o nim i bał się go od tak dawna, a teraz styka się z nim tu, nad zatoką Mannin. Wydaje się osobliwie znajomy, jakby już go napotkał, jakby wszystko, co teraz mówią, zostało już powiedziane. – Mam odejść?

– Możemy to zrobić kulturalnie, prawda? – mówi Claire. – Na tyle nas stać. Będiesz mógł się z nimi widywać, kiedy tylko zechcesz. Ja już po prostu jestem zmęczona. Jestem taka zmęczona staraniami o to, żeby cię zatrzymać. Jestem zmęczona ciągłymi domysłami, jaką mam być osobą, żeby cię zadowolić. Jestem zmęczona ciągłym poczuciem winy, tym, że powinnam bezustannie przeproszać za to, że musiałeś porzucić doktorat i zostać nauczycielem. Mieszkamy z tobą pod jednym dachem, ale ty jesteś nieobecny. Prowadzisz swoje wyimaginowane życie amerykańskiego wykładowcy. Nie mów, że jest inaczej, bo to nieprawda i ja o tym wiem. Chciałabym więc, żebyś wiedział, że droga wolna, możesz iść, gdzie cię oczy poniosą. Możesz odejść. Vita chodzi już do szkoły. Zrobię ten dyplom. Potem



podejmę pracę. Nie musisz zostawać.

Rozkłada dłonie, jakby wypuszczała drobne zwierzę.

– A chcesz, żebym odszedł?

Claire nic nie odpowiada, nie potakuje ani nawet nie daje po sobie poznać, że go usłyszała. Odwraca twarz do morza, do wiatru, i pozwala, by wysmagał jej ostrzyżone włosy.

Nieco dalej na tej samej plaży Monica podnosi się z miejsca. Sprawdza, która godzina, wpatruje się w morze.

– Trzeba się zbierać – mówi.

– Dlaczego?

Aoife leży zwinięta w kłębek na piasku, oczy ma zamknięte.

– Mama mówiła, żeby ją odebrać za dwie godziny. Już prawie minęły.

– Niemożliwe.

– I zaczyna się przypyływ.

– I co z tego?

– To z tego, że chcemy się przedostać na wyspę, zanim podniesie się woda.

Aoife siada i patrzy na morze. Wygląda dokładnie tak samo jak zwykle: zielone i spienione wznosi się i opada niespokojnie.

– Skąd wiesz, że się zbliża?

Michael Francis wstaje. Czuje się naraz całkowicie otrzeźwiony, jakby wzniosł się ponad bezsenną noc na promie i odrzucił całe to zmęczenie. Ma wrażenie, że słowa Claire go otaczają, mącą powietrze wokół niego niczym rój much.

– Claire – zaczyna. – Posłuchaj...

I w tej chwili dopada ich rozpedzona Vita. Rzuca się jednocześnie na oboje rodziców i wgniata ich w objęcia piachu. Michael Francis czuje, jak w suple kończyn i włosów, i przegubów palce Claire wyslizgują się z jego palców. Już ma po nie sięgnąć, schwytać je z powrotem, ale słyszy, że ktoś woła go po imieniu. Odwraca się i widzi, jak siostry machają do niego i pokazują samochód.

Na rozdrożu, gdzie wysadzili Grettę, zaczynają się kłócić. Aoife się upiera, by podjechać pod klasztor; Monica mówi, że należy poczekać, zgodnie z ustaleniami. Michael Francis zdaje się przychylić do obu opinii, w zależności od tego, kto akurat mówi. Claire siedzi w milczeniu.

Kłóć się dalej, Aoife otwiera drzwi i mówi, że w takim razie idzie sama, i wtedy zza zakrętu wyłania się Gretta.

Wszyscy milkną i patrzą, jak nadchodzi swoim charakterystycznym krokiem, chwiejnym i nierównym, odkąd zoperowano jej kolano; w jednej ręce ściska torebkę.

– Jest z nią tata? – szepcze Aoife.

– Nic na to nie wskazuje – mówi Michael Francis.

Gretta szarpie drzwi od strony pasażera i wsiadłszy do samochodu, opada ciężko na siedzenie i wypełnia przestrzeń sapaniem oraz szelestem poprawianej odzieży.

– Padam – oznajmia.

Zapada cisza.

– A nie wyglądasz – odzywa się Aoife.

– Ty nie bądź taka bezczelna, Aoife – warczy Gretta. – Nie masz pojęcia, przez co ja przeszłam. Zielonego pojęcia. Padam z nóg. Ten gorący! Nie do wytrzymania. Widział kto coś takiego? Siostra powiedziała, że przyniesie mi wody, ale nie wróciła. Przysięgam, jeśli nie napiję się herbaty w ciągu najbliższych trzydziestu minut, to formalnie skonam.

Claire podsuwa jej termos z tylnego siedzenia.

– Zdaje się, że zostało jeszcze trochę soku.

– Eee! – odgania się od niej, przymykając powieki. – Dzieciom mam zabierać?

– Nic im nie będzie. Napij się.

– Tak nie można.

– Śmiało. Nic się nie stanie.

– Dzieciom nie zabiorę.

Michael Francis odbiera termos, otwiera go, nalewa soku do zakrętki i podaje ją matce.

– Masz – mówi. – Wypij.

– Ale tak nie można – mówi Gretta i duszkiem wypija sok. – Tak nie można.

Oddaje kubek, opiera głowę na zagłówku i znów zamyka oczy.

Aoife przechyla się przez szparę między siedzeniami.

– No i co?

Gretta nie odpowiada.

– Spotkałaś tatę? Gdzie on jest? – Aoife dotyka ramienia matki. – Mamo? Czego się dowiedziałaś?

– Czy człowiek nie może chwilę odsapnąć? – warczy Gretta. – Co za dzień.

– Nie żartuj sobie. Chcemy się tylko dowiedzieć paru rzeczy: czy spotkałaś tatę, gdzie on jest, co się dzieje z Frankiem i czy...

– Rzecz w tym... – odzywa się Monica, łagodnym tonem, jakby chciała przekierować ich uwagę na ciekawy widok za oknem, może wieżę ciśnień, a może drzewo szczególnie warte zapamiętania – ...że jeśli mamy się przedostać przez groblę przed nadejściem przyływu, to trzeba się pośpieszyć.

Trafiła w samo sedno. Aoife nie może się temu nadziwić. Gretta natychmiast otwiera oczy i siada prosto. Jak Monica to robi? Jest jak zapasowa zastawka serca Gretty; reaguje bezzwłocznie i precyzyjnie na każdy nastrój, każde niewypowiedziane żądanie Gretty.

– Przyływ idzie? – Gretta jest nagle całkiem rozbudzona i rozgląda się po twarzach zebranych.

– No, zaczyna się – rzuca Monica, nadal mimochodem, nadal obojętnie.

– To trzeba jechać! – Gretta uderza otwartą dłońią w deskę rozdzielczą, jak instruktor jazdy popędzający szczególnie niemrawego kursanta. – Ruszajmy!

Michael Francis już sięga do stacyjki.

– A czy tata... jedzie... czy...? – urywa czujnie, nie patrząc na matkę.

A ona zajmuje się poprawianiem butów.

– Nie ma go – mówi krótko. – Siostra mówi, że przychodzi i wychodzi. Nie wiedzą, gdzie jest.

Samochód pokonuje ostatni zakręt w Claddaghduff i już ją widzą – obniżoną, otoczoną morzem połąć ziemi.

– O! – wykrzykuje Gretta i podrywa dłonie do piersi. – Zobaczcie tylko.

Plaża zmieniła się w połyskującą białą drogę między falami, które pienią się i zawracają po obu stronach.

Na promie Hughie powiedział, że nie pamięta wyspy, ani trochę. Ależ na pewno, na pewno pamiętasz, twierdził jego ojciec; cóż, gdy tam ostatnio byliśmy, miałaś zaledwie pięć lat, powiedziała jego matka. Gdy jednak samochód zsuwa się teraz z betonowej rampy i opony zaczynają szeleścić na piasku, uświadamia sobie, że owszem, pamięta. Pamięta to dokładnie: szok,

że można jechać plażą, uczucie towarzyszące cichemu, wyrazistemu szeptowi kół na piasku, rzędy przesuwających się nieopodal fal. Przed oczami pojawia mu się nagle zarośnięty ogród pocięty kamiennymi murkami, popękana dróżka, wygodka pełna szarogrzbietych chrząszczy, łóżko ustawione pod bieloną ścianą, okno z widokiem na trawę i morze. Chce powiedzieć, pamiętam, już pamiętam, ale milczy. Zostawia słowa dla siebie, zatrzaśnięte w głowie. Podpełza bliżej walizek i patrzy, jak za sprawą siedzącego za kierownicą ojca wyspa coraz bardziej się przybliża, jej zielona powierzchnia jak grzbiet śpiącego morskiego stwora.

Gdy docierają do chaty, następuje nagle ożywienie. Gretta chodzi od pokoju do pokoju, wychwalając uroki tego miejsca i biadając nad nowymi uszkodzeniami i śladami, i plamami na dywanach, i zgniecionymi owadami. Przystępuje z zapałem do sprzątanania w kuchni: wyjmując z szafek wszystkie talerze i garnki, ale w połowie traci zainteresowanie tym zajęciem i przenosi się do ogródka, gdzie w nagłym przypiływie złego humoru zaczyna wyrywać chwasty, powtarzając każdemu, kto się nawinie, że według niej Robert już nie wróci, że już jej nie chce. Monica majstruje przy włącznikach bojlera, po czym przyłożywszy do twarzy chusteczkę, chwyta za odkurzacz mechaniczny. Michael Francis wnosi walizki i pudła z samochodu. Hughie i Vita wbiegają przed drzwi wejściowe, wypadają przez tylne, i tak w kółko. Aoife rozpala w kominku. Claire ścieli łóżka.

Gretta rezygnuje z pielenia i lamentowania i zabiera dzieci na plażę, mówiąc im, że jeszcze przed zapadnięciem zmroku muszą odnaleźć jajo rekina zwane syrenią kabzą. Monica siada w progu domu i patrzy na morze. Michael Francis rąbie drewno, odnajdując spokój w miarowych uderzeniach siekiery. Aoife, zdjeta nagłym głodem, zaczyna smażyć jaja na bekonie. Claire, zwabiona zapachem, przychodzi nakryć do stołu. Nie odzywa się słowem, gdy Aoife zaczyna jeść przy kuchence, wpychając jajka i chleb do ust jak opętana. Nie odzywa się słowem, podaje jej tylko widelec i talerz.

Gdy kolacja jest już zjedzona, prostokąty światła w oknach chaty przybierają barwę indygo, a dzieci, z włosami sztywnymi od wody morskiej, leżą w łóżkach, Michael Francis wchodzi do pokoju, w którym przy szepcie ognia z kominka siedzą jego siostry, matka i żona.

– Chodź – mówi do Claire i bierze ją za rękę. – Przejdziemy się.

Claire wstaje bez słowa, odkłada książkę i wychodzi za nim z chaty.

Po chwili Monica i Aoife wymieniają spojrzenia, Monica z uniesionymi brwiami.

– Nie wiem, skąd te uśmieszki – mówi Gretta, nie podnosząc wzroku znad robótki. – Chłopak przynajmniej umie rozwiązywać problemy. Zawsze taki był i taki pozostanie.

Aoife się krzywi, jak zwykle poirytowana tym faworyzowaniem. Wstaje, podchodzi do okna, jednego i drugiego. Grzebie w palenisku, sięga po książkę Claire, obraca stroną i odkłada. Ma dziwne wrażenie, że w jej ciele płynie za dużo krwi: czuje, jak krew tryska w niej i tryska, z nieznośną uporczywością. Musi zdecydować, co robić i kiedy; musi się wydostać; musi zadzwonić do Gabe'a, a może nie, może tego właśnie robić nie powinna; musi się zastanowić, na Boga, ale jak ma to zrobić w tej ciasnej chatce, z całą rodziną, która tylko czeka, żeby wyssać z powietrza jej myśli?

– Która godzina? – pyta. – Gdzie tu jest najbliżej telefon? – dodaje natychmiast, nie czekając na odpowiedź.

– W Claddaghduff – mówi Gretta. – Ale teraz tam nie dojdiesz.

– Dlaczego?

– Jest przypyw.

– Dupa blada – mówi Aoife, a Gretta aż gubi oczko.

– Aoife Magdaleno – mówi. – Uważaj, co mówisz.

Aoife podchodzi do drzwi, wygląda, potwierdza, że matka ma rację, zatrzaskuje je, wraca i rzuca się na krzesło. Nie mija chwila, a już się z niego podrywa i zaczyna grzebać w długim koszu.

– Na miłość boską, uspokoisz ty się, Aoife? – odzywa się Gretta, odliczając oczka.

– Co?

– Rzucasz się jak wesz na grzebieniu.

– Nieprawda.

– Prawda. Znajdźże sobie jakieś zajęcie i...

– ...do roboty – kończy za nią znaną mantrę Monica.

Aoife przysiada na piętach i spogląda na matkę i siostrę z jawną wrogością. Nie wie, co takiego jest w wieczorach spędzanych w rodzinnym gronie, że budzą w niej taki nieznośny niepokój, uczucie ciasnoty, spętania, pragnienie ucieczki, bez względu na wszystko.

– No, dobra – mówi i podnosi się z podłogi. – Wychodzę.

Przemierza pokój i wychodzi, trzaskając drzwiami.

Gretta wzdycha i przekłada pusty drut z ręki do ręki.

– Ech, ta dziewczyna – rzuca w przestrzeń.

Monica odwraca stronę czasopisma, ale nie odpowiada. Gretta obserwuje swoje średnie dziecko znad okularów. Monica siedzi znów wyprostowana jak belferka, z miną świętoszki i nogami skrzyżowanymi w kostkach. Niezłe nogi mają te jej dziewczyny, zawsze tak uważała. To po niej, chociaż żadna tego nigdy nie przyznała.

– Przynajmniej dzieci spokojnie posnęły – mówi Gretta; druty postukują, włóczka jakby sama zapętleła się w jej dłoniach. – Musiały być umordowane, kruszynki biedne.

Nadal brak odpowiedzi. Monica unosi nieznacznie podbródek.

– Jutro znów się zapowiada śliczny dzień. Słońce zachodziło na różowo nad morzem. Widziałaś?

Gretta dzierga dalej, włóczka wślizguje się na druty, oczka tworzą rządki, rządki układają się w rękaw czegoś, co wkrótce zmieni się w kardigan. Śliczna ta włóczka, liliowy melanz, nadaje się do prania. Zamierzała dać go Monice pod choinkę, ale być może zmieni zdanie, jeśli Jaśnie Pani nie stanie się trochę miłsza.

– Myślę, że wrócę jutro do klasztoru – mówi i zauważa na twarzy towarzyszki cień zainteresowania. – Mogłabyś też się nad tym zastanowić.

Dalej cisza.

– Wezmę cię jutro ze sobą. Tylko ciebie. Inni to by już była przesada.

Monica odwraca zamasyżuje stronę palcem wskazującym.

– Ten Frankie jest w kiepskim stanie, biedaczysko. Nie zostało mu dużo czasu. Powiedziałabym, że kilka dni. Czuć już od niego, no wiesz, czuć śmiercią. Jak od mojego ojca, kiedy mu się już pogarszało.

Podnosi wzrok. Monica patrzy na nią, ale opuszcza oczy, gdy tylko krzyżują się ich spojrzenia.

– A mój ojciec? Co z nim?

Gretta aż się podrywa na dźwięk głosu Moniki – z ulgą, ale i triumfem. Wiedziała, że uda jej się nakłonić ją do rozmowy! Wiedziała!

Gretta, żeby zatuszować mściwą satysfakcję, przekrzywia głowę, spuszcza oczy i obniża głos.

– Tam go nie ma, słonko. Siostra powiedziała, że przychodzi, odwiedza

Frankiego i wychodzi. Ja... ja już nie wiem, co myśleć. Co robić.

Monica znów milczy. Gretta nie może ryzykować spoglądania na nią w tej chwili, więc ciągnie tym samym, pełnym krzywdy tonem:

– Siostra, z którą rozmawiałam, przypuszczała, że wróci jutro, rano czy po południu.

Gretta marszczy brwi i usiłuje sobie przypomnieć, czy rano, czy po południu i co dokładnie powiedziała zakonnica.

– Albo tak, albo tak. Możemy w każdym razie...

Monica z głośnym plaśnięciem odkłada czasopismo.

– Nie myśl sobie, że ci wybaczyłam!

Gretta, pełna nadziei i zachęcona tym wybuchem, wypuszcza z rąk robótkę.

– Wcale tak nie myślę – mówi ze zwieszoną głową i dłońmi złożonymi potulnie na kolanach. Przypomina jej to pewien obraz, który kiedyś widziała – nie pamięta, niestety, który. Może ten z kobietą o ponurej minie, namalowaną z profilu przez tego szkockiego malarza? Może. Sprawdzi to, jak wróci do domu; na myśl o tym czuje mały dreszczyk przyjemności. Och, jak uwielbia te encyklopedie, które kupiła z rabatem w jednym sklepie. Tylko niektóre narożniki są trochę pofałdowane od wody. Najgorzej wyglądają tomy od A do M; na tych od N do Z prawie nie widać, chyba że się spojrzy z bardzo bliska, a kto by tam...

– Przenigdy ci nie wybaczę. – Monica splata i rozplata palce, tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i zdawała sobie sprawę, że zapomniała zrobić coś, o co ją Gretta prosiła.

Czyżby w dzieciństwie była dla niej zbyt surowa? Czy to dlatego teraz tak się boi świata, tak niechętnie toruje sobie w nim drogę? Czy to wina Gretty? Nie wie, jak inaczej mogłaby ją wychować: takie były sobie bliskie, najbliższe na świecie, jak mówiła często do Bridie, która będąc matką samych chłopaków, na pewno jej zazdrościła.

– Wiem, słonko. Przepraszam. Przepraszam, że cię zawiodłam. To było... sama nie wiem... tak dawno temu, zaraz po wojnie i wszystko... to były dziwne czasy i...

– Mogły być i najdziwniejsze, nie obchodzi mnie to, nie trzeba było kłamać. Nie trzeba było udawać.

– Wiem – Gretta zwiesza głowę jeszcze niżej. – Przepraszam.

– A co by na to powiedział ksiądz?

Strach targa głęboko sercem Gretty i przegania wszystkie myśli o encyklopediach, wszystkie rozważania o wychowaniu.

– O, nie, nie mów, że... nie mów...

– Co by powiedział, gdybym do niego poszła i powiedziała, że tata i ty nie macie ślubu, że on jest tak naprawdę żonaty z kimś innym, że wszyscy jesteśmy nieślubnymi dziećmi, że...

– Nie zrobisz tego, prawda, proszę cię, nie, obiecaj mi, że tego nie zrobisz, ja wtedy...

– Oczywiście, że tego nie zrobię – wzdycha Monica, jakby drażniła ją sama myśl o takiej możliwości. Rozsiada się na krześle i nie patrząc na Gretkę, zakłada ręce na piersiach. – To co zrobimy z tatą?

Użycie liczby mnogiej dodaje Gretce otuchy. Unosi głowę.

– Jesteśmy teraz tu – mówi. – I on tu jest, o tym wiemy. Zostawiłam w klasztorze wiadomość, że tu jesteśmy. Poczekamy więc. Zobaczymy, czy przyjedzie. Ale do Frankiego i tak trzeba będzie pojechać, on jest w takim oplakanym stanie, nie uwierzyłabyś, a to w końcu rodzina, więc...

– I tyle? – dopytuje Monica. – Mamy tak czekać?

– Nic więcej nie poradzimy – mówi Gretta.

Monica zakłada nogę na nogę. Kołysze stopą w górę i w dół. Tak nerwowo, jak czasem Aoife, myśli Gretta. Monica wstaje z krzesła i podchodzi do okna.

– Mogłybyśmy chociaż wyprać te zasłonki – mówi, sięgając do nich ręką. – Jak myślisz?

Gretta podrywa się na równe nogi.

– Jasna sprawa. Nawet nie chcę mówić, kiedy te gałgany ostatnio widziały mydło.

Aoife idzie pod górę i ponad grzbietem wyspy, dalej drogą gruntową, nad murkiem i w górę piaszczystą skarpą. Po swojej prawej stronie, na skraju wyspy, widzi kątem oka jakieś majaczące sylwetki. Nie odwraca głowy. Cokolwiek Michael Francis i Claire tam kombinują po ciemku, nie chce o tym wiedzieć.

Powietrze jest nieruchome, łagodne, noc pozłocona bladą poświatą prawie kulistego księżyca, który przeszywa niebo nad stałym lądem. Wytycza dla niej kontury wyspy, wydobywa fakturę torfu pod jej nogami,



szare kształty murków ze spiętrzonych kamieni. Dotarłszy do najwyższego punktu wzniesienia, Aoife obraca się wokół własnej osi. Wszędzie wokół słychać morze. Są odcięci od lądu, opasani morzem, jak na prawdziwej wyspie.

Wie, że przed nią znajduje się występ, dalej skarpa i strome piaszczyste zbocze. Topografię wyspy ma, jak się okazuje, w głowie – poznała ją podczas licznych letnich wędrówek. Tkwiała ukryta gdzieś w zakamarku świadomości przez cały ten czas od jej ostatniego pobytu na wyspie; dziesięć lat albo coś koło tego. Ale sam spacer po tym terenie, sam postój w najwyższym punkcie, z wyspą rozplywającą się u jej stóp we wszystkich kierunkach, przywołuje ją z powrotem, rozwija jak papierową mapę.

Jezioro znajduje się tuż pod nią; jego czarna, rozlana w zagłębieniu masa, myśli, to enklawa nieobecnego światła, jedyna pod tym jasnym księżycem. Wydeptuje ostrożnie ścieżkę wzdłuż krawędzi skarpy i dopuszcza do siebie spostrzeżenie, że jest ostrożna, nie skacze ani nie rzuca się z piaszczystego zbocza, jak by zwykle postąpiła. Schodzi ze zbocza, wyczuwając pod stopami piasek wdzierający się do butów, i znów przyłapuje się na ostrożności.

Zanim ujrzy jezioro, najpierw je wyczuwa. Wilgotne, gąbczaste podłoże pod stopami, kolczaste bagienne rośliny nakłuwają krawędzie jej spodni. Przy brzegu zrzuca buty i podwija nogawki spodni. Woda poraża chłodem i rozkosznie ściąga skórę. Jej stopy postępują przed siebie po gruzłowatym, kamienistym dnie jeziora.

Stoi po kolana w wodzie. Niebo nad nią jest granatowoczarne, fioletowoczarne, ma odcień najdojrzalszych jeżyn, podświetlonych na srebrno; nigdy wcześniej nie widziała takiej barwy, ani w intymnym mroku ciemni Evelyn, ani na żadnym z tysięcy negatywów fotograficznych, nad którymi się mozoliła.

Aoife przykłada dłoń do brzucha. Jakie to dziwne: czuć się tak odosobnioną i zarazem wiedzieć, że to nieprawda. Ma w sobie drugie bijące serce. Uciska lekko brzuch. Ruchy: chyba tak się na to mówi? Żadne słowo nie opisałoby lepiej tego, co się dzieje tam, w ukrytej fałdzie jej ciała, w jakimś tłocznym zakątku jej istoty. Zarzuciła ostatnio próby zrozumienia, dlaczego w życiu jest jak jest. Taki sposób myślenia nie ma sensu, nie ma żadnego sensu. Co ma być, to będzie, i to często bez żadnego powodu. Ale to – to coś innego. Że przychodzi, rozpoczyna się, rusza teraz, gdy wydaje się,

że tak wiele osób w jej życiu zaczyna się od niej odsuwać. Jak to się dzieje?

A gdy ta myśl przewleka ostatnie sylaby przez jej świadomość, tuż na prawo od niej coś unosi wodę jeziora. Powierzchnia wody się rozstępuje, Aoife widzi ruch umięśnionego grzbietu, przebłysk lśniącej skóry. Cofa się o krok i nieznacznie traci równowagę, nastąpiwszy palcem na ostrą krawędź kamienia. Wydaje krótki, bolesny okrzyk. Jezioro zdaje się wyczekiwać, znów teraz płaskie, o powierzchni nieruchomej jak lustro. Aoife patrzy w lewo, potem w prawo, szukając zmarszczki, rzędu pęcherzyków, czegokolwiek. Co to było za zwierzę i co się z nim stało?

Poruszenie, plusk – gdzie? Odwraca głowę, wyczulona na najmniejszy ruch, i stara się wymazać z głowy wszystkie opowieści matki o pół-fokach, pół-kobietach, o wodnych duchach, o żeglarzach zwabionych przez zjawy w śmiertelną pułapkę w nocie takie jak ta. Zastanawia się, czy gdyby krzyknęła, głośno zawołała, ktoś by ją usłyszał. Czy Michael Francis przybiegłby pędem? Z pewnością. Ale czy zdążyłby na czas?

I wtedy widzi to znów, mniej niż metr od siebie. Jego pysk wynurza się z wody i patrzy wprost na nią. Stępione czoło, namokła sierść, rozpostarte w powietrzu wąsy, para szeroko rozstawionych, ciemnych ślepi. Pies, mówi sobie. To tylko pies z któregoś gospodarstwa, pływa tu sobie. Ale jego uszy są za małe na uszy psa, a pysk za krótki.

Aoife i stworzenie patrzą na siebie. Wygląda jak wydra, ale jest większe, jak foka, ale ma dłuższą sierść. Podnosi teraz łapę z pazurami i przesuwa nią po pysku, raz i drugi, po nosie i po czole. Aoife ma takie uczucie za oczami, w głębi czaszki, jakby miała zaraz kichnąć; wezbranie, dzwonięcie, podobne do tego wrażenia, które pojawia się wtedy, gdy zbyt długo wpatruje się w kartkę z tekstem i nie dość usilnie trzyma myśli w ryzach; wrażenie, że jeśli nie zachowa ostrożności, to to, na co patrzy, rozsunie się, rozejdzie, przeobrazi w coś innego.

– Gabe? – mówi.

Jeszcze nie zdążyła dokończyć, a już dociera do niej niedorzeczność tego pytania. Wie, że to stworzenie, czymkolwiek jest, nie jest Gabe'em. Jeszcze nie zwariowała. Gabe jest za morzem, tym morzem po prawej stronie, daleko stąd, w Nowym Jorku. A jednak jest coś w spojrzeniu tej istoty, jest coś w geście jej przedniej łapy.

Odzywa się jeszcze raz, tym razem szeptem:

– Gabe?

Zwierzę obraca się kolistym ruchem i znika, nurkuje w głąb jeziora.

Aoife biegnie. Biegnie, nie myśląc dokąd i dlaczego, nie podnosząc nawet butów. Wbiega bosą na wydnię i zbiega po drugiej stronie, po trawiastym zboczu. Przeskakuje murek, mija na drodze dwie czarne wycinanki ludzkich postaci. Aoife, woła za nią głos brata, wracaj, ale ona tego nie robi, nie wraca, a gdy dociera na przeciwległy kraniec wyspy, przekonuje się bez zdziwienia, że wody się rozstały, że wyłonił się wąski pas lśniącego piachu, pokryty pływowym ornamentem i wiodący wprost na stały ląd.

Obiera tę ścieżkę, rusza nią biegiem. Pędzi do samego brzegu, a morska woda co rusz sięga jej kostek. Biegnie przez całą drogę do Claddaghduff, a gdy już tam dociera, zauważa budkę telefoniczną, oświetloną jak pas do lądowania, i wchodzi do środka.

Wybiera numer do swojego mieszkania; nie spodziewa się go tam zastać, chce zwyczajnie zadzwonić, usłyszeć sygnał i wiedzieć, że rozbrzmiewa tam, na ścianie przy jej łóżku. W Nowym Jorku jest dziewiętnasta. Gabe jest pewnie w restauracji, układa piętrowo talerze, obiera warzywa, splukuje powierzchnie. Ale, o dziwo, słyszy dźwięk podnoszonej słuchawki, słyszy, jak wstrzymuje oddech, jak minimalnie rozchyła wargi.

– Gabe?

– Tak.

– To ja.

– Aoife – mówi przeciągle Gabe. – Co u ciebie?

Czy to jej wyobraźnia, jej pobożne życzenia, czy jego głos rzeczywiście jest trochę mniej szorstki?

– Jestem w Irlandii.

– W Irlandii?

– Uhm. Przyjechaliśmy do Irlandii, ja i moja rodzina... cała moja rodzina, nawet bratanek i bratanica.

– Co nowego w sprawie taty?

– Odnaleźliśmy go. W pewnym sensie. W każdym razie wiemy, gdzie jest. Tylko jeszcze się z nim nie widzieliśmy.

– Jest w Irlandii?

– Uhm.

– Tak po prostu wyskoczył sobie do Irlandii?

– Długo by opowiadać. Innym razem. Co się stało, że nie jesteś w restauracji?

Cisza. Dobiega ją westchnienie.

– Wszystko w porządku? Stało się coś?

– Nic wielkiego – mówi on.

Aoife ściska mocniej słuchawkę.

– Powiedz mi.

– Ktoś mnie szukał.

– W restauracji?

– Tak.

– Cholera.

– Pewnie to nic takiego, ale Arnault mówi, żebym lepiej się nie wychylał przez kilka dni.

– Tak mi przykro, Gabe.

– Nic się nie stało. Po prostu będę musiał poszukać innej pracy. A szkoda, bo u Arnaulta nawet mi się podobało.

– Znajdziesz coś innego.

– Pewnie tak.

Znów cisza. Aoife słyszy odgłos przemieszczania, jakby Gabe przechodził przez pokój albo może siadał na łóżku.

– Ale znalazłem sobie inne zajęcie – odzywa się po chwili.

– O!

– Zrobiłem porządek z tą twoją teczką.

Aoife wypręża się jak struna.

– Tak?

– Uhm. Nie miałem nic lepszego do roboty, a dzięki temu oderwałem się trochę od swoich kłopotów.

– Przejrzałeś wszystko? Całą teczkę?

– Powkładałem umowy do kopert i spiąłem razem czeki. Możesz się nimi zająć, jak wrócisz. Albo... – Aoife słyszy, jak Gabe próbuje starannie obejść fakt, że wątpi, by Aoife wróciła – ...sam je mogę zanieść, jeśli mi powiesz, w którym banku Evelyn ma konto albo kto zajmuje się rachunkowością, albo...

– Dziękuję ci – wybuchają Aoife. – Tak bardzo ci dziękuję, ja naprawdę, naprawdę...

– Nie ma o czym mówić – przerywa jej Gabe. – Wiesz, nie mogłem tego tak zostawić. Zresztą, jak wspominałem, nie miałem dzisiaj nic lepszego do roboty.

Aoife kładzie dłonie na szybie budki telefonicznej i opiera na nich głowę. Sprawa teczki załatwiona. Nie może w to uwierzyć. Problem, który ciążył jej od roku, rozwiązany. Ot, tak.

– Aoife – mówi nagle Gabe. – Wiem, że to pewnie nieodpowiednia chwila, ale chciałem ci powiedzieć, że nie będę ci już więcej zawracał głowy. Z mieszkaniem i tak dalej. Nie ma sprawy. Dotarło.

– Co dotarło?

– Dotarło. No, to wszystko. Zrozumiałem to na lotnisku.

– Ale co zrozumiałeś?

– Że nie chcesz ze mną zamieszkać... i tak naprawdę nie chcesz nawet ze mną być.

– Ale...

– Spokojnie. Nie musimy się nad tym rozwodzić. Jak wrócisz, to już mnie nie będzie.

– Gabe – Aoife kręci w panice głową. – Nie, ty zrozumiałeś wszystko na opak. Całkiem na opak. Ja chcę być z tobą, bardzo chcę, najbardziej na świecie, i marzę, żeby z tobą zamieszkać, ale chodzi o to, że... – dopada ją dobrze znane wrażenie, że nie może nabrać dostatecznie dużo powietrza do płuc – ...na lotnisku... ja nie... nie widziałam... co napisałeś... miałam trudności z... – próbuje się zaśmiać, swobodnie i autoironicznie, jak zwykle w takich sytuacjach, ale tym razem jej to nie wychodzi. – Może muszę sobie załatwić okulary czy coś takiego...

Na linii zapada cisza, wielki ocean ciszy, który kołysze się, przewala i spiętrza między nimi.

– Okulary – powtarza sucho Gabe.

– Chcę być z tobą – mówi znów Aoife. – Uwierz mi, proszę. Tylko że... – krzywi się tak bardzo, że widoczne przed nią światła Claddaghduff rozmazują się i odkształcają. Samo dopuszczenie myśli, że mogłaby to powiedzieć, wymaga od niej znacznego wysiłku fizycznego. Wspina się na palce, napręża ramiona, jakby szykowała się do ciosu. – Tylko że... mam trudności... mam trudności z czytaniem.

Przez chwilę nie może uwierzyć, że to powiedziała. To niebywałe, że te

słowa są na wolności. Latają po dusznej, ciasnej przestrzeni budki telefonicznej, krążą jej nad głową. Chce uchylić lekko drzwi, żeby je wypuścić w świat, jak pszczoły z ula. „Mam trudności z czytaniem”. A potem nachodzi ją niepokojąca myśl, że może trzeba je powtórzyć, bo czas ucieka, jej przemiana znikła w telefonicznej otchłani, a Gabe nie odpowiada. Czy to możliwe, że nie dosłyszał?

– Ha! – odzywa się Gabe. – Trudności z czytaniem. Hm. Rozumiem... a wiesz co? – Każde jego słowo brzmi tak, jakby wypowiadał je ze szczególną troską. – Mój dziadek miał niespotykane problemy ze słowem pisanym.

Aoife nabiera powietrza i zaraz je wypuszcza. Nie może uwierzyć w to, co słyszy. Nie może uwierzyć, że wyraz „słowo” uzupełnił określeniem „pisane”. Ubóstwia go za to; ubóstwia go za to rozróżnienie, bo – rzecz jasna – słowo ma tyle postaci, tyle wcieleń, i tylko ten przeklęty gatunek pisany jej nie służy, zbija ją z tropu, gmatwa się i płacze w jej głowie jak sznur. Wszystkie pozostałe jej się poddają.

– Naprawdę? – wydusza.

– Uhm. Przez całe życie zachowywał się jakby nigdy nic. Miał swój komplet wymówek, żeby jakoś przetrwać. Mówił na przykład, że umie czytać tylko po rosyjsku. Albo że zgubił okulary. Albo że boli go głowa i czy mógłbym mu poczytać gazetę? Ale to nie była prawda. Wszyscy wiedzieliśmy, że po prostu nie umie czytać.

W wystudiowanej swobodzie, z jaką to mówi, w treści jego wypowiedzi, Aoife nagle odnajduje uczucie nieważkości, uniesienia, jakby z mięśni i kości jej grzbietu rozwinęły się sprężyste, pierzaste skrzydła.

– Kiedy wracasz? – pyta po chwili Gabe. – Tęsknię za tobą. Wszyscy za tobą tęsknimy: ja, szczury, karaluchy, te mrozące krew w żyłach żyjątko, które chroboczą nocami w ścianach.

– Niedługo – mówi Aoife, spoglądając na wyspę Omey. – Wracam całkiem niedługo.

– Obiecujesz?

– Tak, obiecuję – mówi, a słowa rozpościerają się po zaparowanej szybie.

– Ale wiesz co?

– Co?

– Myślę, że powinniśmy tu przyjechać na trochę.

– Tu?

– Tu, gdzie teraz jestem, na wyspę Omey. Szkoda, że nie możesz jej zobaczyć. Jest taka piękna. Moja rodzina ma tu domek. Możemy w nim zamieszkać, ty i ja, i jakoś to wszystko przetrzymać.

Słyszy, jak Gabe przelyka ślinę i przebiera palcami na słuchawce.

– Hm, kto wie. Może mi się tam spodoba? To znaczy, domyślam się, że jednak jest tam inaczej niż na Manhattanie.

Aoife parska śmiechem.

– Niebo i ziemia, zapewniam cię. To też wyspa, ale na tym podobieństwa się kończą.

– Aoife...

– Przemyśl to.

– Dobra – mówi. – Przywieź zdjęcie i pomyślimy.

Monica opiera się o kamienny murek i czeka. Już po północy, dochodzi pierwsza. Księżyc zawisł nad wyspą, tak nieprawdopodobnie krągły i jasny, że wygląda jak imitacja księżycy, księżyc z Hollywood, księżyc skonstruowany przebiegle z papieru i światła elektrycznego.

Czuje, jak nachodzi ją sen, raz za razem, jak przeciąg przez szparę pod drzwiami. Powieki jej opadają, głowa opada, ale już po chwili podrywa się kurczowo.

Kiedy Aoife nie wróciła po zmroku, już po przyjściu Michaela Francisa i Claire, Gretta co rusz wstawiała z krzesła i podchodziła do okna, załamywała ręce i mówiła, gdzie ona jest, czy nie wpadła do morza, jak myślicie, dlaczego ciągle ktoś znika? Monica wysłała ją do łóżka i powiedziała, że wyjdzie i jej poszuka. Wszystkich dopadło zmęczenie po nocy spędzonej na promie. Mogłoby się wydawać, że Aoife też zechce się położyć, zwłaszcza że miała za sobą podróż samolotem, ale inna sprawa, że Aoife nigdy nie potrzebowała dużo snu.

Monica wstąpiła w mrok. Doszła na północny kraniec wyspy, obeszła ją, mijając najdalej wysunięty na zachód punkt, i wróciła południowym brzegiem. Wołała i wołała Aoife, szukała we wszystkich miejscach, które przychodziły jej na myśl. Przypomniało jej to czasy, gdy Aoife była dzieckiem i lunatykowała. Jej nocne wędrówki przychodziły falami. Zdarzały się całe tygodnie bez jednego incydentu, a potem Monica budziła się pewnej nocy, a łóżko obok było puste, kołdra odrzucona, i wiedziała, że Aoife poderwała na równe nogi jakaś nieznaną siłą. Monica przeszukiwała dom – łazienkę,

schody, salon, kuchnię. Kiedyś znalazła ją siedzącą w kucki przy dogasającym palenisku. Czasem siedziała na łóżku Michaela Francisa. Innym razem Monica ujrzała ją w ogrodzie za domem, jak z półotwartymi oczami i otępiąłym wzrokiem mocowała się bezskutecznie z drzwiami do szopy, mierząc się z jakimś sennym dramatem. Ojciec przykręcił wysoko na drzwiach zasuwę, żeby Aoife ich nie dosięgnęła i nie zawędrowała na ulicę.

A teraz historia się powtarza, Monica znów szuka nocą tułającej się Aoife, gotowa zaprowadzić ją delikatnie do łóżka.

Wypatrzyła ją ze szczytu piaszczystej skarpy: małą postać idącą z powrotem groblą, lśniąca ślisko w świetle księżyca. Zeszła ostrożnie na dół – pod koszulą nocną miała swoje kalosze – i czeka tutaj, przy murku.

Gdy Aoife pojawia się na wzniesieniu drogi gruntowej, Monica woła ją po imieniu:

– Aoife!

Postać jej siostry podrywa się i chwyta za serce.

– Kto tam? – pyta i Monicę zdumiewa strach w jej głosie.

– To ja.

– A! Prawie narobiłam w gacie ze strachu. Co ty tu robisz?

– Czekam na ciebie. Gdzie byłaś?

– Wysłałam – odpowiada Aoife i nie zatrzymując się, idzie dalej drogą.

– Ale dokąd?

Aoife wyrzuca rękę za siebie, w kierunku Claddaghduff.

Otacza je łagodny zmrok, ale Monica widzi, że Aoife ma zagniewaną minę, usta zagięte lekko w dół; Monica tak dobrze pamięta to z jej dzieciństwa. Wspina się na murek, ostrożnie, niewprawnie, kalosze zahaczają o krawędzie kamieni, i rusza biegiem, próbując dogonić siostrę.

– Poszłaś zadzwonić do chłopaka?

Aoife wydaje z siebie odgłos, który nie oznacza ani „tak”, ani „nie”, a Monica zatrzymuje się mimo woli.

– Aoife, słuchaj...

Aoife także staje, kilka kroków dalej, plecami do niej.

Monica zaskoczyła samą siebie. Nie wie, co chce powiedzieć, nie wie, jakich słów miałyby wysłuchać Aoife.

– Ja... – zaczyna. – Jeśli chodzi o Joego... – urywa. – Byłam po prostu taka... Wszystko było... wiesz, po tym, co się stało...



Bierze oddech i ciągnie z trudem:

– Po tym, co zrobiłam... ja...

– Wyduś to w końcu z siebie.

– Co?

– No, do chuja pana – wzdycha Aoife.

Monica wzdyga się na te słowa. Jak można tak brzydko mówić, coś okropnego. Tak samo odezwał się do niej Joe, kiedy...

– Wyraz, który wszyscy znają – mówi Aoife. – Oprócz ciebie, jak się zdaje. Zaczyna się na p.

Cisza. Słysząc ptasi świergot, awanturniczy łopot wiatru podrywającego rąbek koszuli Moniki, odległe pulsowanie fal.

– Przepraszam – mówi na drodze na wyspie Omey Monica do wyprostowanych pleców siostry.

– Za co?

– Za wszystko. Za to, że pomyślałam, że mogłabyś powiedzieć Joemu. Wiadomo, że nigdy byś tego nie zrobiła. Nie wiem, dlaczego zapomniałam, że to do ciebie niepodobne. I do tego... – Monica milknie i szarpie za rękawy koszuli – ...wtedy w kuchni mówiłam ci takie straszne rzeczy. Wprost okropne. Od razu tego pożałowałam i żałuję do dziś.

– Tak?

– Tak. Nie powinnam była tak na ciebie naskakiwać i nie powinnam była tego mówić, to zresztą nieprawda i...

– O, no to teraz kłamiesz.

– Co masz na myśli?

– To prawda, co o mnie mówiłaś, o mamie i o mnie jako niemowlaku, czyż nie? Przecież wiem, że to prawda.

– No... – Monica rozkłada ręce i spleta je z powrotem. – W każdym razie nie powinnam była tego mówić. Te trzy lata bez ciebie były koszmarne.

Monica wzdycha i wtedy dociera do niej, że nie wraca do Gloucestershire: to wszystko już za nią. Nie pojedzie na wieś, już tam nie zamieszka. Jenny i dzieci wrócą, żeby osiedlić się z powrotem w domu, który w gruncie rzeczy nigdy do niej nie należał. Przyjmuje to odkrycie z dziwnym spokojem. To fakt, stateczny i niepowikłany przez rozterki: już tam nie wraca.

– Koszmarne – powtarza.

Aoife już się odwraca i staje twarzą w twarz.

– Naprawdę?

– Widzisz... wygląda na to, że gdy nie ma cię w pobliżu, nie umiem podejmować właściwych decyzji – mówi Monica. – Weźmy sukienkę, którą włożyłam na ślub. Kupiłam ją tydzień wcześniej, w panice. Wiedziałam, że jest za krótka i że moje kolana okropnie w niej wyglądają, i że zwyczajnie mi nie pasuje. Kobieta w sklepie powiedziała, że wygląda cudnie, i mama też, a ja chciałam im wierzyć. Ale gdy zobaczyłam zdjęcia, powtarzałam sobie w myślach: gdyby Aoife tu była, powiedziałyby: nie wkładaj tego, tego nie, to wygląda strasznie. Ty byś to załatwiła.

– Prawda.

– Fatalna była ta sukienka.

– Ach, tak?

– Z turkusowej mory, z tiulową spódnicą i bufiastymi rękawami.

Idą teraz razem do chaty, w jednym rytmie. Monica zapomniała już, że tak potrafią, że potrafią iść w idealnej harmonii; takiego precyzyjnego, metronomicznego ruchu nie doświadczyła dotąd w niczym towarzystwie. To widocznie efekt wielu lat wspólnego maszerowania: do szkoły i z powrotem, do sklepu i z powrotem, na przystanek autobusowy, do metra, do biblioteki.

– Brzmi ohydnie.

– Bo była ohydna.

Aoife zatrzymuje się przed furtką chaty.

– A więc wzięłaś ślub w stroju gęsiareczki?

Monica się śmieje. Chce powiedzieć Aoife: kłamka zapadła, nie wracam do niego, to koniec. Wie, że Aoife zrozumie, nie będzie zadrećczać pytaniami. Ale na to przyjdzie czas później.

– Wzięłam.

– Beze mnie?

– Bez ciebie.

– Cóż – wzrusza ramionami Aoife. – Wszyscy popełniamy błędy.

Monica wzdycha. Wyciąga rękę i dotyka ręki Aoife, a ta jej nie cofa.

– To prawda – mówi. – To prawda. A skoro o tym mowa...

– Co?

Monica przygryza wargę.

– Mamusia mówi, że jej się wydaje...

Teraz już Aoife cofa się gwałtownie, jak to zwykle ona.

– Wiem, co jej się wydaje.

– I?

– Co: i?

– To prawda? Jesteś... – Monica przekonuje się, że ma problem z określeniem „w ciąży”. Powietrze wokół nich porusza się wielce rozpraszająco, przeczesując palcami liście roślin, i Monica wie, że obie myślą o tym samym, że w ich głowach wyświetla się ten sam obraz szpitalnego łóżka, dwóch osób pochylonych razem za parawanem.

– Jestem – mówi Aoife, nie patrząc jej w oczy.

– Och, Aoife.

– Co znaczy: och, Aoife?

– Nie wiem. Tylko... – mówi teraz wysokim i pełnym napięcia głosem. Przyciąga do siebie siostrę i jak zwykle dziwi ją to, jak jest drobna, jaki wątyły wydaje się jej kościec, że choć jest już dorosła, tak łatwo byłoby ją skrzywdzić. – Ja tylko...

– Tylko co?

Monica wyrzuca ręce w powietrze. Drażni ją pieczenie pod powiekami, uczucie dławienia w gardle.

– Będzie znów dziecko! – wykrzykuje.

Aoife kiwa głową. Otwiera furtkę i rusza ścieżką.

– A co z ojcem? – dopytuje Monica, idąc jej śladem. – Zamierza... się włączyć, jak rozumiem? Jest prawnikiem, tak? To już coś. Stała praca, dobre zarobki. Ale myślę, że powinniście się sprowadzić do Londynu. Nie możesz urodzić dziecka tam, z dala od nas wszystkich. Mogłabyś na razie zamieszkać przy Gillerton Road, urodzić tam dziecko, a potem...

– Całkiem ci już odbiło? – syczy Aoife, otwierając frontowe drzwi. – Chyba bym zdechła. Normalnie bym wykitowała.

– Nie wygłupiaj się.

– To już bym wołała rodzić w rowie.

Monica chichocze i obie rozpychają się w sieni, zdejmując kalosze i swetry.

– Aoife...

– Powaga. Już bym wołała rodzić w kurzym kojcu, w kociej kuwecie, gdzie bądź.

Monica ciągnie oporny lewy kalosz; lewą stopę zawsze miała większą.

– Tego się nie da zdjąć – szepcze.

– W wagonie kolejowym – mruczy Aoife. – W szopie na narzędzia, w węglarce. Dawaj.

Szarpie kalosz.

– No złaź, ty franco.

Ciągnie mocno, rozlega się odgłos ssania, kalosz spada, a Aoife leci do tyłu, uderzając z hukiem o zawieszoną na haku lampę naftową.

– O, przejebane – mówi, pocierając głowę.

Z ciemności dobiega tubalny głos matki:

– A uciszycie się tam, jedna z drugą? Niektórzy tu próbują spać.

Monica i Aoife przesuwają się korytarzem i wchodzą do pokoju, który mają dzielić. Aoife opada na swoją stronę łóżka.

– Myślisz, że da się umrzeć ze zmęczenia? – pyta, już z zamkniętymi oczami.

– Nie wiem – mówi Monica i wpełza pod kołdrę. – Ale akurat ty już to na pewno sprawdziłaś.

Rano Gretta i Monica pieką chleb. Jedzą go w ogrodzie od frontu, posmarowany masłem zakupionym wczoraj w sklepie przy stacji paliw. Wynoszą na słońce krzesła kuchenne, a Claire rozkłada dzieciom koc na trawie. Ale nie siadają na nim. Hughie, jak ptak na grzędzie, łapie równowagę na murku, a Vita zawija się cała w koc, jak ten kociak z opowiadania, myśli Gretta.

– A nie za gorąco ci tam? – pyta ją Gretta z wyżyn krzesła.

Vita, z różowymi rumieńcami na policzkach, patrzy na nią przez zmrużone powieki.

– Mmm – mówi.

Gretta wzrusza ramionami i popija drugą tego dnia herbatę. Lubi, jak jest bardzo gorąca, porządnie zaparzona, czarna, bez najmniejszego śladu mleka. Od zawsze tak ma.

Słońce leje się na nich strumieniami. Kiedy ta pogoda się załamie? Ileż można?

Michael Francis i Claire siedzą razem na trawie, a on obejmuje ją za ramiona. Hughie patrzy w stronę lądu i pyta: gdzie są wszyscy, dlaczego Irlandia jest taka pusta? I Michael Francis zaczyna mu opowiadać o klęsce

głodu, o zarazie ziemniaczanej, o tysiącach, wielu tysiącach ludzi, którzy wyjechali, wsiedli na łodzie, odплыnęli i nigdy nie wrócili. Hughie słucha, z kromką chleba w każdej ręce. Vita turla się w swoim kocu i monotonnie, bez końca podśpiewuje pod nosem słowo „diaspora”.

Mniej więcej o dziesiątej Aoife wytacza się przez drzwi i pada na stopień. Pojękuje, wciska na nos okulary przeciwsłoneczne i wtyka do ust papierosa.

– Która godzina? – chrypi, przegrzebując kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki.

Monica błyskawicznie podrywa się z miejsca i wyrywa jej z ust papierosa.

– Ani mi się waż – mówi.

Aoife patrzy na nią z grymasem na twarzy. Monica nachyla się i odbiera jej paczkę i zapalniczkę. Aoife znów wydaje z siebie jęk i wtula głowę w ramiona.

– Co z nią? – dobiega Grettę głos Michaela Francis.

Zaraz ucisza go Claire.

– Mniejsza o to – mówi.

– Chcesz kromkę? – pyta Gretta najmłodszą córkę.

– Nie – Aoife unosi głowę i najwyraźniej zastanawia się jeszcze raz. – Albo w sumie tak.

– No, to rozumiem – Gretta wstaje, zadowolona, że ma coś do zrobienia. Nie lubi siedzieć beczynn timer, bez względu na to, czy się w życiu układa czy nie. Człowiekowi dobrze robi, jak ma czego wyglądać, choćby to była błałhostka.

Stoi w kuchni i zestruguje falbanki z masła, gdy słyszy okrzyk Hughiego.

– Patrzcie!

Nóż wysuwa jej się z dłoni.

– Co? – pyta Michael Francis.

– Patrzcie, kto idzie!

Gretta już jest za drzwiami, wypada na słońce i spieszy ścieżką. Zatrzymuje się przy furtce. Osłania dłońmi oczy. Ktoś schodzi z grobli i stawia stopę na pochyłej drodze przecinającej wyspę. Przygarbiony chód, opuszczona głowa. Patrzą wszyscy, jak jedna ręka unosi się w geście powitania.

– On? – pyta Monica, która zawsze miała słaby wzrok, ale nigdy nie chciała się do tego przyznać.

Gretta otwiera na oścież furtkę i wychodzi z ogrodu. Sama też podnosi rękę i macha.

– On – mówi.

# Podziękowania

Dziękuję Wam, Mary-Ann Harrington i Victorio Hobbs.

Dziękuję Wam, Emily Griffin, Hazel Orme, Georgino Moore, Heleno Towers, Emily Kitchin i cała załoga wydawnictwa Headline.

Dziękuję Ci, Jordanie Pavlin.

Dziękuję Ci, Ruthie.

Dziękuję Ci, Bridget.

Dziękuję mojej matce, między innymi za pożyczenie mapy Connemary, i mojemu ojcu za szczegółowe informacje meteorologiczne; wszelkie nieścisłości to już, naturalnie, moja sprawka.

Dziękuję Ci, Wendy McMurdo, za wprowadzenie mnie w życie asystentki fotografa.

Dziękuję Wam, Carly Pattinson i Rebecco Tamas, za cierpliwość i wyobraźnię.

Dziękuję Ci, Juno. Dziękuję ci, Iris. Dziękuję ci, Saul.

I dziękuję Tobie, Will, za, bez mała, wszystko.

Czytelników, którym spodobała się książka, zachęcamy do zapoznania się z uwagami Maggie O'Farrell na temat tego, jak rozwijała się jej wizja powieści, z wyborem jej zdjęć z Irlandii przedstawiających opisane w książce miejsca oraz z wykazem pozycji, którymi się inspirowała, pisząc tę powieść.



# Kuchenni bohaterowie

Tej książki nie napisałam umyślnie. Przydarzyła się przez przypadek. Przystępowałam właśnie do pisania zupełnie innej powieści; sporządziłam już obszerne notatki, a nawet miałam za sobą kilka nieśmiałych wypadów na pusty lodowiec dokumentu Worda.

Ilekcóż jednak zasiadałam przy biurku, nie mogłam się opędzić od obrazu grupy ludzi. Siedzieli wokół stołu, w jednej z tych wąskich, dobudowanych kuchni, jakie można znaleźć na tyłach londyńskich domków szeregowych. Panujący w pomieszczeniu upał był uciążliwy, duszący. Ci ludzie byli rodziną i toczyli zażartą dyskusję.

Nie ustawałam w gromadzeniu materiałów do pierwszej powieści; dokument Worda się rozrastał, kwartały tekstu porastały białe przestrzenie. Ale siedzący wokół stołu ludzie nie chcieli się zamknąć; w końcu byli rodziną w ferworze kłótni. Byli jak zakłócenia radiowe albo przebicia na linii telefonicznej. Chciałam słuchać bohaterów pierwszej powieści, ale słyszałam tylko głosy tego rodzeństwa, które – choć dość dorosłe, by wiedzieć o pewnych sprawach – w samym środku upalnego lata bezustannie drze ze sobą koty.

Momentem przełomowym stało się zjawisko geotermalne. W Islandii doszło do wybuchu wulkanu o trudnej do wymówienia nazwie i północ Europy pokryła się potężnymi chmurami pyłów; ruch lotniczy został wstrzymany, a życie milionów ludzi wywróciło się do góry nogami. Następstwa tego zjawiska były zastanawiające, nie tylko pod względem geograficznym, ale i psychologicznym. Ludzie zaczęli się zachowywać w wysoce nieobliczalny i ekscentryczny sposób. Na co dzień całkiem normalni, a teraz rozsierdzeni utrudnieniami, oburzeni zuchwałością płyt tektonicznych, złorzeczyli na ulicach z powodu odwołanych lotów i spotkań, przyjęć, które ich ominęły, przełożonych wycieczek, braku spodziewanych gości.

Podłoże całej tej furii miało szczególny posmak strachu. Jesteśmy, jako ludzkość, dość przyzwyczajeni do swojej wyższości. Uważamy ją za coś oczywistego. To my tu rządzymy i nic tego nie zmieni. Chyba że planeta ma

inne plany. Może nam zesłać wybuch wulkanu, chmurę pyłów, powódź, ogromną falę, trzęsienie ziemi, i wtedy dopiero dociera do nas, jak mało znaczymy i jak bardzo jesteśmy bezsilni, a to nas przejmują lękiem, przeraża. Czujemy za sobą oddech Czterech Jeźdźców i to wyzwala w nas krańcowe reakcje.

Gazety wypełniły się opowieściami o biznesmenach, którzy kazali się wieźć taksówkami z kontynentu na kontynent, listami aktorów i muzyków, którzy zostali zmuszeni do odwołania występów, propozycjami na to, jak wymówić *Eyjafjallajökull*, fotografiami samochodów obsypanych pyłem. Detaliści martwili się, jak dostarczyć towary na półki supermarketów, klienci wykupowali w panice podstawowe produkty, a mnie nie opuszczała myśl, że ten ogólnokrajowy kryzys i lęk egzystencjalny coś mi przypominają, ale co takiego?

Fikcyjne postacie w kuchni nie przestawały mówić, a ja rozmyślałam o nich i o panującej w ich domu duchocie, która sprawia, że stają się tacy wybuchowi i wrażliwi; rozmyślałam o pożółkłej trawie w ogrodzie za ich plecami i nagle mnie olśniło: fala upałów z 1976 roku. Tym ludziom przydarzyło się coś – nie wiedziałam jeszcze co – co spowodowało, że spotkali się po raz pierwszy od wielu lat, w samym środku najstraszliwszych upałów w historii Wielkiej Brytanii.

Zapytać kogoś, kto był na świecie w 1976 roku, co pamięta z tego lata, to jak podnieść zapadnię w jego głowie. Hydranty! – zakrzyknie. Roje biedronek! Ogrody wypalone do odcieni brązu. Woń topniejącego na jezdni asfaltu, pożary lasów, kolejki poważnie poparzonych ludzi na ostrym dyżurze. Szczeliny w trawnikach.

Te upały odgrywają ważną rolę w zbiorowej pamięci Brytyjczyków. We wspomnieniach da się wyczuć poczucie jedności, szczyptę dumy na myśl o tym, że wszyscy stanęli na wysokości zadania i pokonali przeciwności losu; od czasów drugiej wojny światowej nie było sytuacji, która wymagałaby takiego hartu ducha. Niestety nadeszło w samym środku dekady niepokojów społecznych i niestabilności gospodarczej i symbolizuje apogeum solidarności społecznej w obliczu nieprzejednanego wroga – pogody.

Tym z nas, którzy byli wtedy dziećmi, to lato mocno utkwilo w psychice. Do dziś pozostaje naszym dziecięcym punktem odniesienia; zniekształca

nasze postrzeganie świata, który przeminął. Pamięć płata figle i podpowiada, że wszystkie letnie miesiące dzieciństwa były niekończącym się pasmem słonecznych dni, ale ci z nas, którzy dorastali w latach siedemdziesiątych, wcale się tu nie myślą. Lato siedemdziesiątego szóstego rzeczywiście trwało bez końca. Słońce rzeczywiście świeciło dzień za dniem. Na niebie rzeczywiście nie było śladu chmur. Nigdy nie padało. Spędzaliśmy całe dni na dworze, nad wodą, w parku, w ogrodzie. Sama chyba w ogóle nie nosiłam wtedy ubrań. Po co, skoro miałam cztery lata?

Czy udzielał nam się wtedy niepokój rodziców w związku z falą upałów? Nasi rodzice przesiadywali z przyjaciółmi na tarasach do późnych godzin wieczornych, a przez otwarte okna sączyła się muzyka z radia. Nosili koszulki z napisem „Oszczędzaj wodę – nie kąp się sam”. Nie wylewali wody po zmywaniu i żartowali, że otwierają wino, bo trzeba dbać o zasoby. Ale martwili się; oczywiście, że się martwili. Kiedy to się skończy? Kiedy spadnie deszcz? Kiedy będzie można wreszcie wykąpać dzieci, podlać ogródek, umyć samochód?

Nie tylko oni się niepokoiли. Powołano ministerstwo do spraw suszy i pospiesznie przegłosowano w parlamencie stosowną ustawę. Spomiędzy jej paragrafów i ustępów wyraźnie wybrzmiewa strach. Przenika cały dokument, wydaje się emanować z niego jak zapach – stłumiony i uregulowany za sprawą języka prawniczego, ale i tak wszechobecny. „Minister Spraw Wewnętrznych ma prawo żądać wsparcia służb cywilnych przez Siły Zbrojne Jej Królewskiej Mości”, nadyma się ustawa i dodaje: „Kradzież wody... będzie uznana za wykroczenie i karana grzywną nie wyższą niż 1500 funtów, a nie niższą niż 500 funtów”. Stało się jasne, że gabinet Jamesa Callaghana przygotowywał się na najgorsze, zabezpieczał tyły, mobilizował się na wypadek, gdyby kryzys wywołał rozruchy i niepokoje społeczne.

Dopiero gdy zaczęłam gromadzić materiały do tej powieści, zrozumiałam powagę tego, co się stało. Wszyscy mówią o upałach z siedemdziesiątego szóstego roku, ale należałoby raczej używać słowa „susza”. Całkiem zwyczajnie przestało padać. Lato poprzedniego roku było niezwykle suche, podobnie jak i wiosna siedemdziesiątego szóstego. Tak wysokich temperatur nie notowano od 350 lat. Przez dwa tygodnie temperatury sięgały trzydziestu dwóch stopni Celsjusza. W niektórych rejonach

południowo-zachodniej Anglii nie padało przez czterdzieści pięć dni. Zbiorniki wodne nie tylko się opróżniły, ale też wyschły i popękały jak afrykańskie równiny; wyschło również kilka rzek. Straty w rolnictwie oszacowano na pięć milionów funtów, wzrosły ceny żywności.

Trudno zrozumieć, że to wszystko zdarzyło się, zanim w naszej świadomości pojawiło się określenie „zmiany klimatyczne”. W 1976 roku nikt jeszcze nie słyszał o freonie, gazach cieplarnianych czy topniejących lodowcach. Wlewaliśmy beztrudno paliwo do baków i rozpylaliśmy aerozole, nie mając pojęcia o nadciągającym globalnym kryzysie. O ile bardziej lato takie jak to z 1976 roku przeraziłoby nas teraz?

Gdy tylko odnalazłam związek między wulkanem a falą upałów, między pogodą a zachowaniem, moja druga powieść przepadła, odeszła w niepamięć. Wylądowała w folderze pod nazwą „niedokończone”, zgromadzone materiały trafiły do kartonu, notatki zostały usunięte ze ściany. A gdy rozproszyły się chmury pyłów znad Islandii, gdy wulkan przygasł, gdy nad północą Europy znów zaczęły latać samoloty, utworzyłam na twardym dysku nowy plik – nazwałam go „1976” – i zaczęłam nasłuchiwać, o czym rozmawiają ludzie zgromadzeni w kuchni. *Zalecenia na wypadek upałów* to zapis tych rozmów. Mam nadzieję, że wam się podobała.

Maggie O'Farrell

# **Omey Island: wprawki fotograficzne**

Niepublikowane zdjęcia z wyjazdu Maggie O'Farrell do Connemary odbytego w ramach przygotowań do pisania *Zaleceń na wypadek upałów*.

Wszystkie zdjęcia autorstwa Maggie O'Farrell

Grobla prowadząca na wyspę Omey, wiosna.



Przygotowania do pisania powieści, wyspa Omey.



Zatoka Mannin w chłodny dzień.



Droga do Letterfrack.





Tak sobie zawsze wyobrażam Connemarę.



Książki, którymi inspirowała się Maggie O'Farrell podczas pisania *Zaleceń na wypadek upałów*

Colm Tóibín, *Brooklyn*

Elizabeth Strout, *Olive Kitteridge*

Karen E. Bender, *Like Normal People*

David Sedaris, *Me Talk Pretty One Day*

Edward St Aubyn, *Mother's Milk*

Judy Budnitz, *Gdybym Ci kiedyś powiedziała*

Angela Carter, *Mądre dzieci*

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Highbury, Londyn](#)

[Stoke Newington, Londyn](#)

[Gloucestershire](#)

[Nowy Jork](#)

[Dom](#)

[Irlandia](#)

[Podziękowania](#)

[Kuchenni bohaterowie](#)

[Omey Island: wprawki fotograficzne](#)